proza polska

literatura dawna

Krasiński Zygmunt

Władysław Herman i dwór jego

imprint

Zygmunt Krasiński

Władysław Herman i dwór jego

Wydane w formacie ePUB przez Imprint Sp. z o.o. - 2010 rok.

Spis treści:

- ROZDZIAŁ I
- ROZDZIAŁ II
- ROZDZIAŁ III
- ROZDZIAŁ IV
- ROZDZIAŁ V
- ROZDZIAŁ VI
- ROZDZIAŁ VII
- ROZDZIAŁ VIII
- ROZDZIAŁ IX
- ROZDZIAŁ X
- ROZDZIAŁ XI
- ROZDZIAŁ XII
- ROZDZIAŁ XIII
- ROZDZIAŁ XIV
- ROZDZIAŁ XV
- ROZDZIAŁ XVI
- ROZDZIAŁ XVII
- ROZDZIAŁ XVIII
- ROZDZIAŁ XIX
- ROZDZIAŁ XX
- ROZDZIAŁ XXI
- ROZDZIAŁ XXII
- ROZDZIAŁ XXIII
- ROZDZIAŁ XXIV
- ROZDZIAŁ XXV
- ROZDZIAŁ XXVI

- ROZDZIAŁ XXVII
- ROZDZIAŁ XXVIII
- ROZDZIAŁ XXIX
- ROZDZIAŁ XXX
- ROZDZIAŁ XXXI
- ROZDZIAŁ XXXII
- ZAMKNIĘCIE

Zygmunt Krasiński **WŁADYSŁAW HERMAN I DWÓR JEGO**

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z DZIEJÓW NARODOWYCH XI WIEKU

ROZDZIAŁ I

Biada, o biada wara, nadobne kwiatki!
Straszliwa żmija wkradła się do sadu,
A kędy piersią prześliźnie się błędną,
Usechną trawy i róże uwiędną
I będą żółte jako piersi gadu.
Wallenrod

Dzień 8 maja 1089 r. był jednym z najpiękniejszych dni wiosny. Niebo czyste, żadną nie pokryte chmurą, odbijało się w wodach licznie po błoniach rozlanych. Wschodzące zboża zieleniły szerokie Mazowsza pola, a Płock wznosił się z ich środka z swoimi wieżami i niebotycznym zamkiem. Słońce błyszczało po srebrzystych strumieniach i kopule kościoła katedralnego stolicy. Wszystko oddychało szczęściem i odświeżoną pięknością natury, ale serca ludzi wśród tych pięknych łąk, wśród tych gajów rozkosznych, przy potokach światłości przez gwiazdę dnia rozlewanych, srogimi szarpane namiętnościami, nie umiały cenić dobrodziejstw Boga. Wszystko w przyrodzeniu było zachwycającym, a tymczasem srogie gotowały się burze i walki pośród mieszkań ludzi.

O pół mili od miasta wznosił się wzgórek kilkoma drzewami ocieniony. Spomiędzy nich wystawał krzyż drewniany z wizerunkiem Zbawiciela, u którego nóg pełno zawieszonych kwiatów i wianków świadczyło o pobożności mieszkańców. U stóp krzyża leżał kamień, na którym mech już zaczynał pokrywać wyryty napis. Przy nim stał mąż, zbrojny od stóp do głowy, z założonymi na piersiach rękoma; kopia spoczywała przy jego stopach, koń dzielny rżał przywiązany do drzewa, a u siodła wisiał szyszak, po którym białe spływały pióra.

Twarz rycerza wydawała głębokie zamyślenie, męstwo na niej wyryte mięszało się z wyrazem okrucieństwa nie odpowiadającym czarnym, żywym oczom, w których najsłodsze uczucia i najgwałtowniejsze namiętności z równą łatwością malować się mogły. Czasem zwracał on bystry wzrok na drogę do miasta wiodącą, jak gdyby się kogoś spodziewał z tej strony, ale ciągle w największym pogrążony zadumaniu, rozmyślał nad ważnym zapewnie przedmiotem.

Lekki wietrzyk rozwijał, to znów skręcał czarne jego włosy, krótka broda tego samego koloru, przy bladości twarzy, przypominała godło smutku i żałoby, a miecz u boku wiszący ogromem swoim dowodził, że niesłaba zwykle go dźwigała ręka. Wtem ukazał się z daleka białawy tuman kurzu, który coraz się przybliżał; wkrótce blask stali wydobył się z jego środka. Pojrzał mąż zbrojny i nagle ruszył się z miejsca. Leciał ku niemu na rozpędzonym koniu człowiek ze spuszczoną przyłbicą, niezadługo stanął u wzgórka i skoczył na ziemię, a oddawszy pokłon, zbliżył się do rycerza, który, niecierpliwy, spiesznie zeszedł z góry na jego przyjęcie.

— A cóż — zawołał — jest czy nie ma?

Te jedyne tylko wyrzec mógł słowa. Zamilkł i czekał w najsroższej niepewności, aż nowo przybyły się odezwie. Ten ostatni wysokiego był wzrostu i w bogatej zbroi, na puklerzu nosił węża z wyrzuconym na nieprzyjaciela żądłem, z tymi słowy: „Śmierć temu, który się mnie dotknie.” — Mestwinie! — powtórnie krzyknął rycerz — czy ci piekła przymknęły usta? Mów, bo już dalej wytrzymać nie zdołam.

Odkrył wtenczas Mestwin przyłbicę i okazał twarz, której rysy dowodziły, że stał na środku drogi życia, równie oddalony od burzliwej młodości, jak od zgrzybiałego wieku; Są ludzie, którzy, nic nie mając szpetnego w twarzy, nieprzyjemne jednak czynią wrażenie.

Do ich rzędu należał Mestwin. Pomimo wysokiego czoła, ognistych oczu, orlego nosa, było coś okropnego w jego obliczu. Zdawało się, że podstęp i zdrada obrały swoje siedlisko na jego twarzy, a usta tak nawykły do szyderczego śmiechu, że ciągle zachowywały piętno pogardy i natrząsania się z innych. Otarł naprzód pot z czoła i jak gdyby z upodobaniem patrzał na niecierpliwość towarzysza, kilka chwil jeszcze pozostał w milczeniu, nareszcie powtórzył swój ukłon.

— Gierda — rzekł — uwiadomił mię, że w tym miejscu będziesz czekał na mnie. Przybyłem więc i donoszę ci, żem ją przywiózł i że jest w twojej mocy.

Na te słowa rycerz rzucił się w jego objęcia, ścisnął mu kilka razy rękę i z głębokiego zamyślenia do najwyższej przeszedł radości.

— Żałuję — ozwał się — że nie mogłem tam być przytomnym, ale wiesz, żem musiał walczyć z tym rycerzem pomorskim, z Ottonem z Strontheim; zabiłem go, opuściłem zaraz mój zamek pomorski i przyleciałem tutaj; ale powiedz mi wszystko.

— Tak — dalej mówił Mestwin — tak, mój panie i książę. Dostałem się do niej w nocy, oszukałem czujne czaty, przebrnąłem przez szerokie wody, wdarłem się na wieżę. Czekała już, gotowa rzucić się w objęcia miłości.

Zeszła po giętkiej drabinie, ale kiedy byliśmy na pół drogi, zawieszeni między szumnymi jeziora falami i pochmurnym niebem, nagle rozruch wszczął się w zamku. Do oręża porwali się męże. Tłumne krzyki odbiły nam się o uszy. Przez jednę chwilę tylko, przez jednę chwilę wahała się i chciała wrócić do swojej komnaty, już cofała lekkie kroki, ale ja, pomnąc na ciebie, pochwyciłem ją w silne ramiona i z miłym tobie ciężarem, pośród ciemności, zeszłem na dół.

Wskoczyłem w łódkę z kilkoma towarzyszami, uderzyłem wiosłem dwa razy i już byłem na przeciwnym brzegu.

Słyszeliśmy jeszcze przez chwilę wrzaski i wołania zbrojnych ludzi Wszebora, ale wkrótce wysokie Ciechanowa wieże znikły nam z oczu. Leciałem co koń mógł wydołać, a ona pytała mi się o Zbigniewa; twoje imię sto razy w jej ustach było.

Nad rankiem przybyliśmy do Płocka, a gotowe mięszkanie przyjęło twą kochankę. Czeka teraz na ciebie; ale, panie, trzeba tu nam tajemnicy, trzeba skrytości. Bo już wieść się rozchodzi, że Wszebor z Ciechanowa, na czele swych przyjaciół i panów, jedzie na skargę do twego ojca.

— Niech sobie jedzie — odparł Zbigniew. — Znasz mnie dobrze. Nie ulegnę trwodze; ani krzyki szlachty mazowieckiej, ani dumnych panów zażalenia i skargi nie wyrwą jej z rąk moich. Kocham ją, ją pierwszą kocham, a taką miłością, że wszystko bym dla niej poświęcił i oddał. Ona wzajemnie mnie tylko polubiła, gardzi moim bratem. Niech tam sobie Mieczysław teraz gryzie wargi, niech zobaczy, jak przychylnego ma we mnie brata.

— Ale upamiętaj się, książę i panie mój — rzekł Mestwin głosem, w którym już nie znać było tyle uszanowania, ale raczej przekonanie, że słuchający ulegnie danej radzie — upamiętaj się! Dla dogodzenia twym żądzom naraziłem się na setne niebezpieczeństwa; nie pierwszą już porywam dziewicę, nie jednego już zabiłem rycerza. Dopóki widziałem, że dopełnienie twych chęci może tylko przyjemność i rozkosz ci zjednać, wszystkich twoich słuchałem rozkazów. Nie straszyły mnie przeszkody ni liczne trudności. Ale nadszedł teraz czas pełen zamięszania i kłótni. Ojciec nieprzychylnym na ciebie patrzy okiem, a mały Bolesław z swoją szabelką i zbroją wszystkie jego chwile zajmuje. Panowie Mazowsza dają się co dzień słyszeć z głośnymi skargi. A któż jest celem tych żalów, tych przekleństw? Książę Zbigniew i zawsze książę Zbigniew. Teraz już przepaść bezdenna otworzy się pod twoimi kroki, jeśli sędziwy Wszebor i rozkochany Mieczysław dowiedzą

się, że piękna Hanna, nadzieja ojca, podpora jego starości, uwiedziona przez pana mego i księcia, przemieszkuje w Płocku i tam w ukryciu dni pędzi ze szczęśliwym kochankiem.

— Mężem, mów lepiej — przerwał mu Zbigniew — spodziewam się, żeś nie zapomniał na dzisiejszą noc uprzedzić kapłana. Bo postanowiłem od dawna — dzisiaj jeszcze się z nią na wieki połączyć.

— Nie zapomniałem — odparł Mestwin — ale, choć twoje rozkazy tkwiły mi w pamięci, nie uczyniłem im zadość, bom sądził, że nie mogę ich wykonać bez ujmy czci i sławie mego pana i księcia!!

— Od jakiegoż to czasu — zawołał gniewnym Zbigniew głosem — śmiesz sprzeciwiać się, mej woli? Jeśli mogą się wasale w Niemczech lub na Pomorzu przeniewierzać panom swoim lennym, wiedz, że nie taki jest u nas zwyczaj, nie taki, na Boga i Najświętszą Pannę, nie taki, na wszystkich świętych! Bo u nas, panów polskich, miecz zawsze jest przy boku i prawica skora do jego wydobycia.

— Poskrom gniew niepotrzebny — odparł Mestwin — na ileż przykrości, na ileż niebezpieczeństw odważyłem się dla ciebie! Czym kiedy nie był posłuszny najmniejszym twoim chęciom? Ale wszystko nam teraz grozi. Władysław, pan tego kraju, nie jest panem ani królem, ani książęciem. Zasiada na tronie, ale na tym kończy się jego władza. To Sieciech, wojewoda krakowski, to Wszebor, to Skarbimir z Gulczewa rządzą jego umysłem, a wszyscy tobie nienawistni. Jakże chcesz w takiej chwili pojąć za żonę córkę Wszebora, narzeczoną brata? Ojciec się twój dowie, a Wszebor podszepnie mu przekleństwo na ciebie, a tysiąc mieczów skierowanych w pierś twoją wzniesie się na głos Mieczysława. Znasz go dobrze, wiesz, jak dzielny, jak zakochany w Hannie. Zachował dumę wygnanego ojca, a ręka jego przypomina prawicę, która odnowiła szczerb na Złotej Bramie Kijowa.

— Stój! Czyś zapomniał, że i w Zbigniewie krew bohaterów płynie? czyś zapomniał moje walki i zwycięstwa? Dopiero dwudziesty czwarty rok życia mego liczę, a mógłbym ci nierównie więcej narachować rycerzy poległych pod moimi ciosy.

— Panie — ozwał się znów Mestwin — i komuż opowiadasz swe czyny? Temu, który je widział i dziwił się nad nimi. Ale posłuchaj mojej rady, ona cię zbawi: nie rzucaj się na sztylety nieprzyjaciół!

— Cóż więc mam czynić?

— Chcesz się ożenić — odparł Mestwin ze śmiechem szyderczym — po cóż? Zrób kilka obietnic dziewczynie, kilka słów miłośnych wyrzecz, a posiędziesz przedmiot najgorętszych pragnień. Tym sposobem unikniesz gniewu ojca i tysiącznych nieprzyjemności; bo ona cię nie wyda, a nikt ciebie do wyznania nie będzie mógł przymusić. Po kilku miesiącach zostawisz ją, a…

— Precz mi, szatanie! — przerwał piorunnym głosem Zbigniew — precz mi z taką radą! Takież to wam dają nauki w szkole rycerstwa w Niemczech? takichże to zasad się uczycie po dworach najświetniejszych Europy? Prawda, że moje serce skażone, że moja dusza wieloma obciążona zbrodniami; prawda, zdradą i otwartym bojem zabijałem podobnych sobie; prawda, uwodziłem dziewczyny, zrywałem ugody. Ale została się iskra cnoty w moim sercu. Nie, nigdy nie pójdę wskazaną od ciebie drogą. Ona mnie tak kocha, ona tak niewinna! Jaż bym miał pogrążać ją w nieszczęściu, okrywać hańbą najcnotliwszą, najpiękniejszą Mazowsza dziewicę? Nie, tak mi dopomóż, Boże i szablo moja, nigdy Zbigniew, książę polski, tego nie uczyni.

To mówiąc, klął przed krzyżem, złożył ręce zbrojne w żelazne rękawice i wzniósł oczy do nieba. Była to chwila, w której Zbigniew najszlachetniejszym był może w ciągu całego życia. Stał za nim Mestwin i szyderczym wzrokiem poglądał na schylonego księcia. Oczy jego zdawały się

mówić: „Darmo wzywasz Boga, musisz mnie posłuchać!” Powstał po chwili Zbigniew i rozkazującym rzekł do Mestwina głosem:

— Jeśli chcesz dłużej pozostawać w naszej łasce, wykonaj śpieszno nasze rozkazy! Niech dzisiaj wieczorem w kaplicy mego zamku czeka na nas kapłan i Hanna. Bo takeśmy postanowili i nie cofniemy na krok naszego zamiaru. A później nie odzywaj się, rycerzu, z tak nieroztropnymi mowy.

— Nie są nieroztropne i owszem — odparł do żywego tknięty Mestwin. — Władysław, twój ojciec, musiał pójść za podobną radą przed dwudziestoma czterema latami.

— Szatanie podły! — krzyknął Zbigniew i rzucił się na Mestwina z rozognionym okiem, z rumieńcem na twarzy — obmierzły sługo! i ty będziesz przymawiał panu, z którego łaski żyjesz!

To mówiąc, szeroką prawicą ścisnął tak silnie Mestwina za garło, że aż zgięła się zbroja pokrywająca mu szyję. Usunął się Mestwin; z początku chciał dobyć miecza, ale po chwili namysłu odjął rękę od szabli i tak się z gniewem odezwał:

— Zatrzymaj się, mości książę, ani kroku dalej, bo poczujesz ostrze niemieckiego żelaza! I ja, rycerz Mestwin z Wilderthalu, takiejże miałem się spodziewać nagrody za usługi i poświęcenie bez granic? I ja, pasowany na rycerza przez cesarza rzymskiego, przybyłem do Polski, żeby znosić obelgi od Zbigniewa? Nie myśl, że przestałem być wolnym człowiekiem i żem się zamienił na twego sługę lub niewolnika. Karć ostrymi słowy lub żelazem poddanych lub wieśniaków, ale nie tak porywczo wpadaj na rycerza wsławionego po turniejach Europy. Nie myśl, bym szukałmoimi słowy czynić krzywdę twojemu rodowi. Niedawnymi jeszcze laty ów sławny Wilhelm wyprawił się z brzegów Francji i posiadł tron angielski, a czymże on był? Podobnym do ciebie księciem, a nie brał sobie tego za

obelgę. Owszem, potężny pan Normanów, zasiadłszy na tronie, mianował się nieprawym synem ojca swego i gardził obmowami słabszych lub dumnych panów. Szczerze i otwarcie postępowałem z tobą. Szukałeś mojej rady, dałem ci ją, a teraz odchodzę; bo nie potrzebuję opieki książąt polskich, bo o tęż opiekę nie chcę się starać, bo w tym mieczu znajdę dla siebie opiekę i sławę. Byłem twoim przyjacielem; zerwałeś wszystkie nasze związki, żegnam cię. Nie pomogą ci obelżywe słowa ni groźby, bo widziałem już w życiu gniew mocarzów, a jednak przed nimi nie cofnąłem kroku.

To mówiąc, położył nogę na strzemieniu, ale, wsiadając na konia, oglądał się na Zbigniewa, wiedząc, że ten bez niego obejść się nie zdoła.

Zbigniew bowiem, choć walecznego był serca i niesłabej duszy, nie mógł pozbyć się Mestwina. Uważał go od dawna za najlepszego przyjaciela i najwierniejszego doradzcę. Trzeba tu oddać sprawiedliwość rycerzowi niemieckiemu; kochał on swego pana, o ile jego serce kochać go mogło, serce, zbrodniami i brzydkimi skażone namiętnościami. Pragnął nade wszystko swego wywyższenia, a zatem i potęgi Zbigniewa, której część zawsze by się na niego zlała. Dlatego teraz odradzał księciu zamęście z Hanną, upatrując w tym przyczynę gniewu Władysława Hermana i zgubnych zamachów Mieczysława i Wszebora.

Zresztą we wszystkich okolicznościach dopomagał Zbigniewowi to radą, to orężem, nakłaniał jego umysł to do podstępu, to do szlachetności, to do zbrodni, to do cnoty; ale niedobrze teraz wyrachował swój wpływ na księcia, bo syn Władysława Hermana, choć w późniejszych czasach niejedną skalał się plamą, choć już teraz niejedną popełnił zbrodnię, zachował jeszcze część szlachetności dzielnych pradziadów i brzydził się zdradą tym bardziej, że najgorętsza miłość wymownie mu ją pod najbrzydszym wystawiała światłem.

Mestwin więc zabierał się do podróży. Ostatni raz rzucił wzrokiem na Zbigniewa, niewzruszenie stojącego na miejscu, a ten wzrok, biegły w sztuce udawania, przeszył wyrzutami serce księcia. Ostatnie to pożegnanie przyjaźni, choć nieme, zniszczyło gniew w jego duszy; rzucił się i zatrzymał Mestwina.

— Rycerzu! — rzekł — jakem cię obraził, tak gotów jestem, jak to każdy czynić powinien, spróbować się z tobą. Może w mojej krwi znajdziesz ulgę poniesionej krzywdzie. Wyznacz miejsce i godzinę, a mój pałasz zetrze się z twoim.

— Książę i panie mój — zawołał Mestwin — dosyć mi na tym, żeś poznał niesprawiedliwość swojego uniesienia. Przebaczam ci z głębi duszy i gotów jestem na twoje rozkazy.

— Więc daj mi radę, ale nie tak szkaradną.

— Milczę, mości książę, nie chcę twojego ponawiać gniewu.

— Słuchaj, Mestwinie, powiedz mi, kogo mam zabić, a zabiję, wskaż zamek i rzeknij: niech będzie spalony! — a wnet pochłoną go płomienie. Bo wiem, żeś do mnie przywiązany jak klinga do rękojeści, bo wiem, że radzisz mi dla dobra mego; ale w tym jednym wypadku nie usłucham cię. Stała jest moja wola jak kamień grobowy leżący pod tym krzyżem. Nie uwiodę Hanny, będzie ona moją żoną, przysięgam na Boga i na krew świętego biskupa. — Nie dlatego, żebym jak słabe dziecko lub niewiasta cofał się przed zbrodnią, ale dlatego, że moje serce pierwszy raz kocha i kocha niebieskim ogniem. Nie chcę piekielną zdradą niszczyć anielskiego szczęścia. Tak, Mestwinie, wyrzekłem i niech się stanie mojej woli zadość. Przywiedź kapłana. Wobec nieba przysięgnę jej niezłomną wiarę.

— A potem ogłosisz przed całą Polską i wobec ojca, żeś pojął za żonę córkę Wszebora, pana Ciechanowa i znacznych posiadłości.

— To co innego, przyjacielu. Zaczekam, aż przygniótłszy za twoją pomocą dumnych panów, miłości ojca nie pozyskam. Wtenczas wobec świata całego, przed zuchwałymi lennikami wyprowadzę Hannę. U stóp tronu odbiorę błogosławieństwo Władysława, a lud uradowany wołać będzie: „Długie życie księciu Zbigniewowi i nadobnej Hannie!” — Marzenia młodości — przerwał Mestwin. — Ale ponieważ to ma twe szczęście ustalić, wykonam dane mi rozkazy. Dzisiaj w nocy przy ołtarzu czekać na ciebie będą: kapłan, Mestwin i Hanna. Ale jedźmy do Płocka, pokaż się ojcu. Wszebor już pewno zaniósł swe skargi do niego. Mieczysław lata po zamku z dobytym orężem. Nie daj się przestraszyć!

— Przestraszyć? — zawołał książę, brwi marszcząc i rękę kładąc na pałaszu. — Bóg chyba, kiedy w dzień sądu ostatniego zejdzie na chmurach, pośród piorunów i burzy, zdoła mnie przestraszyć.

— Chciałem powiedzieć — odparł Mestwin — bądź ostrożnym, ale siadaj na koń i jedźmy! Powiesz zapewnie ojcu, że wracasz z swojego zamku i że cię łowy zatrzymały. Bo nie radziłbym wspominać o tym Ottonie de Strontheim.

Zbigniew ścisnął rękę towarzysza, dosiedli koni. Przeżegnał się przed krzyżem książę polski, niemiecki rycerz się rozśmiał i oba wyruszyli.

ROZDZIAŁ II

...Wcześnie się zasłona rozdarła
I ojczyzna i wdzięczność w twym sercu umarła;
Idź, ani pragnę w dalszych zarzutach się szerzyć,
Ni przywodzić...
Władysław pod Warną

W zamku płockim, w niewielkiej komnacie, siedział sędziwy Władysław Herman na szerokim krześle, złotymi poręczami opatrzonym.

Piękne rysy, żadnym nie ożywione ogniem, z daleka go czyniły podobnym do martwego posągu. Broda biała spływała na piersi. Suknia z czarnego aksamitu szerokimi aż do nóg obwijała się fałdy, a obraz Najświętszej Panny, zawieszony na łańcuchu złotym, błyszczał mu na piersiach. Na bliskim stole leżało berło, miecz i korona wśród mnóstwa rozrzuconych obrazków świętych i drogich relikwii.

Pokój nie lśnił się złotem ani bogatymi obiciami. Rozwieszone po ścianach krzyże i obrazy świętych świadczyły o bogobojności króla polskiego (choć go bowiem późniejsi dziejopisowie już księciem mianują, Polacy żyjący za niego nie przestawali go darzyć imieniem króla). Ciasne, wysokie okna rzadkie promienie słońca przepuszczały przez malowane szyby, wystawujące śmierć i mękę Zbawiciela. U stóp królewskich na aksamitnej poduszce siedział mały Bolesław, później Krzywoustym przezwany. Czasem wstawał i biegnąc po pokoju, małą wywijał szablą.

Z prawej strony krzesła królewskiego stał młodzieniec nadobnej twarzy, świetnego ubioru, płomienistych oczu; z lewej zaś starzec, którego twarz okryta bliznami pełną była grozy i surowości. Choć wiekiem styrany, ciężki miał pancerz na piersiach, pomimo zmiany zaszłej za Bolesława

Śmiałego w uzbrojeniu rycerstwa. Miecz wisiał u boku, a w ręku trzymał podługowatą czapkę, podbitą wewnątrz żelazną blachą. Do niego król najczęściej się obracał i w te przemówił słowa:

— Wierny nam Wszeborze, zaręczamy ci słowem królewskim, że zbrodniarz odbierze należytą karę i że wszystkich środków za pomocą Boga i Najświętszej Panny użyjemy do jego odkrycia. Nie maszże żadnych śladów? Czy nie wiesz, z jakiej strony przybył i gdzie się udał? Rzeknij, a natychmiast rozpoczniemy śledztwa i poszukiwania.

— Najjaśniejszy panie, nie mogę nikogo oskarżać. W ciemnej nocy porwali moje dziecię i ledwo głos „do broni!” rozległ się po dziedzińcu zamkowym, już jej nie było. Skoczyli moi do oręża, ale nikogo nie ujrzeli. Wszystko nieprzyjaciel przewidział z szatańską przezornością. Łódki przyjęły zbrodniarzy i znikły, do mgły zwodnej podobne. Ach, miłościwy królu, jednę tylko miałem córkę, dziedziczkę dawnej sławy i zamożnych włości. Twój synowiec, a tu przytomny książę Mieczysław, o jej ubiegał się rękę. Miałem nadzieję, że przed zgonem ujrzę spełnione szczęście mojej Hanny, ale Bóg ukarał mnie za grzechy i straciłem najdroższy skarb po ojczyźnie.

— Stryju mój! — zawołał młody Mieczysław — nie trzeba tu zwlekać, rycerzy i moich ludzi zebrać kazałem; na ich czele pójdę szukać wyrwanej z rąk moich narzeczonej — a śmierć i zaguba temu, który ją śmiał wydrzeć synowi Bolesława!

— I ja pójdę z tobą — przerwał mały Bolesław. To mówiąc, dobył szabelki, stanął naprzeciwko ojca, a w oczach dziecinnych znać było już męstwo, które później w czterdziestu bitwach zgromiło nieprzyjaciół Lechii.

— Jeszcze dosyć będziesz miał czasu przypatrzeć się klęskom i mordom — rzekł Władysław — a ty, synowcze, zanadto porywczy jesteś. Czyż nie możesz poczekać na przybycie Zbigniewa, którego co chwila się spodziewam?

Roztropny jego towarzysz, Mestwin, dobrą zapewne nam da radę — Zbigniew — powtórzył Mieczysław.

— Zbigniew — powtórzył Wszebor, a na twarzy ich obu malowała się niechęć i nieufność.

— Nie lubię Zbigniewa — zawołał syn królewski — niedawno prosiłem go, ażeby mi pożyczył sztyletu na kilka godzin, a on pojrzał na mnie i odmówił tej broni, zowiąc mnie dzieckiem. Ale pokażę mu — dodał przyszły bohater, uderzając o rękojeść małego pałasza — pokażę mu, kiedy dorosnę, czy tak z bratem się obchodzić trzeba!

Słaby król pozostał przez chwilę w milczeniu i smutku, widząc niechęć, którą otaczający go pałali ku synowi, choć wiedział dobrze, że jest zasłużona. Wtem otwarły się drzwi pokoju i wszedł Zbigniew z Mestwinem, oba w zbrojach i okryci kurzem.

— Witam cię, najjaśniejszy panie i ojcze, dobry dzień, bracie! Witam cię, Wszeborze! — Po tych słowach przysunął krzesło Zbigniew i usiadł, ocierając pot z czoła. Mestwin stanął za nim.

— Dawnośmy cię nie oglądali — rzekł Władysław — i wcale nie wiemy i domyślać się nie możemy przyczyny nieprzytomności twojej, mimo często posyłanych do ciebie gońców z rozkazem, żebyś natychmiast tu stanął. — Dotąd chciał słaby ojciec i słabszy król jeszcze utrzymać swoją powagę, ale widząc twarz kochanego syna wyrażającą wewnętrzne boleści i długie znużenie, łagodniejszym dodał głosem:

— Nie chcemy cię jednak o to winić, ulubiony synu, bo wiemy, że ważne często zajmują cię sprawy.

Odpłacił dobroć ojca Zbigniew zimną odpowiedzią:

— Byłem na łowach, a wiesz, ojcze, że kiedy moje psy gonią jelenia lub dzika, nic mnie od boru oderwać nie zdoła.

— Ale teraz nie o łowach mowa, bracie! — zawołał srogim głosem Mieczysław. — W wielkiej jesteśmy

niepewności. Zdarzył się wypadek mogący wielkie ściągnąć klęski; ponieważ przybyłeś z Mestwinem, waszej wymagamy rady.

— Co wam po moich lub Mestwina radach — odparł Zbigniew, domyślając się, o czym będzie mowa — kiedy tak często bez nich obejść się możecie.

— Ale teraz nie chcemy się bez nich obchodzić — przerwał mu Wszebor — bo tu idzie o zhańbienie domu i rodziny zasłużonej w Mazowszu, bo tu idzie o śmierć, sławę i życie.

— Słucham więc — rzekł Zbigniew, pokrywając najsroższą mękę pozorem lekkomyślności — słucham tej tak ważnej sprawy.

Wszebor i Mieczysław opowiadali więc Zbigniewowi, jak niecni zbrodniarze porwali i unieśli Hannę. Mięszali do swego opowiadania tysiączne przeklęstwa i pogróżki; to gniew, to zawiść miotały jego sercem, czuł jednak, że trzeba udawać dla ocalenia siebie i Hanny.

Ale kilka razy, podczas długich skarg i użalań Wszebora, już mu nie stało cierpliwości i gdyby nie Mestwin go wstrzymał, wstałby i pogardzając nieprzyjaciółmi, z dumą na czole, wyznałby czyn popełniony i oświadczył, że gotów jest bronić oblubienicy do ostatniej krwi kropli.

Nareszcie ozwał się Władysław Herman:

— A my, synu, postanowiliśmy dołożyć wszelkich starań dla wykrycia złośliwych i szkaradnych ludzi, którzy śmieli taki gwałt popełnić. Spodziewamy się, że i radą i orężem dopomożesz wykonaniu naszej woli, jako i wyprawie twego tu przytomnego brata a naszego synowca, który sobie zamierza ścigać ogniem i mieczem podłych i zbrodniczych wykonawców czynu, pogrążającego w smutek najgłębszy i księcia naszego domu i zacnego znacznych posiadłości pana. — Ale widząc, że Zbigniew brwi zmarszczył i ścisnął wargi: — Nie chcemy cię jednak przymuszać, synu. Możeś

słaby na zdrowiu. Możeś długą zmęczony podróżą. Zostań się, bo dalecy jesteśmy od wszystkiego, co by mogło szkodzić naszemu Zbigniewowi.

— Anim znużony, anim słaby na zdrowiu, najjaśniejszy panie i ojcze mój! — odparł Zbigniew, powstając i spozierając okiem pogardy na Mieczysława i Wszebora. — Ale dziwi mnie, że tak długo poważnego brata zajmować może porwanie jakiejś dziewczyny. Z początku sądziłem, że idzie tu o dobro kraju, o ocalenie Polski; sądziłem, że niebezpieczeństwo grozi naszej ojczyźnie i już gotowy byłem do dobycia miecza w obronie kraju i ojca mego. Ale teraz dowiaduję się, że celem tej narady, że zatrudnieniem syna Bolesława Śmiałego jest jakaś dziewczyna, porwana przez nie wiedzieć kogo i nie wiedzieć kiedy. Niechże ją sobie ojciec szuka po Polszcze, ale niech nie przychodzi zatrudniać próżnymi skargi umysł króla, ważniejszymi zajętego sprawy.

— Jakaś dziewczyna! — powtórzył Wszebor i najwyższe uniesienie, żal najżywszy twarz mu zachmurzył. — Cóż to, mości książę, czy sądzisz, że życie i sława córki są obojętną dla ojca, że życie i sława Polki są obojętną dla króla rzeczą? Gdzieżeś takich uczył się nauk? Czy dzicz pruska lub pomorska w twoim sercu tak piękne zaszczepiła uczucia? Wiedz, Zbigniewie, że król sprawiedliwy winien się ująć za pokrzywdzonym poddanym i oddać mu sprawiedliwość, choćby wyrokiem tej sprawiedliwości była śmierć własnego syna!

To mówiąc, rzucił Wszebor tak przenikającym na Zbigniewa wzrokiem, że ten się zmięszał i oniemiał.

— Bracie — ozwał się Mieczysław — nie waż się na dalszy czas z takimi oświadczać się słowy, bo wiedz, że dziewica, przedmiot naszych smutków i poszukiwań, miała być moją żoną. Z większym więc o niej winieneś mówić uszanowaniem. Z większym, na Boga, bo nie wiem, co mnie

wstrzymuje, że cię jeszcze za tak bezczelne nie skarciłem zuchwalstwo!

— Niechże cię więc nic nie wstrzymuje! — zawołał Zbigniew, zapominając o przytomności ojca i o wszystkim i dobył na półmiecza.

— Synowcze, Zbigniewie, Wszeborze! — przerwałim nieszczęśliwy rozterkami krewnych i przyjaciół Władysław. — Czyż zawsze kłótnie i zatargi najmilszymi wam będą? Kiedyż przestaniecie wzajemną niechęcią smucić dni moje i własne zatruwać szczęście? — To mówiąc, przycisnął do ust z pobożnością obraz Najświętszej Panny i podniósłszy oczy do nieba: — Królowo Niebios! — zawołał — i ty, święty Piotrze i Pawle, udajcie się do Syna Bożego za nami, udajcie się do Boga świata! Niech kłótnie, zajazdy i niezgody przestaną rozrywać Polskę, niech wszyscy moi poddani, połączeni węzłem pobożności i cnoty, dla twojej tylko chwały, o Boże! żyją i dla twoich świętych chwały! — Przez chwilę trzymał jeszcze oczy wzniesione do nieba, potem obrócił się do Mestwina i rzeki: — Rycerzu! twojej rady roztropnej tu trzeba. Pozwólcie mu mówić, proszę was, moi mili.

— Jeśli taka twoja, najjaśniejszy panie, wola, to dobrze — odparł Wszebor.

— Ja cię wyratuję — po cichu szepnął Zbigniewowi do ucha Mestwin i wystąpił na środek komnaty, ukłonił się naprzód, a potem dźwięcznym głosem, z ułożoną postawą przemówił:

— Najjaśniejszy królu i ty, książę Mieczysławie i ty, stroskany ojcze, jedyną macie w pośpiechu i orężu nadzieję. Daleko już zapewne za Płock uwieźli twą córkę zbrodniarze. Każcie więc osiodłać konie i weźcie się do szabel! W szybkiej pogoni, w dzielnym natarciu cała wasza otucha. Siady bez wątpienia znajdziecie po drodze, a zdrajca legnie pod waszymi ciosy. W Płocku darmo byście jej szukali, bo jakże można myśleć, aby zbrodniarze przybywali wobec

króla i walecznych otaczających go rycerzy przechwalać się z podłego i kary godnego czynu? Powtarzam więc jeszcze raz: pośpiech jeden tylko w tej sprawie waszą sławę i najdroższy skarb ocalić potrafi.

Zamilkł Mestwin, ale mówił z takim pozorem szczerości, że Mieczysław zbliżył się do niego i podziękował, że Wszebor rękę mu ścisnął. Wszystkie podejrzenia na Zbigniewa znikły na chwilę z ich myśli, kiedy przekonali się, że jego towarzysz i powiernik tak się ujmuje za ich krzywdy i tak zbawienne daje rady.

Pożegnali się z królem książę Mieczysław i ojciec Hanny, idąc gromadzić zbrojnych ludzi.

— Naszą jest wolą — rzekł słabym głosem Władysław — żeby uniknąć, o ile będzie można, krwi rozlewu i oszczędzać życie naszych poddanych.

— Ja zaś, mój stryju — odparł żywo Mieczysław — wyrwę, choćby po krwi strumieniach, oblubienicę z rąk wrogów.

— Żegnam cię, miłościwy mój królu — ozwał się Wszebor — i przyrzekam ci, że jako Polak przeciw Polakom walczyć nie pozwolę, chyba że sława córki wymagać niezbędnie tego będzie. Mam nadzieję, że wkrótce ją do twoich stóp przywiodę.

— Czy Zbigniew się z wami także oddala? — zapytał Władysław.

— Jak chce — krzyknął Mieczysław.

— Jeśli tak, to nie chcę — odparł Zbigniew — i zostanę z Mestwinem przy zmartwionym ojcu.

Długo milczał król Polski; Zbigniew, siadłszy blisko niego, założył ręce na piersiach i spuścił głowę, a Mestwin w oddalonym kącie bawił się z małym Bolesławem. Na koniec Władysław Herman do syna swą mowę obrócił:

— Zbigniewie, synu ukochany, ilemże już razy cię upominał, ilem razy błagał jako ojciec, rozkazywał jako król

Polski! Czyż nigdy nie przestaniesz gwałtów i krwi rozlewu, czyż zawsze będziesz postrachem dla ziomków, hańbą dla ojca, wrogiem dla niewinności? Prawda, Bóg ci dał odważne serce i prawicę do bojów nawykłą, ale dla bronienia ojczyzny i cnoty, nie dla napadania na braci, na krewnych, na współobywateli. Gorzkim żalem zatruwasz mą starość i muszę przeklinać dzień, w którym poznałem twą matkę. Upamiętaj się, Zbigniewie, przestań zdzierstw i kłótni. Stań się prawym mężem, godnym ojca, króla Lechii, godnym dziadów walecznych i cnotliwych. Widzisz, do czego namiętności brata i poprzednika mego przywiodły. Bolesław, tułacz z mocarza, przeklęty z błogosławionego, zginął marnie wśród najpiękniejszych nadziei i najświetniejszych powodzeń. Czyż i ty chcesz podobnego doznać losu?

Na te słowa żywym rumieńcem pokryła się twarz Zbigniewa. Powstał i przechodząc się po komnacie, urywane wymawiał słowa:

— Do szatana, czyż nigdy tych kazań nie zaprzestanie? Czy bierze mnie za mnicha lub niewinną dziewczynę? Na Boga, jużem znudzony!

— Znudzonyś, wyrodny synu! — zawołał król rozgniewany. — Znudzonyś łagodnymi rady, kiedy surowe mogę ci dać rozkazy, kiedy na mój głos tysiąc mężów się uzbroi na twoją karę i zagubę.

Zamilkł Władysław, widząc iskrzące się od wściekłości oczy Zbigniewa; bo czuł aż nadto, że z trudnością by mu przyszło uiścić wyrzeczone groźby.

— Zbigniewie, przebłagaj ojca, to moja rada — ozwał się głos cichy. — Obrócił się książę i ujrzał Mestwina pokazującego pałasz, wyjęty z pochwy, małemu Bolesławowi.

— Zbigniewie, Zbigniewie, czyż przyjdzie mi — dalej ciągnął Władysław — jak królowi Hebreów zawołać na ciebie: „Absalon! Absalon!” i oddać cię wściekłości nowego

Joaba? Upokórz się, dopóki czas jeszcze, bo jakiś głos mówi mi w duszy, że porwanie Hanny nie bez twojego zaszło udziału.

— Upokorzyć się, najjaśniejszy panie — odparł zmięszany Zbigniew — jest nie znaną mi rzeczą. Ale daję ci słowo, że nic nie wiem o Hannie.

— Wierzę — przerwał mu król rozczulony — słowo syna i rycerza, pasowanego mieczem tu obok leżącym, dostatecznym jest dla mnie.

Zbigniew, widząc dobroć ojca, oniemiał. Smutek i zgryzoty szarpały mu serce. „I ja — pomyślał — który tylekroć oparłem się burzom i gniewom, teraz kłamię jak słabe dziecko dla uniknienia chłosty: ale taka rada Mestwina, cóż robić?” — Chodź, synu, w moje objęcia i niech będzie zgoda między nami! Wtenczas nikt czoła podnieść się nie ośmieli — nikt i oba, węzłem zgody połączeni, straszni będziemy wrogom...

Rzucił się Zbigniew na pierś ojca i z prawdziwym uniesieniem ściskał rękę królewską.

— Chodź, Bolesławie — zawołał Herman — pogodzić się z bratem!

— Nie chcę — odpowiedziało dziecię — dawniej go o pożyczenie sztyletu prosiłem. Teraz, jeśli mi go daruje, może się z nim pogodzę.

— I ty także wszczynasz kłótnie! — zawołał nieszczęśliwy monarcha i łza smutku spłynęła na głowę Zbigniewa, który po chwili, pożegnawszy ojca, wyszedł z Mestwinem.

ROZDZIAŁ III

Walter pojął Aldonę — Niemcy, wy pewnie myślicie,
Że tu koniec powieści; w naszych miłosnych romansach,
Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur piosenki;...
Wallenrod

Zamek księcia Zbigniewa niedaleko Płocka wznosił się nad brzegiem szerokiej Wisły. Znacznie oddalony od królewskiego, wystawiał widok warowni opatrzonej we wszystkie wojenne porządki. Z jednej strony rozległa rozciągała się równina, z drugiej zaś toczyły się fale poważnej rzeki; w oddaleniu ukazywał się środek miasta, z którego wieże zamku królewskiego i kopuła kościoła katedralnego, jak dwa olbrzymy panujące, się wznosiły. Nie oszczędził niczego Zbigniew w własnym zamku, co by mogło służyć ku obronie. Dowodziły tego wysokie mury, szerokie baszty, liczne strzelnice, ogromny rów opasujący zamek, most zwodzony, brama opatrzona kratami żelaznymi i z dębowego drzewa zrobiona. Tą bramą wchodzono na obszerny dziedziniec, na którym stały stajnie dla koni orszaku księcia i budowle, na skład broni wszelkiego rodzaju i ubiorów służące.

Na środku dziedzińca wznosiła się szubienica, ostrzegająca każdego o losie nań czekającym, gdyby się oparł woli możnego tych miejsc pana. Dalej ukazywał się wysoki gmach, w którym liczne pokoje służyły to dla Zbigniewa, to dla jego przyjaciół i znaczniejszych gości.

Wieże z ciemnymi lochy i okropnymi więzieniami strzegły obu stron gmachu i wszystko dowodziło, że choć wśród pokoju, zawsze książę Zbigniew gotów był do walki i odparcia napaści, które mogły nań kiedyś sprowadzić jego postępki i duma. Nie dziwiono się jednak temu, gdyż to było zwyczajem wtenczas w Polszcze, że pośród nędznych

domów drewnianych miasta często przedniejsi panowie i książęta zamki i gmachy warowne sobie budowali.

I tak w Płocku oprócz zamku króla Władysława, księcia Zbigniewa i kościoła katedralnego wszystkie inne domy, do chat wieśniaczych podobne, były drewniane.

Pośród ciągłych kłótni i rozruchów nie miał czasu ani panujący starać się o upiększenie miasta, ani mieszkańcy o to się nie ubiegali: owszem, panowie, chcąc utrzymać swoją powagę i potęgę, niechętnym patrzyli okiem na tych, którzy przy ich dumnych zamkach lepsze i porządniejsze wznosili domy.

Ale zamek księcia Zbigniewa teraz był pusty, choć już noc ciemna i pochmurna pokryła ziemię. Nie widziano w nim żadnego światła, tylko w jednym oknie migał się kaganiec i małą część murów przeciwległych bladawo oświecał i jeden tylko człowiek przechadzał się po dziedzińcu, uderzając pałaszem o kamienie po ziemi rozrzucone. Słyszał on dzwony kościoła katedralnego, ogłaszające czas przeznaczony na spoczynek; a jednak pozostał i wciąż szerokimi kroki w różnych kierunkach dziedziniec zamkowy okrążał.

Wtem silny, choć cichy głos zawołał: „Gierdo!” — a natychmiast się odwrócił, pobiegł do bramy, mniejsze drzwi w murze otworzył i wpuścił męża wysokiego wzrostu i pięknej postawy.

— Stój na warcie, Gierdo — rzekł — a ktokolwiek tu przyjdzie, możesz go posłać do piekła!

— Dobrze, potężny mój panie — odparł sługa i podniósł ciężki topór — nieraz on ci już podobne wyświadczał usługi. Wypełniłem twoje rozkazy, córkę moją Katarzynę posłałem na usługi tej urodziwej pani, którą tu przywieźli. Ale gdyby szło — dodał cichszym i nieznacznym głosem — gdyby szło, potężny panie, o jakie morderstwo lub otrucie, lub zdradę, mnie wyznacz, córki mojej nie namawiaj; bo serce jej dotąd czyste jak serce anioła niebieskiego.

— Milcz, nie myślę nawet o tym! — odparł Zbigniew, którego czytelnicy zapewnie już poznali. Oddalił się, rzuciwszy kilka sztuk srebra usłużnemu mordercy i wszedł do zamku. Doskonale znał drogę i pomimo ciemności doszedł bez żadnego przypadku do komnaty, którą samotny kaganiec oświecał. Nie zastał tu nikogo, a zapaliwszy pochodnią, szedł dalej. Bladość, jego licom zwyczajna, zamieniła się na żywy radości i spełnionych życzeń rumieniec. Ogniste czarne oczy pałały miłością, kształtny i bogaty strój, na pół ciemnym zakryty płaszczem, dodawał mu jeszcze piękności. Miał na głowie aksamitną czapkę, okręconą kilka razy łańcuchem złotym, spiętym drogim nad czołem kamieniem, spod którego białe wznosiły się pióra. Na piersiach nosił kolczugę, aż do kolan spadającą, której pierścienie, ze świetnej wyrobione stali, błyszczały tysiącznymi połyski. U pasa, wytwornie tkanego złotem i srebrem, wisiał z jednej strony miecz, nigdy nie opuszczający boku pana, z drugiej tkwił sztylet z kosztowną rękojeścią. Złote ostrogi zdobiły buty z giętkiej skóry, pokrywające stopy, które nieraz, wśród pocisków i szczęku broni, wdarły się na wysokie wały i najeżone rycerzami mury. Złoty łańcuch, oznaka godności rycerskiej, błyszczał na piersiach. W takim więc ubiorze szedł książę Zbigniew na spełnienie czynu, usprawiedliwiającego po części porwanie córki bez zezwolenia ojca.

Liczne komnaty, którymi przechodził, smutny wystawiały widok. Znać było, że już nikt ich nie zamięszkał od dawna, a nawet w tej części swego zamku nigdy nie przebywał Zbigniew i nigdy nie przyjmował gości. Te pokoje smutne, nie zamięszkane, bronią i orężem rozwieszonym po ścianach nie zabawy ani wesele, ale srogie mordy i klęski przypominały. Tu szyszak rdzą pokryty z żalem odpierał promienie pochodni, nie mogące jak dawniej płomieni z niego wydobyć, tu zbroja okryta kurzem na rogu jelenim wisiała. Tam znowu miecz poszczerbiony dowodził, że

wytrwał długie wojny, tam kopia oparta o ścianę zdawała się żałować, że teraz w nieczynności, zapominając o bojach, musi się stawać pastwą zepsucia i czasu. Przybył nareszcie nasz bohater do szerokiej komnaty, żadnego nie mającej wyjścia; ale, dobrze znajomy tajemnic swego zamku, zbliżył się do ściany i pchnął silną ręką żelazny gwóźdź, na którym wisiały rycerskie rękawice. W mgnieniu oka otworzyły się drzwi, tak przystające do ściany, że niepodobna było ich rozeznać. Odkryły się schody, na dół zstępujące; poszedł nimi Zbigniew i po niejakim czasie dostał się do komnaty błyszczącej świetnymi obiciami i mnóstwem lamp srebrnych, u sklepionego sufitu zawieszonych.

Siedzenia, krzesła, stoły, największym wyrobione kosztem, ozdabiały salę podpartą rzędem marmurowych filarów, za którymi ukazywało się łoże, purpurowymi zasłonione firanki, które w lekkich fałdach spadając na ziemię, kończyły się złotymi brzegami. Przy nim, na stole z dębu czarnego, stały pyszne naczynia, zdobne drogimi Wschodu kamieńmi. Kołowrotek z kości słoniowej z śnieżną wełną, do jedwabiu podobną, dowodził, że to było pomięszkanie Hanny, kochanki, a za kilka chwil żony Zbigniewa. Z tej pierwszej komnaty przeszedł książę do drugiej, równie świetnej, w której wszystko nagromadzono, co się oczom kobiety podoba. Kosztowne ozdoby, naszyjniki, drogie pierścienie zewsząd błyszczały, piękne obicia, tkane w złoto i srebro, pokrywały ściany. A Pismo święte, największa rzadkość w tym wieku, oprawne w skórę, leżało na hebanowej półce pod obrazem Najświętszej Panny. Dwie jeszcze podobne komnaty przeszedł książę i stanął wreszcie u drzwi żelaznych, na których wyrobiony był kształtnie wieniec cierniowy nad trupią głową. Za ich otwarciem ukazała się kaplica oświecona rzęsistym światłem i strojna w obrazy świętych i pyszne narzędzia kościelne. Ołtarz z marmuru dźwigał ogromny krzyż srebrny, a przy nim stał kapłan w zakonnym ubiorze, ze wzrokiem ku niebu

wzniesionym, z założonymi rękoma na piersiach. Przy drugich drzwiach, wiodących wprost na brzeg Wisły, bo kaplica stała nad samą rzeką, opierał się o filar Mestwin w bogatym stroju ówczasowych rycerzy niemieckich, a po drugiej stronie ołtarza klęczała najpiękniejsza Mazowsza dziewica.

— Przebacz, Hanno, moje kochanie! — zawołał książę — nie mogłem przyjść pierwej, bo mnie ojciec zatrzymał w swoim zamku. Ale zapewnie z radością się dowiesz, że przychodzę połączyć się z tobą na wieki, pogodziwszy się z moim rodzicem i królem.

Na głos, tak dobrze znany, odwróciła się Hanna z Ciechanowa i okazała oblicze godne zazdrości aniołów. Bladość je pokrywająca była skutkiem gwałtownych wzruszeń, doznanych od dni kilku, ale już z tą bladością mięszał się powracający rumieniec, który zwyczajnie boskie jej wdzięki umilał.

Słodycz nadludzka odbijała się w niebieskich oczach i nadawała jej uśmiechowi, jej twarzy powab, wszystko pociągający. Znać jednak czasem było we wzroku, że duma nie opuściła córki Wszebora i że pani Ciechanowa, że przyszła żona księcia polskiego, czuła swoją godność, czuła, że jej się należą hołdy i poszanowania i to jej spojrzenie nieraz odparło lekkomyślne słowa Mestwina, nieraz pokryło zmięszaniem bezwstydne jego czoło. Za ujrzeniem Zbigniewa powstała, zdało się, jak gdyby chcąc się rzucić w jego objęcia; wstrzymała się nagle i poważnym wyrzekła głosem:

— Zbigniewie! wykonywam, com ci obiecała, oddając ci rękę i świadczę się niebem, jak i tobą, szanowny kapłanie, że z własnej to czynię woli. Niech więc kara moich grzechów na mnie tylko spada. — To powiedziawszy, zbliżyła się do Zbigniewa i poglądając na młodzieńca okiem pełnym miłości: — Za chwilę będę twoją żoną — rzekła —

za chwilę Hanna wieczną poprzysięgnie wiarę, którą już ci od dawna w sercu przyrzekła.

— Hanno! — zawołał książę — podaj mi rękę i klęknijmy u stóp ołtarza, odtąd nic nas nie rozłączy.

Podczas obrzędu ślubnego stał Mestwin niewzruszony. Przewidywał on nieszczęścia mające wypłynąć z tego kroku i niechętnym patrzał okiem na czyn Zbigniewa. Ale kiedy zwracał wzrok na kapłana, oczy jego wyrażały coś zgubnego i okropnego, choć nie znać było w nich ani niechęci, ani gniewu, owszem, zdawało się, że zimny rozmysł jego zamiarami kierował. Przy końcu modlitw, podczas ślubu odmawianych, wyjął sztylet i oglądał go z spokojną rozwagą, potem zbliżył się do księcia i Hanny, odchodzących od ołtarza i oddawszy głęboki pokłon:

— Przyjm pani — rzekł — moje usługi, przyjm usługi tej ręki nawykłej do bronienia twego męża.

Ale podczas tych słów nie mógł wstrzymać szyderczego uśmiechu, który tak był wydatnym, że Hanna odwróciła głowę. Tymczasem Zbigniew, wyjąwszy worek pełen srebra, oddał go swemu powiernikowi.

— Te pieniądze mają mnie zapewnić o milczeniu. Jest to pewny sposób zachowania tajemnicy.

— Znam ja pewniejszy — odparł po cichu Mestwin i znów się ukłoniwszy, wyszedł wraz z kapłanem drzwiami wiodącymi nad brzeg Wisły. W kilka chwil później usłyszano słaby krzyk i wkrótce potem łoskot podobny do tego, jaki sprawia ciężkie ciało wrzucone w wodę. Zadrżała córka Wszebora, Zbigniew mimowolnie cofnął się kilka kroków.

— Idź, moje kochanie — rzekł do żony — idź do swojej komnaty, ja zaraz za tobą pośpieszę.

Posłuszna radzie Hanna niepewnym oddaliła się krokiem, a Zbigniew sam został w kaplicy. Są chwile w życiu, kiedy człowiek otoczony weselem i szczęściem, wśród przyjaciół, po osiągnieniu celu najgorętszych życzeń,

przypomni nagle swoje winy, przypomni nieszczęścia mogące nań runąć, a wtenczas smutek okropny jest jego udziałem; trwa to tylko przez jedną chwilę, ale ta chwila zatruwa radość serca, ta chwila jest piekłem. Właśnie w podobnym był Zbigniew położeniu. Sam wśród nocy, u stóp ołtarza, otoczony przepychem i bogactwami, po dopełnieniu najżywszych pragnień, czuł jakiś ciężar na sercu.

Wszystkie klęski i niebezpieczeństwa, mogące nań się zwalić, stanęły mu na myśli, a choćby w innym czasie nie wzdrygnął się na ich wspomnienie, uczuł teraz nieznaną, nadzwyczajną trwogę. Ujrzał przeklinającego ojca, ujrzał postawę Wszebora, wyrzucającego mu porwanie córki i widział Mieczysława pałasz na swoją podniesiony głowę. Zobaczył najzaciętszych wrogów, przesuwających się przed oczyma, dawne, zatarte pamiątki ozwały się groźnie, popełnione występki tłumnie się gromadziły w jego umyśle. Chciał kilka razy wyrwać się z tego przykrego położenia, ale jak gdyby przykuty, pozostać musiał na miejscu, głowę oparł o ołtarz, przed którym niedawno najżywsze czuł szczęście i pogrążony w rozpaczy, zapomniał o żonie. Zamknął oczy, nie mogąc znieść światła błyszczącego w kaplicy oświeconej licznymi lampami, których blask podwoił się, odbity od bogatych naczyń i złotych krzyżów. Dopiero usłyszane kroki Mestwina wróciły mu przytomność i wstydząc się słabości, porwał się z miejsca; udając najżywszą radość, poszedł ku niemu.

— A cóż — zawołał — czy pomogło srebro, czy nie wyda tajemnicy?

— Na co — odparł ze zwyczajnym uśmiechem Mestwin — na co tak drogiego używać kruszcu, kiedy nierównie podlejszym można wymóc milczenie i wieczne milczenie? — To mówiąc, pokazał panu swemu sztylet, z którego krew świeżo wylana kroplami spływała.

— Niepotrzebna zbrodnia — rzekło zięble Zbigniew, który już odzyskał był moc duszy.

— Niemałą jest rzeczą życie człowieka — rzekł Mestwin — i gdyby nagła nie wymagała tego potrzeba, nie byłbym dni jego skracał.

— Mestwinie, zazdroszczę ci tak zimnej krwi, tak zimnego serca!

— A zdaje mi się, panie i książę mój, że w kraju, gdzie królowie zabijają biskupów, wolno prostemu rycerzowi prostego zamordować zakonnika.

Po tych słowach rozśmiał się Mestwin i pytał Zbigniewa o rozkazy, mówiąc, że zapewnie teraz zechce sam pozostać.

— Wyszlij natychmiast gońców, Mestwinie — zawołał książę — do moich ludzi, do moich zamków, do moich przyjaciół; niech zaraz siadają na koń i tu przybywają! Trzeba nam się przygotować na wszelki przypadek. Może za kilka dni krew na tych dziedzińcach lać się będzie.

— Jużem wszystko przewidział i wszystko poczynił. Jutro, najdalej pojutrze, ten zamek napełni się ludźmi gotowymi umrzeć za księcia mego i pana. Ale najlepiej trzymać wszystko w skrytości i nikomu nic nie wyjawiać; może przejdzie burza i nie rzuci piorunu, o czym jednak bardzo po wczorajszych pogróżkach wątpię.

— Nieoszacowany przyjacielu! — krzyknął Zbigniew, rzucając się w objęcia Mestwina — odprowadź mnie do pokoju żony.

Książę polski, wziąwszy za rękę rycerza, udał się do pięknej Hanny. Zastał ją klęczącą przy obrazie Matki Zbawiciela. Za przybyciem męża powstała i pośpieszyła na jego przyjęcie.

— Zbigniewie, nieznana trwoga opanowała me serce, całą mą duszę przeraziła. Czy nie spotkało jakie nieszczęście sługę Bożego, który przed chwilą połączył nas na zawsze?

— Nie — nie wiem — odparł Zbigniew.

— Słyszałam jakiś łoskot...

— Zapewnie, pani — przerwał jej Mestwin — łoskot sprawiony rzuconymi pieniędzmi do Wisły przez tegoż sługę Bożego, który mi odpowiedział, że nie potrzebuje zapłaty dla zachowania tajemnicy.

Słowa Mestwina, szyderczym wyrzeczone głosem, nową bojaźnią napełniły serce Hanny. Wtem zbliżył się do niej rycerz niemiecki i uklęknąwszy przed nią:

— Witam cię księżną — zawołał — witam cię moją panią! — i śmiało rękę wyciągnął po rękę córki Wszebora. Odskoczyła w tyło kilka kroków Hanna, ale Zbigniew prosił ją, by dała ten dowód łaski najwierniejszemu przyjacielowi.

— Chyba dla ciebie uczynię tę ofiarę — odparła księżna, oddając swą rękę rycerzowi, który ją z taką siłą do ust przycisnął, że aż krzyknęła przerażona Hanna; ale w tym krzyku znać było przerażenie pomięszane z pogardą. Zrozumiał ten głos Mestwin, ścisnął usta, powstawszy, oddał głęboki pokłon i odszedł. Została się Hanna sama ze Zbigniewem.

— Odszedł już — po chwili rzekła, jak gdyby ciężar jaki spadł jej z serca — odszedł — po tych słowach zamilkła, ale nagle porwała się z siedzenia, zbliżyła się do Zbigniewa i porywając go za rękę, z okiem pełnym rozrzewnienia, głosem przenikającym do duszy, z zapałem cnoty i miłości zawołała:

— Mężu mój, oddal chytrego powiernika, odrzuć zdrady i obłudę, dopóki czas jeszcze, odepchnij od piersi węża, nim w swoje zamknie cię kłęby, z których się już nie będziesz mógł wydobyć. Zbigniewie, uwierz przeczuciom mojej duszy! Mestwin grozi ci zagubą i nieszczęściem. Mestwin jest twoim najzaciętszym wrogiem. Zbierz całą moc swoją i uwolniony od tego szatana, który pod pozorem przyjaźni mami twoje serce, wróć do spokojności i cnoty. Czy myślisz, Zbigniewie, żem nie postrzegła twojego zadumania? Czy myślisz, że kiedy cię pierwszy raz poznałam, że kiedy przychodziłam do ciebie w borach ciechanowskich, czy

myślisz, żem nie postrzegła burzy miotającej tobą? Ileż razy widziałam cię niespokojnym, błędne wymawiającym słowa! ileż razy niepewny wzrok zwracałeś na mnie, a w tym wzroku znać było srogie wspomnienia i srogie przyszłości przewidywanie! Tak, mężu mój, Hanna wie, żeś wiele złego popełnił, wie, żeś przekroczył po wielekroć granice nakazane ludziom od Boga, a jednak oddała ci serce i rękę, bo cię kochała nade wszystko, bo wiedziała, że jesteś szlachetnym i wielkim, bo wiedziała, że źli doradcy, że obłudnicy i podstępni doprowadzili cię do przestępstw i gwałtów. A któż do tego czasu nieprawe ci wskazywał cele? Kto wiódł twe kroki dotąd po drodze skażenia i zepsucia? Mestwin, Mestwin; on cię zamieniał, często szlachetnego i wzniosłego, na niskiego i niegodnego rodu i sławy naddziadów.

— Hanno — odparł uroczystym głosem Zbigniew — nadszedł czas wyznania ci moich przestępstw i odkrycia serca, bo nie myśl, że chcę cię zwodzić. Nie, wystawię ci wszystko w prawdziwym świetle. Jednę tylko kochałem na świecie kobietę. Ty nią jesteś, a ta, dla której wszystko poświęciłem, dla której naraziłem się na przeklęstwo ojca i mordercze zamachy wrogów, nie będzie nigdy miała prawa wyrzucać mężowi, że krył się pod pozorem cnoty i sprawiedliwości. Tak, Hanno, słuchaj mnie uważnie i nie przerywaj słów, które jedna tylko na tym świecie usłyszysz i raz tylko w życiu.

Tu zamilkł Zbigniew i jak gdyby coś sobie przypomniał, dosyć długo dumał, oparty o filar podpierający bogatą komnatę; nareszcie w te się odezwał słowa:

— Kochanko mego serca, żono ulubiona, jestem zbrodniarzem. Choć jeszcze młody, uniesiony namiętnościami, daleko już zaszedłem w drodze niesprawiedliwości. Raz podsycała mnie chęć sławy, to znów żądza zaszczytów i wielkości. Nie jednegom już tą ręką strącił z tego padołu nieszczęść. Zdradą pozbywałem

się wrogów, głuchym byłem na jęki niewinności lub prośby pokonanego nieprzyjaciela. Wśród burzy i nocy zatapiałem mój sztylet w serca podobnych sobie, wśród biesiad i radości, w lśniących się pucharach posyłałem śmierć w darze zawziętym na mnie. Ale przyjaźni, dopóki mi wierną była, nigdym nie zdradził. Dlatego kocham Mestwina, bo nigdy mi się ani słowem, ani czynem nie przeniewierzył. Tak, Hanno, tak, córko Wszebora, truchlejesz, ale jużeś wyrzekła przysięgę, już moją jesteś, a choć trwoga twą duszę napełnia, widzę w twych oczach miłość dla Zbigniewa. Odtąd nasz los nierozłączny. Jeśli zstąpię do piekła i ty pójdziesz za moimi ślady; jeśli zasiądę na tronie i twoje czoło świetna okryje korona. A chociaż twój Zbigniew był mordercą, zbrodniarzem, chociaż wszystko, co może ciężyć na duszy człowieka, obarcza moje sumienie, musisz kochać mnie i kochać bez granic, musisz wszystko dla mnie znosić. Twe serce pała ogniem wszystko pożerającym. Zapomnij więc o zbrodniach i oddaj się miłości. Dopełniłem mego obowiązku, znasz teraz Zbigniewa, a wiem jednak, żebyś mnie nie opuściła i za nic w świecie nie chciała rozłączać się ze mną. — To mówiąc, przyłożył do ust żony gorejące usta i przycisnął ją do piersi, z całym uniesieniem najgwałtowniejszej namiętności.

— Zgadłeś, mężu mój — zawołała Hanna — zgadłeś; miłość moja wszystkie względy przemaga, a choć może teraz wieczności brama zamyka się przede mną, nie odstąpię Zbigniewa. Ale możesz nas oboje jeszcze uratować, wracając do cnoty, poskramiając burze miotające szlachetnym sercem. Upokórz się przed Panem niebios — dodała, wznosząc oczy i ręce ku niebu — zawołaj: „Panie, Panie!”, a usłucha cię Bóg i okiem litości spojrzy na grzesznika.

— Już za późno, Hanno — odparł Zbigniew — już za późno! Za dalekom się posunął. Zbrodnia żadna mnie nie straszy, rzadko odzywają się zgryzoty sumienia, bo w ciągłej

wrzawie, wśród wojen i bojów, zapominam o własnych winach, by nowe popełniać lub zaniedbane dokonywać jeszcze. Ale jeśli Bóg zechce, to spojrzy na mnie, jeśli to jego wola, wyratuje mnie z tej toni; jeśli nie, niech się dzieje wola Boża! Poświęconym na wszystko; na tej ziemi nieraz znosiłem rany i okropne boleści; nie przestraszyły mego serca zbrojnych wojsk tysiące ni miecze na moją wzniesione zagubę.

Podczas tych słów jakiś rodzaj dumy rozjaśnił mu czoło i zaświetniał w oczach; a po chwili klął na ziemi, złożył ręce i głosem, w którym odbijała się najżywsza wiara i największa pobożność, zawołał:

— Niech się dzieje wola twoja, o Boże!

Tak więc ten nieszczęśliwy młodzieniec brał za wolę Boga własne skażenie i pociąg do złego.

— Zbigniewie, Zbigniewie, a cóż się z moim ojcem stało? — krzyknęła Hanna, nagłym uderzona wspomnieniem. — Ojcze! ojcze! — i padła na krzesło, obfite łzy lejąc.

— Twój ojciec, moje kochanie, szuka cię teraz z dobrym naszym bratem, księciem Mieczysławem, po okolicach Płocka; ale nie smuć się, Hanno; przyjdzie czas, w którym twój ojciec przyjmie cię na swoje łono i pobłogosławi córce.

Wtem nagle porwała się Hanna i upadła do nóg mężowi.

— Zbigniewie, znam przewagę twej ręki i gniew gwałtowny twego serca. Ale zlituj się nad starcem, chcącym uratować córkę; on może myśli, że ją rozbójnicy porwali, że jest bliską utraty czci lub życia. Zlituj się, mój mężu i przysięgnij, że nigdy, uniesiony gniewem lub zemstą, nie podniesiesz miecza na siwą głowę ojca twojej żony!

Pobiegła Hanna do półki i przyniósłszy księgę:

— Przysięgnij! — powtórzyła mdlejącym głosem, w najsroższym oczekiwaniu.

Zbigniew zbliżył się do stołu i położył prawicę na księdze.

— Przysięgam ci przed Bogiem, na miłość, którą czuję ku tobie, że przytłumię w sercu zemstę, że poskromię gniew i że nigdy nie podniosę ręki ani dam rozkazu na uczynienie najmniejszej krzywdy ojcu mej żony.

— Zbigniewie, szlachetny mój mężu, otwórz boską księgę, a na każdej jej karcie znajdziesz, że Bóg rozkazał ludziom złe dobrem odpłacać. Jeszcze jest jeden człowiek, ku któremu pałasz nienawiścią. Zacznij od tego dnia powracać do cnoty i przyrzecz podobnież, że nie będziesz go ścigał, że krewnego, że członka własnej rodziny nie zamordujesz!

— O kim chcesz mówić? — zapytał Zbigniew z dzikim spojrzeniem.

— O bracie twoim, o Mieczysławie.

— Lepiej byś nigdy nie wymówiła jego nazwiska! — krzyknął książę, a w oczach jego odbijała się wściekłość i gniew najsroższy. Odepchnął daleko od siebie książkę, uderzył o rękojeść miecza. — Zapomnij — dodał srogim głosem — że Mieczysław żyje na świecie; bo wkrótce żyć przestanie. Pierwszemu człowiekowi od urodzenia darował swoje krzywdy Zbigniew za twoją prośbą, boś podobniejsza do anioła niż do ziemianki, ale drugi raz już to się nie powtórzy. Zapomnij o nim, bo ile razy powtórzysz jego imię, o tyle chwil śmierć jego przyspieszysz.

— Daruj mu, o Boże — zawołała Hanna — daruj mnie, żem się stała nieszczęścia bliźniego przyczyną! Ale nie, nie tak źle sądzę o sercu Zbigniewa, usłucha on głosu i żony i cnoty.

— Nie, zginie Mieczysław. Śmierć jemu i wieczna zaguba! — odparł książę. — Dopóki miecz mi wierny będzie, dopóki ta ręka zdoła udźwignąć oręż lub czarę pełną trucizny, żadnej nie ma dla niego nadziei.

— Bądź jednak pewny — rzekła na koniec Hanna — że nigdy nie przestanę wołać na ciebie: „Nawróć się, mój mężu

i pokochaj cnotę!” — bo mi same nieba ten obowiązek wskazują.

— Dosyć już na tym, moja luba Hanno — zawołał Zbigniew, przyciskając nadobną żonę do łona.

ROZDZIAŁ IV

Gdzie ona? mów prędzej, gdzie ona?
Odyniec

Musiemy teraz opuścić Zbigniewa i przenieść naszych czytelników do jednej z komnat zamku królewskiego, w której kilka dni później siedział książę Mieczysław z Wszeborem przy stole zastawionym dzbanami i pucharami pełnymi węgierskiego wina. Ich twarz oznaczała smutek i znużenie, pochodzące z męczącej wyprawy odbytej w zamiarze szukania we wszystkich okolicach Płocka i Ciechanowa śladów Hanny, ale jak łatwo się domyślić, nadaremnie.

— A teraz cóż począć? — rzekł smutnym głosem Wszebor. — Gdzież znaleźć, gdzież wyśledzić zdrajców? O Boże, Boże, czyż nie ześlesz anioła dla wskazania drogi i odzyskania jeszcze nadziei opuszczonemu ojcu? Biedna moja Hanna bez wątpienia wzdycha teraz za wolnością w czarnym więzieniu. I ja, po tylu trudach, takiej miałem pociechy się spodziewać? Po życiu ojczyźnie poświęconym, po usługach królowi oddanych, nie przyszło mi spokojnie umrzeć. W naddziadów moich zamku nie przyszło patrzeć na szczęście córki. Muszę się o jej życie, o jej sławę obawiać. Taki koniec przeznaczony był ostatnim dniom moim, ostatnie chwile miałem przepędzić w smutku i rozpaczy.

— Powziąłem już stały zamiar — odparł młody Mieczysław. — Pójdę z wiernym mieczem, na lotnym moim koniu, szukać jej po Polszcze, po całym świecie, jeśli tego będzie potrzeba; nie zdejmę zbroi, nie odkryję twarzy spod ciężkiej przyłbicy, dopóki nie wynajdę najdroższej mi na świecie istoty; jeśli zginę, pocieszą mnie łzy twoje, wylane

na przyjaciela grobie. — To mówiąc, ścisnął rękę starca, a błogosławieństwo stroskanego ojca spłynęło na jego głowę.

— Sam szatan, sam duch ciemności musiał w to się wmięszać — rzekł po chwili Wszebor. — Tylu mam przyjaciół, tylu poddanych, którzy by mi donieśli, gdyby odkryli najmniejsze światło w tej ciemnej sprawie, a dotąd żadnego od nich nie odebrałem uwiadomienia. Milczenie i nieszczęście wszystko pokryło. Dzielna straż mego zamku tyle razy dała mi dowody męstwa, a teraz żadnego nie zabiła z przeciwnej strony, żadnego w niewolą nie pojmała zbrodniarza. Powtarzam, władzca piekieł musiał wdać się w tę sprawę.

— Choćby i tak było, choćby tysiące złych duchów sprzysięgło się na nasze nieszczęście, nie opuszczę twej córki i mam nadzieję, że Bóg litościwy nie będzie chciał mnie karać za przestępstwa ojca. Choć jednak — dodał ponurym głosem — poznałem już od dawna, że jakiś los okrutny niweczy wszystkie moje zamiary, niszczy najpiękniejsze nadzieje. Czyż jęki Stanisława niebiosa na mnie oburzyły? Czyż Rzymu przekleństwa z ojca nieszczęśliwego na syna się zlały? Ale czemuż mam ulec trwodze? Czemuż mam odstąpić szczęścia i pomyślności? Nie, z sercem odważnym, z sercem ufnym w Bogu, pójdę ją ratować i uratuję lub nie posłyszysz więcej o Mieczysławie.

— Nie myśl, książę — rzekł wtenczas Wszebor — żebym ja córkę opuścił: i ja osłabłe ciało powlokę za tobą i ja osłabłą ręką dobędę jeszcze szabli na obronę córki. Ale pierwej jeszcze z królem się nam widzieć trzeba; odkryjemy mu nasze zamiary, a potem puścimy się na niebezpieczeństwa i walki.

— Zaiste, trzeba mi wprzód stryja zobaczyć, niech się tylko przebiorę.

Ale wtem wszedł człowiek zbrojny i oznajmił, że Skarbimir z Gulczewa na czele licznego orszaku przybywa odwiedzić księcia.

— Dałbym wszystko — zawołał niecierpliwie Mieczysław — żeby się nie widzieć z tym chytrym króla doradzcą, ale trzeba go przyjąć. Będę się starał jak najprędzej go pozbyć.

Po tych słowach usiadł książę na krześle, kazał zabrać wino i z należytą powagą przyjął wchodzącego Skarbimira, jednego z dwunastu radzców królewskich i podskarbnika Władysława Hermana. Miernego ten pan był wzrostu, a choć jeszcze zgrzybiała starość ciężarem go nie przygniotła, schylone miał ciało ku ziemi i wydawał się długimi pracami strudzonym. Twarz wcale za nim nie przemawiała; w małych, żywych oczach znać było chęć zysku i zręczną przebiegłość. Do włosów czarnych już siwe mięszać się zaczynały; ubiór nie odpowiadał wysokiej jego godności i licznym dostatkom; rdza pokrywała rękojeść pałasza, suknia była wytarta, a obraz króla Władysława, zawieszony na miedzianym łańcuszku, spadał na piersi. Pierścień tylko złotem i drogimi kamieńmi błyszczał na wyschłej jego ręce.

— Siadaj, potężny panie Gulczewa i innych włości! — rzekł Mieczysław, wskazując niższe od swojego siedzenie. Wszebor powitał go nieznacznym schyleniem głowy, a Skarbimir, głęboki oddawszy pokłon, usiadł z uniżonością dowodzącą, iż czuje, że jest w przytomności księcia krwi królewskiej; ale w chwili kiedy Wszebor i Mieczysław od niego wzrok odwrócili, żywe jego oczy pokój przebiegły, uśmiech chwilowy zbladłe rozszerzył usta i najwyrachowańsza chytrość odbiła się na zwierciadle duszy — na zwiędłej jego twarzy.

— Najjaśniejszy książę! — ozwał się nareszcie — za dobry jesteś na sługę swego, wołając nań tak pysznym imieniem. Ubogi jestem i łaska tylko króla mnie wywyższyła. Za to też co dzień, pomimo lichego majątku, daję na mszę, prosząc niebios o zachowanie tak dobrego i mądrego pana.

Uśmiech niedowiarstwa był jedyną odpowiedzią Mieczysława.

Skarbimir drugi jeszcze głębszy pokłon oddał Mieczysławowi, który znowu nic nie odpowiedział; a Wszebor zmarszczył brwi i podszedł do bliskiego okna.

— Ale — dodał Skarbimir — nieba usłuchały gorących próśb grzesznika i dzisiaj jeszcze raczyły mnie oświecić. Tak, mam pewne wiadomości o Hannie z Ciechanowa.

Te ostatnie słowa tak cicho wyrzekł, oglądając się na wszystkie strony, że ledwo je Mieczysław usłyszał; ale jak tylko imię kochanki obiło się o jego uszy, skoczył do pana Gulczewa i zapomniawszy o znanej jego obłudzie, ścisnął mu rękę i zawołał:

— Mów prędzej, co wiesz!

— Mów — powtórzył Wszebor — mów jasno i bez niepotrzebnych przydatków, a nade wszystko nie mijaj się z prawdą, mości podskarbniku królewski!

— Jeśli książę mi pozwoli zawołać człowieka z mego orszaku, on najlepiej całą rzecz wyłuszczy.

— Zawołaj! zawołaj!

— Bardanie, do mnie! — krzyknął Skarbimir, a natychmiast wszedł człowiek zbrojny, wychudłej i posępnej twarzy. — Mów, coś słyszał i coś widział — rzekł Skarbimir — ale pierwej drzwi przymknij.

— Na co ta ostrożność? — rzekł Wszebor — kto nam może mieć za złe, że chcemy znaleźć…

— Kto? Ja wiem, kto — odparł podskarbnik, zmieniając swój głos na rozkazujący, bo wiedział, że trzyma w swej mocy słuchaczy. — Przymknij drzwi, zarygluj drzwi, Bardanie; zatknij dziurkę czymkolwiek, kawałkiem oddartym od szaty, za którą ci książę Mieczysław wynagrodzi; bo ja za ubogi jestem.

— Masz — zawołał Mieczysław, rzucając mu kilkanaście sztuk srebra — tylko mów prędzej, prędzej, przyjacielu,

jeśli dbasz o moje życie!

— Najjaśniejszy panie — rzekł żołnierz — i ty potężny rządco zamku ciechanowskiego, ponieważ pan mój Skarbimir, władca Gulczewa i Kościelca...

— Prędzej tylko, prędzej! — przerwał mu Mieczysław.

— Racz mi przebaczyć, wielmożny i potężny panie i książę, ale trzeba zawsze od początku zaczynać, tak przynajmniej nam ksiądz mówił na nauce w kościele gulczewskim, wystawionym przez mego pana, Skarbimira z Gulczewa — i...

— Prędzej, prędzej, co mi po twoim kościele! — zawołał zniecierpliwiony młodzieniec.

— Otóż, najjaśniejszy książę, ponieważ mówiłem, że trzeba zacząć od początku, powiem ci, że tego samego dnia świętej Agnieszki, w którym porwano córkę wysokiego i możnego pana Wszebora z Ciechanowa, przyjechałem na moim siwym koniu do Ciechanowa, bo różne tam sprawunki miałem, a wyznając wszystko szczerze, najjaśniejszy panie, córka Bartłomieja Krzywonogiego jest ładną dziewczyną, a ojciec jej wziął mnie pod brodę, pogłaskał i rzekł...

— Przeklęty gaduło — krzyknął Mieczysław — mów, kto ją porwał, opuść wszystko insze, bo ci inaczej łeb zdruzgocę!...

— Przepraszam, wielmoż...

— Nie przepraszaj, tylko mów, ale prędzej, prędzej! — i stanął o dwa kroki od żołnierza.

Przestraszony Bardan zaczął więc zwięźlej trochę swą rzecz opowiadać.

— Więc przyjechałem do Ciechanowa i stanąwszy u Bartłomieja Krzywonogiego, bawiłem się z Małgorzatą; wtem wszedł człowiek i prosił o czarę miodu, którą spełniwszy za zdrowie — i tu Bardan za znakiem danym przez Skarbimira głos znacznie zniżył — księcia Zbigniewa, położył pieniądze na stole i wyszedł, mówiąc, iż dobrze, że

pokrzepił siły, bo wieczorem będzie miał wiele do roboty. Zbroja jego była podobną do zbroi żołnierzy tegoż księcia; a zatem Bartłomiej...

— Zbigniew, nie ma wątpliwości! — przerwał mu Mieczysław — Zbigniew, ale niech teraz się spowiada i żegna z tym światem, bo niedługie dni mu zostały. Hej! giermku mój, podaj mi zbroję i szyszak; Henryku, prędzej!

Wyszedł nadobny młodzieniec w kwiecie wieku i podał księciu żądaną zbroję.

— Zatrzymaj się! — rzekł Wszebor — pierwej pójdziemy do króla, a potem pomyślemy o środkach odebrania z rąk Zbigniewa córki mojej.

— Nie ma co myśleć — zawołał Mieczysław — na co mi króla, na co mi myśleć, kiedy wiem, gdzie znajdę wroga i mam wierną szablę w ręku!

— Nigdy nie zezwolę na to — rzekł poważnym głosem Wszebor — by dla mojej córki zaszło rozdwojenie w rodzinie panującej, by brat podniósł oręż na brata; usłuchaj zdrowej rady, Mieczysławie, zmiękcz się moimi prośby! Chodź raczej do Władysława! On synowi swemu rozkaże oddać mi córkę.

— Nie znasz Zbigniewa, starcze, nie znasz. Twoja córka może teraz... — i tu zatrzymał się Mieczysław, ani słowa dalej nie mógł wymówić, oczy jego zabłysły zapalczywym gniewem i dobywszy miecza, skoczył do drzwi, ale nim je mógł otworzyć, powstał Skarbimir, a Wszebor zatrzymał księcia.

— Książę Mieczysławie — zawołał Wszebor — nie sądź, by ci Hanna droższą niż mnie była; ale przez długi przeciąg lat, strawionych na usłudze krajowej, nauczyłem się przekładać ojczyznę nad najmilsze uczucia. Cóż stąd wyniknie? Walka między tobą a bratem, śmierć jednego z was, klęski dla Polski i żal ciężki dla króla. I któż jeszcze wie pewno, że Zbigniew porwał moją Hannę? Czyż słowa

żołnierza pijącego zdrowie swego pana są dostatecznym dowodem? Upamiętaj się, panie, nie wszczynaj niezgód i rozterek w Polszcze, już i tak nieszczęśliwej! Przekonaj się pierwej, a potem znajdziesz sprawiedliwość u króla.

— Musi zginąć z mojej ręki! — przerwał cichym głosem książę, ale schował miecz do pochwy, a ochłonąwszy nieco z gwałtownego gniewu, usiadł. Wtenczas Skarbimir ponowił swe ukłony i prosił, by mu pozwolono dać radę. Za zezwoleniem Wszebora i księcia zaczął płynnie mówić i znać było w jego słowach wyćwiczonego na dworach i biegłego doradzcę.

— Wyjdź, Bar danie! Najjaśniejszy książę, widziałem cię małym i na moich nosiłem rękach. Twój ojciec nieraz łaskawym na mnie rzucił okiem, a teraz nam panujący Władysław Herman przypuścił do swego boku. Ośmielam się więc podać wam radę. Bez wątpienia Zbigniew trzyma w swojej mocy Hannę, ale nie można mu tego zarzucić, bo nie mamy pewnych i niczym nie zbitych dowodów. W ich niedostatku możemy sobie przywieść na pamięć gwałty i łupiestwa, mordy i grabieże, które ten książę często popełniając, stał się klęską dla narodu. Dotąd go miłość króla ochroniła, ale teraz przyszedł czas zrzucenia go ze szczytu potęgi. Temu kilka dni przysiągł Władysławowi, że nic nie wie o Hannie, a kiedy się ojciec przekona, że przeniewiercę i krzywoprzysiężcę ma za syna, odepchnie go od łona, w czym twój najniższy sługa, teraz mówiący do ciebie, najjaśniejszy książę, będzie ci się starał dopomóc.

— Nie potrzebuję wcale tego — przerwał Mieczysław. — Nie przystoi mi cichymi podszepty, zdradnymi słówkami oburzać serce mego stryja na syna, choć ten syn całego mego gniewu jest godzien. W otwartych szrankach się spotkamy, ale nigdy nie zezwolę na ukryte drogi, na ciemne ścieżki, którymi chcesz mnie poprowadzić; ale mów dalej, mów! Jednej bym tylko pragnął rzeczy, żeby można

Zbigniewa o zbrodnię zupełnie przekonać, a wtenczas śmierć mnie lub jemu!

— Tego chcesz? — rzekł Skarbimir — nic łatwiejszego: tylko króla poproście, by zwołał swoich panów radnych i urzędników do tronowej sali; tam niech na księdze świętej poprzysięgnie ścigać zdrajcę, niech każe przejrzeć wszystkie domy w Płocku, a odkryje się zbrodnia.

— Na to się zgadzamy — odparł Mieczysław wraz z Wszeborem.

— Ale byłoby lepiej — ciągnął dalej Skarbimir — naprzód królowi z daleka dać poznać, że Zbigniew należy do tej sprawy. Potem coraz bardziej zbliżać się do celu, powoli niszczyć w jego sercu miłość ku synowi, a na koniec odkryciem wszystkiego zupełnie ją wyrugować. Potrafiłbym to uczynić, bo moje poświęcenie się dla ciebie, panie, jest bez granic.

— Milcz z takimi zamiary! — krzyknął Mieczysław. — Syn Bolesława Śmiałego otwartą idzie drogą, nikogo na świecie się nie boi, zawady nie zdradą, ale dzielną przełamuje ręką, wrogów nie tajnymi sposoby, ale mieczem pokonywa; milcz, mówię ci, Skarbimirze, jeśli nie chcesz się wydać przede mną z podłością serca i niskością duszy.

— Źle sądzisz o mnie, najjaśniej…

— Dziękuję za radę, a teraz nie mam więcej cię słuchać czasu i żegnam. — To mówiąc, zawołał na pazia, kazał sobie podać płaszcz książęcy i wziąwszy czapkę z czarnymi pióry, wyszedł do króla z Wszeborem, który w milczeniu taił głęboki smutek duszy, sądząc, że niegodnym jest męża — słabość okazywać.

Skarbimir został sam w komnacie.

— Piękna nagroda — szemrał — za rady moje; ale przyjdzie czas, że i ty uznasz moją wyższość. Tymczasem już jeden upadnie, już groźny Zbigniew się ukorzy. Gińcie, przepadajcie wszyscy — niech się sam Skarbimir zostanie!

Czołga się teraz przed wami, ale kiedyś jego łaski żebrać będziecie, a on wasze zajmie miejsca! — A potem obracając się do pazia:

— Czy tak zawsze żegna się z przyjaciółmi twój książę, mój chłopcze?

— Książę mój i pan — odparł młodzieniec — szanuje tylko tych, którzy są godni tego. Z wszystkimi innymi podobnie się jak z tobą żegna.

Po tych słowach wskazał drzwi podskarbnikowi, który z nienawiścią i zręcznie ukrytym gniewem wyszedł z komnaty.

ROZDZIAŁ V

Królu mój! straszna twoja powinność!
Twoje święte przeznaczenie
Jest: karać zbrodnie, pomścić niewinność,
Cierpiącym podać ulżenie.
Serbska duma

W przedpokoju królewskim zastał Mieczysław z Wszeborem Sieciecha, wojewodę krakowskiego, hetmana Władysława i wodza jego straży. Siedział on otoczony zbrojnym rycerstwem i nie powstał za zbliżeniem się księcia, choć bowiem jeszcze wtenczas nie nabył tej ogromnej na dworze przewagi, która się stała później przyczyną wielu kłótni i niezgód, dumny jednak z swego męstwa i znaczenia, nikomu kroku nie ustępował. Jeszcze młody, choć już pożegnał się z wiosną życia, wysokiego był wzrostu i męskiej postawy. Wiele usług oddał królowi, a choć często poświęcić był gotów dobro powszechne własnej chwale, umiał cenić szlachetne uczucia i nieraz im się jego serce poddawało. W lekkiej zbroi i świetnym szyszaku, rozmawiał z swoimi żołnierzami, których umiał przywiązywać do siebie hojnymi podarunki i przepuszczaniem największych bezprawiów. Z drugiej strony komnaty siedział w szerokim krześle człowiek otwartej i wesołej twarzy, na bliskim stole leżała czapka z czaplimi pióry, torba borsukowa ze srebrnymi guzikami i nóż myśliwski; na lewej ręce trzymał ogromnego sokoła, który do tego przyzwyczajony, snem twardym ujęty, spuścił był głowę.

— Wolimirze z Moskorzewa, jak się masz? — rzekł Wszebor, wchodząc do pokoju.

— Jakem sokolnik króla Władysława, tak to Wszebor z Ciechanowa! — zawołał Wolimir. — A cóż, gdzie córka? czy

puścić za nią mego sokoła? — i to mówiąc, wzniósł rękę. Ptak roztoczył skrzydła, jak gdyby gotował się do lotu i bystrym wzrokiem szukał zdobyczy; ale za słówkiem wymówionym przez Wolimira: „Niżej, niżej z piórami!”, znów do dawnej wrócił ospałości.

— Nie ma córki mojej i na nieszczęście, idę teraz mojemu królowi i panu to oznajmić.

— Nie można się teraz widzieć z najjaśniejszym panem — rzekł Sieciech, udając, że nie poznaje Wszebora ani Mieczysława.

— A ja mówię, że można, mój Sieciechu — odparł książę z uśmiechem pogardliwym na ustach i nie dbając więcej na słowa wojewody, wszedł do Władysława, prowadząc za sobą Wszebora.

— Odpłacisz mi to „mój Sieciechu”! — zawołał gniewny hetman i tak ściął usta gwałtownie, że aż mu krew z dolnej wytrysła wargi.

Nie słyszał tej groźby książę, bo już był przy krześle, na którym król, siedząc, oglądał przyniesione pargaminy i podpisywał się na nich znakiem krzyża, bo nie było wtenczas zwyczaju, żeby monarcha swoje imię kładł na jakim przywileju lub nadaniu.

— Witam was, moi mili — ozwał się Władysław. — Ale cóż widziemy? Czoło twoje zachmurzone, synowcze, a łzę smutku na próżno usiłuje wstrzymać wierny nasz Wszebor. Czyż Hanna dotąd nie wrócona ojcu?

— Miłościwy królu i stryju mój, nie mogliśmy odkryć zbrodniarzy; nie odpoczęliśmy ani dniem, ani nocą. Po wszystkich okolicach Płocka daremnieśmy błądzili.

— Królu mój — zawołał Wszebor i rzucił się do nóg Władysława — sprawiedliwości, sprawiedliwości się domagam, królu, wyrwij mnie z toni nieszczęść, ocal cześć i życie mojej córki!

— Wszystko zrobiemy w tym względzie, co będzie w naszej mocy i na to dajemy ci nasze słowo królewskie. Może chcecie ludzi zbrojnych? Każemy wam ich z własnej dać straży, poślemy z wami Sieciecha, rozgłosiemy po całym królestwie, żeby wszyscy wzięli się do broni i siedli na koń dla szukania twojej córki; nie powiedzą, że Władysław, król polski, opuścił poddanego w nieszczęściu.

— Powiedz mu domysły nasze o Zbigniewie — rzekł po cichu Wszebor do Mieczysława — bo ja się nie mogę odważyć na zmartwienie tak dobrego pana.

— A ja nie chcę oskarżać, kiedy tylko same mam domysły — odparł Mieczysław — ale pójdźmy za radą Skarbimira, bo choć chytry i niegodziwy, w tej okoliczności nic nie mamy inszego do uczynienia. Gdybyś mnie nie był wstrzymał, może byś już teraz błogosławił córkę.

— Dobrze — rzekł Wszebor i znów się obrócił do króla. — Najjaśniejszy panie, mam prośbę do ciebie, której wykonanie może ci przykrym będzie, ale mam nadzieję, że nie odmówisz mi tego, co może wrócić mi szczęście i zgon mój niedaleki przytomnością córki pocieszyć!

— Nie, zapewnie że nie odmówię — odparł Władysław, ale znać było na twarzy, że się lękał przyrzekać.

— Królu polski, wzywam więc twojej sprawiedliwości i zanoszę do podnóża twego tronu pokorne prośby, byś kazał zebrać się panom twoim radnym i rycerstwu i wobec wszystkich oświadczył, że srodze ukarzesz sprawcę niesłychanej zbrodni, tę obietnicę przysięgą stwierdził i rozkazał wszystkie domy w Płocku obejrzeć i przetrząść, bo może w tych murach jęczy moja Hanna w mocy tak potężnego zbrodniarza, że go własny monarcha i… — ale zatrzymał się tu Wszebor, bo chciał już wymówić: „i ojciec”, ale po chwili dodał: — własny monarcha i pan nie ustraszy.

— Boże! — zawołał nieszczęśliwy Władysław, domyślający się przyczyny chwilowego zamilknienia Wszebora i łza boleści na siwą brodę spłynęła. — Boże!

dodaj mi mocy — pokrzep mój umysł! — To mówiąc, wstał z krzesła, poszedł do bliskich drzwi, za których otwarciem ukazał się mały ołtarz, oświecony srebrną lampą. Klęknąwszy przed nim, krótką modlitwę odmówił. Obrócił się potem do Wszebora i z powagą prawdziwie królewską:

— Zadosyć się stanie — rzekł — twojej prośbie. Bóg dobrotliwy udzielił mocy mej duszy. Oddam ci sprawiedliwość. Jutro zasiądę na tronie i ogłoszę to, o coś mnie prosił. Czuję, że to moja powinność i dlatego ją wypełnię.

Nie mógł dalej mówić i upadł na krzesło, a Wszebor i Mieczysław, ucałowawszy mu rękę, wyszli z komnaty.

— Synowcze — zawołał król osłabionym głosem za odchodzącym młodzieńcem — powiedz Sieciechowi, by jeszcze dzisiaj rozkazał uwiadomić panów moich i biskupa płockiego o jutrzejszej naradzie, bo Bóg zesłał na mnie ciężkie bóle i nie mógłbym teraz z nikim rozmawiać.

Ukłonił się Mieczysław i przymknąwszy drzwi królewskiego pokoju, poszedł do Sieciecha.

— Hetmanie królewski, Władysław Herman, król i stryj mój, każe ci przez moje usta powiedzieć, żebyś uwiadomił natychmiast wszystkich panów radnych, biskupa płockiego i znakomitych rycerzy o wezwaniu królewskim stawienia się jutro tutaj w zamku i zgromadzenia się w tronowej sali.

— Niezwyczajnym odbierać rozkazy pana mego i króla przez trzecią osobę, więc...

— Więc przyzwyczaj się teraz — przerwał groźnie Mieczysław — i wypełnij, co ci powiedziałem! — To mówiąc, wyszedł. Sieciech wstał z miejsca, a choć go Wolimir z Moskorzewa chciał wstrzymać, wyszedł i dognał księcia u bram zamkowych.

— Synu przeklętego ojca — zawołał — wstrzymaj swe kroki, bo mam kilka słów ci powiedzieć!

— Sieciechu, do kogóż się tak odzywasz? — rzekł Wszebor — czy nie wiesz, czyś zapomniał, że to książę Mieczysław?

— Właśnie dlatego, żem nie zapomniał — odparł dumny wojewoda — mianuję go synem mordercy i świętokradzcy.

— Nie wymówiłbyś ani słowa więcej — krzyknął Mieczysław, z trudnością poskramiający gniew gwałtowny — gdyby te mury zamku królewskiego nie przypominały mi, że jest zbrodnią na tym dziedzińcu potykać się z wrogiem.

— Krokiem dalej postąp, a już nic cię nie wstrzyma — zawołał Sieciech, dobywając miecza.

— Stój, wojewodo! — odparł z zimną krwią Mieczysław. — Owszem, byłoby zasługą uwolnić króla mego i monarchę od tak bezczelnego sługi, co później, spodziewam się, że przy pomocy Boga i mojej szabli uczynię. Ale ważniejsza sprawa nad wszystkie względy ziemskie zajmuje teraz mój umysł. Po jej ukończeniu, po uwolnieniu najcnotliwszej i najpiękniejszej dziewicy, spotkam się z tobą, jak na rycerza i Polaka przystoi. Ale pierwej nie więcej pomogą twoje krzyki i obelgi od skowyczeń małego psa, którego podróżny kijem z swojej drogi odpędza. Milcz więc, jeśli prawy z ciebie rycerz i czekaj, aż pan i książę twój zniży się do walczenia z tobą!

— Dobrze, będę milczał, ale głos mój, kiedy się odezwę, będzie do pioruna podobny; legniesz pod moimi ciosy.

To mówiąc, z dumą na czole wrócił do zamku, a Mieczysław i Wszebor z zasępionym obliczem oddalili się.

— Wojewodo krakowski i hetmanie króla Władysława — rzekł do wchodzącego Sieciecha Wolimir. — Nie udało ci się polowanie, bo ani zwierza, ani nawet farby na mieczu nie widzę. Podobno lepszy mój sokół.

Nic nie odpowiedział Sieciech, usiadł w milczeniu, a Wolimir zaczął ulubionego ptaka nakarmiać kawałkami mięsa, które z świetnej torby wyjmował.

ROZDZIAŁ VI

Usiadły wodze. Troski na wszystkich wyryte;
Powstał król… lejąc łzy obficie,
I gęstym przerywane jękiem słowa rzecze.
Iliada, IX księga

Salą tronową, czyli naradną, nazywano obszerną komnatę w zamku płockim, wystrojoną prawdziwie z królewskim przepychem.

Obicia z aksamitu purpurowego lśniły się, pozawieszane po ścianach, wyrobionymi na nich ze złota i srebra kwiatami. W środku zaginającego się sklepienia wymalowany był pierwszy król chrześcijański, przyjmujący chrzest z rąk świętego biskupa, a przy nim jego żona, piękna Dąbrówka i Polacy z dobytym orężem. Choć za naszych czasów niezgrabnym i niekształtnym by się wydawał ten obraz, wzbudzał on wtenczas podziwienie i uwielbienie rzadkich i nieumiejętnych miłośników sztuk pięknych. Gdzieniegdzie wisiały nabijane złotem zbroje i stalowe kolczugi, pomięszane z szablami i tarczami, po których świetności można było poznać, że więcej ku ozdobie niż do boju służyły. Sam tron, szkarłatnym obity suknem, stał w głębi sali pod pokryciem niebieskim, nad którym wznosił się herb Polski, orzeł biały z srebrzystymi pióry; pięć marmurowych stopni prowadziło do niego, a trzy rzędy filarów z obu stron podpierało wysokie sklepienie, na każdym filarze widziano bogatą koronę wznoszącą się nad dwoma w krzyż złożonymi berłami. Żelazna krata oddzielała tron od drugiej połowy sali. Przy siedzeniu królewskim było kilka niższych, przeznaczonych dla książąt krwi i znakomitych urzędników. Okna, różnymi malowaniami zdobne, sięgały od podłogi do początku sklepienia, a przy

każdym z nich paliły się najdroższe kadzidła w alabastrowych naczyniach.

Teraz cała sala napełniona była mnóstwem osób czekających ukazania się monarchy; świetne ubiory zgadzały się z przepychem miejsca. Przy tronie królewskim stal Zbigniew, a za nim wierny Mestwin; pobliskie siedzenia z drugiej strony zajmowali Wszebor, Skarbimir, Sieciech, Wolimir z Moskorzewa z sokołem na prawicy, inni panowie radni i Stefan, podówczas biskup płocki.

— Patrz — rzekł Wolimir Sieciechowi do ucha — jak na to zgromadzenie przybył Zbigniew w zupełnej zbroi i z szyszakiem żelaznym na głowie, jak gdyby, poczuwając się do porwania kuropatwy, obawiał się jakiego niebezpieczeństwa, kiedy my wszyscy i ty nawet, wodzu straży królewskiej, jesteśmy bez pancerzy, bez hełmów. Patrzże, jak brwi zmarszczył, kiedy teraz zbliżył się Mestwin do niego i cóś mu po cichu powiedział; patrz, jak się nagle wzruszył i położył rękę na sztylecie. Na Boga, zdaje mi się, żem na łowach. My wszyscy jesteśmy psami, król dojeżdżaczem, Wszebor myśliwym, a książę Zbigniew dzikiem osaczonym... A co, czym nie trafił?

— Ale wiele psów legnie pod jego kłami, nim się podda — odparł Sieciech. — Lubię Zbigniewa; dzielny, a choć czasem popełni zbrodnię, lubię go jeszcze. Trudno obejść się bez gwałtu na tym świecie. Jaka postać rycerska, jakie męskie rysy, jaka piękna na nim zbroja! Lubię go za to...

— Ale co to się znaczy — rzekł sokolnik królewski — że naszego wysokiego i wielce miłościwego pana dotąd nie widać, czy nie zasłabł czasem?

— Może się boi przyjść do nas lub jeszcze nie pokończył pacierzy — odpowiedział Sieciech.

Lecz wtem ucichły rozmowy i żarty, a król Władysław wszedł do sali.

Czoło Sieciecha pokryło się chmurą, wszyscy powstali. Wszedł król drzwiami bliskimi tronu, opierając się na ręku synowca i zbliżając się do tronu, lekkim ukłonem zgromadzonych panów powitał. Twarz jego nosiła piętno boleści i rozdzierających duszę smutków; szedł powolnym krokiem, z koroną na głowie, z berłem w ręku, szerokim białym otoczony płaszczem, na którym srebrne błyszczały orły. Podawał mu rękę Mieczysław w kształtnym niebieskim stroju; nie miał pancerza na piersiach, zamiast ciężkich rycerskich rękawic białe z giętkiej skóry pokrywały mu ręce. Łańcuch złoty, oznaczający godność rycerza, spadał mu na piersi. Płaszcz książęcy w lekkich fałdach spływał mu z ramion, a zamiast czapki z piórami, stosownej do tego ubioru, miał na głowie ciężki hełm stalowy, ze spuszczoną przyłbicą, w skutku uczynionego ślubu, że nie odkryje twarzy, dopóki nie wykryje śladów lub nie dowie się o losie Hanny z Ciechanowa.

Szmer dotąd panujący w sali zamienił się na głośne okrzyki: „Niech żyje król Władysław! niech żyje Herman! chwała jemu i błogosławieństwo!” Ale kiedy król usiadł na tronie, wrzawa ta, pochodząca bardziej ze zwyczaju niż z przywiązania do monarchy, ucichła. Wszyscy oczy zwrócili na Władysława, wzrok i słuch natężając. Jeden Zbigniew został niewzruszony przy tronie; za zbliżaniem się króla kroku nie postąpił ani cofnął, żadnego znaku wzruszenia nie okazując. Czasem tylko, za przelatującym wspomnieniem, lekki rumieniec występował mu na lica, które wkrótce potem wracały do grobowej bladości i gdyby nie to jedyne znamię życia, można go było raczej wziąść za martwy posąg niż za żyjącą istotę. Mestwin stał za nim; ale ile razy chciał mówić, nieznacznym prawie ruchem ręki nakazywał mu książę milczenie i musiał rycerz niemiecki przestawać na szyderskim uśmiechu, który nigdy jego ust nie opuszczał.

— Panowie tu zgromadzeni — rzekł król słabym głosem — i dzielni rycerze zebrani za naszym rozkazem, postanowiliśmy dzisiaj roztrząsnąć sprawę przyczyniającą nam wiele zmartwienia i smutku; bo nasze serce ojcowskie ubolewa nad nieszczęściami naszych poddanych, nad kłótniami i niezgodą naszych panów, nad gwałtami i zdzierstwami naszego rycerstwa. — To mówiąc, pomimowolnie rzucił okiem na Zbigniewa, ale książę stał na tym samym miejscu i najmniejszej zmiany w tej chwili nie można było dostrzec na jego twarzy. — Dniem i nocą w własnym zamku i w kościołach błagaliśmy Boga o wrócenie pokoju, o oddalenie zamięszań i rozbojów. Ale ciężkie musieliśmy popełnić grzechy, kiedy Pan Niebios nie raczył się do naszych próśb przychylić; owszem, widziemy ze smutkiem najgłębszym, że co dzień złe się wzmaga, co dzień szerzą się kłótnie i łupiestwa, co dzień ponawiają się mordy, zajazdy, łupiestwa i klęski pogrążające naród w nędzy i porządek społeczny wywracające. Nie ma zakątka w Polszcze, gdzie by zacięte nie odbywały się walki między ziomkami, między synami spólnej ojczyzny. Krew się leje, a nasza powaga królewska nie może jej wstrzymać ani namową, ani prośbą, do której król by nigdy nie powinien się zniżać; nie zdołamy skrócić namiętności poddanych i burzliwych poskromić gniewów. Czyż piekło nasłało hufce złych duchów na naszą ziemię? czyż dzikie, otaczające nas narody przelały swe uczucia w serca naszych panów i naszej szlachty? A jednak bywały dawniej czasy porządku i wewnętrznego pokoju! Za Bolesława Wielkiego, założyciela naszej chwały i potęgi, w pierwszych latach panowania nieszczęśliwego mego brata nikt nie śmiał dobywać na braci oręża i wszystkie szable polskie skierowane były w pierś wrogów. Ale teraz ojciec w niezgodzie z synem! stryj zagrabia synowca majątki! brat podnosi oręż na brata, wszędzie zamięszanie i szczęk broni, a tymczasem kościoły puste daremno wzywają na modlitwę rycerzy dźwiękiem niesłuchanych już dzwonów, groby świętych opuszczone i w

pogardzie miane. Sami tylko kapłani zapełniają przybytki Pańskie, a wszędzie naokoło krew rumieni ziemię i Polak ściera się z Polakiem. Nie, poddani moi, nic nie przesadziłem w tym opisie. Samiście tego świadkami i sumienie wasze zgadzać się musi z naszymi słowy. Przykład tego — właśnie teraz się wydarzył. Oto...

Ale w tym miejscu król zamilkł; wystawiał dotąd ogólne zarysy, ogólnie do wszystkich przemawiał, ale kiedy przyszło do opowiadania wypadku dotykającego tak blisko przytomnych i mogącego ściągnąć na syna nieszczęśliwe skutki — dowiedział się bowiem Władysław od Skarbimira o opowiadaniu Bardana — nie czuł już w sobie potrzebnej do tego mocy. Myśl, że wypełnia świętą powinność, nakazaną przez niebiosa, utrzymywała go dotąd w zamiarze, ale teraz jakiś ciężar przycisnął mu serce, głos ustał i przymknęły się usta.

Przez kilka chwil głębokie panowało milczenie; nareszcie nabrał więcej siły i często przerywanym głosem się odezwał:

— Wszebor, pan Ciechanowa, zasłużony w ojczyźnie, dzielny w boju, mądry w radzie, ze łzami w oczach przybył nam oznajmić przed tygodniem, że mu córkę nadobną, Hannę z Ciechanowa, której wdzięków i cnoty sławą całe brzmi Mazowsze, porwali w nocy zbrojni ludzie i że to tak prędko i niespodzianie się zdarzyło, że nie mogli, ledwo ze snu obudzeni, jego żołnierze schwytać ni ujrzeć nikogo z porywających. Obiecaliśmy mu, że jeśli pogoń i wyprawa, którą zamierzył, bezskutecznymi będą, wtenczas dołożemy wszelkich środków za pomocą władzy od Boga nam nadanej na wyśledzenie, odkrycie i ukaranie zbrodniarzy. — Tu ciężko westchnął Władysław i znów się zatrzymał.

Ale Wszebor, widząc, że w jednej chwili wszystko stracić może przez słabość i niestałość króla, klął przed tronem i głośno: „Sprawiedliwości, sprawiedliwości się domagam!” — zawołał.

— I otrzymasz ją, wierny nasz sługo. Wrócił po kilku dniach — mówił dalej Władysław — na próżnych staraniach i zabiegach strawionych, do nas oto przytomny Wszebor, a my, dopełniając obietnicy i w niczym nie naruszonego słowa królewskiego, zgromadziliśmy was, panowie i poddani, żeby przed wami ogłosić i oznajmić naszą wolę królewską i co następuje. Słuchajcie więc uważnie, słuchajcie, a kto się poczuwa do zbrodni, niech wyzna przestępstwo, bo za chwilę nie czas już będzie! — Tu znów umilkł król Polski i czekał, czy jaki głos się nie odezwie; ale grobowe milczenie nie przerwanym zostało. Zbigniew tylko rzekł po cichu do Mestwina:

— Idź do mego zamku, uzbrój wszystkich żołnierzy, rozstaw ich po murach i basztach. Niech każdy z gotowym do boju orężem czeka na mnie.

— Książę i panie mój, nie rzucaj się dobrowolnie w sidła nieprzyjaciół; tajemnica i milczenie wszystko pokryć może, przysięga i słowo książęce uwolni cię od poszukiwań i śledzeń.

— Wykonaj moją wolę, przyjacielu — odparł Zbigniew — bo już nadchodzi czas i niezadługo błyśnie wierna moja szabla.

— Do śmierci wiernym ci będę, ale powtarzam…

— Ani słowa więcej, wykonaj moje rozkazy!

— Już nic, nic cię nie wyratuje: zgubionyś! — były ostatnie słowa Mestwina wychodzącego z sali, co niemało wszystkich zdziwiło. Wtenczas Stefan, biskup płocki, z powagą do tronu przystąpił, zdjął z swojej szyi bogaty relikwiarz, zawierający kość z głowy świętego Wojciecha i złożywszy go w ręce królewskie, uroczyście wyrzekł:

— Władysławie, królu Polski i panie mój, wypełń teraz powinność, nakazaną od nieba i świętego Kościoła! — a widząc pomięszanie monarchy, dodał: — a za to Bóg ci przez moje usta obiecuje szczęście i nagrodę w życiu

przyszłym. Wezwij na pomoc anioła stróża, świętych męczenników, którzy krwią własną dowiedli nienaruszonej wiary i dwunastu apostołów Zbawiciela naszego. Wypij kielich goryczy w tym życiu, a po śmierci wieniec nieśmiertelnej chwały niebieskiej okryje ci skronie. Wypełń więc obowiązek i powinność swoją, Władysławie, królu Polski!

Całe zgromadzenie odpowiedziało: „Amen.” Zebrawszy wszystkie siły, powstał Władysław Herman, a choć bliżej tronu stojący postrzegli łzę toczącą się w oku, dość silnym odezwał się głosem:

— Wzywamy wszystkich naszych poddanych, tak panów i rycerzy, tak wolnych, jak niewolnych ludzi, żeby wszystkimi środkami starali się wykryć zbrodniarzów, którzy porwali Hannę z Ciechanowa. Wzywamy i rozkazujemy, aby nasi rycerze wsiedli na koń i dopomogli ojcu do szukania straconego dziecięcia, a to pod utratą względów i łaski naszej. Dalej wzywamy naszego hetmana i wojewodę Sieciecha, by na czele przybocznej naszej straży uczynił przegląd wszystkich domów miasta Płocka dla wykrycia, czy czasem nie jęczy w srogim więzieniu Hanna z Ciechanowa... Ktokolwiek się dowie o Hannie z Ciechanowa, a nie doniesie natychmiast o tym nam i Wszeborowi, jej ojcu, tego czeka kara, żadnymi nie odwrócona prośby; a teraz pozostanie nam jeszcze ogłosić wolę naszą, żeby występny i winowajca porwania Hanny ukaranym był śmiercią, co następną stwierdzamy przysięgą.

W tym miejscu wszyscy przytomni powstali i dobywszy z pochew oręże, głośnymi okrzyki świadczyli się niebem, że wszelkich dołożą starań dla wybawienia Hanny. Łzy radości zakręciły się w oczach Wszebora, kiedy zobaczył, że taki zapał wzbudziła jego sprawa. Twarzy Mieczysława pod przyłbicą nie można było dostrzec, ale równie jak inni dobył

miecza i wzniósł go w powietrze; jeden tylko Zbigniew milczał i niewzruszony pozostał na miejscu.

Po przywróceniu milczenia, król, wznosząc z pobożnością święty relikwiarz i odebrawszy błogosławieństwo biskupa Stefana: „Przysięgam” — rzekł…

— Nie przysięgaj, ojcze, śmierci własnego syna! — przerwał mu Zbigniew głosem do pioruna podobnym i postąpił o kilka kroków, a założywszy ręce na piersi, tak zawołał z uśmiechem pogardy:

— Ja Hannę z Ciechanowa porwałem. U mnie, tu w Płocku, w moim przemięszkuje zamku. A teraz niech kto wystąpi, niech kto poważy się na mnie powstać!

Zamilkł, a czoło jego zajaśniało dumą i ręka, gotowa do boju, spoczęła na rękojeści miecza. Wszyscy w zadziwieniu nieporuszeni stali. Władysław upadł na krzesło i schylił głowę, zleciała z niej świetna korona i wraz z berłem, przez słabą rękę opuszczonym, runęła aż do stóp tronu. To się wszystko stało w mgnieniu oka i w tej samej chwili Mieczysław podniósł przyłbicę i skoczył do Zbigniewa, ale kiedy wściekły rzucał się na wroga, widok konającego prawie króla i stryja wstrzymał go, a szlachetny książę, zapomniawszy o własnej zemście, pobiegł do Władysława Hermana i starał się go wrócić do zmysłów. Podniósł powoli król Polski oczy i wracając do życia, ujrzał przy sobie Mieczysława, a pamiętny na samo tylko niebezpieczeństwo Zbigniewa, wszystkimi siłami uchwycił się ręki synowca, podobnie jak tonący rzuconej liny, w której jedyną pokłada nadzieję. Darmo usiłował się wyrwać Mieczysław i musiał, stojąc o kilka kroków od śmiertelnego nieprzyjaciela, patrzeć na jego postać dumną, nie mogąc do niego się posunąć. Widział przed sobą sprawcę wszystkich swoich nieszczęść i uciemiężyciela Hanny i spokojnie przypatrywać się musiał wyrazowi pogardy, który na licach Zbigniewa się odbijał. Czuł mocniej książę bijące serce, czuł oręż zawieszony u boku, w każdej chwili czuł wzrastający gniew

na wroga, a nie mógł na niego się rzucić, nie mógł krwią się jego nasycić i wobec wszystkich pomścić się krzywdy i zbrodni przed wszystkimi wyznanej. Władysław Herman tymczasem pozostał w milczeniu i błędny wzrok, pomieszanie duszy oznaczający, rzucał na przytomnych.

Wszebor zaś, klęknąwszy u stóp tronu, znowu: — Sprawiedliwości, najjaśniejszy panie, sprawiedliwości się domagam! — zawołał; ale nie słyszał go król Władysław, bo wciąż miał wzrok wlepiony w Zbigniewa. Gniew bowiem i sprawiedliwe oburzenie ustąpiło miłości ojcowskiej, trwożnej o syna otoczonego mnóstwem nieprzyjaciół.

Zbigniew patrzał na wszystkich z spokojną twarzą, wzrok jego tylko zdawał się mówić: „Niech się zbliży ten, który śmie mnie wyzwać!” Nareszcie obrócił się do ojca:

— Najjaśniejszy panie, oddalam się stąd, bo wszędzie widzę wrogów. Czekam na nich na murach mego zamku. Tam zobaczymy, komu Bóg przeznaczył zwycięstwo. Mieczysławie, tam ze mną będziesz mógł się spróbować. Wszeborze, nie masz po co przychodzić, bom przysiągł, że nigdy się ciebie nie dotknę, chyba że chcesz widzieć szlachetny zgon narzeczonego kiedyś twojej córki. Żegnam was, panowie i rycerze. Kto się chce ze mną rozmówić, niech się pierwej w dobrą zbroję i miecz niezłomny opatrzy. — To mówiąc, zszedł Zbigniew po stopniach, do tronu prowadzących, na szeroką salę.

— On ją uwiódł, on ją hańbą okrył — zawołał Wszebor.

— Zatrzymajcie go! — krzyknął Mieczysław, darmo usiłując opuścić rękę królewską.

— Śmierć Zbigniewowi!

— Długie życie księciu Zbigniewowi!

— Nie puszczajcie go!

— Kto go zatrzyma, mnie z tego zda sprawę! — wołało rycerstwo, na dwa podzielone stronnictwa.

Przeszedł syn Władysława powolnym krokiem wśród dwóch rzędów rozstępujących się przed nim panów i szlachty.

Miecze dobyte, podniesione sztylety zatrzymywały się w powietrzu za zbliżeniem się jego. Nikt nie śmiał przystąpić, wszyscy zdziwieni bohaterską męża postawą w osłupieniu stali, a Zbigniew bez pośpiechu, z powagą przybliżał się do drzwi sali, odpowiadając na krzyki to przyjaznym, to pogardliwym uśmiechem. Mając wychodzić, obrócił się raz jeszcze i ujrzał przy sobie pana Gulczewa.

— Najjaśniejszy książę, w trudnym jesteś położeniu; wszyscy moi ludzie do ciebie należą, jeśli za poniesione koszta odstąpisz mi zamek w...

— Precz mi z taką usłużnością! — krzyknął Zbigniew i odepchnął podłego Skarbimira. Potem raz jeszcze rzucił wzrokiem na całe zgromadzenie, przez chwilę jeszcze patrzał na błyszczące otaczających go oręże, przez chwilę jeszcze przysłuchiwał się ich wrzaskom. Nareszcie: — Żegnam was — dodał — i zapraszam na biesiadę, gdzie wino krwi strumienie, a potrawy trupy zastąpią. — Po tych słowach, gardząc długim usprawiedliwianiem się i oznajmieniem, że Hannę pojął za żonę, wyszedł z radością w sercu, ciesząc się, że wkrótce z wież swego zamku upokorzy nieprzyjaciół i nie cierpianemu Mieczysławowi śmiercią się odpłaci.

Tymczasem wrzawa i największe powstało zamieszanie. Jedni drugich wyzywali. Krzyki nie ustawały, choć już Wszebor i Sieciech prosili o uspokojenie się burzliwej szlachty. Już nawet dawał się słyszeć szczęk orężów uderzonych o siebie. Dopiero teraz król Władysław puścił rękę synowca, który natychmiast, roztrącając otaczających, wybiegł z sali i bez zbroi i szyszaka, z mieczem dobytym rzucił się w pogoń za Zbigniewem. Ale Wszebor poszedł za nim i zatrzymał zapał młodzieńczy roztropną radą.

— Książę, gdzie lecisz bez pancerza i hełmu? Zbigniew już zapewnie bezpieczny w swoich murach.

— Prawda — odparł Mieczysław. — Ach, gdyby nie mój stryj, gdyby nie to ściśnienie ręki konającego prawie brata mego ojca! Ach! ale za to dzisiaj jeszcze oblężemy jego zamek. Władysław da nam posiłki.

— Na własnego syna? — rzekł Wszebor. — Książę, znać, że nie masz jeszcze dzieci.

— To sam bez nikogo rozwalę żelaznym toporem bramę do jego jaskiń, wydrę mu życie z piersi, wydrę z rąk jego Hannę.

— Ale nie beze mnie — odparł Wszebor. — Teraz już pewni jesteśmy. Dotąd nie chciałem się stać wojny domowej przyczyną, ale kiedy jedyna nadzieja w orężu... Ale wróćmy, mości książę, do króla.

Za wejściem do sali z trudnością im przyszło przecisnąć się przez tłumy rycerstwa. Setne błyszczały miecze i straszne groźby odbijały się o wklęsłe sklepienie.

Szlachta, przeczuwając wojnę, na dwie strony się już podzieliła. Jedna Zbigniewa wielkość i czyny w tłumnych głosiła wrzaskach, druga z uniesieniem witała Wszebora i księcia Mieczysława. Najwięcej sędziwych, w bojach wyćwiczonych rycerzy ujmowało się za potomkiem Bolesława Śmiałego i przypominając głośno dzielność i hojność walecznego ojca, najpochlebniejsze sypało pochwały synowi, kiedy znowu młodzież, lubiąca łupiestwa i gwałty, wynosiła pod niebiosa Zbigniewa i bohaterskie jego męstwo. Z trudnością Sieciech, wojewoda krakowski, mógł podnieść głos wśród tej wrzawy, a dopiero kiedy biskup Stefan zabrał się do mówienia, ucichło zgromadzenie, opadły uzbrojone ręce i schylone głowy dowiodły uszanowania dla poważnego sługi Boga.

— Chrześcijanie i Polacy, czyż tak dowodzicie uszanowania dla monarchy zesłanego od niebios? Widzicie

go zbladłym, osłabionym na siłach, a ten widok stroskanego ojca przestępstwami syna nie wzrusza zatwardziałych serc waszych. Przestańcie nieprzystojnych krzyków i w milczeniu posłuchajcie woli królewskiej, bo władza królów daną im jest od Boga, a obrażając władzę najwyższą na ziemi, obrażacie tym samym władzę najwyższą w niebie. Uciszcie się więc, schowajcie oręże, bo nie powinniście ich wydobywać, jak za rozkazem panującego wam króla lub świętego Kościoła!

Te słowa wróciły spokojność i milczenie, głuche milczenie, podobne do cichości niebios przed burzą i rykiem pioruna. Wtenczas odwrócił się Stefan i zbliżył do króla:

— Dokończ — rzekł — zaczętego dzieła i dopełnij świętego przyrzeczenia! Wszebor z Ciechanowa wzywa cię przeze mnie, byś rozkazał wojewodzie krakowskiemu, jakeś to dawniej, miłościwy królu, obiecał, dać mu pomoc w zbrojnych ludziach i rynsztunkach wojennych. Władysław słabym odpowiedział głosem:

— Róbcie, co chcecie; bierzcie, oddawajcie, walczcie, zawierajcie pokój, ale nie zmuszajcie ojca, by powstawał na kości swoich kości i wnętrzności swoich wnętrzności.

— Królu! — zawołał nieubłagany biskup — przed sprawiedliwością ojca narodu polskiego znika syn własny, a zostaje się zbrodniarz. Nie odrzucaj zesłanego kielicha goryczy! Znieś, jak na chrześcijanina przystoi, smutek za karę grzechów swoich! Spełń obowiązek monarchy, a za to zbawienie czeka cię w wieczności. — A widząc, że Władysław Herman, niewzruszony, zabierał się do odejścia: — Zbawienie — dodał — lub wieczna zaguba! Obieraj, królu! Zaklinam cię na błogosławieństwo nieba i Kościoła, wyratuj duszę, dopóki czas jeszcze! Zbawienie lub piekło!

Te straszne wyrazy przeszyły bojaźnią słabe serce Władysława, przywołał Sieciecha i zaledwie słyszanymi wyrzekł wyrazy:

— Wojewodo, weź straż moją, wiesz, co robić, wiesz, rozumiesz mnie; bo nie mogę wymówić tego strasznego rozkazu. Nie zabijaj go, bo zginę!

— Miłościwy królu i panie mój — odparł wzruszony tym widokiem Sieciech — nic mnie nie przymusi do walczenia z twoim synem, dopóki nie wyrzeczesz rozkazu; gotów jestem go nawet bronić, jeśli żądasz. — Ciszej dodał: Książę Mieczysław dziś jeszcze legnie pod moimi ciosy!

— Nie, nie chcę — zawołał przerażony monarcha — rób, co ci biskup rozkaże!

— Czym u ciebie, miłościwy królu i panie mój — odparł Sieciech — czy u biskupa wojewodą krakowskim?

— Sieciechu — zawołał głos cichy — wyznacz godzinę i miejsce, a dzisiaj jeszcze spotkam się z tobą, jeśli zechcesz połączyć się z Wszeborem i dać mi słowo, że, jeśli zginę, nie złożysz oręża, dopóki Hanny nie uwolnisz, bo jej szczęście nad własne życie przekładam.

Odwrócił się wojewoda i ujrzał za sobą Mieczysława. Szlachetność księcia wzruszyła serce Sieciecha, który, dumny bez granic, umiał jednak cenić piękne uczucia i bohaterskie poświęcenie się.

— Tymi słowy — odparł — zmieniłeś mnie, książę, zupełnie. Odtąd twoim jestem przyjacielem. Pójdę z tobą dobywać zamku śmiałego Zbigniewa. Ale nie sądź, bym to czynił dla ślepego posłuszeństwa, bo nikogo nie ma na świecie, który by przymusił Sieciecha do wydobycia miecza, kiedy go chce mieć w pochwie, lub do schowania, kiedy go chce mieć dobytym, bo chwilę przedtem mówiłem królowi, żem gotów zamordować ciebie. Ale czynię to z własnej woli, uwielbiając szlachetność i wspaniałość twego serca.

Odpowiedział na te słowa Mieczysław ściśnięciem ręki Sieciecha.

— Zbawienie lub piekło! powtarzam raz jeszcze i ostatni — zawołał przekonany Stefan, że jest jego obowiązkiem

czuwać nad wykonaniem surowej sprawiedliwości.

Usłyszawszy tę groźbę, powstał król z trudnością.

— Sieciechu! — zawołał — rozkazujemy ci pomagać we wszystkim Wszeborowi z Ciechanowa. Panowie tu zwołani, wierni nasi poddani tu zgromadzeni, skończyły się nasze obrady.

— Synowcze! — dodał, znów opadając na siłach — oszczędzaj Zbigniewa, przysięgnij, że...

— Przysięgam, że go zdradą nie zabiję, królu i panie mój! — przerwał syn Bolesława Śmiałego.

— Więcej żądać nie mogę, niepodobna — rzekł król konającym głosem. — Ojcze Niebieski, daruj Zbigniewowi, daj mu długie życie dla upamiętania się i odpokutowania za grzechy. Boże! widziałeś moje poświęcenie dla Ciebie! Nie karz nieszczęśliwego zgonem syna!

ROZDZIAŁ VII

Bezpieczni tarczą hasła: „Zginę lub zwyciężę”,
Na żelazie oparci spoczywają męże.
Noc cichość na uśpioną rozlała naturę,
Mnie tylko sen wspomnienie przerywa ponure.
Tymowski, Dumanie żołnierza polskiego w Hiszpanii

Przywilejem, pisarzom powieści właściwym, musiemy znów zmienić scenę naszych działań i z sali naradnej przenieść się do zamku Zbigniewa, który teraz wcale inszy wystawiał widok od tego, w którym go pierwszy raz przedstawiliśmy czytelnikom naszym: napełniały go bowiem hufce zbrojne, składające straż i wojsko Zbigniewa, które ściągnął z rozmaitych swoich zamków i włości. Gotowy zawsze do napaści lub odporu, ciągle utrzymywał po swoich dobrach żołnierzy poświęconych sobie. Męstwo dzikie, najczęściej przechodzące w okrucieństwo i przywiązanie do wodza jedynymi ich przymiotami były. Zresztą chęć grabieży i łupiestwa wszystkie u nich tamowała uczucia. Zbrodnia jakakolwiek dla takich ludzi małą była rzeczą, pożary i mordy najpiękniejszym widokiem, a przyszłe nieszczęścia i klęski najmilszą nadzieją. Umiał ich trzymać w porządku Zbigniew i do woli mógł rozpuszczać lub skracać ich namiętności.

Tak wielkiej nad nimi nabył przewagi, że na głos jego drżeli, że na skinienie ręki uciszali tłumne gwary i z uszanowaniem słuchając woli księcia, schylali głowy, które wkrótce wśród bojów podnieść mieli. Przy pomocy Mestwina urządzał ich teraz Zbigniew, rozstawiał po murach i wieżach. Każdemu obiecywał nagrodę, zachęcał do waleczności i groził karą w przypadku nieposłuszeństwa. Wszyscy, należycie uzbrojeni w pałasze, łuki, tarcze i topory, z jednakowymi szyszakami i pancerzami, stanęli na

swoich miejscach niewzruszeni, czekając chwili, w której zabrzmi trąba wzywająca ich do walki, a w każdego oku znać było pragnienie krwi i mordów.

Gierda, już nam znajomy, wielkie miał między nimi znaczenie i największą łaskę u księcia, bo serce jego nigdy nie zadrżało przed nikim, bo ręka jego nigdy się jeszcze nie cofnęła, kiedy szło o wykonanie zabójstwa. Przechadzał się teraz szerokim krokiem po murze i patrzał na nadciągające wojsko nieprzyjaciół.

Długim snuły się rzędem bitne Sieciecha szeregi, spośród których wznosiła się chorągiew królewska. Dalej Wszebor z swoimi postępował ludźmi, a obok niego na białym koniu, w błyszczącej zbroi odbitymi słońca zachodzącego promieńmi, jechał książę Mieczysław. W mgnieniu oka podnosiły się na polu namioty dla żołnierzy i wodzów. Obszerna bowiem równina otaczała z jednej strony zamek Zbigniewa, z drugiej płynęła Wisła. Kilka chat rozsypanych po polu należało jeszcze do Płocka, którego najludniejsze ulice otaczały zamek królewski i katedralny kościół, znacznie oddalony od zamku, ku którego oblężeniu zabierały się teraz liczne nieprzyjaciół roty. Na samym końcu przybył Skarbimir z Gulczewa z niewielkim orszakiem, dowodzącym uzbrojeniem i ubiorem skąpstwo pana, wielu bowiem z jego ludzi nie miało nawet pancerzy, a jeden tylko Bardan nosił stalowy szyszak, wszyscy inni skórzane mieli czapki. Skarbimir nie myślał sam dowodzić swoim ludziom, bo jego ręka, skora do liczenia pieniędzy, niezdatną była do oręża, kazał jednak wystawić swój namiot przy namiotach Wszebora, Sieciecha i księcia Mieczysława.

Tymczasem Zbigniew, ukończywszy swoje rozporządzenia i przewidując, że dopiero nazajutrz rozpocznie się walka, wyszedł na wysoką wieżę, z której w milczeniu poglądał na obóz rozwijający się przed oczyma. Pod jego stopami wszystko już ucichło, rozstawieni po basztach żołnierze z bronią w ręku czekali spokojnie na

hasła do bitwy, tylko czasami słyszany był turkot wozów obładowanych żywnością, które przez Mestwina sprowadzone z miasta, gromadziły się przed spichrzem i piwnicami księcia, ale wkrótce i ten łoskot się uciszył.

Namioty zaczynały już mieszać się w zmroku, chorągwie i znaki na nich zatknięte w różnofarbnych powiewały fałdach; nad wszystkimi wznosił się sztandar Mieczysława z książęcą koroną, niżej trochę widziano znany Topór Sieciecha. Krzyki i gwar żołnierzy, niesiony na skrzydłach zrywającej się burzy, dochodził do uszu Zbigniewa, jak gdyby wyzwanie do boju. Co chwila przesuwały się na równinie trudne już do rozeznania to męże, to konie; tam błyszczała kopia przy obozowym ognisku, tu znów stalowa migała się tarcza. Wodzowie dawali rozkazy do jutrzejszej walki i powoli jeden za drugim do swego wchodził namiotu, a podczas tego giermkowie, siedząc na murawie, czyścili przy ogniu zbroje i oręże swoich panów; można było uważać, jak stopniowo strudzeni, schylając głowy na piersi, z początku chcieli walczyć ze snem na powiekach ciężącym, po chwili znów zabierali się do pracy, ale z wolna z ich ręki wypadał świetny hełm lub ciężki pałasz, patrzali jeszcze przez jakiś czas niewzruszeni na broń leżącą, a potem, sami przy niej rozciągnięci na ziemi, zapominali o bojach i powinności; niektórzy jednak, nie opuszczając swojej roboty, układali w porządku rycerzy swoich zbroje. Przy końcu zaś obozu, przy każdym wodza namiocie, stały czujne czaty, a krzyk przeciągły, którym dowodzili pilności, jeden już teraz przerywał milczenie.

Ten krzyk mięszał się do świstu coraz bardziej wzrastającego wichru. Czarne chmury pozazdrościły ziemi srebrzystego światła księżyca i zasępiły niebo. Smutna i zbrodni sprzyjająca ciemność pochłonęła cały obóz. Gasnące tylko ogniska czasem za przelatującym wiatrem znów w czerwonawych płomieniach wzbijały się w górę, oświecając pobliskie namioty; ale wkrótce, już konające,

ostatnim promieniem żegnały się ze zbrojami leżącymi naokoło i krwawym je oblewały światłem, jak gdyby przepowiednią mordów i rzezi nastąpić mających.

Poglądał na to Zbigniew z spokojnym sercem, bo, zaufany w własne męstwo i dzielność nieraz doświadczonych towarzyszy, żadnego nie obawiał się niebezpieczeństwa. Ale kiedy wspomniał na ojca, srogie uczuł boleści; przekonał się bowiem, o ile Władysław go kochał. Myśl, że może w tej chwili w srogiej niespokojności gorzkie łzy leje, rozrzewniła syna i książę usiadł na szerokim kamieniu, pogrążony w zadumaniu i smutku. Dosyć długo pozostał niewzruszony, sam z swoimi myślami. A tymczasem burza wzmagała się coraz więcej.

Wiatr, dotąd czasami tylko wiejący, przybrał siły i wznosząc się ponad dumne wieże, wirem swoim porywał liście i kurzawę. Ogromne chmury, na jego skrzydłach przyniesione, z hukiem ścierać się zaczęły, a blade błyskawice chwilowo ziemię oświecały. To wzburzenie przyrodzenia, ten zamęt zgadzał się z burzą serca Zbigniewa. Z pewnym rodzajem uniesienia i przyjemności przypatrywał się temu obrazowi.

Ciemność go otaczająca, świsty wiatru przedzierającego się przez puste zamku korytarze, huk odległego piorunu przejmowały jego duszę to smutkiem, to wzniosłym zapałem. Wyobrażał sobie, że sam na tej ziemi walczy z siłami natury i nie ulega ich zapędom wszystko przezwyciężającym. Z okiem w niebo wlepionym, z założonymi na piersiach rękoma urągał się z usiłowań wichru wstrząsającego murami, na których dumnie, jak gdyby pan przyrodzenia, przypatrywał się jego niemocy. Śmiało myślał, wyzywał wszystkie świata siły i gdyby w tej chwili ozwała się trąba anioła ostatniego sądu, zapewnie by jego serce nie zadrżało. Ale nareście słodsze uczucia zstąpiły w jego duszę, miłość potężnym ozwała się głosem, a obraz Hanny, której nie odwiedził jeszcze od swego

powrotu, całkiem umysł mu zajął. Obrócił się więc, chcąc iść do ukochanej żony, ale wtem ujrzał stojącego za sobą męża wysokiej postawy; nie mógł go z początku rozeznać i silnie zapytał się:

— Kto jesteś? czego chcesz?

— Dziwno, żeś mnie nie poznał, mości książę! — odparł Mestwin ze zwyczajnym uśmiechem. — Głębokoś musiał dumać, kiedyś o kilka kroków nie mógł rozeznać przyjaciela.

— Prawda, żem głęboko dumał i nie myślałem, że przyjdziesz śledzić moje kroki i najskrytsze duszy uczucia.

— Im to częściej czynię — odparł rycerz niemiecki — tym lepiej uczę się poznawać ludzi, a trzeba mi ich znać, trzeba mi umieć odkrywać najmniejsze wzruszenia i serca zakątki, żeby wiedzieć, komu rękę mam podać, a kogo odrzucić; ale pomimo nabytego w tym doświadczenia, darmo starałem się domyślić przyczyny, która przynagliła ciebie do odkrycia ojcu i wszystkim tego, co najbardziej przed kilkoma dniami chciałeś mieć ukrytym.

— Kiedym cię przyjmował do służby mojej, nie pamiętam, rycerzu, żeby zaszła jaka między nami ugoda odkrywania uczuć serca. Tyś tylko przyobiecał mi być wiernym i dopomagać orężem i radą, ja zaś łask ci moich i względów nie odmówiłem.

— Zapewnie, dobrą masz pamięć, panie — odparł urażony Mestwin — ale nie przypominam sobie, żebym się obowiązał na twoje skinienie porywać dziewice, zabijać rycerzy; miałem cię tylko w boju bronić, a w domu wypełniać nie zbrodnie, ale rozkazy zgadzające się z chrześcijańskim sumieniem — a tu głośno się rozśmiał — nie wynajdować coraz nowsze zdrady, ale wiernie i cnotliwie rozrządzać twoją strażą i majątkiem.

— Za śmiało często nam odpowiadasz, rycerzu, a chociaż dobrze ci w pamięci stoją warunki naszej ugody, zdaje się,

żeś zapomniał, z kim ją zawarłeś.

— Z tym — przerwał żywo Mestwin — któremu poświęciłem się z duszą i ciałem, dla którego naraziłem nieraz i sławę i życie, któremu dotąd wierny byłem, jak przyjaciel przyjacielowi, z tym, który zawsze wspomina o swoich zaszczytach, a nigdy o moich usługach, który sprowadza na siebie nieszczęścia, nie słuchając dobrej rady, a potem gniewem odstręcza najprzywiązańszego do siebie człowieka. Jeśli tak dalej będzie, łatwo mi przyjdzie osiodłać konia i opuścić zamek księcia Zbigniewa.

— Mestwinie, przebacz, drogi przyjacielu, bo teraz tyle ciosów ugodziło w moje serce.

— Mogłeś ich uniknąć…

— Nie chciałem i nie potrzebowałem ich unikać — odparł dumnie Zbigniew. — Z początku sądziłem, że Mieczysław i Wszebor po daremnej wyprawie uspokoją się, a wtenczas zaczekałbym z ogłoszeniem mojego ślubu dogodniejszej pory; ale kiedy ujrzałem wszystkich oczy zwrócone na mnie, kiedy się przekonałem, że domysły, wkrótce w rzeczywistość mogące się zamienić, mnie za sprawcę tego czynu ogłaszały, postanowiłem, przyznając się do niego, upokorzyć nieprzyjaciół, którzy by za kilka dni powiedzieli, żem ich się przeląkł, a wolałbym śmierć i wieczną zagubę od hańby. Ja, który tyle razy mieczem sobie drogę wśród wrogów torowałem, ja, który na trupach pośród rzezi z spokojną twarzą na zgon szlachetny czekałem, ja teraz jak słabe dziecko miałem przerazić się widokiem kilku panów radnych i zgrzybiałego biskupa? Daleki od tego, ogłosiłem, żem porwał Hannę, o ślubie nie wspomniałem i słowa, bo pierwej chcę ich pobić i zwyciężyć i po ich ciałach zawieźć moją żonę do ojcowskiego zamku. Niech poznają szablę Zbigniewa, niech zadrżą nikczemnicy przed tym, na którego śmieli wznosić krzyki i obelżywe słowa! Tak osiągnąłem cel życzeń i przyśpieszyłem szczęście moje. Nie przeciągiem czasu i trwożliwym zwlekaniem, ale mieczem poniżę ich

dumę, a depcąc po hardych karkach, pokażę światu i męstwo moje i wyższość moję. Takie powody nakłoniły mnie do nieroztropnego na pozór czynu. Ani słowa więcej, Mestwinie, bo nie cofniesz tego, co się stało, ani przekonasz Zbigniewa, że lepiej było w nędznym milczeniu i poniżającej spokojności, tajnymi drogi pracować nad zwycięstwem, niż śród szczęku broni i srogich bojów nabywać chwały, równać się sławą z dzielnymi naddziady. Cała moja nadzieja spoczywa w tej szabli, a jeśli jeszcze wyrok niebios nie padł na moją głowę, zabłyśnie ona i zdruzgoce wrogów. Zostaw mnie, idę do Hanny; po długich dnia tego trudach potrzeba mi szukać osłody w jej miłości.

— A ja tu się zostanę, bo mogę stąd śledzić wszystkie ich obroty; może dzisiaj w nocy zechcą nas napaść.

— Zaręczam ci, że nie, bo choć szalony Mieczysław, bitny Sieciech, roztropny Wszebor i hojny Skarbimir zaszczycają mnie swoją nienawiścią nie sądzę, by chcieli w nocy tak ciemnej odważać się na niepewne spotkanie; możesz pójść do swojej komnaty.

— Nie, zostanę się tutaj; lubię czasem patrzyć na noc pochmurną i słysząc ryk burzy, przyzwyczajać mój umysł do piekła, które, podług świętej naszej wiary, zapewnie kiedyś prawo do mnie rościć będzie.

— Jeśli tak — rzekł Zbigniew — to nie przeszkadzam — i poszedł do żony.

Hanna z Ciechanowa przez cały dzień nie widziała męża, a jednak dowiedziała się przez Katarzynę, córkę Gierdy, która zwyczajnie dnie całe z nią przepędzała i starając się przerwać smutek pani, usłyszane powtarzała wieści, o wypadkach dnia tego; wielu bowiem rycerzy, przytomnych na zgromadzeniu w sali tronowej, przybyło do zamku Zbigniewa i bronić go przysięgło; od nich więc słyszała Katarzyna wszystkie szczegóły i spiesznie opowiedziała je Hannie, sądząc, że jej tym sposobem przyjemność uczyni, a w rzeczy samej pogrążyło to córkę Wszebora w smutek

najgłębszy. Gniew ojca, rozpacz Mieczysława, boje mające się zacząć, niebezpieczeństwa, na które wystawił się Zbigniew, wszystko to razem stanęło jej na myśli, a w tym wszystkim jedyną tylko widziała przyczynę, to jest siebie i zawsze siebie; ale kiedy Zbigniew, wróciwszy ze zgromadzenia, nie przyszedł ją zwyczajem swoim powitać, kiedy upłynęły liczne godziny, a mąż się nie ukazał, w najsroższej męce, martwa i zbladła, klęcząc w kaplicy, błagała niebios o przebaczenie winy i odwrócenie klęski. Katarzyna, widząc smutek pani, opowiadała wszystkie przygotowania do odporu, powtarzała słowa ojca i znów wracając do zgromadzenia, mówiła, że książę Zbigniew uniknął grożącej śmierci, stawiając nieugięte męstwo i niewzruszoną spokojność przeciw wściekłości wrogów; nareście zakończyła, dowodząc, że wszystko to jest rzetelną prawdą słyszaną od kilku rycerzy; a osobliwie od Henryka, giermka księcia Mieczysława, z którym się widziała chwilą przed rozkazem, danym od Zbigniewa, zawarcia bramy zamkowej. Wśród takich rozmów i ciągłego oczekiwania przepędziła Hanna z Ciechanowa dzień cały, aż wieczór nie nadszedł; słyszała słabo do niej dochodzące krzyki żołnierzy, słyszała oddalone kroki, raz zbliżające się, znów oddalające się od jej ukrytych komnat. Za każdym poruszeniem usłyszanym biło jej serce żywiej, bo miała nadzieję, że to może Zbigniew przybywa, a choć tysiąc razy omylona, zawsze wpadała w błąd ten sam i nadzieję tęż samą.

Nareszcie, kiedy już noc ciemna zastąpiła jasność dnia świetnego i kiedy zabłysła lampa wieczorna, poznała z daleka jeszcze Hanna kroki męża i drżąca zarazem i uniesiona radością, poszła naprzeciw niemu i rzuciła się w objęcia Zbigniewa. Przez chwilę zapomnieli o wszystkim i prawdziwe szczęście zstąpiło w ich serca i choć tak krótkotrwałe, nagrodziło za długie cierpienia i smutki.

— Zbigniewie, czyż prawda, com słyszała? Książę Mieczysław i mój ojciec oblegają ten zamek.

— I cóż z tego — odparł Zbigniew — kiedy czuwam nad tobą i tysiąc wiernych mi mieczy tych murów bronią.

— Ale, mężu mój, oni Polacy, a ja córka Wszebora...

— Tyś żona Zbigniewa — przerwał książę z zapałem — a przed tym imieniem wszystko upada i niknie; przysiągłem ci wiarę, dochowam ją do grobu i dla ciebie teraz będę walczył i zwyciężał.

— Ale, Zbigniewie, jakaż chęć ich uniosła, jakiż dziki zapał, że dowiedziawszy się z twoich ust, żeś mnie pojął za żonę, chcą mnie wyrwać z rąk męża? Czyż nie wierzą twojemu słowu?

— Któż ci mówił, że wiedzą, żeś moją żoną? Nie, Zbigniew nie myślał usprawiedliwiać się przed nimi; niegodnym to jego było. Nie żebrząc przebaczenia, ale nakładając warunki, zwycięstwem nauczę ich mojej woli, pokażę, com uczynił; kiedy u nóg moich schyleni prosić będą o pokój, wezmę cię za rękę i całej Polszcze ukażę. Ale przedtem nikt się nie dowie, że Hanna z Ciechanowa zawarła ze mną małżeńskie śluby. Niech się wysilają, niech padają pod wieżami mego zamku, a kiedy, z potężnego wojska w małą przemienieni garstkę, poznają własną słabość, wtenczas się dowiedzą, że próżne były ich zabiegi, że darmo poświęcali życie na wyrwanie z rąk moich uwiedzionej, jak mówią, dziewicy. Widzę już ich żal i rozpacz, patrzę już na ich zbladłe i posępne twarze. Poznacie, co to jest targnąć się na Zbigniewa!

Podczas tej mowy Hanna niewzruszona stała; z początku kilka łez spłynęło po anielskich licach, ale przy końcu nabrała siły i rzekła do męża:

— Niech wola Boża dzieje się na ziemi; odbieram karę grzechów i nieposłuszeństwa. Człowiek, któremu poświęciłam wszystko, mnie zhańbił; kiedy jednym słowem

mógł swoją i żony sławę ocalić, wolał jednak, uwiedziony widokiem niepewnej i niegodnej chrześcijanina zemsty, pokryć żałobą i goryczą życie swojej Hanny. Ale przebaczam ci, Zbigniewie — dodała głosem rozrzewnienia, a w jej oczach ogień niebieski zajaśniał — przebaczam ci i korzę się przed wolą Boga!

Zmarszczył brwi książę i pozostał niewzruszony na miejscu. Ale po chwili rzekła Hanna:

— Choć niesława jest najgorszą życia trucizną, zniosłabym ją dla ciebie, gdyby mój ojciec nie myślał, że jego córka mogła opuścić cnotę i zostać kochanką księcia Zbigniewa.

— Moja miła — zawołał Zbigniew z nadzwyczajnym zapałem — wszystko byś poświęciła dla mnie; znam twoją miłość, wiem, że gdybym był chciał, zapomniałabyś o ojcu, rzucając się w objęcia miłości. Nie zapieraj się, Hanno. Wszystko byś uczyniła dla Zbigniewa; od dawna poznałem, że moje słowa, że twarz moja pociąg mają zwodniczy; ileż to dziewic nadobnych cnotę dla mnie porzuciło, ileż to razy jednym słowem, jednym spojrzeniem pokonałem wyrzuty sumienia i przyciągnąłem niewinność na bijące me serce! Tak, Hanno, łatwo by mi przyszło uwieść ciebie i twą cnotę w zbrodnią zamienić; a teraz śmiej mi jeszcze wyrzucać, żem cię zhańbił, zniesławił; kiedy, mogąc cię rzucić w przepaść, a sam zostać się u brzegu, wolałem losy nasze połączyć. Kiedym tyle dla ciebie uczynił, możesz pozwolić, byś, przez kilka dni pogrążona w ciemności, wyszła z niej świetniejszą, otoczona sławą męża. Hanno droga, Hanno! wyrzuty twoje niesprawiedliwymi były.

— Nie chcę już ich wspominać, Zbigniewie — odparła. — Wyznawani ci szczerze, że dziwnymi dowodami nie przekonałeś mego rozumu, ale jedno twoje słowo już uspokoiło me serce, a choć ojciec może teraz córkę przeklina, ona, dochowując przysięgi, ciebie wiecznie kochać i tobie się poświęcać będzie.

— Porzuć więc smutki, żono moja, rozjaśnij czoło przeznaczone do radości, wstrzymaj łzy, które by nigdy z twoich oczu płynąć nie powinny. Wkrótce piękniejsze zabłysną nam chwile, chwała moim stanie się udziałem, a wśród całej Lechii jeden tylko bohater wzniesie swoją głowę nad zgromionymi wrogami.

ROZDZIAŁ VIII

Już w czystych błoniach tej nowej Farsali
Stanęły szyki braterskie,
Gotowe sobie ostrzem krwawej stali
Zadawać ciosy morderskie.
Śpiewy historyczne

Za pierwszym ukazaniem się wschodzącego słońca na niebie, złotymi obsypanym chmurami, dał się słyszeć głos księcia Mieczysława, zwołujący do broni wiernych towarzyszów. W jaśniejącej zbroi obiegał na koniu hufce zbrojnych; zachęcając wszystkich i nagląc, z całym zapałem młodego wieku i wrzących namiętności przyśpieszał uzbrojenie żołnierzy i dawał rozkazy. To z Sieciechem, to z Wszeborem rozmawiał.

— Do broni, Bardanie — krzyknął, widząc ociągającego się zastępcę Skarbimira — do broni! Jeśli twój pan niezdatny do bitwy, ty przynajmniej popraw jego sławę! Wojewodo krakowski, każ swoim ludziom się uszykować! Wszeborze, panie Ciechanowa, niech kilku twoich żołnierzy przysposobi drabiny do murów, bo, na Boga, zdobędziemy jego zamek, odbierzemy Hannę! Bardanie, cóż to się znaczy? czy twoi żołnierze zwyczajni walczyć w czapkach? czyż ich głowy tak twarde, że zdolne stal i żelazo zastąpić?

— Najjaśniejszy książę — odparł Bardan — pan nasz, Skarbimir z Gulczewa, dowódzcą mnie mianował, mówiąc: „Słuchaj, Bardanie, jeśli dobrze się sprawisz, to ci nową dam zbroję, choć taki jestem ubogi, bo mi Pan Bóg odmówił dostatków!” — Dajże pokój! — przerwał Mieczysław — ale nim pan twój da ci nową zbroję, możesz tysiąc razy zginąć w tym dziurawym pancerzu i pogiętym szyszaku. Pójdź do mojego giermka Henryka; da ci całkowitą zbroję, pamiętaj tylko odważnie się potykać!

Schylił się prawie do ziemi Bardan, dziękując księciu.

Mieczysław go opuścił i wrócił do Sieciecha, szykującego swoich ludzi z Wszeborem.

— Zwyciężemy, panie wojewodo — zawołał — bo Bóg zawsze dobrej błogosławi sprawie. Cóś mi powiada w głębi duszy, że jeszcze dzisiaj ten zamek przed nami bramy otworzy.

— Wątpię o tym — odpowiedział Sieciech, głaszcząc sobie brodę — bo choć Zbigniew jest zdrajcą, mordercą, słowem zbrodniarzem, niesłabe serce bije mu pod zbroją, a potem ta brama wytrzyma mnogie razy, te mury oprą się taranom. Tylu zbrojnych stoi po wałach i basztach, a w każdego ręku łuk spostrzegam i sądzę, że każdego oko niemylne wysyła ciosy. Mestwin także zna się na sztuce wojennej, a nade wszystko nasz główny nieprzyjaciel, książę Zbigniew, dzielnie walczył w licznych potyczkach. Niejedno on już widział oblężenie, nieraz już i bronił i dobywał zamków. Niechże więc próżna cię nie łudzi nadzieja! Dzisiaj ani jutro, ani w tym tygodniu nie zdobędziemy tej warowni; jednak spodziewam się, że z przeciągiem czasu, za pomocą wytrwałości i męstwa, dostaniemy się do tych dumnych wież i przełamiemy te wysokie mury.

— Wszystkiego dokazać można z szablą w ręku przerwał z żywością Mieczysław.

— Prawda, że wszystkiego — odpowiedział wojewoda — dlatego też Zbigniew nie tak prędko się nam podda. Zapewnie, Wszeborze, jednego ze mną jesteś zdania?

— Boli mnie — rzekł, podnosząc głowę, Wszebor głosem głębokiego smutku — że dla mojej córki tylu synów jednej ojczyzny walczyć będzie, że tylu poczciwych ludzi krew popłynie. Dopóki mogłem, starałem się uniknąć wojny domowej; ale świadczę się Bogiem, że okoliczności zmusiły mnie do wzniesienia oręża na syna mego króla, do przynaglenia mego monarchy, żeby, oddając mi

sprawiedliwość, najświętsze, najmilsze wyrugował z serca uczucia. Nie możecie pojąć, jak to mnie martwi. Spędziwszy długie lata w usłudze ojczyzny, nauczyłem się walczyć z Rusinem, to z dzikim Prusakiem, to z nieuległym Czechem, ale trudno mi teraz przychodzi, osłabłemu i styranemu pracą i wiekiem, dobywać miecza na Polaków i braci. Wolałbym upadek domu mego, zniszczenie majątków, śmierć samą. Ale córki opuścić nie mogę, sława jej droższą mi jest nad wszystko. Trzeba się potykać z nimi, ale matki i siostry moich przeciwników na moim grobie łzy nie uronią, owszem, będą miały prawo powiedzieć: „On zabił swoich braci.” — Nie troszcz się o to, panie Ciechanowa! — krzyknął Sieciech. — Owszem, lepiej, kiedy czasem wojsko sobie wojnę przypomni, bo w ciągłej spokojności drętwieje i staje się podobnym do sokoła, któremu strzelec za długo oczy kapturem zakrywa. Wierz mnie, takie cząstkowe walki przynoszą pewną korzyść dla kraju; żołnierze, szlachta, rycerze nawykają do miecza i sposobniejszymi się stają do odparcia zewnętrznych nieprzyjaciół, a potem szczerze ci wyznam, żem niezmiernie rad tej wojnie, czyli raczej temu oblężeniu, bo już moi ludzie gnuśnieć zaczynali. Teraz mają co robić i daj Boże ci za to zdrowie, panie Ciechanowa! — dodał Sieciech z uśmiechem, ściskając rękę smutnego starca. — Jaroszu z Kalinowy! — po chwili zawołał na człowieka wysokiego wzrostu i twarzy napiętnowanej szczerości wyrazem, stojącego przed szeregami — kiedy zaczniemy oblężenie, pamiętaj zawsze i ciągle ich napadać z lewej strony, blisko kaplicy przy brzegu Wisły, bo tam najsłabsza ich strona; spraw się dobrze nie zważając na nic, z szablą w ręku naprzód się posuwaj, za tobą pójdą inni, a zawsze wołajcie: „Król, Mieczysław i Wszebor!” — jeśli zaś czasem moje będziesz mógł wsunąć imię, krzyknij: „i Sieciech!” — Na Boga, wodzu mój — odparł Jarosz — będę całymi piersiami krzyczał i całymi siłami rąbał pałaszem! Ale wolałbym na otwartym potykać się polu, bo w tych przeklętych murach nie można dostrzec wroga. Swiśnie

strzała z ręki ukrytej za kamieniem i już po człowieku; najlepiej, kiedy widzę przeciwnika — przez chwilę oko w oko spozieramy na siebie, a potem do oręża! tak to najlepiej, ale te baszty, niech je Pan Bóg piorunem zrzuci! Wypełnię zresztą twoje rozkazy i zobaczę, ile tych sów, na nas spoza murów patrzących, dziś poślę na cmentarz.

— Prawda — rzekł po chwili, jak gdyby zamyślony, Sieciech — prawda, nie myślą wyjść na pole; niewzruszeni stoją, zakryci warowniami, głowy im tylko wystają. W każdej strzelnicy dostrzegam łuk napięty i strzałę. Książę Mieczysławie! ginąć będziemy pod ich ciosami, kiedy tymczasem oni bezpieczni w żart nasze usiłowania obrócą. Na Boga! sądziłem, że za naszym zbliżeniem się nie wytrzyma Zbigniew, że wypadnie na pole zetrzeć się z nami, ale ten szatan niemiecki musiał tak roztropnie obronę urządzić. Wszeborze! książę! trzeba nam szyk zmienić! Ale co widzę? Zbliża się do nas Skarbimir, bogaty i hojny właściciel Gulczewa. Zobaczycie, jak z niego zażartuję! Wszeborze, trzeba się trochę pocieszyć; książę! nic lepszego przed bitwą nad żarty i śmiechy!

Po tych słowach zbliżył się do starego skąpca i tak silnie ścisnął go za rękę, że wyraz boleści skrzywił usta Skarbimira.

— Najbogatszy z Polaków, najhojniejszy z panów, mam nadzieję, że nam dasz dzisiaj waleczności dowody. Dobrześ obeznany z kopią i mieczem, z sztyletem i toporem, jak to głoszą wszystkie narody, z którymiś kiedykolwiek walczył, a choć lubisz trochę rabunek i zdobycz, zawsze ci to przepuszczają przez wzgląd na nieugięte męstwo. Dzisiaj spodziewamy się, że dopomożesz nam dzielnie; cała nadzieja nasza jest w twoich skarbach i w twojej prawicy.

Poznał chytry Skarbimir zamiar wojownika, a oczy jego zaiskrzyły się wściekłością; bojaźń wkrótce potem jej miejsce zajęła, kiedy o skarbach swoich usłyszał, a wreście

przytłumił gniew wewnętrzny i ze zwykłą uniżonością odpowiedział:

— Jakżebym chciał, żeby twoje słowa prawdą były, potężny wojewodo krakowski! Zapewnie bym wtenczas wszystkie dostatki poświęcił tak świętej sprawie; ale na nieszczęście, a może i na szczęście, bo często bogactwa cnotę w zapomnienie podają, ubogi jestem, najuboższy ze wszystkich panów, a nazbierane pieniądze z łaski boskiej obracam na kościoły i ubogich, odmawiani sobie wszystkiego dla dawania jałmużny. Co tylko mogłem uczynić, już dla was uczyniłem; ludzi moich tu przywiodłem, sam się stawiłem; choć nie mniemam, abym mógł wam wiele dopomóc własną osobą. Wiek i choroby wycieczyły ostatek sił w moim ciele.

— Ale gdzież tam, Skarbimirze — przerwał mu Sieciech — wyglądasz na młodego rycerza. Przy moim boku dzisiaj się bić będziesz; zobaczemy, kto z nas dzielniejszy, choć zawsze gotów jestem ustępować przed wsławionymi, a do tego skromnymi bohaterami. Więc zgoda; będziesz, panie Gulczewa, dziś walczyć przy mnie.

Nie mógł odmówić przerażony Skarbimir bez wystawienia się na największą hańbę. Z ściśnionym więc sercem, z bladością na licach przystał na żądanie wojewody, obiecując mu za to w duszy skrytą i nieubłaganą zemstę.

— Zdaje mi się — zawołał Mieczysław, litując się nad starcem — że nie można tego wymagać od podskarbnika mego stryja i króla, kiedy chory, osłabły, znużony...

— Choćby z łoża śmierci — krzyknął Sieciech — prawy rycerz powstać powinien, kiedy go król lub przyjaciele wzywają! Więc naprzód, Skarbimirze, dzielnie się potykaj, bo jeśli mi zechcesz uciekać — dodał po cichu, schylając się do ucha człowieka, którym pogardzał — sam ci pierwszy tym toporem głowę rozwalę. Jaroszu, stawaj na czele swojego oddziału! Wszeborze, wypada ci się oddalić do swoich ludzi. Książę Mieczysław niech będzie łaskaw to

samo uczynić. Pan Gulczewa i Kościelca i kościoła tam wystawionego z nami się zostanie.

— Ale jakiż to hufiec do nas się zbliża od strony miasta? — zawołał Mieczysław, który sokolim wzrokiem dostrzegł z daleka na polu błyskanie stali i tuman kurzu.

— Może przyjaciele, może nieprzyjaciele — odpowiedział spokojnie Sieciech. — Na wszelki przypadek stójcie w pogotowiu, żołnierze; dobądźcie mieczy z pochew, strzał z kołczanów! Zdaje mi się, że niewielki orszak. Niech mi tylko kto powie, kto to jest? — zawołał głośniej — czy nikt lepszych oczu nie ma od nas?

— Może król — rzekł Wszebor — przybywa przerywać boje.

— Do szatana z taką myślą! — krzyknął wojewoda. — Gdybym był tego pewny, natychmiast szturm bym rozpoczął.

— To biskup Stefan! — zawołał młodzieniec w lekkiej zbroi i świetnym hełmie.

— Mylisz się, Henryku — przerwał książę Mieczysław.

— Książę i panie mój, jakem wierny tobie, tak prawdą jest, że się biskup płocki do nas zbliża; widzę przed nim jadącego kapłana z krzyżem świętym, z tyłu zaś straż jego przyboczną. Powtarzam, że to biskup Stefan.

— Chwała niech będzie tobie, o Boże! — rzekł Wszebor — możeś go natchnął, może przeszkodzi wojnie z Polakami.

— Żeby go Bóg był zabrał do chwały swojej — rzekł Sieciech do Jarosza — nim taka myśl wpadła mu do głowy!

Po kilku chwilach wszyscy się przekonali, że giermek księcia Mieczysława miał prawdę, bo za zbliżeniem się orszaku doskonale już można było rozeznać sędziwego Stefana jadącego na spokojnym koniu, księdza niosącego przed nim krucyfiks i rycerzy za nim w świetnych zbrojach postępujących; bo było zwyczajem w tych wiekach duchownych osób wysokiego dostojeństwa, żeby trzymali

przy sobie ludzi zbrojnych i rycerzy. Ten widok różne sprawił wrażenie na różnych umysłach. Mieczysław z niecierpliwością czekał przybycia leniwo jadącego biskupa, a nawet wyraz nieukontentowania malował się na jego twarzy; bo choć kochał ojczyznę i ze smutkiem patrzał na klęski ją rozdzierające, pragnął nade wszystko walki i wyrwania z rąk wroga narzeczonej.

Sieciech, lubiący rozlew krwi i boje, zmarszczył brwi, domyślając się, że Stefan przychodzi z warunkami pokoju, bo uparty wojewoda i dumny z przyrodzenia nie cierpiał, by się kto mięszając w jego sprawy, przeszkadzał dokończeniu rozpoczętego dzieła, a wreszcie sława, którą sobie obiecywał z pokonania Zbigniewa, droższą mu była nad wszystkie korzyści kraju i współobywateli. Wszebor, poświęcając własne pożytki szczęściu ojczyzny, miał nadzieję, że biskup spór załagodzi, oddalając wojnę domową. Skarbimir cieszył się także, ale dla podlejszych powodów; myślał, że może potrafi uniknąć walki, w której miał przed sobą dwie równie przykre ostateczności: strzały żołnierzy Zbigniewa lub topór Sieciecha, gdyż wiedział, że wojewoda krakowski zwykł był podobnych dotrzymywać obietnic.

Tymczasem przybył Stefan i zsiadłszy z konia, z przynależną powagą zbliżył się do wodzów, kiedy jego rycerze witali się ze znajomymi i przyjaciółmi.

— Przewielebny biskupie! — zabrał głos przed wszystkimi Sieciech — opuściłeś spokojne przybytki Pańskie dla przeniesienia się na pole, które wkrótce krew ludzka obleje; zapewnie chcesz nam dać święte twoje błogosławieństwo przed bitwą?

— Jeśli do niej przyjdzie — odpowiedział sędziwy kapłan — nie omięszkam tego uczynić. Ale teraz posłuchajcie mnie uważnie...

— Może chcesz nam zabronić sprawiedliwej zemsty? — przerwał Mieczysław, uniesiony obrazem uwięzionej Hanny

— ale choćby cię wszyscy usłuchali, jeden tu się zostanę i będę walczył, dopóki siebie lub wroga pod gruzami tego zamku nie zagrzebię.

— Synu Bolesława — rzekł Stefan wstrzymaj gwałtowność, która twego ojca zgubiła i posłuchaj słów człowieka, którego obowiązkiem jest przywracać pokój i dzikie łagodzić zapędy. Słuchajcie mnie wszyscy, bo wszystko, co wam ogłoszę, zgadza się z przepisami Boga, Kościoła i cnoty! — Po tych słowach zamilkł na chwilę Stefan i witał się z każdym wodzem.

— Czy by nielepiej było pójść do jakiego namiotu, niż tu przed wszystkimi się wynurzać? — rzekł Skarbimir.

— Wszyscy mogą słyszeć moje słowa — odparł biskup — bo nic złego w nich się nie mieści; na cóż dla niewinnej narady udawać się do namiotu, kiedy jak najprędzej nam ją odbyć potrzeba? Alboż — dodał z uśmiechem — nie jesteśmy pod szerokim namiotem, rękami Stwórcy rozbitym? a to świetne słońce czyż nie weselsze myśli pokoju i szczęścia w nasze wlewa serce od ciemnych mieszkań ludzi, w których często odbywa się zbrodnia i kryje się obłuda? Zaczynam więc moje przełożenia i proszę o uwagę. Wczoraj, kiedy szło o sprawiedliwość, zachęcałem króla, by ją wymierzył z całą uroczystością, jakiej wymagało zgromadzenie przedniejszych panów narodu. Stało się podług moich chęci i życzeń. Ale dzisiaj, widząc sposób oszczędzenia smutku i żalu dobremu panu, przybyłem was prosić, byście mnie w swoim imieniu pozwolili udać się do Zbigniewa. Tam, jako poseł i sługa Boży na ziemi, wystawię mu ciężką niemocą złożonego ojca, ciężką klęską zasmuconą ojczyznę; przełożę mu wasze żądania, aby oddał córkę Wszeborowi z Ciechanowa i przysiągł, że zachowała zupełną niewinność; bo mam nadzieję, że Bóg nie dozwoli, by syn naszego monarchy tak ciężką zbrodnią swoje sumienie obarczył. Ale nie myślcie — dodał, widząc zachmurzone czoło Mieczysława — bym przystał na

warunki, sławie lub czci waszej ujmę przynieść mogące, bo znam powinność rycerza i Polaka. Może zmiękczę skamieniałe jego serce wyliczaniem popełnionych zbrodni i mam nadzieję, że tej ostatniej nie będzie chciał dodać do przeszłych. Wypełnię obowiązek, który sam na siebie wkładam, jak gdybym był waszym przyjacielem, obrońcą, powiernikiem, jak gdybym jutro miał składać przed Panem świata rachunek z moich czynności. Nie obawiam się śmierci, a jeśli odważy się podnieść rękę na mnie, z Stanisławem razem błagać będziemy w niebiosach Boga, by odwrócił nieszczęścia i klęski od naszej ojczyzny, od Polski. — To mówiąc, wzniósł oczy w górę, ogień nadludzki, jak gdyby promień przyszłej nieśmiertelnej chwały, oświecił twarz marszczkami okrytą i zdawało się, że anioł pokoju zstąpił z nieba na uszczęśliwienie ziemi. — Skończyłem i sądzę, że będziecie woleli ukończyć tę sprawę, jak na cnotliwych ziomków przystoi, niż pluskać się w krwi współbraci, rozrywać przyjaźń bratnią, zapominać o uczuciach, w którycheście wzrośli i srożyć się na synów wspólnej matki.

Taką była powaga biskupa i tak powszechne dla niego uszanowanie, że nikt nie śmiał się jego słowom sprzeciwiać, chociaż Sieciech zawołał:

— Daremna praca!... Zbigniew nikogo nie usłucha!... — a Jarosz z Kalinowy dla przypodobania się wodzowi krzyknął: — Do broni, towarzysze! do broni!

— I ja pójdę z tobą do zamku, szanowny kapłanie — ozwał się Mieczysław — w tej zbroi, ze spuszczoną przyłbicą lub przebrany, wkradnę się do niej.

— Nie, młodzieńcze, poświęcam siebie dla was i ojczyzny, ale nie zezwolę na to, by książę Mieczysław narażał się na niebezpieczeństwa. Stefana inny biskup zastąpi, zgonu syna Bolesława nikt nie zastąpi, bo Zbigniew jest zbrodniarzem, a jego brat dzieckiem.

„Przeklęty starzec — pomyślał książę — i tej już nie mam nadziei! Wszystko ułoży, oddadzą Hannę, a Zbigniew przy życiu zostanie. Nie, na Boga, muszę się o niej czegoś dowiedzieć, muszę zabić wroga.” — Henryku! — zawołał.

— Pójdę do zamku — odparł młodzieniec, zgadujący pana swego chęci — dowiem się o Hannie z Ciechanowa, bo mam tam znajomych. Może zginę, a w tym przypadku po zdobyciu zamku każesz moje ciało pochować, jeśli go do Wisły nie wrzucą i siostrze mojej powiedzieć, żem do ostatniej chwili wiernie i mężnie tobie służył.

Łza zabłysła w oku Mieczysława.

— Zostań się, dobry mój Henryku, zostań się!

— Na Boga, nie zostanę, książę i panie mój! — i to mówiąc, odbiegł księcia.

Tymczasem radzono, kogo by posłać przed bramę zamkową dla oznajmienia Zbigniewowi zamiaru Stefana.

— Nikt do tego zdatniejszym nie jest — rzekł Sieciech — od naszego szanownego Skarbimira, bo z rzadkim męstwem umie łączyć rzadszą jeszcze roztropność.

— A więc, panie Gulczewa — ozwał się biskup — polecamy ci oświadczyć stojącym nad bramą zamkową, że Stefan, biskup płocki, żąda posłuchania u księcia Zbigniewa.

Poszedł, chwiejąc się na nogach, z bijącym od strachu sercem, zmuszony Skarbimir, ale za każdym krokiem wzmagała się bojaźń tak, że prawie bez duszy przybył do miejsca dosyć jeszcze dalekiego od bramy. Tu stanął i obtarłszy zimny pot cieknący z czoła, ledwo mógł wymówić kilka słów, które nie doszły uszu stojących na straży nieprzyjaciół.

— Bliżej — zawołał Sieciech — bliżej przystąp, potężny władco Kościelca! nie obawiaj się niczego, a potem nic to nie szkodzi, kiedy dla dobra ojczyzny strzała w sercu lub w mózgu utkwi.

— Niech cię piekło pochłonie! — rzekł słabo Skarbimir, słysząc dolatujące go jak piorun słowa Sieciecha. Zebrał ostatek sił, wsparł się na mieczu i postąpił dalej.

Tu, jak najprędzej mógł, spełnił poselstwo, a nie czekając odpowiedzi, szybkim biegiem uciekł, jak gdyby wszystkie wojska nieprzyjaciół go ścigały i wrócił do swoich.

— Jakaż więc odpowiedź? — krzyknął Sieciech na pół żartobliwym, na pół groźnym głosem.

— Jakaż odpowiedź? — zapytali wszyscy.

Ochłonął z bojaźni Skarbimir i wściekle pojrzał na otaczających.

— Możecie posłać — zawołał — jakiego giermka lub żołnierza po odpowiedź, bo pewno wam jej nie przyniesie Skarbimir, pan radny i podskarbnik królewski. Od jakiegoż to czasu wysyłają do bram nieprzyjacielskich ludzi najwyższymi dostojeństwy zaszczyconych? ale na ten raz zgoda. Skarbimir z Gulczewa poniósł wasze przełożenia; niechaj Sieciech, wojewoda krakowski, odpowiedź przyniesie.

— Jaroszu — przerwał Sieciech — idź po odpowiedź! niezmierną chęć czuję rękojeścią pałasza usta mu przymknąć; biegnij, Jaroszu!

— Znowu kłótnie, niesnaski — ozwał się biskup i z smutną twarzą czekał na powrót posłańca, który odważnie, śpiewając piosnkę wojskową, szedł do warowni nieprzyjacielskich, a chcąc swemu wodzowi dogodzić zawstydzeniem Skarbimira, stanął o dwa kroki od ogromnego rowu zamek opasującego. Wkrótce ukazał się nad bramą Mestwin i odpowiedział, że pan jego, książę Zbigniew, nie może przenieść na sobie odmówienia posłuchania biskupowi płockiemu.

— Jeden tylko mały warunek zastrzegamy — dodał rycerz niemiecki — żeby nikt prócz Stefana nie wszedł do

zamku, czyniemy zaś to z obawy niepotrzebnych kłótni przed walką mającą się zacząć, a nie ze złych i zgubnych na osobę szanownego kapłana widoków.

Po usłyszeniu tej odpowiedzi, wzniósł ręce do nieba biskup i klęknąwszy, gorącymi modły błagał Boga zastępów. Poszli za jego przykładem wszyscy przytomni, a kiedy Mieczysław, z schyloną głową ku ziemi, przemyśliwał nad ocaleniem Hanny, uczuł rękę lekko dotykającą się jego ramienia; odwróciwszy się, ujrzał przy sobie młodzieńca uzbrojonego na wzór żołnierzy Zbigniewa.

— Skąd dostałeś tej zbroi? — zapytał książę.

— I ja mam Hannę w tych murach — odparł Henryk z nieznacznym uśmiechem. — Żegnam cię, panie.

Po tych słowach wmięszał się do ludzi biskupa, którzy z spuszczonymi dzidami, ze smutkiem na twarzy, odprowadzali pana, jak gdyby żadnej już na tej ziemi dla niego nie pozostało nadziei, bo znali wszyscy gwałtowność Zbigniewa, wiedzieli, jakich miał doradzców i trzeba było całej biskupa odwagi, wzmocnionej wiarą i przekonaniem, że obowiązek wypełnia, na ośmielenie się do kroku mogącego najnieszczęśliwsze skutki ściągnąć na jego osobę. Henryk zaś, uniesiony przywiązaniem ku Mieczysławowi, miłością ku Katarzynie, rzucał się na widoczną zgubę z tą nadzieją i ufnością młodości właściwą, choć dobrze wiedział, że Zbigniew, jeśli go odkryje, jako szpiega i gwałcącego warunki zawartej umowy, stracić rozkaże.

Za przybyciem Stefana do bramy spuszczono most zwodzony, a kilkunastu żołnierzy wystąpiło z zamku i broniąc przystępu przeciwnej stronie, puściło tylko samego biskupa. Powstały wrzaski i groźby. Przez chwilę trwało zamięszanie, już nawet brano się do oręża, ale na skinienie Stefana opadły ręce wzniesione na jego obronę. Nie stracił tymczasem z oczu Mieczysław młodego giermka i dostrzegł, jak wmięszawszy się zręcznie do ludzi Zbigniewa, wraz z

Stefanem wszedł do zamku. Ale w tej chwili zawarto bramę i podniesiono na skrzypiących łańcuchach most szeroki, który oddzielił dwóch śmiałych ludzi od reszty przyjaciół i towarzyszy.

ROZDZIAŁ IX

Nie oddam jej, przysięgam na ostrze tej stali.
Feliński, Barbara

Dwa rzędy ludzi zbrojnych stało z obu stron dziedzińca, przez który przechodził biskup. Dzikie ich spojrzenia i srogie twarze wróżyły nieszczęścia. W rozmaitych ubiorach, z różnych stron i okolic ściągnieni, nie znali się jeszcze dobrze między sobą, bo Zbigniew z mnogich swoich zamków, po całej Polszcze rozsypanych, zebrał żołnierzy do bronienia Hanny. Wszyscy jednak mieli jednostajne szyszaki i puklerze, a Henryk, za pomocą zbroi od Katarzyny udzielonej, podczas zgiełku i wrzawy łatwo mógł się wsunąć pomiędzy orszak odprowadzający Stefana do sali posłuchalnej księcia. Od nikogo nie poznany, szedł z odwagą w oczach i bez okazania powierzchownie najmniejszej trwogi. Odzywał się nawet do towarzyszy, rozśmieszał ich żartami i obiecywał, że zapewnie kapłan, przez nich otoczony, nie wróci do obozu oblegających. Chwalił hojność Zbigniewa, a czasem cichszym głosem śpiewał dumki i piosenki, ale umilkł i zaczął się ukrywać, kiedy ujrzał Mestwina przyjmującego biskupa u wnijścia do gmachu, starając się, by przenikliwy wzrok Niemca nie spotkał jego twarzy, bo rycerz z Wilderthalu, jak wieść niosła, znał wszystkich Zbigniewa żołnierzy. Henryk nie pierwszy raz już był w zamku syna Hermana, bo dawniej często w nieprzytomności księcia przychodził tu odwiedzać Katarzynę, a oprowadzony przez nią po wszystkich zakątkach, miał nadzieję, że potrafi, przechodząc przez jaką ciemną galerię, zostać się z tyłu, a potem udać się do pokojów Hanny lub Katarzyny, koło których, sądził, że nikogo nie spotka, gdyż wszyscy byli zanadto ciekawi rozmowy biskupa, by w inną podczas niej udawać się stronę. Nie wiedział zresztą, jakim sposobem uda mu się

wyjść z zamku; ale kiedy ta myśl nagle się w nim obudziła, spojrzał mimowolnie na pałasz i nabrał odwagi młodzieńczej, odwagi nie mierzącej liczby wrogów, ale idącej na ciosy śmiertelne z nieustraszonym sercem.

— Szanowny kapłanie — rzekł Mestwin, na pół szydzącym, na pół poważnym głosem — chodź za mną, zawiodę cię do księcia mego i pana. Żołnierze, postępujcie za nami, żeby oddalić natrętnych, którzy by może chcieli ucałować nogi lub kraj szaty sługi Bożego; bo choć się to u nas, szanowny biskupie, nieczęsto zdarza, jednak chcę ci jak najbardziej uprzyjemnić pobyt w tych miejscach i nie ścierpię, by kto przerywał twe pobożne myśli, a osobliwie w zdarzeniu, w którym ci dobrą ich i dobraną liczbę mieć w głowie potrzeba: proszę za sobą.

— *Super aspidem et basiliscum ambulabis et conculcabis leonem et draconem* — zawołał mocnym biskup głosem i pewnym krokiem wszedł do sieni.

Zdaje się, że Mestwin miał upodobanie oprowadzać kapłana po ciemnych galeriach, ukrytych przejściach, krętych, raz w górę się wznoszących, znów na dół zstępujących schodach, aby przerazić jego duszę widokiem miejsc, do których nie dochodziły promienie słońca i gdzie łatwo było, daleko od wszelkich świadków, pozbyć się wroga lub niepotrzebnego gościa. Szli żołnierze z zapalonymi pochodniami i Henryk ciągle z zwyczajną śmiałością postępował z nimi, upatrując wszędzie jakiegoś przejścia, którym by mógł, oddzieliwszy się od nich, bezpiecznie dojść do celu swoich zabiegów. Przybyli nareszcie do małej komnaty, mającej kilka drzwi, od których rozchodziły się galerie na różne strony zamku.

Giermek Mieczysława nieznacznie się odsunął od towarzyszy i stanąwszy w ciemnym kącie, miał nadzieję, że nie spostrzeżony sam się potrafi zostać w tym miejscu, a potem udać do Katarzyny. Z początku Mestwin nie postrzegł tego; ale kiedy już miał wychodzić z komnaty, jak

gdyby uderzony jakim domysłem, nagle porwał od żołnierza z tyłu idącego pochodnią i obróciwszy się, wzniósł ją wszystkim ponad głowy. Henryk poznał niebezpieczeństwo i udając, że coś poprawia u szyszaka, z zimną krwią został na tym samym miejscu.

— Jak się zowiesz? — zawołał Mestwin — jakie hasło dzisiaj?

Nie mógł odpowiedzieć na to pytanie młodzieniec, a gniew, że, już tak bliski dokonania przedsięwzięcia, widział się odkrytym, zawrzał w jego duszy i z zapalczywością odpowiedział:

— Śmierć tobie i twojemu panu, takie moje hasło!

— Stójcie wszyscy! Niech się żaden pod karą śmierci z miejsca nie ruszy! Stój, biskupie płocki, stój, boś nas zdradził! Zuchwalcze — dalej zawołał — próżne tu kłamstwa i wybiegi; skąd jesteś? jak się zowiesz? kto cię przysłał?

— Jestem twoim wrogiem, przybywam z obozu, ale nie tak blisko przystępuj, bo, na Boga, zginiesz z mojej ręki! — To mówiąc, dobył Henryk z prędkością błyskawicy szablę, rzucił się na Mestwina i przeważnie go orężem w piersi uderzył; ale jego żelazo na drobne się rozleciało kawałki, a zbroja przeciwnika nawet się nie zgięła.

Mestwin nie okazał żadnego znaku zmieszania; zmarszczył brwi naprzód, a potem głośno się roześmiał:

— Lepszy mój pancerz norymbergski od wszystkich waszych mieczy. Zwiążcie go i poprowadźcie za mną! Przedstawicie tego gościa naszemu panu i księciu. Nabożny biskupie, przybywasz ofiarować pokój, a za sobą morderców prowadzisz; ale prawda, wszystko wolno Kościołowi, matce naszej wspólnej. Ani słowa, milczenie, idźmy dalej! — Po przejściu kilku jeszcze pokojów i korytarzów, otwarły się przed nimi drzwi ogromnej sali, w

której zastali Zbigniewa, siedzącego na wzniesionym krześle. Kilku zbrojnych rycerzy go otaczało.

Za ukazaniem się biskupa skłonił głowę Zbigniew.

— Choć już wszystko gotowym jest do bitwy, szanowny Stefanie, jednakeśmy postanowili z uszanowaniem, winnym twojemu wiekowi i wysokiej godności, którą piastujesz w Kościele Bożym, wysłuchać twoich przełożeń lub rady i z niecierpliwością ich oznajmienia czekamy.

Wtem zbliżył się Mestwin do księcia i kilka słów rzekł mu do ucha. Czoło Zbigniewa pokryło się chmurą, oczy zaiskrzyły gniewem, ale po kilku chwilach bladość zwyczajna spędziła z jego twarzy gwałtowny rumieniec.

— Po wysłuchaniu biskupa płockiego zajmiemy się tą sprawą — zawołał — a teraz go prosiemy, aby niezwłocznie odkrył zamiary — a ten wyraz wyrzekł z przyciskiem — które go do nas sprowadziły.

— Zamiary moje — ozwał się biskup — są czyste i nieskażone. Ufny w potęgę Boga, który zamienił niegdyś twarde opoki w ciekące strugi i umie zmiękczać serca grzeszników, przychodzę tu ci wystawić, czego się po tobie spodziewa Polska cała i jej monarcha; przybywam prosić cię, byś, pamiętny na słowa Zbawiciela, przed którym staniesz w dniu sądu ostatecznego, zaniechał zgubnych przedsięwzięć i wrócił na drogę cnoty. Otwiera się teraz przed tobą pole poświęceń i pokuty za długoletnie gwałty i występki. Może Bóg dozwolił, byś przez długi czas zapomniał o Nim, ażebyś z większą świetnością, porzuciwszy błędy, na powrót do Niego się udał. Książę, porwałeś dziewicę, zasmuciłeś jej rodzinę, własnego ojca i króla zbliżyłeś swoim postępowaniem do grobu, opuściłeś i w niepamięci zagrzebałeś przepisy świętej religii. Głuchy na prośby niewinności, na głos doświadczenia, popełniłeś gwałty i morderstwa. Zakończ teraz nieprawne działania, skróć burzliwe chęci i stań się posłusznym Bogu, który do ciebie przez moje usta przemawia. Ojczyzna oczekuje

wypadku dzisiejszej naszej rozmowy. Same niebiosa na nią uwagę zwracają, bo tu idzie o uratowanie duszy, zanadto długo pogrążonej w ciemności i zapamiętałości. Nie urażaj się, książę, jeśli z taką do ciebie przemawiam śmiałością, bo nie ja, ale sam Bóg się do ciebie odzywa i poznajesz zapewnie, że moje słowa są powtórzeniem tego, co ci bez wątpienia już od dawna wyrzuca sumienie. Przybywam więc ofiarować ci pokój i zgodę braterską. Przybywam natchniony miłością chrześcijańską. Zgromadzone wojska czekają hasła do boju. Podzieleni Polacy gotowi są do rozlewu krwi bratniej. Wystąp więc, oddaj ojcu córkę, przysięgnij, że zachowała niewinność, przysięgnij, że odtąd Polska mieć w tobie będzie bohatera, nie zawziętego na własnych współobywateli, ale gotowego jej bronić własnymi piersiami, a tym sposobem pogodzisz się z Bogiem, z monarchą, z Kościołem i sumieniem. Późne wieki zapomną o błędach młodości lub, jeśli jeszcze staną im w pamięci, będzie to lekka mgła tylko, za słaba na przyćmienie świetnych słońca promieni.

Tu zamilkł biskup i wpatrywał się w Zbigniewa, jak gdyby z jego twarzy chciał skrytość serca przeniknąć. Na czole posępnym księcia znać było to niecierpliwość, to zamyślenie, a pomimo milczenia Stefana zdawał się go słuchać jeszcze. Słowem, wystawiał obraz człowieka dumającego bardziej o przeszłości niż gotowego do zrzeczenia się dumy i zaniechania najmilszych uczuć, by osiągnąć szacunek ludzi i nagrodę życia wiecznego. Mestwin, widząc wtenczas, że książę nic nie odpowiada, obawiając się, by słowa biskupa zanadto mocnego wrażenia na nim nie sprawiły, wyrzekł po cichu:

— Nieszczęśliwy kraj, gdzie męże do walki gotowi spuszczają miecze, składają zbroje na głos starca, nawykłego do klasztornej spokojności, nie do dzielnych bojów lub rycerskich igrzysk. Książę i panie mój, nie daj się przerazić! Czy dusza twoja za słaba? Czyż zbroja, znosząca

groty i razy, silniejsza od serca, które pokrywa? Obudź się, Zbigniewie — dodał ciszej jeszcze — bo już gaśnie twoja chwała! Zginąłeś, jeśli…

— Nie zginąłem — zawołał oburzony Zbigniew; porywając się z siedzenia, rzucił okiem na otaczających i zatrzymał go na Stefanie. — Nie — krzyknął — nie, nigdy raz dobytego nie schowam miecza, nie, na Boga i Najświętszą Pannę, kończ dalej swą mowę, biskupie! Chciałeś mnie zdradzić. Morderców wiedziesz za sobą. Mów dalej, słucham! mówże, dopóki słucham jeszcze! — Znów usiadł i schyliwszy głowę, skrył czoło w dłonie, ale można było poznać niecierpliwość ze wszystkich jego, choć nieznacznych ruchów.

Stefan nie stracił odwagi, z pogardą słyszał się obwinionym o zdradę, od której tak był dalekim, że nawet na ten zarzut nie odpowiedział, ale dalej i już groźnym głosem swej mowy dokończał.

— Przełożenia i warunki, które ci podałem dotąd, były łagodne, przemawiałem do ciebie jak ojciec do grzeszącego syna; ale teraz posłuchaj cięższych rozkazów Kościoła i Boga, słuchaj ich z uszanowaniem i wypełń, jeśli dbasz o ocalenie występnej duszy! Książę Zbigniewie, każę ci imieniem Kościoła, byś natychmiast broń złożył i rozpuścił wojsko! — Tu biskup zamilkł na chwilę.

— Cóż dalej? — odparł Zbigniew, podnosząc głowę i ściskając usta. A twarz zapłonioną od gniewu znów skrył między ręce.

— Byś oddał Hannę z Ciechanowa jej ojcu i błagał jego przebaczenia za tak ciężką wyrządzoną mu krzywdę.

— Nigdy! — krzyknął Zbigniew i znów zamilkł.

— Byś złożył na zawsze oręż, przywdział suknię zakonną i bosymi nogi udał się do naszego płockiego kościoła… — Tu stanął znowu biskup.

— Dobrze, cóż dalej? — zawołał Zbigniew, wszystkimi siłami wstrzymujący wściekłość w swych piersiach.

— Byś, zrzekłszy się pychy tego świata, rozdał majątki ubogim, wziął różaniec i kij pielgrzymi w rękę i poszedł do Rzymu. Damy ci listy do Ojca świętego, w których go upraszać będziemy, by wysłuchał cię i w nagrodę skruchy wyznaczył pokutę, za pomocą której łaskę boską odzyskasz.

— Cóż dalej? — znów ozwał się książę.

— Nareszcie, abyś odwiedził grób Zbawiciela w Ziemi Świętej, nigdy już nie wracał do Polski i zakończył życie, na nieszczęście ci dane, w klasztorze pośród modłów i żalu za zbrodnie. Takie ci teraz podaję warunki. Jeśli na nie przystaniesz, obiecuję ci w nagrodę przebaczenie ludzi na ziemi i przebaczenie Boga w niebiosach.

— Cóż dalej, biskupie płocki? Bo może jeszcze nie koniec? — zawołał Zbigniew. — Może co jeszcze masz dodać?

— Nic więcej, tylko żebyś kazał zdjąć okowy z rąk tego młodzieńca, który sprawiedliwie broniąc swojego życia, schwytany został przez twoich ludzi, spólników twych zbrodni.

Tak przemawiał Stefan, otoczony wrogami, jak gdyby tysiące mieczów wzniesionych było na poparcie słów jego.

— Kiedy taka twoja wola, zatrudniemy się tą sprawą, bo, na Boga — zawołał Zbigniew — nic więcej dla ciebie uczynić nie możemy! Wystąp, młodzieńcze! Niedługo cię tu zatrzymamy z wymierzeniem sprawiedliwości... jak się zowiesz?

— Pozwolisz, książę — odparł śmiało Henryk — że ci moje imię zataję.

— Słusznie, nie chcesz, by się rozgłosiło za prędko, żeś uległ haniebnej śmierci na szubienicy. Może odpowiesz na drugie pytanie: kto cię przysłał?

— Nikt i na to przysięgam w obliczu nieba i ziemi.

— Więc już sąd nasz się zakończył i jego wyrokiem skazany jesteś na powieszenie; spojrzyj przez okno, a ujrzysz gotową nagrodę za chęć zamordowania naszego powiernika! Sykucie! — dodał — oddaję ci tego człowieka i niech za godzinę patrzy w ziemię, a nogami jej się nie dotyka! Zapewnie, biskupie Stefanie, wyspowiadasz go przed śmiercią, bo co do nas, nie myślemy ci tej pracy zadawać.

Wystąpił po tych słowach zbrojny człowiek z orszaku otaczającego księcia i stanął przy skazanym młodzieńcu.

— Zbigniewie — ozwał się Stefan — zważ ostatnie słowa, które do ciebie przemówię. Może jeszcze na sprawiedliwej szali miłosiernego Boga twoje występki nie przechyliły zarodków cnoty i szlachetności, męstwa i odwagi, które wlał w twą duszę Stwórca świata. Zbrodnia, którą teraz chcesz popełnić, kto wie, czy nie przeważy i nie weźmie góry nad twoim szczęściem, nad twoją pomyślnością.

Te słowa, uroczyście wyrzeczone, zastanowiły księcia. Nic nie odpowiedział, ale wpadł w głębokie zamyślenie. Złożywszy ręce na piersiach, bystry wzrok wlepił w Henryka stojącego o kilka kroków, ale nie mógł dostrzec na jego twarzy żadnego znaku wzruszenia lub trwogi; owszem, często uśmiech pogardy dla otaczających osiadał na ustach giermka Mieczysława.

— Najjaśniejszy książę — nagle przerwał milczenie rycerz, który dotąd pilnie zważał na Henryka — przysięgam, że to jest Henryk z Kaniowa, giermek księcia Mieczysława, tak jak ja jestem Odrowąż z Górzewa.

— Mieczysława! — krzyknął Zbigniew i skoczył ze wzniosłego siedzenia. — Mieczysława! Więc już nie ma nadziei dla ciebie. Mieczysława! Zmów pacierze, odbądź spowiedź, bo zginiesz! Natychmiast wyprowadźcie go na dziedziniec! Widzisz tę wysoką szubienicę?

— Tym lepiej — odparł śmiele Henryk — bo im wyższa będzie od murów twego zamku, tym lepiej mój pan się o

moim zgonie przekona, tym pewniej jego zemsta spadnie na ciebie.

— Nie ma wątpliwości — dalej mówił Zbigniew — to morderca, przysłany od niego. Godziłeś na moje życie?

— Nie ma w zwyczaju książę i pan mój — zawołał Henryk — wyprawiać zbrodniarzy lub czynić zasadzki. Nie chowa się za murami. Nie przesiaduje w zamkach, kiedy dane jest hasło do boju na otwartym polu i każden rycerz w jego pierś mierzyć może.

— Zuchwalcze! — przerwał książę, przejęty burzliwym gniewem; dalej chciał coś mówić, ale głos skonał mu na ustach; kilka chwil chodził szybko po komnacie, nareszcie stanął.

— Wyprowadźcie go! — powtórzył. — Biskupie płocki, skończona nasza rozmowa. Prędko go wyspowiadaj, sami przytomni będziemy jego śmierci. Mestwinie, odprowadź kapłana tego z giermkiem na dziedziniec, zaraz tam przybędę. Odrowążu z Górzewa, pójdź zobaczyć, czy wszystko do walki gotowe, czy wszędzie w porządku stoją! Sam za wami zaraz pośpieszę. Idźcie!

— Niech żyje dzielny nasz książę! — zawołał Mestwin. — Henryku, giermku księcia Mieczysława, wzywam cię, byś szedł na szubienicę, z której, na Boga, będziesz mógł widzieć wszystkie pana swego czyny. Przewielebny ojcze duchowny, podobnież cię wzywam, byś za mną postępował dla oddania ostatniej chrześcijańskiej przysługi odważnemu młodzieńcowi, który niedobrze jednak wymiarkował twardość stali niemieckiej. Sykucie, zdejm mu okowy, trzeba śmierć mu przynajmniej przyjemną uczynić.

Na dziedzińcu zamkowym stała wysoka szubienica wystawiona dla przestraszenia żołnierzy, którzy by chcieli zgubny przykład dawać swoją niekarnością; otaczała ją zagroda z chrustu, u boków której stały dwa słupy, na jednym leżał topór, na drugim powrozy; do tej zagrody zaprowadził Mestwin Henryka, który, klęknąwszy, zaczął się

spowiadać biskupowi płockiemu. Nachylił się ku niemu Stefan, w którego oczach raz łzę można było dostrzec, to znowu ogień żywy, ponury, jak gdyby wezwanie boskiego przekleństwa na zamek i jego pana. Zbigniew, o kilkanaście kroków oddalony, przypatrywał się temu obrazowi; ale twarz jego straciła piętno nieugiętej woli i znać było na niej pewny rodzaj wahania się. Wszyscy otaczający, przerażeni tym widokiem, nie myśleli przerywać cichości; żołnierze poglądali na siebie, jak gdyby jeden drugiemu chciał powiedzieć: „Może i nas podobny los czeka.” Niedługo trwała spowiedź skazanego młodzieńca; wzniósł oczy do nieba biskup i z sercem pełnym wiary położył ręce na głowie tego, którego dusza miała wkrótce ulecieć do pierwszej ojczyzny.

— Odpuszczam ci grzechy, synu — rzekł poważnym głosem — umieraj z pewnością, że twoja młodość zmiękczy Stwórcę za złe, które mogłeś popełnić w przelotnym życiu na tej ziemi. Umieraj bez żalu za tym padołem nieszczęść, w którym często cnota opuszczona, a zbrodnia na szczycie wielkości; owszem, ciesz się nadzieją, że za chwilę u stóp tronu Króla Królów będziesz mógł błagać Jego miłosierdzia dla nieszczęśliwych braci.

— Ach! gdyby nie książę Mieczysław, gdyby nie Katarzyna — przerwał po cichu młodzieniec — bez żalu żegnałbym ten świat znikomy. Ale gdybym gdzie mógł dorwać się jakiej broni, może by jeszcze poczuli moją rękę.

— Oddal od siebie te myśli, mój synu, przebacz nieprzyjaciołom!…

— Prędzej, prędzej się tam odbywajcie! — zawołał Mestwin — czas upływa, słońce już w górze, a miecze nasze jeszcze w pochwach, a krew wrogów jeszcze w ich żyłach płynie!

— Milcz — przerwał Zbigniew — milczcie wszyscy! Słowa niemieckiego rycerza wróciły Henrykowi gniew, który na chwilę uciszył się w jego sercu, zajętym

rozpamiętywaniem czynów życia i nadziei po śmierci. Nagle zerwał się z miejsca i dobywając sił wszystkich, skoczył do żołnierza blisko stojącego; tak szybko się nań rzucił, że ten na pół tylko mógł dobyć miecza; przeważnym razem w piersi obalił go Henryk na ziemię, wyrwał mu sztylet u pasa zatknięty i przyłożywszy do gardła:

— Książę Zbigniewie — krzyknął — zginie ten człowiek, jeśli mnie nie puścisz natychmiast z biskupem płockim!

— Niech ginie! — zawołał Mestwin.

— Milcz! — przerwał Zbigniew i przez chwilę patrzał z uwagą na młodzieńca, stojącego z orężem nad leżącym żołnierzem. — Henryku z Kaniowa — zawołał — daruję ci życie, ale nie myśl, bym to czynił z bojaźni o życie tego człowieka, bo niewart służyć u mnie, kiedy nie umie mężnie się stawić bezbronnemu nawet; daruję ci życie, boś odważny; a żeby ci prawdy słów moich dowieść, zatrzymasz się w moim zamku, dopóki ten nędzny nie zginie. — Sykucie — krzyknął — prędko i bez spowiedzi, bo jej niegodzien, skończ mi z tym żołnierzem! Natychmiast Sykut z kilkoma innymi porwali się na nieszczęśliwą ofiarę i na śmierć zawiedli. Musiał biskup i Henryk patrzeć na śmierć żołnierza. Zbladły szedł on do szubienicy. Rzucał się po wielekroć do nóg Sykuta; ale groźna postać Zbigniewa nie dozwalała nawet myśleć o jego ocaleniu. Wszedłszy do zagrody, klął i krótką odmówił modlitwę, podczas której związali mu ręce z tyłu; powstał i oblany łzami wstąpił na rusztowanie, z którego rzewliwymi krzykami i ręką żegnał naokoło stojących towarzyszów. Srodzy ci ludzie bez wzruszenia patrzyli na ten okropny widok i nawet usłyszano kilka głosów, wyrzucających mu bojaźń i niewieście jęki. Zakrył twarz biskup Stefan, a kiedy po chwili znów pojrzał, już się ciało żołnierza kołysało w powietrzu. Jeszcze ruch gwałtowny nóg i twarzy oznaczał ostatek uchodzącego życia, kiedy nagle krew wytrysła mu z oczu i nosa. Głowa się schyliła, oczy zawarły, a piętno srogich boleści,

zachowane na martwym czole, nie zgadzało się z stalową zbroją i hełmem, świetniejącym odbitymi słońca promieńmi.

— Teraz wolni jesteście — rzekł książę. — Biskupie płocki, moją odpowiedzią jest, że jeśli boją się ze mną walczyć, to mogą broń złożyć i przebaczenia u stóp moich żebrać. Henryku, masz ten pałasz za odwagę! Patrzałem ciągle na ciebie, nie okazałeś najmniejszego znaku trwogi; gdybym był dostrzegł bojaźń na twojej twarzy, nie żyłbyś już teraz. Żegnam was obu.

Po tych słowach wrócił Zbigniew z Mestwinem do swoich komnat. Ciężka brama znów się otwarła, most zwodzony na skrzypiących opadł łańcuchach, a sługa Boży i dzielny młodzieniec, obronieni opieką nieba i własnym męstwem, wyszli z zamku, w którym już teraz wszystko w pogotowiu stało do nieodzownej walki.

ROZDZIAŁ X

Zewsząd szczęk mleczów, wrzask, chrzęsty pancerzy,
Pryskają bronie, lecą hełmy, głowy;
Co miecz oszczędzi, druzgocą podkowy.
Grażyna

Biskup płocki pośpieszył oznajmić czekającym na jego powrót wodzom, że wszystkie starania nadaremno łożył, żeby odwrócić Zbigniewa od wojny domowej i ze łzami w oczach zapowiedział, że odjeżdża uwiadomić o tym króla i pocieszyć go w ciężkich tęsknotach świętymi myślami.

— Więc już nie ma co zwlekać! — krzyknął Mieczysław — za mną, towarzysze, bracia, za mną!

Po tych słowach rzucił się na czele wojska i spiesznie przebiegł dzielącą go od zamku równinę; za nim poszli Wszebor i Sieciech ze Skarbimirem, którego twarz zbladła i na pół otwarte usta wydawały przerażenie i bojaźń o życie. Nie wstrzymały dzielnych hufców strzały sypiące się z murów i kamienie na nich rzucane z baszt i wież wysokich, a choć niejeden, śmiertelnym ugodzony ciosem, padł bez ducha, inni, pragnący się odznaczyć pod okiem młodego księcia, za jego wodzą na śmierć i niepewną odważali się walkę.

Henryk w zupełnej zbroi szedł za Mieczysławem, a całe wojsko garnęło się za nimi do murów. Zdawało się, że jeden zapał wszystkich ożywia i nawet powolny Bardan podwoił kroku, choć widział kryjącego się pomiędzy rotami pana. Sieciech z zimną krwią i właściwą sobie rozwagą urządzał bitwę; dawał znaki i hasła, zachęcał, zagrzewał do odwagi, sam się rzucał naprzód, znów ustępując, szykował złamane szeregi, wracał do porządku rozerwane orszaki. Krzyżowały się w powietrzu strzały i włócznie, z, obu stron rzucane. Tarany tymczasem, przez część żołnierzy niesione, powoli

przysuwały się do bramy i pomimo grotów nieprzyjacielskich zapełniono fosę zamkową ziemią, darniem, kamieńmi i chrustem, do tego sporządzonym.

Na najwyższej stronie murów widziano męża wzniosłej postawy, w czarnej zbroi i z odkrytą twarzą, a choć w takiej odległości rysów jego rozeznać nie można, z rozkazów przezeń dawanych, z nadzwyczajnej odwagi i spokojności, okazywanej wśród boju i grożącej śmierci, łatwo było poznać Zbigniewa. Przy nim stał niżej nieco rycerz, który z równym męstwem zachęcał żołnierzy i czasem, porwawszy łuk od stojących ludzi, niemylne wysyłał ciosy. Pięć razy już wymierzył w serce Mieczysława, a pięć razy głos księcia: „Stój, Mestwinie!” — wstrzymał go, bo Zbigniew, pałając nienawiścią ku synowi Bolesława Śmiałego, sam chciał się jego śmiercią i nacieszyć i wsławić. Wrzask, krzyki, rozkazy tłumnie się mięszały, chrzęst zbroi, świstanie rozrywających powietrze pocisków, jęki ginących i rannych unosiły jego duszę, urągał się z śmierci i niebezpieczeństw. Rzucone strzały rzadko dochodziły miejsca, na którym stał, czasem tylko u stóp jego padał osłabły już pocisk; wtenczas z uśmiechem pogardy odsuwał go nogą lub też oddawał Mestwinowi, który szczycąc się z doskonałego strzelania, natychmiast znów go wypuszczał na oblegających, a wtenczas rzadko chybiał celu. Kilku jeszcze innych łuczników otaczało Zbigniewa i jak gdyby dla zabawy, różnych sam im wskazywał rycerzy. Za jego rozkazem szybkie wylatywały groty i podobne do piorunu, padały na wskazane ofiary.

Wtem jeden z nich zwrócił oczy na Wszebora, stojącego przy ludziach, taran do murów przysuwających. Natychmiast, poznawszy po świetnym hełmie, że to jakiś wódz być musi, naciągnął łuk, przyłożył strzałę na drgającą cięciwę; ale postrzegł to Zbigniew i pamiętny danego słowa, silnie uderzył w pierś łucznika; wyleciał grot, ale już bez siły i prosto w górę, po chwili upadł przy księciu.

— Niech żaden z was nie godzi na życie tego człowieka — krzyknął Zbigniew — bo ze mną będzie miał do czynienia! — i wskazał na szubienicę, u której kołysał się nieszczęśliwy żołnierz. — Wszebor i Mieczysław nie są waszym przeznaczeni ciosom. Dosyć innych macie. W tego, w tego trafcie — dodał, wskazując Sieciecha — w tego zdrajcę, który dawniej z przyjaźnią mi się oświadczał!

Nie ukończył tych słów jeszcze, a już strzała utkwiła w pancerzu Sieciecha, ale wielka odległość moc jej osłabiła, nie mogła nawet przebić zbroi; odrzucił ją wojewoda krakowski i dobywszy miecza, ukazał go Zbigniewowi. Zrozumiał znak ten książę i krzyknął, jak gdyby tamten mógł go usłyszeć:

— Może dadzą nieba, że się spotkamy, a wtenczas żegnaj się z życiem!

Tymczasem w niektórych już miejscach zasypano fosę, przystawiono drabiny i rzucił się na jedną z nich Mieczysław. Henryk skoczył na drugą i z kilkoma rycerzami oba wdzierali się na wysokie mury. Zbigniew chciał zaraz pobiec naprzeciw śmiertelnemu nieprzyjacielowi, ale widząc, że wkrótce cały rów zasypią, musiał zostać na miejscu, z którego najlepiej mógł uważać obroty przeciwników i skąd najłatwiej mu było dawać rozkazy i rozsyłać ludzi. Posłał więc tylko Odrowąża z Górzewa z kilkoma zbrojnymi na wstrzymanie Mieczysława i na zrzucenie z drabin żołnierzy, już wierzchołka muru dochodzących. Ale nim doszedł ten rycerz do przeznaczonego miejsca, już młody książę z Henrykiem na mur szeroki wyskoczył.

Za nimi cisnęli się żołnierze, wołając:

— Górą książę Mieczysław! Górą dzielny nasz książę!

Ale w tej samej chwili rozstawieni po innych stanowiskach łucznicy tak zręcznie zaczęli razić pociskami wrogów, że niepodobnym się stało przystawić więcej drabin do muru, a mała tylko liczba zbrojnych mogła się wdzierać i

to powoli, na te dwie, którymi Mieczysław i Henryk dostali się na nieprzyjacielskie baszty; przybył też i Odrowąż z Górzewa i zacięta zaczęła się walka. Spuściwszy przyłbicę, syn Bolesława Śmiałego oparł się o szeroki kamień i walecznie napadających odpierał, Henryk zaś posunął się dalej i wszelkimi siłami starał się dojść do Odrowąża. Dopiął wreszcie celu swych życzeń i stanął o dwa kroki od rycerza.

— Poczekajże — zawołał, widząc, że ten chce przerżnąć się aż do Mieczysława — niegodnyś z rąk mego pana zginąć, poczekaj, niech ci się za dzisiejszą odpłacę przysługę!

Usłyszawszy te słowa, odwrócił się Odrowąż.

— Na Boga — zawołał — czyż wniwecz obróciły się zwyczaje i prawa nasze? czyż prosty giermek już wyzywa rycerza ze złotymi ostrogi?

Nic nie odpowiadając, zaczął Henryk walkę, której wypadku niedługo oczekiwali otaczający: po kilku zwarciach upadł Odrowąż śmiertelnie przebity; porwał go za hełm Henryk i zrzucił z murów w szeroką fosę.

— Macie — krzyknął — na czym oprzeć drabinę! — i wrócił do Mieczysława, który z równą potykał się odwagą. Widział Zbigniew śmierć rycerza i brwi zmarszczył.

— Na szatana, uparta bitwa! ale niech się sam tylko wmieszam, to zobaczymy; muszę tu jeszcze zostać. Jordanie z Gozdawy, pójdź im na pomoc!

Natychmiast mąż olbrzymiej postawy odłączył się od książęcego orszaku i pobiegł stanąć na miejscu nieszczęśliwego Odrowąża.

— Zaręczam ci, książę i panie mój — zawołał, odchodząc — że wkrótce te muchy odlecą, nie takichem ja na Pomorzu do ucieczki zmuszał.

— Dobry rycerz — ozwał się Zbigniew do Mestwina, patrzącego z uśmiechem zwyczajnym na rzeź i mordy — a

choć najczęściej chwali się z tego, co nie zrobił, w przypadku potrafi wszystko zrobić, co mówi, że już tysiąc razy uczynił.

Wtem zbliżył się do księcia człowiek w szerokiej, czarnej sukni, bez zbroi i oręża. Broda, do której siwe włosy już się mięszały, spływała na piersi, w oczach widać było spokojność, dowodzącą, że nie pierwszy raz patrzy na boje. Trzymał pod ręką kształtnie wyrobioną szkatułę, a u rzemiennego pasa wisiały klucze, flaszka napełniona żółtawym płynem i pomniejsze narzędzia, na które niewiadomi ich przeznaczenia i użytku z podziwieniem patrzyli żołnierze.

— Abrahamie z Hamburga — zawołał Zbigniew — już jeden z naszych rycerzy nie potrzebuje twojej pomocy; spojrzyj w rów pod nami będący, a tam zobaczysz jego ciało i zapewnie mimo wielkiej nauki nie masz już nadziei wrócenia go do życia.

— Najjaśniejszy, najpotężniejszy panie — odparł złą polszczyzną Żyd lekarz — mam nadzieję, że Bóg Izraela pozwoli, by moje usługi przydały się innym ludziom, bo co do tego, już ciało jego się rozprzęga, opuszczone od duszy. Stąd dostrzegam sine pręgi na jego twarzy, co jest znakiem śmierci gwałtownej, jak o tym Ben Masaadi pisze w rozprawie o nieprzewidzianych zgonach.

Po tych słowach głęboko się ukłonił księciu, stanął niedaleko i wyjąwszy długi pargamin, uważnie czytać zaczął dziwaczne na nim charaktery tak spokojnie, jak gdyby w własnym się widział pokoju; potem zwinął go w trąbkę i oddalił się, niosąc ratunek rannym.

— Dobrzem zrobił — rzekł Zbigniew do Mestwina — żem tego Żyda zamówił do siebie przed rozpoczęciem oblężenia, bo widzę, że, na nieszczęście, często go będziemy potrzebować. Ale patrz, tam nasi giną! Jordan z Gozdawy dzielnie się potyka.

— Dzielnie — odparł Mestwin — dzielnie, na Boga, ale cóś mi powiada, że niedługo kroku Mieczysławowi dotrzyma; dobrze, że Abraham nadszedł, żołnierze nasi przypatrują mu się z uwagą, powtarzając wyrazy: „Czary, czarnoksiężnik.” — Czy piekło się na mnie sprzysięgło? — przerwał mu Zbigniew — już mało naszych się opiera. Jordan wraca ich jednak do porządku, dobrze, znów zacięty bój się wszczyna. Kazałem, by żaden nie tknął Mieczysława, bo i tak niedługie mu już dni zostały; zachowuję dla siebie przyjemność zabicia go własną ręką; ale co do tego Henryka, bodaj go szatan porwał, szkoda, żem go tu nie zatrzymał! Łucznicy — dodał donośnym głosem — lepiej mierzcie, prosto w serca wrogów, za rzadko trafiają wasze groty!

Tymczasem Wszebor starał się ciągle o przystawienie więcej drabin. Sieciech zaś z drugiej strony kierował oblężeniem; kazał szeregowi swoich żołnierzy w pewnej odległości od murów wysypać wały, zza których bezpiecznie mogliby odpowiadać pociskom z zamku rzuconym; tą roztropną zatrudniony pracą, nie wiedział, że Mieczysław walczy na murach nieprzyjacielskich. Długiego czasu potrzeba było na usypanie tych szańców, ale nareszcie pomimo ciężkich strat, które co chwila doznawał, potrafił obrać korzystne stanowisko i zasłonić swoich od niebezpieczeństwa walczenia na otwartym polu przeciw nieprzyjaciołom ukrytym w strzelnicach i wieżach. Równowaga między ginącymi z obu stron się ustaliła; na każden wystrzał z zamku odpowiadała strzała zza wałów usypanych, które, z świeżej ziemi zrobione, wkrótce pokryte zostały mnóstwem chybiających pocisków. Z równym męstwem z obu stron wytrzymywano walkę, równa zręczność odznaczała obu wojsk żołnierzy; kilka razy Sieciech usiłował zbliżyć się do murów i zapełniwszy fosę, szturm przypuścić, ale pomimo jego odwagi, pomimo dzielności Jarosza z Kalinowy, tyle tracono ludzi, jak tylko

występowano zza szańców, że musiał, zaniechawszy tego zamiaru, poprzestać na własnej obronie, czekając pomyślnych nowin od drugiej połowy wojska, której nie mógł widzieć, oddzielony od niej częścią rozległych murów, w kąt na równinę występujących; miał jednak nadzieję, że kiedy się powiedzie Mieczysławowi, da mu on znać o tym i że Zbigniew, przymuszony zwołać swych ludzi do najważniejszego miejsca, ogołoci z części obrońców baszty, których dobywał i że wtenczas łatwiej mu będzie na nie się dostać. Oczekując tego wypadku, z krwią najzimniejszą wyznaczał każdemu miejsce i powinność.

Tymczasem Jordan z Gozdawy pełnił obowiązek dzielnego rycerza; jak tylko zbliżył się do miejsca walki, zaczął zachęcać już ustępujących przed Mieczysławem.

— Górą książę Zbigniew! — zawołał — za mną, wiara! za mną, bracia! strąćmy ich z tych murów!

— Górą Zbigniew, książę i pan nasz! — krzyknęli żołnierze i z odrodzonym męstwem wrócili do bitwy. Niejeden jeszcze tu zginął, niejeden, ciężko raniony, musiał ustąpić, ale pozostali, widząc odwagę Jordana, wstydzili się uciekać, kiedy ich wódz, nie dbając o życie, na ciosy i śmierć tak pięknie się narażał.

Poznał Mieczysław, że nie potrafi utrzymać się na zajętym stanowisku, jeśli nie zabije dzielnego przeciwnika i do tego celu zwrócił wszystkie usiłowania. Trudno mu jednak było przerżnąć się przez tłum walczących do rycerza, siejącego postrach i rzeź dokoła; powstało największe zamięszanie i kiedy nowe posiłki nadciągały po dwóch drabinach, których nie mogli obalić pomimo największych starań żołnierze Zbigniewa, Jordan, porwawszy ogromny kamień, tak zręcznie go rzucił, że połamał kilka szczeblów u pierwszej drabiny; runęli ludzie, po niej wdzierający się na mury, w głęboką fosę i jęki ich pomnożyły trwogę otaczających Mieczysława. Wkrótce i druga padła z łoskotem, a z nią zdawało się, że wszelka

znikła nadzieja dla młodego księcia, już nielicznym wspieranego żołnierzem. Nie zmniejszyło to jednak zapału syna Bolesława i z nową wściekłością rzucił się pomiędzy nieprzyjaciół, zasłaniając się tarczą, znów mieczem, torując sobie drogę z wiernym giermkiem, kładł trupem opierających się, ale uczuł, że już słabnie i że, jeśli dłużej tak nierówna potrwa walka, niezbędnie zginąć mu przyjdzie. Dobywając więc wszystkich sił, roztrącił kilku żołnierzy stojących przed Jordanem i wpadł na rycerza. Skrzyżowały się ich miecze, a ogień ich oczu wydał uczucia duszy. Zwarli się wstępnym bojem, zaczynając krwawy pojedynek, w którym okazywali, że jeden drugiego jest godnym, bo oba z największym męstwem i z największą walczyli zręcznością.

— Książę i panie mój — zawołał Mestwin na Zbigniewa, gdzie indziej patrzącego — zwarli się; ciekawy jestem, na którym z nich wieczerzać dziś będą sępy.

Pojrzał w tę stronę Zbigniew i w tej samej chwili dobył oręża.

— Już czas to zakończyć — rzekł — wcześniej czy później trzeba go zabić. Zapomniał chyba Jordan o moim rozkazie. Jordanie z Gozdawy — krzyknął całymi piersiami, biegnąc do niego — Jordanie z Gozdawy, złóż oręż, jeśli dbasz o moją łaskę!

Doszły te słowa do uszów rycerza. Schylił pałasz i wściekle go rzucił na stronę.

— Przez duszę Eryka Steiffroka, któregom zabił w Prusiech, wolałbym zginąć z rąk kata niż takie słyszeć rozkazy!

Szlachetny Mieczysław nie korzystał z tej chwili, żeby zamordować wroga i spuściwszy oręż, z najżywszą niecierpliwością czekał na Zbigniewa, wprost ku niemu lecącego.

— Dziękuję ci, Jordanie, za posłuszeństwo — rzekł książę, przybiegając — teraz z tobą będzie sprawa! — i wpadł na księcia. — Niechaj mi nikt nie pomaga, niechaj nas nikt nie rozdziela! Do pochew oręże schowajcie wszyscy! Teraz ja zaczynam walczyć.

Tu dopiero poczęła się walka długa, uparta, której przypatrywali się wszyscy z trwogą i pewnym rodzajem uszanowania. Na każdej twarzy można było wyczytać przykre oczekiwanie wypadku, który jedną lub drugą stronę miał w smutek i zgubę najgłębszą pogrążyć. Nie tylko na murach, ale i na równinie wszyscy bitwy zaprzestali i umilkli. Wszebor podniósł oczy do góry, a za każdym uderzeniem orężów coraz większą czuł bojaźń. Sieciech niepomału się zadziwił, kiedy wrzaski ustały, kiedy wszystko w milczeniu grobowym się pogrążyło; nie wiedząc tego przyczyny, darmo starał się ją wyśledzić. Skarbimir nawet podniósł schyloną głowę i na chwilę zapomniał o pieniądzach, słowem, wszyscy spuścili na dół miecze, łucznicy zarzucili broń na piersi, rycerze oparli się na pałaszach i pilnie najmniejsze dwóch przeciwników uważali poruszenia.

Zbigniew dziwił się, że tak długo mu się młody przeciwnik opiera i natężał wszystkie siły na pokonanie jego. Syn dzielnego Bolesława za każdym uderzeniem czuł podwojone męstwo i z największą zapalczywością raz odpierał, znów wpadał na wroga. Poszczerbione pałasze, pokrysowane zbroje dowodziły obu zręczności, ale krew dotąd nie płynęła i podobną była walka do igrzyska na turnieju. Wyćwiczony w setnych bojach Zbigniew zaczął jednak mieć przewagę; jednym uderzeniem oderwał przyłbicę od szyszaka Mieczysława, drugim przeciął pas, który, zwieszony na pancerzu, utrzymywał pochwę. Nie mógł go jednak przymusić do odstąpienia i jednego kroku; nareszcie po długich usiłowaniach tak dzielnie uderzył o rękojeść pałasza Mieczysława, że ten opuścił rękę na

chwilę. Radość zajaśniała w oczach Zbigniewa. I już miał utopić oręż w piersi przeciwnika, kiedy nagle zbladł, skłonił głowę na piersi i przykląkł. Strzała, rzucona z równiny, tkwiła mu w lewym ramieniu, a potoki krwi zbroję mu oblały.

Mieczysław, choć tęgim uderzony razem, nie odebrawszy żadnej rany, wyniósł pałasz do cięcia; ale jego żelazo, spadając, odbiło się o miecz rycerza, który rzucił się między nim a Zbigniewem, krzycząc:

— Zanieście księcia do komnat i zawołajcie Żyda!

Zbigniew, niesiony przez wiernych żołnierzy, ustępował z pola bitwy; ostatnie słowa jego były:

— Mestwinie, zakazuję ci z Mieczysławem walczyć, bo on z mojej ręki zginąć musi!

Słyszał dobrze słowa pana swojego Mestwin, ale jednak nie zaprzestał boju i zapewnie znużonego przeciwnika byłby pokonał, gdyby rzucający się z obu stron do broni żołnierze nie byli ich przedzielili w zamięszaniu.

Coraz trudniejszym stawało się położenie Mieczysława. Osłabiony, nie mógł z równą jak pierwej potykać się dzielnością. Razy jego padały na zbroje wrogów, ale już do ich serca przedrzeć się nie mogły. Zasłaniał go Henryk i jak lew rozjuszony zaścielał trupami mury, ale na próżno tak bohaterskiego męstwa dawał dowody, bo Mestwin ściągnął z innych miejsc posiłki i coraz bardziej nadchodzące hufce tłoczyły się na przerzedzonych obrońców Mieczysława. Widział książę, jak u stóp jego padali żołnierze i mógł już porachować nielicznych zostających jeszcze przy życiu towarzyszy.

Jeszcze dosyć długo trwała zacięta walka, aż dopóki sam tylko Mieczysław i Henryk nie zostali, bez żadnej wprawdzie rany, ale do szczętu znużeni. Mestwin wołał głośno na żołnierzy, by giermka zabili, a pana starali się pojmać. Ostateczna zguba już bliską była tych dwóch

młodzieńców, kiedy Wszebor po długich usiłowaniach potrafił przysunąć drabinę do murów o kilkanaście kroków od miejsca, w którym potykał się książę.

— Zatrzymajcie ich, niech nie dojdą do drabiny! — krzyknął Mestwin — i sam na czele dobranych rycerzy chciał zabiec Mieczysławowi, ale nim to mógł uskutecznić, już dzielny książę, stanąwszy z Henrykiem przy drabinie, skoczył na nią.

— Łucznicy — zawołał Mestwin — dosięgnijcie ich, pociskami dobrze wymierzcie! Kto trafi księcia, dwanaście sztuk złota dostanie!

Na te słowa wyleciała chmura strzał, z których żadna nie trafiła schodzących bohaterów. Po chwili Mieczysław z giermkiem dostali się do równiny. W tej samej chwili ogromny kamień, rzucony przez rycerza z Wilderthalu, zwalił drabinę. Łucznicy znowu rozstawili się po basztach i dawna wróciła się bitwa, ale nie z taką odbywana jak rano prędkością, bo znużeni żołnierze dobrze naciągać łuków już nie mogli.

Tymczasem Sieciech, dowiedziawszy się o zdarzonych wypadkach przez Jarosza z Kalinowy, którego był posłał do Wszebora, przybył natychmiast z kilkoma rotami i z Skarbimirem, którego wszędy z sobą wodził, ale już zastał Mieczysława u stóp murów, na których niedawno z tak bohaterskim potykał się męstwem.

— Górą książę Mieczysław! — krzyknął, uniesiony walecznością młodzieńca — do drabin, żołnierze moi, do murów! — i sam porwał drabinę i przystawił do wysokiej wieży, ale zaraz runął na nią kamień i w kawałki potrzaskana, w fosę wpadła.

— Nic już im dzisiaj nie zrobimy — rzekł Sieciech — przecież to od rana przepowiedziałem; trzeba żołnierzom i nam samym spoczynku; moją radą jest wrócić do obozu i jeśli się podoba księciu Mieczysławowi, dam znak do odwrotu.

— Nie, nigdy! — krzyknął młodzieniec.

Sieciech wskazał ręką na trupy wiernych księcia towarzyszy, które częścią jeszcze na murach, częścią w rowie leżały.

— Czyż wszyscy dzisiaj mamy tak zginąć, książę? Czyż taka twoja wola? Wprzód usypmy szańce na polu, przygotujmy tarany, drabiny, chrusty, kamienie, zaopatrzmy się w oręż i żywność, przetnijmy dowozy do zamku, poczekajmy na posiłki z Ciechanowa przybyć mające, a wtenczas żołnierze z większą ufnością pójdą do boju. Nareszcie wszyscyśmy znużeni i trzeba nam kilka dni odpoczynku, to na wyleczenie rannych, to na pochowanie zabitych, to na pokrzepienie osłabłych; ale zresztą czekam na oznajmienie twej woli, książę.

— Przystaję na twoją — odparł Mieczysław — uznając roztropność rad twoich, ale nim nakażemy odwrót, wprzód jeszcze święty wdzięczności nas wzywa obowiązek, który najchlubniej na tym krwawym pobojowisku spełnić. Henryku, zegnij kolana!

Przykląkł na rozkaz pana giermek, a książę Mieczysław uderzył go w ramię po trzykroć skrwawionym mieczem.

— W imieniu — rzekł — Boga, Najświętszej Panny, Świętego Michała i Stanisława pasuję cię na rycerza, Henryku z Kaniowa; bądź rzetelnym, pobożnym i walecznym, a na znak swojej godności przyjm ten upominek ode mnie! — To mówiąc, zdjął świetny łańcuch złoty z piersi i zarzucił go na szyję Henryka, którego własną podniósł ręką, dodając, że mu najmilej będzie, jeśli przy jego boku pozostać zechce.

— Ciebie bronić i tobie służyć pierwszą zawsze dla mnie powinnością będzie, książę i panie mój! — odpowiedział rycerz Henryk z Kaniowa, kiedy tymczasem grad pocisków nieustannie raził oblegających.

— Wojewodo krakowski — zawołał Mieczysław — daj znak do odwrotu!

Natychmiast zagrzmiała trąba; usłyszane to hasło wstrzymało od bitwy wszystkie wojska szeregi. Zwinięto sztandary, odsunięto tarany, pozbierano, o ile można było, trupy i z tym smutnym morderczej walki dowodem zaczęły ustępować hufce; wodzowie szli za swoimi rotami; ostatni raz strzały wysypały się na nich z zamku Zbigniewa, ale niewielu trafiły. Wieczór się już zbliżał; słońce zapadało, otoczone orszakiem chmur złotych, jak król, odchodzący z swoimi dworzany. Czasami odzywały się tłumne głosy, czasami słyszano piosnkę żołnierską, a wkrótce potem wojsko weszło do obozu, gdzie ze smutkiem liczyli wojownicy nader mnogą liczbę namiotów opuszczonych, pozbawionych już swoich rycerzy.

ROZDZIAŁ XI

Turnieje, zabawy rycerskie niech
ukołyszą wzburzone serca przeciwników —
niech sobie dłoń podadzą bratnią!
Stary romans

Zboczymy teraz od głównych osób naszej powieści, wracając do biskupa Stefana, który, odjechawszy w chwili rozpoczęcia walki, smutnie zbliżał się do Płocka.

Puściwszy wolno cugle koniowi, rozmyślał starzec nad nieszczęśliwymi skutkami wojny domowej i niezgody i szukał jeszcze sposobów ich odwrócenia. To cichą serca modlitwą błagał Boga, to znów pogrążony w zadumaniu, ważne odkrywał widoki i nowe przedsiębrał zamiary. Daremno towarzyszący rycerze chcieli przerwać jego czarną smętność; nie zważając na ich mowy, spokojnie, w milczeniu jechał; ale kiedy już stałe powziął przedsięwzięcie, kiedy znalazł sposób, którym się spodziewał, że zaradzi nieszczęściom ojczyzny, ściągnął osłabłą ręką wodze u konia i krok jego przyśpieszył. Dostawszy się do Płocka, zsiadł przy swoim mięszkaniu, złączonym z kościołem katedralnym i wszedł do niego; ale kiedy wszyscy sądzili, że myśli odpocząć po tak męczącej drodze, znów go ujrzeli wracającego na ganek i na koń siadającego. Ale nie ku obozowi już się teraz obrócił; udał się w najludniejszą stronę miasta i po kilku chwilach wjechał na dziedziniec zamku królewskiego. Zostawiwszy konia jednemu z swoich koniuszych, wszedł sam do sieni i znikł z oczu zdziwionych dworzan, którzy nie wiedzieli, co rokować z tak nadzwyczajnego pośpiechu w osobie tak wysokiej godności i lat tak podeszłych.

Wielki sokolnik, Wolimir z Moskorzewa, siedział w przedpokoju królewskim, pustym teraz, bo wiele osób

zwyczajnie go zapełniających udało się częścią do Zbigniewa, częścią do Mieczysława. Bez wątpienia myślał o przyjemnym dla siebie przedmiocie, bo uśmiech całą twarz mu rozjaśniał, a pukiel czarnych włosów, któremu z umileniem się przypatrywał, trzymał w prawej ręce; na lewej zaś sokół ulubiony trzepiotał skrzydłami. Zapewnie głęboko musiał się zastanowić nad drogim upominkiem, bo nie słyszał otwierających się drzwi za sobą i dopiero za dochodzącymi go słowy: „Wolimirze! czy można naszego miłościwego króla oglądać?” — odwrócił się i ujrzał stojącego Stefana. Zawstydzony, że go biskup podszedł, kiedy rozmyślał o rzeczach tak światowych, porwał się natychmiast z krzesła, schował przedmiot miłosnych dumań i odpowiedział, że choć najjaśniejszy pan słaby na zdrowiu, zapewnie jednak nie odmówi odwiedzin biskupa płockiego.

— Oznajm mu więc, proszę cię, moje przybycie i powiedz, że ważne przynoszę nowiny.

Poprawił trochę pomięty kołnierz wielki sokolnik, otarł rękawicą buty, wziął do ręki czapkę z czaplimi pióry, przypasał pałasz leżący na stole i udał się do Władysława Hermana; niezadługo potem wróciwszy, wprowadził biskupa do króla polskiego, który spoczywał na łożu, osłonionym bogatą makatą i ciężkie koił boleści ciągłymi modły.

Ledwo wszedł biskup do pokoju, aliści Władysław powstał i opierając się na ręku:

— Co się stało ze Zbi… — zawołał i zatrzymawszy się — Wszebor, Mieczysław co robią? Ale czegoż mam ukrywać słabość moją? Zbigniew, Zbigniew! Co się ze Zbigniewem stało, kapłanie?

— Królu i panie mój, Zbigniew jest w swoim zamku. Tam go przynajmniej zostawiłem.

— Cóż mówił? cóż zamyślał, biskupie? Czy nie ranny? Czy zdrów? — zapytał król, zapominając o tym, że Stefan nie był walce przytomny.

— Starałem się — odrzekł biskup — namową odprowadzić go od nieszczęśliwych wojen, wystawiałem mu wszystko, co sądziłem być zdolnym do wzruszenia jego serca, ale chęć sławy, namiętność do bitew przemogła nad moje rady i teraz zapewne bój się już toczy.

— Twoja to wina, krwi pragnący kapłanie! — zawołał król w rozpaczy. — Tyś mię przymusił wydać rozkaz Sieciechowi do bitwy. Tyś uzbroił moją rękę na syna, ty, wyzuty z najmilszych uczuć, rozerwałeś, rozszarpałeś moją duszę, tobiem winien strapienia, zgryzoty, a wkrótce może i stratę syna. Stefanie, gdyby nie twoje namowy i groźby, teraz może przy Zbigniewie doznawałbym najżywszych miłości ojcowskiej wzruszeń. Nie musiałbym się co chwila obawiać o śmierć mojego dziecięcia, co chwila wyobrażać sobie podniesione nań miecze lub utykające w jego piersiach strzały. Użyłeś za narzędzie swoich zamiarów słów boskich. Pogroziłeś mi piekłem, obiecywałeś zbawienie; gdzie to zbawienie, kapłanie? gdzie ta nagroda sprawiedliwości? Może nazwiesz nagrodą żal zapełniający mój umysł, boleść pożerającą me serce, przerażenie ściskające wszystkie moje żyły? Tyś wszystko pogmatwał, tyś wszystko na złe obrócił, a teraz jeszcze jak duch piekielny przychodzisz się urągać z twojej ofiary!

Wytrzymał tę burzę biskup z największą spokojnością od początku do końca; nareszcie, kiedy król przestał mówić i opadł na łoże, z uroczystą ozwał się powagą:

— Panie mój miłościwy, widzę z żalem, jak daleko szlachetne i chlubne twego serca przymioty mogły cię unieść; wszystko ma przeznaczone dla siebie granice, a miłość ojcowska nawet ich przekraczać nie powinna. Dla przywar i występków syna nie godzi się cały naród poświęcać i poddanym krzywdy wyrządzać. Nieszczęście zesłało na twoją głowę trudne do zniesienia ciężary, bo przyznaję, że syn nieposłuszny i nie odpowiadający staraniom ojca — najboleśniejszym jest ciosem; możesz go

żałować, możesz opłakiwać jego błędy, ale nigdy im pobłażać, kiedy jeszcze tyle dzieci innych, poddanych przez Boga twojej piece, woła o sprawiedliwość. Wspomnij, królu, na tego patriarchę, szanownego sędziwym wiekiem i tyloma cnotami, wspomnij na jego syna, tak różnego od dzisiejszych synów, tak pobożnego ku Stwórcy, tak posłusznego swojemu rodzicowi! A jednak ojciec za rozkazem Pana niebios nie wahał się wznieść noża ofiarnego na głowę niewinną swojego dziecięcia. Porównaj jego położenie z swoim, jego poświęcenie z własną słabością! Królu Lechii, zbierz siły i mocny otuchą, że Bóg sprzyja cnocie, przestań narzekać na Niego, schyl głowę przed sądami Stwórcy i posłuchaj rad moich, posłuchaj, jaki sposób wynalazłem do uratowania Zbigniewa, do pogodzenia go z Mieczysławem!

— Jakiż to sposób? — zawołał król, który już przestraszony własną śmiałością, gotów był błagać o przebaczenie biskupa — jakiż to sposób, święty Boga pomazańcze? Daruj mi niebaczną mowę! Uniósł mię gniew niesprawiedliwy, bezbożny, ośmieliłem się powstać na człowieka Bożego. Zapomnij o tym, biskupie płocki! Król polski przeprasza ciebie i zarazem Boga, którego jesteś pośrednikiem na ziemi; powiedz, co odkryłeś na wyratowanie Zbigniewa, na ocalenie syna mojego!

— I ojczyzny razem, miłościwy mój panie — odparł biskup. — Twoje uniesienie już z mojej uszło pamięci, człowieka słabość ustąpiła przed uszanowaniem winnym mojemu monarsze. Byłem w zamku Zbigniewa, widziałem przygotowania do bitwy, widziałem twarz jego zachmurzoną żalem i wyrzutami sumienia; ale źli doradzcy, ale szatan wszędzie mu towarzyszący, ten rycerz niemiecki, odwiedli jego kroki od cnoty i sławę, o którą się ubiega, wskazali mu wpośród zbrodni i morderstw. Bóg nieprzebrany w litości może go jeszcze nawrócić do siebie; spoglądałem nań z uwagą, kiedy mi przyszło twe imię wymówić i dostrzegłem

na licach uczucia skołatanej duszy; nazwisko ojca go wzruszyło, pamięć na ciebie wprawiła w wahanie i mam słuszne przyczyny do wnoszenia, że gdyby łzy twoje ujrzał, napominania usłyszał, dobroć poznał, wtenczas by się rozczulił i dla ojca odrzekł się niegodnych związków i niegodnych czynów.

— Biskupie — rzekł król słabym głosem po chwili namysłu, podczas której zdawało się, że sobie coś przypomina — kocham go nade wszystko, ale dobrze pamiętam, jak niedawno temu zaparł się przede mną występku swego, jak dał słowo, że nic nie wie o porwaniu Hanny. Syn, którego wychowałem, pieściłem w dzieciństwie, który nieraz spoczywał na moim łonie, obrócił się przeciwko mnie samemu, oszukał moją dobroć, ufność zdradził, przysięgając, że nie spełnił zbrodni, do której wszystko go teraz zmusiło się przyznać. Ileż razy mówiłem mu dawniej: „Zbigniewie, jeśli co złego popełnisz, przyznaj się ojcu! u niego pobłażanie i miłość znajdziesz. Chytrzy, fałszywi przyjaciele namówią cię do jakiego występku, nieostrożny wpadniesz w przepaść, ale on cię z niej wyrwie, jego wyrzuty ciebie straszyć nie powinny, bo zawsze wpośród nich przebaczenie rozeznasz.” Ale odstąpił teraz Zbigniew ode mnie, zasiadł w swoim zamku pomorskim i otoczył się cudzoziemcami. Donosili mi przyjaciele o gwałtach i zdzierstwach, które popełniał. Wierzyłem czasem, najczęściej miłość ojcowska mnie zaślepiała, ale nareszcie przekonałem się o moim nieszczęściu, rozerwana zasłona spadła mi z oczu, zniknął cel moich starań i najdroższych uczuć, a został zbrodniarz. Ach! syn mój zbrodniarzem!... Biskupie, ty tego nie czujesz, tyś nigdy nie miał syna, tyś nie patrzał na młode jego lata okiem pełnym nadziei, tyś nie pielęgnował tej młodej latorośli, tyś ją nie okrywał cieniem własnych gałęzi i nie czujesz teraz, jak ona się wzniosła, okrążyła pień zestarzały, nie czujesz, jak co dzień, pnąc się do góry, coraz mocniej go obejmuje, ściska i

przytłumia! Poświęciłeś się Bogu, a żadna myśl ziemska nie przerwała spokojności twej duszy. Ale prawdą jest, że grzech daje zawsze grzechowi początek. Grzech go na świat wydał, a zbrodnia przyjęła i jeszcze w powiciu napiętnowała cechą zniszczenia i zaguby. Ach! jakżem nieszczęśliwy.

Biskupie!... — Tu oddech przerwany zatrzymał Władysława. Załamał ręce i wzrok wlepił w Stefana, który z trudnością łzę wstrzymywał w oku.

— Nie opuszczaj się tak, panie mój! — zawołał biskup. — Jeśli ziemia dla ciebie zdrajców tylko wydała, jeśli świat znikomy zawiódł twoje nadzieje, niebo ci się zostaje, otwarte są jego bramy przed skruchą i zmartwieniem.

— Niebo, ach, niebo! — odrzekł król polski — tak, niebo, ale nie będzie tam Zbigniewa — i zalał się rzewnym płaczem.

— Może Bóg pozwoli...

— Nie, ach! Bóg jest sprawiedliwy, przebrała się miarka jego przestępstw. Morderca, zbrodniarz, zatruwający starość ojca, walczący z bratem, nie znajdzie wstępu do przybytku cnotliwych.

— Królu mój miłościwy, czas upływa, chwile nam drogie na narzekaniach przepędzamy; Władysławie Hermanie, królu polski... — Ale nadaremno głos biskupa obijał się o głuche sklepienia, bo już nie dochodził uszów przygniecionego strapieniami ojca. Zawarł oczy Władysław, sine plamy lica mu pokryły i zdawało się, że już żelazna ręka śmierci cięży na nim.

, Przerażony biskup zawołał na Wolimira. Ale wielki sokolnik, niespodzianie zaskoczony, musiał znów odzież poprawić, pukiel czarnych włosów schować i przerywając swoje dumania, wybrać się do pokoju królewskiego; kilka chwil uszło, nim odpowiedział na głos Stefana, kilka drugich upłynęło, nim porwał sokoła. A kiedy stanął u drzwi

komnaty, niebezpieczeństwo Hermana doszło do najwyższego stopnia.

— Rzuć niepotrzebnego ptaka i pomóż mi ratować swego króla i pana, opieszały sługo! — krzyknął Stefan, podnosząc głowę monarchy.

— Nie tak opieszały, jak ci się zdaje, szanowny biskupie! — odparł Wolimir i wyjąwszy z sukni flaszkę napełnioną wonnym płynem, zaraz króla zaczął ocucać, opowiadając Stefanowi, że jeszcze nad brzegami Sekwany, które kiedyś odwiedzał, uzyskał był od damy dworu królowej francuskiej ten upominek, nie odstępujący odtąd nigdy jego piersi, a wielce w tej chwili przydatny Władysławowi, bo po chwili wolniej oddychać zaczął, podniósł głowę, otworzył oczy i niezadługo potem pożegnał sokolnika, dziękując za ratunek i mówiąc, że chce sam na sam z biskupem zostać.

— Lepiej, żebym już zginął — rzekł do Stefana — tak spokojnie, tak cicho w moim sercu przez kilka chwil było, a teraz, wrócony życiu, znowu czuję i widzę na moje nieszczęście!

— Stałość i moc duszy powinna znamionować tych, których Bóg za władców ziemi przeznaczył — odpowiedział biskup. — Królu, dosyć już czasu strawiliśmy na płaczach, przystoi nam pomyśleć nad zaradzeniem klęskom krajowym i osobistym.

— Mów więc, co sądzisz być do tego przydatnym, bo ja cię słuchać tylko mogę.

— Pewny jestem — zawołał biskup — że przytomność, że głos ojca zmiękczą Zbigniewa; koniecznie rozkaż mu się stawić w tym zamku przed sobą, jedyny to sposób, inszego nie upatruję, choć uważnie okoliczności z ich powodami i skutki rozważyłem. Wśród burz namiętności, wśród uniesień szału zapalczywego, jeden tylko głos przyrodzenia powstać i utrzymać się może. Roztropność wieku sędziwego, świętość wiary nic na hardym księcia umyśle dotąd nie zdziałały; ostatni ratunek pozostaje w tych

skrytych W głębi serca uczuciach, które, długo stłumione, odzywają się nareszcie i często błądzącego z brzegu przepaści odrywając, w postaci bohatera pod nieba unoszą. Tych się chwycić trzeba, te poruszyć należy, a nie wątpię, że Zbigniew padnie do nóg ojca i winy swe uzna.

— Dałby to Bóg! Ale jakże go tutaj sprowadzić? Nie zechce wyjść z swego zamku, Mestwin go zatrzyma. Ach! Boże, jakżeś srogo mię ukarał!

— Właśnie w tym cała trudność polega — rzekł Stefan — twoja powaga powinna synowca na pewny czas wstrzymać od walki, a Zbigniew, nie mając z kim walczyć, tu się stawi. Nie będzie on śmiał stargać świętych związków łączących go z ojcem, jak tyle innych już w życiu potargał. Trzeba kogoś wysłać do niego. W tym wybór do ciebie, królu, należy.

— Wybierz sam, biskupie, bo mój umysł osłabły do niczego niezdolny. Ach! Boże! Ach! Zbigniewie, ty nie wiesz, co cierpi twój ojciec!

— Zdaje mi się — odpowiedział Stefan — że zdatnym jest do tego Wolimir z Moskorzewa, wielki sokolnik.

Pomyślał król przez chwilę.

— Wolimir — powtórzył — wierny jest naszej osobie, ale zbyt często unosi się gniewem, zbyt roztargnionym i lekkim jest do takowej sprawy. Jego więc wyszlę do Skarbimira, tego nieoszacowanego doradcy, tego roztropnego…

— Przepraszam cię, królu mój miłościwy — rzekł biskup — że ci śmiem przerywać. Skarbimir z Gulczewa może mieć piękne przymioty, lecz na męstwie i stałości potrzebnej w takim razie zupełnie mu zbywa. A to mówię, królu i panie mój, nie w chęci złośliwego osądzenia bliźniego, ale powodowany gorliwością w usłużeniu tobie.

— Mylisz się, Stefanie; Skarbimir z Gulczewa przywiązany jest do mnie od dawna. Wszystko, co wie, co czuje, wynurza przede mną, a szczere jego serce nic

skrytego przed moim wzrokiem nie zawiera. Proszę cię więc, byś zawołał Wolimira. On naszą wolę i polecenia poniesie dziś jeszcze do Mieczysława i pana Gulczewa.

— Niech więc tak się stanie, jak żądasz, najjaśniejszy panie! — Wolimirze z Moskorzewa! Wielki sokolniku Wolimirze!

Tego razu drzwi się prędzej otworzyły i wszedł Wolimir, pytając króla o rozkazy.

— Opowiedz mu wszystko, święty biskupie, bo ja nie czuję się na siłach. Ach! Zbigniew! Zbigniew!

— Wolimirze — rzekł biskup — król Władysław przeznacza cię do ważnego poselstwa, które odbędziesz do obozu oblegających zamek księcia Zbigniewa.

— Przedziwnie! — zawołał sokolnik — przedziwnie! Gotów jestem na wszystko. Może po drodze znajdę stado kuropatw, a mój sokół...

— Zostaw sokoła, Wolimirze z Moskorzewa — dalej mówił biskup — i pilniej zważaj moje słowa! Przybywszy, oznajmisz księciu Mieczysławowi, że jego król i stryj żąda, by wojny na krótki czas zaprzestał. To samo wojewodzie krakowskiemu powiesz. Skarbimirowi zaś z Gulczewa ogłosisz wolę królewską, by natychmiast udał się do Zbigniewa i w imieniu ojca i króla zaprosił go do Płocka na rozmowę z naszym monarchą, ręcząc mu, że podczas tego przeciwna strona do oręża się nie weźmie.

— Na Boga i świętego Huberta przysięgam to wszystko spełnić jak najprędzej; ale dzisiaj, zdaje mi się, że już nie czas wyjeżdżać, bo zastanę wojska walczące, a głos jednego człowieka nie wróci do pokoju i porządku tysiąców rozłożonych po szerokiej równinie i pałających namiętnością do boju; jednak, jeśli rozkażesz, miłościwy królu, natychmiast wyruszę.

— Ma prawdę za sobą Wolimir — ozwał się Władysław. — Jutro rano wyjedziesz, tylko przed świtem jeszcze.

— Drugą uczyniłbym uwagę rzekł Wolimir — gdyby na to król mój i biskup płocki pozwolili.

— Mów, wielki sokolniku! — było odpowiedzią monarchy.

— Nie obrażaj się, miłościwy mój panie — rzekł więc Wolimir — jeśli ci przedstawię, że nie tak łatwo zwabić księcia Zbigniewa, osobliwie w takim stanie rzeczy. Skarbimir z całą swoją wymową nic nie zdziała i lis szlachetnego nie przyciągnie orła. Pamięć nawet na ciebie, wątpię, by tyle poruszyła księcia, żeby chciał na pierwsze ojca zawołanie opuszczać swoich ludzi i oblężony zamek, zostawując przed jego murami wrzącego ku sobie gniewem brata i sławnego z dzieł wojennych Sieciecha. Zdaje mi się, że lepiej by było inaczej księcia Zbigniewa przymusić do widzenia się z tobą, najjaśniejszy panie, ale potrzeba wtenczas przyczyny, której by skutkiem było i ustąpienie jego nieprzyjaciół z pobojowiska. Czyby jaka zabawa rycerska, turniej na przykład tu się nie przydał? Dzień twoich urodzin, najjaśniejszy panie, niedaleki. Możemy łowy świetne wyprawić. Mnóstwo sokołów, psów, łowców czeka na skinienie twoje.

— Dobra myśl — przerwał Stefan — i radzę ci, królu, byś ją przyjął. Turniej osobliwie łatwiejszym by uczynił ich pogodzenie i świetności by mu dodał.

— Kiedy tak chcecie — odparł Władysław — urządźcie to oba, bo wiek, słabość, a nade wszystko smutek siły moje nadwerężył.

— Na turnieju — dodał Wolimir — łatwo ci będzie ich pogodzić, najjaśniejszy panie, bo sława wszystko tam pobudza, a gdzie idzie o sławę, nikną insze namiętności, jak przed moim sokołem siwek lub kobuzów stada.

— Trafne porównanie — odparł Stefan, nie mogący lekkiego wstrzymać uśmiechu. — Więc za sześć dni igrzyska rycerskie się otwierają.

— Tak, za sześć dni, to jest we czwartek, jeśli się nie mylę, w dzień urodzin Władysława, króla polskiego, odbędzie się turniej w mieście Płocku, na który imieniem najjaśniejszego pana Skarbimir z Gulczewa ma zaprosić księcia Zbigniewa i Mieczysława, rozumie się, z innymi także. Wszystkiego zaś ma być główną sprężyną wielki sokolnik Wolimir z Moskorzewa, wyruszający jutro przede dniem, wracający wkrótce potem i urządzający podług wszelkich prawideł rycerstwa ów turniej, który pogodzi rodzinę królewską.

Po tych słowach głęboki oddał panu swemu pokłon i wyszedł z komnaty.

— Pierwszym warunkiem zaś będzie w tym turnieju — ozwał się biskup — ażeby ani Mieczysław, ani Zbigniew doń się nie mięszali, a kiedy wszyscy, zabawą zajęci, ubiegać się będą o chwałę, znajdziesz czas, panie i królu mój, do pomówienia z jednym i drugim, do zbliżenia serc rozjątrzonych i załagodzenia sporu. Wiele ci zapewnie trudu stąd wyniknie, ale pamiętaj, miłościwy panie, że to jedyny w tej mierze ratunek!

— Zrobię to, zrobię — odpowiedział Władysław — poświęcę się dla Zbigniewa, nie opuszczę syna w potrzebie, synowca uratuję, pokój, cnota…

Chciał dalej mówić, ale osłabł nagle, spuścił głowę na piersi i zalał się łzami, a kiedy biskup pocieszać go zaczynał:

— Zostaw mnie teraz — rzekł — szanowny Stefanie; udam się do modlitwy, która może zagoi ciężkie rany.

Kapłan, szanując tę pobożność, opuścił go w milczeniu; odchodząc nie omieszkał powtórzyć Wolimirowi raz już danego zlecenia.

— Zobaczysz, szanowny biskupie, jak pięknie się sprawię — zawołał wesoły sokolnik. — Nie znam się na locie ptaków ani na łowach, jeśli nie pogodzimy tych młodzików;

poselstwo z przykładną powagą odbędę. Skarbimirowi męstwa natchnę w serce, co najtrudniejszym będzie ze wszystkiego. Ale, na wszystkie sokoły w Polsce, zapomniałem, że mi jutro przed wschodem słońca wstać potrzeba i że się nie wywczasowawszy, mogę zasnąć w obozie i źle się spisać. Więc żegnam cię, biskupie i zabieram się do spoczynku; w tej komnacie noc przepędzę, gdyż dzisiaj jestem, jak to najczęściej się zdarza, na służbie. — To mówiąc, obwinął się płaszczem i usiadł w szerokim krześle…

— Gdyby król mocno zasłabł, natychmiast każ mi o tym donieść, Wolimirze! — były ostatnie słowa odchodzącego Stefana; ale podobno ich wielki sokolnik nie słyszał, gdyż snem twardym ujęty, marzył już o sokołach i puklach dziewiczych.

ROZDZIAŁ XII

Oj, nie bardzo sobie życzę
Oglądać Jego oblicze:
Gotów w zapale wściekłości
Wszystkie potrzaskać mi kości.
Piosnka gminna

— Stój! jakie hasło? — krzyknął żołnierz, stojący przy końcu obozu, rozwiniętego przed murami Zbigniewa, na człowieka, który jeszcze przed wschodem słońca na rozpędzonym przybiegał koniu.

— Stój! — powtórzył — jeśli nie chcesz z życiem się rozstać!... jakie hasło?

— Na wszystkie sokoły — odparł jeździec — nie znam twego hasła; puszczaj mnie, bo na Boga, śpieszyć się muszę!

— Stój! — groźnie po trzeci raz ozwał się żołnierz i pikę w pierś konia skierował.

— Do szatana, na piekło i Belzebuba, człowiecze, co robisz? Przybywam od króla Władysława; puszczajże mnie, bo, na wszystkie orły gór karpackich, niemiłym ci będzie moje przywitanie! Czyż nie znasz wielkiego sokolnika, Wolimira z Moskorzewa?

— Nie znam, tak jakem Michał z Jarłuty — krzyknął zawzięty żołnierz — i choćbyś tu godzinę mi wyliczał swoje godności i imiona, nie puszczę cię, nim mi hasło powiesz lub przez moje ciało przejedziesz!

— Piekielnieś uparty, Michale! Przysięgam ci, żem Wolimir; król nasz Władysław, o którym już musiałeś słyszeć, przesyła mnie do księcia waszego.

— Nie nudź mnie na próżno — odmruknął strażnik — bo nic dla ciebie uczynić nie mogę!

Podczas tego sporu kilku innych żołnierzy zgromadziło się wokoło towarzysza, chwaląc głośno jego pilność i ostrożność; na nieszczęście żaden nie znał Wolimira, bo właśnie wielki sokolnik trafił na hufce Wszebora, które, niedawno z Ciechanowa przybyłe, nikogo w Płocku nie znały.

Tymczasem chmury okrążające niebo poszły w rozsypkę na wszystkie strony i oświecone najżywszymi farbami, zdawały się w uszanowaniu czekać wschodu słońca. Dzień coraz się jaśniejszym stawał. Lały się potoki ognia na błękitne sklepienia, a wreszcie gwiazda światłości ukazała się w całym przepychu złotych i purpurowych promieni. Ten widok podniecił gniew sokolnika.

— Do diabła, spóźnię moje przybycie; co król, co biskup powiedzą? Żołnierzu, puść mnie natychmiast, bo przysięgam, że zdrowo nie wyjdziesz z tej sprawy! puszczaj, bo cię zwalę pod końskie kopyta!

— Precz stąd, zuchwalcze! — zawołali wszyscy, ujmując się za towarzyszem, ale zniecierpliwiony Wolimir spiął rumaka i rzucił się pomiędzy tłum żołnierzy; z początku odstąpili, ale potem, ścisnąwszy swe koło, zatrzymali wielkiego sokolnika, który, widząc, że trzeba się chwycić ostateczności, dobył oręża; ale nie ochroniłoby to go od grożącego niebezpieczeństwa, gdyby głos, w tej samej chwili usłyszany, nie zatrzymał dzikich wojowników.

— Co to się znaczy? Niech każdy wraca na swoje miejsce! precz stąd, żołnierze! — i ukazał się Jarosz z Kalinowy, który na szczęście Wolimira nadszedł przypadkiem w tę stronę.

— To szpieg, to zdrajca! Powroza! powroza! zawlec go do najbliższego drzewa!

— Do stu tysięcy strzał i łuków, precz mi stąd, motłochu! — krzyknął Jarosz. Natychmiast cofnęli się żołnierze, a Wolimir podziękował dobrze sobie znanemu towarzyszowi

wojewody krakowskiego i prosił, by go zaprowadził do namiotu księcia Mieczysława.

— Ale jakim sposobem to się zdarzyło, wielki sokolniku? — rzekł Jarosz. — Prawda, że to wieśniacy, chłopi, ci żołnierze z Ciechanowa; my co innego, przecie zawsze stojemy i zimą i latem w królewskim zamku.

To mówiąc, pokręcił wąsa i ukłonił się Wolimirowi, który, obtarłszy zakurzoną odzież, z wytworną postawą gotował się iść do księcia.

— A cóż chcesz? — odpowiedział — przybyłem tu, a kiedy nikt mnie nie znał, chciałem się z nimi zapoznać. Lecz ponieważ i wielcy sokolnicy nic nie mogą przeciw tysiącom poradzić, zapewnie bym bez twojej pomocy życie i urząd postradał. Ale kiedy to wszystko teraz w żart się obróciło, macie, moi przyjaciele! — i rzucił z obojętnością pańską niedawno zawziętym na siebie garść pieniędzy. Po czym oddalił się z Jaroszem, poprawiając podczas drogi bogaty pas, na którym wisiał pałasz i kołnierz szerokiego płaszcza spiętego złotą klamrą, którą, jak to opowiadał Jaroszowi, w Paryżu na turnieju był odebrał z rąk niezrównanej piękności.

— Król Filip wtenczas siedział — ciągnął dalej — na tronie, a wszystkie dziewice Franków, wszystkie róże Prowancji zgromadzone patrzały na nasze igrzyska i gonitwy; pamiętam, jak gdyby to się dzisiaj działo, żem zwalił z konia Enguerranda de Montemor, wielkiego koniuszego króla, a oklaski wszystkich i wieńce z kwiatów spadały na mnie, cudzoziemca, z dalekich krajów przybyłego. Był jeden wieniec droższym mi od wszystkich, bo rzucony ręką Eleonory de Montmorency…

— Już jesteśmy u namiotu księcia Mieczysława — przerwał mu Jarosz, który, pierwszy raz słysząc o Paryżu, królu Filipie, Enguerrandzie i Eleonorze, nie wiedział, czy te osoby na ziemi lub na księżycu przesiadują…

— Szkoda, że nie trochę dalej go książę wystawić kazał, bobym ci mój opis dokończył; ale teraz muszę cię pożegnać.

Po odejściu towarzysza, przez chwilę stał przed szerokim namiotem wielki sokolnik i dał znak żołnierzowi pełniącemu służbę, by go jeszcze nie wprowadzał; wyjąwszy pałasz z pochwy, przeglądał się w jego klindze czystej jak kryształ, która nieraz podczas boju lub łowów za zwierciadło mu służyła. Zadowolniony z własnej postawy, z ułożenia włosów i całego stroju, postąpił dalej i wszedł do namiotu, w którym właśnie odbywała się narada wojenna złożona z księcia, wojewody, pana Ciechanowa, Skarbimira z Gulczewa i wyniesionego świeżo na godność rycerską Henryka z Kaniowa.

— Witam cię, książę i was, panowie, z życzeniem jak najlepszego dnia, nie opuszczając i najpiękniejszych nocy. Zapewnieście trochę zdziwieni moim przybyciem? Przysłał mnie najpotężniejszy i najjaśniejszy Władysław I, król Polski.

— Witamy cię nawzajem — odparł Mieczysław — i niezmiernie nas uciesza twoja przytomność. Jakże się mój stryj miewa? Jakież są jego rozkazy?

— Co do pierwszego, odpowiem, że nie najlepiej. Co do drugiego, to właśnie będzie następnej mowy przedmiotem, mowy, którą proszę słuchać z uwagą, tak jak gdybyście własnego monarchę słuchali, gdyż jego wolę wam oświadczę. Wstęp do tej mowy, krótki i zwięzły, składa się z tego, że mnie król Władysław przysłał. Osnowę zaś dzielę na trzy części.

W pierwszej ogłaszam wolą króla polskiego — zawieszenie broni, sześć dni trwać mające.

W drugiej oświadczam, że w przyszły czwartek, w dzień urodzin najjaśniejszego pana, odbędzie się turniej na rynku płockim, na który zapraszam imieniem mego króla i pana: księcia Mieczysława; Sieciecha, wojewodę krakowskiego;

Wszebora, pana Ciechanowa; Skarbimira, pana Gulczewa i Kościelca; i wszystkich, którzy tam zechcą się stawić.

Przystępuję do trzeciej i ostatniej części, w której pozostaje mi powiedzieć Skarbimirowi, panu Gulczewa i Kościelca, że go król Władysław przeznaczył do świetnego i chlubnego poselstwa, które ma odbyć natychmiast do księcia Zbigniewa, żeby go zaprosić na turniej i ogłosić mu zawieszenie broni, po którego upłynieniu, jeśli zechce, znów rozpocznie wojnę.

Domówienie należałoby teraz uczynić, ale na wszystkie dziewice Prowancji przysięgam, że nie czuję się więcej na siłach i że dobre śniadanie najlepiej by temu zaradziło.

— Żart przedziwny! — rzekł Skarbimir, drżący ze strachu.

— I ja tak sądzę! — zawołał Mieczysław.

— Wielki sokolniku, ja dodam — rzekł Sieciech — żeś źle się wybrał z takimi żarty.

— Na wszystkie sokoły i orły, na wszystkie czarne i błękitne oczy, na krucze i bursztynowe dziewic warkocze, na ten pałasz u mojego boku, na wszystkie turnieje całej Europy, nareszcie na przedmiot moich myśli i miłości, przysięgam, żem prawdę powiedział!

— Dajże już pokój! — ozwał się Wszebor — bo wprawisz nas w mniemanie, żeś oszalał lub zanadto winem…

— Przysięgam słowem rycerskim, żem przysłany od króla i że wszystko, com wam powiedział, pochodzi z woli najjaśniejszego pana, Władysława Hermana, króla i władzcy mego, a ktokolwiek poważy się o tym wątpić, przekonanie o prawdzie słów moich znajdzie na ostrzu tego miecza!

— Wierzę teraz! — krzyknął Mieczysław, zrywając się z siedzenia. — Ale cóż się stało mojemu stryjowi? czy sądzi, żeśmy dzieci, na zabawę wypuszczone, z której muszą wracać za rozkazem nauczyciela? Nie, na Boga, dopóki

Hanna w tych murach będzie, dopóty i kroku stąd nie odstąpię!

— Gdzież ja mam iść do Zbigniewa? — rzekł Skarbimir — do takiego okrutnika, do człowieka przeklętego przez biskupa! Jego oddech, jego słowa skażą moją niewinność.

— Jeśli tylko o twoją niewinność idzie — przerwał Sieciech — dawno po niej śpiewano *requiescat in pace;* nie masz się czego obawiać. Ale, do pioruna, nie jesteśmy niewolnikami; kto nas przymusi, a przynajmniej kto mnie przymusi stąd odstąpić, kiedy nie taka będzie moja wola?

— Róbcie, co chcecie, moi przyjaciele — zawołał Wolimir — bylebym z głodu nie umarł; jeszcze noc była, kiedym wyjechał, wszyscy spali i nic nie mogłem dostać do jedzenia. Książę Mieczysławie, zginę, jeśli…

— Lassoto — rzekł książę do stojącego pazia — każ przynieść śniadanie dla wielkiego sokolnika.

— Posłuchajcie mnie! — zawołał wtenczas Wszebor. — Dobrze umiem oceniać przyczyny powodujące naszym królem i panem. Chce on pokój wrócić spór załagodzić i wstrzymać krwi rozlew. Jeśliście wierni poddani, winniście mu być posłusznymi; jeśliście dobrzy Polacy, wasze serca z jego rozkazów cieszyć się powinny.

— Ale niech kto chce, idzie do Zbigniewa, ja zaś nie myślę! — rzekł Skarbimir.

— Przysięgam na mój Topór — krzyknął Sieciech — że nie kto inszy, ale ty pójdziesz! — Kiedy my dla posłuszeństwa broń ulubioną składamy, boje najmilsze porzucamy, ty możesz kilka kroków zrobić i jeśli nie orężem, to językiem ojczyźnie się przysłużyć.

Zamilkł podskarbi i siadłszy w kącie, polecał się świętym i aniołowi stróżowi.

— Przez sławę i zwycięstwa mojego ojca! — zawołał Mieczysław, wpadając w gniew niezwykły sobie — pierwej te mury ode mnie na turniej się udadzą, kiedy idzie o życie,

o sławę Hanny! Król każe mi się bawić, kiedy każdym uderzeniem mogę wroga zamordować; będę musiał siły wycieńczać dla przypodobania się królowi i dworzanom, kiedy serce moje ledwo mi z piersi nie wyskoczy; sześć dni trzeba będzie przepędzić w spokojności, dać czas Zbigniewowi do uzupełnienia zbrodni. Nie, przysięgam…

— Wstrzymaj się, książę! — przerwał mu Wszebor. — Ogłaszam wam wszystkim, że usłucham woli króla. Nazwijcie mię ojcem wyrodnym, bojaźliwym, niegodnym imienia rycerza — nic to nie pomoże; pierwej byłem Polakiem nim rodzicem; pierwej przysięgałem na wierność monarsze, nim doczekałem się córki. Zapewnie, złożyć broń w takim razie wielką jest dla mnie ofiarą, ale nie straciłem z wiekiem tyle mocy i stałości, bym się na nią nie zdobył. Książę uczynisz, co ci się podoba, ale nigdy ręka Hanny z Ciechanowa twoją nie będzie, jeśli nie przeniesiesz dobra ojczyzny nad szaloną miłość. Obieraj więc!

Usiadł w milczeniu Mieczysław, obiema rękami twarz zakrywając.

Tymczasem Wolimir nie stracił ani chwili i przedziwną zajadając sarninę, skrapiał ją węgierskim winem.

— Przedziwne śniadanie! Ach! twój kucharz, książę, musi przybyć na turniej. Zdrowie twoje, Sieciechu! Na wszystkie sokoły, nigdym lepszej nie widział zwierzyny. Piję do ciebie, Wszeborze! Nie mogę cię opuścić, giermku księcia Mieczysława!

— To jest rycerz Henryk z Kaniowa od wczorajszej bitwy — ozwał się wojewoda krakowski.

— A więc muszę zdrowie powtórzyć, bom się omylił. Do ciebie piję drugi raz, szlachetny rycerzu! Do was wszystkich, panowie! Niech żyje król Władysław! Uczy nas religia i o nieprzyjaciołach pamiętać, więc zdrowie Zbigniewa! Nie zapominam i o nadobnej Hannie z Ciechanowa.

— Wielki sokolniku — rzekł, z wolna podnosząc głowę, Mieczysław — odpowiedz królowi i stryjowi mojemu, że przybędę na turniej. Wszeborze! tyś tylko mógł mnie do tego przymusić.

— Synu mój ukochany, niech wszystkie najlitościwszych niebios błogosławieństwa spłyną na twoją głowę! — odpowiedział rozczulony pan Ciechanowa. — Choćby nawet — dodał — i król tego po nas nie wymagał, straciliśmy wielu ludzi wczoraj. Namioty zapełnione są rannymi i w takim stanie czasu najmniej sześciu dni potrzebujemy do pokrzepienia wojska nowymi posiłki i do obwarowania obozu. Własną więc korzyść połączymy z wolą monarchy. Nieprawdaż, Sieciechu?

— Zawsze z tą wolą monarchy występujesz, Wszeborze — odparł dumny wojewoda — a chciałbym, żeby czasem i naszych radzono się chęci; zresztą potwierdzam twoje wnioski, dodając, że turniej najpiękniejszą jest zabawą i że się spodziewam spotkać na nim z księciem Zbigniewem.

— To się mylisz, wojewodo krakowski — rzekł Wolimir, nie opuszczający stołu — bo ani Zbigniew, ani książę Mieczysław podobno walczyć na tym turnieju nie będą. Chce ich król nasz pogodzić.

— Pierwej ogień z wodą! — krzyknął Mieczysław — pierwej żmiję przycisnę do łona niż syna Władysława!

— Ależ, na wszystkie sokoły, potężny Skarbimirze, spiesz się do księcia, bo król największej prędkości i pilności po tobie wymaga!

— Jam dotąd sądził, że żartujesz, wielki sokolniku.

— Toś się bardzo omylił, bo daję ci słowo, że król Władysław obrał cię do tak ważnego poselstwa, znając twą mądrość i biegłość, nieraz doświadczoną.

— To nie może być ani mogę temu wierzyć… po co mnie do niego wysyłać, mnie, starca, niewiele dni mającego do grobu?

— Tym mniej będziesz ich żałował, jeśli życie tam postradasz!! — krzyknął Sieciech i obróciwszy się do Lassoty, kazał mu przywołać Jarosza z Kalinowy.

— Skończyłem śniadanie — rzekł Wolimir — i przyznaję, że rzadko podobne w licznych nawet za granicą podróżach jadałem. Mam nadzieję, że będę mógł lepiej osądzić jeszcze twoją kuchnię, książę, bo myślę tu się zostać na obiad. Wątpię, by wprzód wrócił z zamku pan Gulczewa.

— Zapewnie ledwie na wieczerzę wróci — zawołał Sieciech, mający największe upodobanie w poniżaniu podłego Skarbimira, który całą nienawiścią chytrego i złośliwego serca odpłacał mu za częste żarty.

— A może Zbigniew go do stołu zaprosi? — dodał Wolimir — tylko żeby nie do nazbyt wysokiego.

— Najwyższe miejsce — odparł wojewoda — najzaszczytniejszym jest zawsze.

— Zapewnie — znów odrzekł sokolnik — i szkoda, żem mego sokoła z sobą nie przywiózł.

— A to na co?

— Boby odstraszał kruki i żarłoczne ptaki, które może będą przeszkadzać panu Gulczewa i Kościelca.

Tu powszechny śmiech, od którego nawet zamyślony Mieczysław nie mógł się wstrzymać, powstał w namiocie.

— Żeby przynajmniej — ozwał się Skarbimir — hufiec zbrojnych ludzi mi towarzyszył! Powaga królewska nawet tego wymaga.

— Już temu zaradziłem — przerwał wojewoda — kilku zbrojnych odprowadzi cię do bramy, bobyś inaczej uciekł, wyszedłszy z obozu, a wtenczas prawdziwy by uszczerbek poniosła. Ale kiedy wejdziesz do zamku, zostawimy cię własnym losom i przeznaczeniu.

— Dlaczegóż, wojewodo krakowski — zapytał się Mieczysław — nie mamy przystać na tę prośbę Skarbimira?

— Bo, mości książę, potrzebni są nam ludzie, a choć Henryk uniknął wczoraj śmierci, może by to się dzisiaj nie powtórzyło.

— Więc wystawiacie towarzysza broni, podskarbiego królewskiego — rzekł pan Gulczewa głosem rozpaczy — na pastwę złoczyńców bez litości, wydajecie go wrogom za to, że wam przyprowadził własne hufce?

— Które — przerwał Sieciech — nie chciał przyjąć książę Zbigniew, wychodząc z sali naradnej.

Zamilkł zawstydzony podskarbi trafnym wyrzutem Sieciecha, który dostrzegł był czyn jego niegodziwy. Wtem ukazał się u wnijścia do namiotu Jarosz z Kalinowy.

— Dzielny mój wojowniku — zawołał Sieciech — odprowadź na czele swojego oddziału z białą chorągwią potężnego podskarbiego królewskiego do zamku księcia Zbigniewa! U bram się zatrzymasz i przekonawszy się, że wszedł do zamku, natychmiast się wrócisz!

Skłonił głowę Jarosz na znak posłuszeństwa, a Skarbimir, widząc nieodzowną konieczność, stanął w środku oddziału i pożegnawszy wzrokiem na pół smutnym, na pół wściekłym przytomnych, oddalił się. Słyszał jeszcze dosyć długo głośne śmiechy wojewody i wielkiego sokolnika, ale nareszcie wszystko umilkło. Minął ostatnie obozu namioty i powoli zbliżał się do zamku z równym przerażeniem, jak gdyby szedł na szubienicę. Chorągiew biała, z daleka jeszcze ujrzana, dowiodła stojącym na straży przy moście zwodzonym, że w zamiarach pokoju zbliżają się do nich; natychmiast uwiadomili o tym pana, który wysłał na przyjęcie gości Jordana z Gozdawy. Grzecznie ukłonił się rycerz podskarbiemu.

— Jaroszu — rzekł po cichu Skarbimir — obiecuję ci worek pełen złota, jeśli za mną do zamku pójdziesz.

— Potężny panie Gulczewa, nie potrzebowałbym nagrody dla oddania ci tej przysługi, gdyby rozkazy wojewody

Sieciecha mnie nie wstrzymywały; pozwól więc, bym cię pożegnał. — To mówiąc, dał znak swoim ludziom do odwrotu i zostawił Skarbimira z Jordanem, który kazał spuścić most zwodzony, a łoskot stąd wynikły wydał się w uszach przerażonego starca ostatecznym zaguby wyrokiem.

ROZDZIAŁ XIII

Pragniesz mnie, widzę, zdrajco, schwycić w swoje szpony —
Zobaczem, kto z nas lepiej w zdradach wyćwiczony!
Bezimienny

— Książę i pan nasz trochę słaby — rzekł Jordan, prowadząc Skarbimira do komnaty Zbigniewa. — Ale Abraham z Hamburga obiecuje, że wkrótce go uleczy z lekkiej rany i że będzie mógł wrócić na pole bitew i sławy.

Rycerz żadnej nie uzyskał odpowiedzi, bo Skarbimir cały drżał od strachu i wszystkie natężał siły, by nie upaść; to wszystko, połączone z niespokojnością duszy, z niepewnością, jak go przyjmie książę, w taką wprawiło go trwogę, że odrzekłby się wszystkich bogactw dla uniknienia przykrego położenia. Nagle bowiem jak gdyby porwany z obozu i rzucony w mury nieprzyjacielskie, poglądał błędnym na otaczających wzrokiem, a słowa Jordana, choć uprzejmie wyrzeczone, groźnie w jego uszach grzmiały. Miał jednak czas do przyzwyczajenia się, bo nie zaraz za wejściem do zamku do jego pana się dostał; przechodził wiele komnat i galerii, ale wcale inszą postępował drogą od tej, na której Mestwin biskupowi przewodniczył. W każdym pokoju zastał mnóstwo zbrojnych, różnie czas przepędzających. Jedni z pucharem w ręku dawne opowiadali czyny, drudzy grali w kości i uniesieni namiętnością, jednym ruchem rozstrzygali los swój przyszły lub też umiarkowańsi nie wystawiali całych majątków na pastwę ślepego losu, ale pomniejsze przedmioty, jak hełmy, pałasze, sztylety. Słowem, ożywiony zamek przedstawił oczom Skarbimira liczne hufce i wesoło bawiących się rycerzy, którzy rzadko odwracali oczy na przypatrzenie się jemu. Dostał się on nareszcie do drzwi, za których

otwarciem ukazały się ogromne z ciosowego kamienia schody, wybudowane w różne zakręty, coraz bardziej wznoszące się do góry. Tymi poszedł za znakiem danym od Jordana z Gozdawy, który znowu wszczął rozmowę opowiadaniem własnego poselstwa do jakiegoś dzikiego wodza Prusaków, ale i teraz żadnej nie uzyskał odpowiedzi.

Skarbimir, czując, iż wkrótce przyjdzie mu spełnić zlecenie Władysława, zaczął nad nim myśleć i ochłonąwszy nieco z przestrachu, urządził w myśli tryb całego postępowania; nareszcie i miłość własna, nigdy nie opuszczająca człowieka, ozwała się w głębi duszy i przemógłszy nad bojaźń, pomogła do ułożenia mowy, w której miał ozdobnymi słowy i właściwymi wybiegami wolę monarchy oznajmić, dumy księcia nie zrażając i zarazem czyniąc zadosyć rozkazom króla. Dzięki długości drogi, zupełnie był przygotowany do spełnienia odebranych zleceń podskarbi królewski, Skarbimir z Gulczewa, kiedy Jordan z Gozdawy ostrzegł go, że przybył do komnaty księcia.

Był to mały pokój z okrągłymi oknami i wysokim kominem, którego ognisko znacznie występowało. Łoże z zielonymi zasłonami stało po jednej stronie, a nad nim widziano zawieszoną zbroję leżącego teraz Zbigniewa, której brakowało tylko sztyletu, położonego na stole obok łoża, przy którym siedział na aksamitnej poduszce Mestwin z Wilderthalu. Z drugiej strony Abraham z Hamburga obwijał ramię Zbigniewa szerokimi taśmy.

Syn Władysława bledszym się niż zazwyczaj wydawał, ą chociaż uśmiech umilał mu usta w chwili ukazania się Skarbimira, można było w nim rozeznać pewną gorycz i uczucie boleści. Powiernik jego niemiecki dzikim wejrzeniem wpatrywał się w otaczające przedmioty, a jeden tylko Abraham zachowywał piętno zwyczajnej łagodności.

— Nie spodziewaliśmy się zaiste twoich odwiedzin, najhojniejszy z panów dworu ojca mojego — rzekł książę, odpierając z wolna lekarza — ale kiedy przyszło do tego, że

cię słuchać musimy, mów prędko, co masz do mówienia, bo zapewnie wiesz, że cierpliwość nigdy moim nie była przymiotem, a teraz jeszcze zmniejszył się jej ostatek, kiedy dolega mi rana przez was sprawiona. Tak, przez was samych. Co za hańba! Kiedym jak prawy rycerz walczył z twoim księciem Mieczysławem, kiedy wszyscy moi ludzie schowali oręż, wyleciał pocisk z równiny i zdrada dokonała tego, na co by nigdy Mieczysław się nie zdobył. Mieczysław, on, to dziecko miałoby mnie zwalczyć? Jedno moje tchnienie zmiotłoby go z tych murów! Ale sprawiaj się z swego poselstwa!

Taka przemowa zastraszyłaby mężniejszego nawet od Skarbimira. Jak wryty stanął na środku pokoju pan Gulczewa i nie mogąc dalej postąpić ani wstecz się cofnąć, zapomniał nawet ukłonić się księciu i razem całej swojej mowy. Jej okresy jeden po drugim znikały mu z pamięci, a ile razy otwierał usta, dreszcz śmiertelny, przebiegając wszystkie kości, wstrzymywał go od mówienia. Zimny pot kroplami sączył się z czoła. Wzrokiem pomięszanym patrzał na Zbigniewa i nie miał już mocy odwrócenia go w inną stronę. Zmarszczył brwi książę, ale poczekał jeszcze chwil kilka, a kiedy ciągłe panowało milczenie, postanowił go przerwać.

— Cóż więc masz nam ogłosić, panie Gulczewa? Po coś tu przyszedł? Nuż, do szatana, czyż nie otworzysz ust, jak gdyby na kłódkę zamkniętych? czyż ja mam pojedyńcze ci zadawać pytania? Gadajże więc, do pioruna!

Ale to nic nie pomogło i podskarbi, coraz bardziej upadając na siłach i nie mogąc się dłużej utrzymać, przykląkł na podłodze.

— Czyś oszalał, tchórzu przeklęty? — krzyknął Zbigniew. — Raz przysyłają mi biskupa, któremu ust przymknąć nie można, to znowu człowieka, któremu ich niepodobna otworzyć!

— Dobry mam klucz na takie przypadki — rzekł Mestwin, wskazując na sztylet.

— Daj pokój! — odparł książę. — Ale, Skarbimirze, nie nudź mię tak długo, bo, na Boga, każę cię związać i wrzucić gdzie do lochu, w którym, przespawszy się na słomie, rozum i mowę odzyskasz. Ale, na wszystkich świętych, zobaczycie, że zemdleje. Abrahamie, nie masz jakiego lekarstwa przydatnego podskarbiemu królewskiemu?

— Nasza nauka — odpowiedział Izraelita — zawiera ważne tajemnice; umie odwracać choroby, przewidywać ich skutki i zaradzać licznym ułomnościom, alem takiej słabości nigdy jeszcze nie widział, choć moje stopy okryły się kurzawą ziem odległych z tej i z tamtej strony morza, choć nie w jednej szkole uczyłem się boskiej sztuki uzdrawiania, bo najwięksi nasi mistrzowie i mędrcy w Hiszpanii i Cesarstwie Wschodnim dobrze znają Abrahama z Hamburga; jednak na wszelki przypadek będę się starał mu pomóc.

Po tych słowach wyjął z szkatułki, z którąśmy już czytelników zapoznali, kawałek z odległych stron przywiezionego drzewa i przyłożył go do skroni i nozdrzy Skarbimira.

Odskoczył w tył pan Gulczewa i uczuł rozlewającą się siłę po wszystkich żyłach; już mu nogi nie drżały, już pot mroźny nie oblewał czoła i odzyskał nagle przytomność umysłu.

— Doskonale — zawołał książę — radzę ci mieć zawsze przy sobie takiego lekarza.

— A osobliwie — dodał Mestwin — przy poselstwach zdałby się Abraham panu Gulczewa.

— Kiedyś już odżył, to zaczynaj! — ozwał się Zbigniew.

— Racz darować — rzekł nareszcie Skarbimir — racz przebaczyć, nieprzebrany w łasce i litości książę! Chwała, która cię otacza, moc nigdy nie odstępująca twojego

ramienia przeraziły moje serce. Słowa przez ciebie wyrzeczone wydały mi się grzmotem i padłem na twarz przed tobą. Teraz, wróciwszy do zmysłów, dobroć twoją bez miary poznaję i ośmielam ci się oznajmić zlecenia, przez mego miłościwego króla mi dane. Brzmią one w następującej treści…

— Tylko oszczędź nam swojej wymowy — przerwał książę — krótko i zwięźle wszystko nam opowiedz.

— Twoje rozkazy świętymi są dla mnie, najjaśniejszy króla nam panującego potomku, w najściślejszych obrębach rzecz moją obejmę. Władysław Herman, pierwszy tego imienia…

— Już „pierwszy tego imienia” niepotrzebne — przerwał Mestwin.

— Władysław Herman uprasza cię, książę, byś pozwolił na zawieszenie broni.

— A to dziwy teraz na świecie — zawołał Zbigniew — ojciec i król uprasza syna i poddanego, ażeby pozwolił!

— Więc rozkazuje — rzekł Skarbimir, u którego dosyć często złość bojaźń przemagała — byś zawarł zawieszenie broni z księciem Mieczysławem, wojewodą krakowskim Sieciechem i…

— Domyślam się, z kim więcej — znów przerwał Zbigniew — dalsze króla rozkazy mi ogłoś!

— Najjaśniejszy książę, zbliżają się urodziny twego ojca; zamyśla on przepyszny wyprawić turniej dla świetniejszego ich obchodu, na który zaprasza cię przeze mnie. Wszyscy twoi przeciwnicy tam będą.

— Turniej — krzyknął Zbigniew — turniej! Mój ojciec schorzały, wiekiem osłabiony, lubiący nade wszystko cichość i spokojność, turniej wyprawia! Widzę, że się wszystko przewróciło od kilku dni na świecie. Już nawet zaczynałem się tego domyślać, kiedym nie mógł za drugim

uderzeniem zdruzgotać tego Mieczysława — tego dziecięcia, niedawno wyszłego z kolebki.

— Czekam teraz z uszanowaniem i pokorą ci winną odpowiedzi, najjaśniejszy książę.

Pomyślał przez chwilę Zbigniew, a potem, obróciwszy się do Mestwina:

— Tydzień nas dzieli od urodzin ojca, rana się zagoi, a potem chcę ich widzieć, chcę z Sieciechem kilka słów pomówić; nareszcie dlaczegóż miałbym nie uczynić zadosyć woli ojca w tak małej rzeczy? Sześć dni później czy wcześniej zginą, wcale mię to nie zastanawia. Dla nich życie jest drogie, bo już go długo posiadać nie będą. — Skarbimirze, możesz upewnić mego rodzica i monarchę, że przybędę na turniej życzyć mu szczęśliwych urodzin i pomyślnej starości.

Po tych słowach wskazał ręką drzwi podskarbiemu, ale ten, zamiast pożegnania się z księciem, padł przed nim na kolana i z złożonymi rękami prosił o pozwolenie wynurzenia najszczerszych, jak mówił, chęci i pragnień.

— Znowu cud! — krzyknął Zbigniew — szczerość u ciebie! Ale mów, pozwalamy!

— Najpotężniejszy panie, Bóg, mi jest świadkiem, że cię szanuję i uwielbiam nade wszystko, że Mieczysławowi nie sprzyjam, że ciebie tylko zawsze miałem na widoku. Tobie służyć najpożądańszą dla mnie rzeczą, w twojej służbie umrzeć najmilszą byłoby dla mnie nadzieją; przyjm ode mnie przysięgę wierności, a za to żądam tylko od ciebie łaskawego wejrzenia! Najjaśniejszy książę, wymów jedno tylko słówko, jedno pozwolenie, a Skarbimir najszczęśliwszym będzie!

— Precz mi — przerwał mu z gniewem syn Władysława — precz mi z oczu, zdrajco! pochlebco! Precz stąd — powtórzył sroższym jeszcze głosem — bo twoja głowa niepewna, dopóki w tych murach przebywasz! Milcz, podły

służalcze, milcz, skąpcze obmierzły! Słowo jedno z ust twoich już mnie w wściekłość wprawia. Niech jeszcze twój głos usłyszę, a usta, które go wydały, oniemieją na zawsze! Wracaj do swoich, powiedz królowi, jakeś pięknie spełnił poselstwo, jakeś przymusił wymową księcia Zbigniewa do usłuchania ojca; idź bezwstydnie kłamać, jakeś tu bezczelnie zdradzał! Jordanie, odprowadź tego człowieka jak najprędzej! Mestwinie, usuń ten sztylet spod mojej ręki, bo mógłbym, uniesiony gniewem, zgwałcić na jego osobie uszanowanie winne mojemu ojcu!

Natychmiast Jordan z Gozdawy silną ręką dźwignął z ziemi odchodzącego od zmysłów podskarbiego i za drzwi go wyprowadził.

Ledwo wyszedł, aliści powstał milczący dotąd Mestwin i rzekł do księcia, kazawszy naprzód lekarzowi się oddalić:

— Zdać się nam może Skarbimir niezadługo; taki człowiek w naszym zamku próżnym byłby ciężarem, ale w obozie nieprzyjaciół nieoszacowanym jest klejnotem — Daj mi z nim pokój! Znam jego chytrość i podstępy; nie chcę, nie potrzebuję jego usług.

— Książę i panie mój, zaufaj mojemu doświadczeniu! Skarbimir, samemu sobie zostawiony, mógłby stać się naszej sprawie szkodliwym pod pozorem przyjaźni i upokorzenia, ale znajdzie we mnie mistrza, w niczym mu nie ustępującego. Wykryję jego wybiegi i podstępy, wyświecę pierwszą jego myśl zdradziecką, a wtenczas któż nam zabroni zdjąć z szubienicy żołnierza i zastąpić go podskarbim?

— Rób, co ci się podoba, Mestwinie! — odpowiedział zniecierpliwiony książę. — Na dzisiaj daj mi pokój i opuść mnie! Snu potrzebuję. — To mówiąc, obrócił się do ściany, a Mestwin, uzyskawszy pozwolenie, wyleciał z pokoju, szybko dobrze znanymi, skrytymi schodami zstąpił na dół i w mgnieniu oka przebiegł cały zamek, po którym tak długo Jordan oprowadzał pana Gulczewa.

Już Skarbimir z radością widział otwierającą się bramę zamkową, już most zwodzony spuszczano, kiedy mocny głos: „Stójcie!” — zawołał i w tej samej chwili stanął przy nim Mestwin. Na ten widok pewny śmierci starzec skłonił głowę na piersi i głęboko westchnął; ale nim podniósł oczy, uczuł przyjazne ściśnienie ręki i grzecznie wyrzeczone słowa usłyszał:

— Książę chory, trzeba mu uniesienie przebaczyć.

— Przebaczyć — powtórzył zdziwiony Skarbimir — ach! jakże nie przebaczyć takiemu bohaterowi, rycerzu Mestwinie z Wilderthalu!

— Posłuchaj mnie, panie podskarbi królewski! — rzekł Mestwin i odprowadził go na stronę.

— Gotów jestem — odpowiedział Skarbimir, poznając, że chcą go w jakieś sidła ułowić. „Ale nie tak łatwo ze mną — pomyślał. — Alboż to nie przepędziłem życia na dworze? Alboż to poselstw mnogich nie odprawiłem? Alboż to nie oszukałem, nie zwiodłem tylu książąt i panów?” — Książęi pan mój — zaczął Mestwin — takiego jest ułożenia, że pierwsza myśl, co się nawinie, zawsze mu się z początku najlepszą wyda; ale potem, zastanowiwszy się, często gotów jest do rozeznania rzeczy, którymi pogardzał, do szanowania osób, na które złym okiem patrzał. Właśnie to się samo dzisiaj zdarzyło; nieprzyjemnymi pożegnał cię słowy, aleś ledwo wyszedł, upamiętał się i przysłał mię do ciebie. Skarbimirze, czy można na ciebie rachować? — Te słowa ostatnie wyrzekł stanowczym głosem i mocno ścisnął rękę podskarbiego, który po chwili namysłu:

— Jużem się oświadczył — odpowiedział — z poświęceniem bez granic dla księcia, a choć źle przyjęto moją życzliwość, w niczym się ona nie zmieniła.

— Pozostaniesz więc w obozie nieprzyjaciół czy tu się przeniesiesz? — zapytał Mestwin.

— Uczynię, co książę rozkaże.

— Tłumacz się jaśniej, szczerze powiedz: czyś gotów wiernie służyć Zbigniewowi? Czy twoje usługi zdrady czasem nie pokrywają? — i patrzałsię Mestwin na Skarbimira bystrym wzrokiem, chcąc przeniknąć tajniki jego serca. Ale nikt podskarbiemu nie mógł wyrównać w sztuce udawania, a w spokojnej naradzie, w której nie błyszczały miecze, rzadko kto potrafił zmięszać bezwstydne czoło. Rycerzowi też niemieckiemu nie zbywało na przebiegłości, a miał on tę wyższość nad panem z Gulczewa, że czy to w cichej naradzie, czy pośród wrzawy i bojów, zawsze zachowywał niczym nie naruszoną spokojność. Wystąpili teraz ci dwaj ludzie, równie chytrzy i niegodziwi, każdy w swoim rodzaju, do potyczki; każdy starał się przeciwnika myśli odgadnąć, każdy obiecywał sobie zwycięstwo, każdy był pewnym, że drugiego oszuka; ale rozwaga i zimna krew Mestwina zapewniała mu wygraną, bo Skarbimir trwożnym okiem poglądał na rękę rycerza opartą, jak gdyby od niechcenia, na rękojeści stalowego sztyletu.

— Zdrada daleka ode mnie była zawsze i będzie — odparł Skarbimir — przysięgam więc…

— Nieważna przysięga — przerwał rycerz niemiecki — bom słyszał od wielu, żeś nieraz podobną naruszył i złamał.

— Kto mógł mnie oczerniać, kto oskarżać o taką zbrodnię, dzielny rycerzu? Staw mi go przed oczy, a moja niewinność zawstydzi jego potwarze!

— Przyszłoby mi wtenczas stawić przed tobą — zawołał Mestwin — panów wszystkich, którym kiedykolwiek służyłeś, przyjaciół, których zdradziłeś, całą Polskę, w której szeroko się rozlega pogłoska o fałszu twoich miodowych słówek i udanej cnoty. Sam powiedz, czy w tej chwili nie zdradzasz Mieczysława? Więc pewniejszej mi trzeba rękojmi nad twoje przysięgi.

— Ja Mieczysława zdradzam? — odrzekł podskarbi. — Alboż udzielny pan Gulczewa ma jakie dla niego obowiązki

lennicze? Alboż słowo lub wdzięczność wiążą mnie do niego? Owszem, chęć serca i uszanowanie zbliżyły mnie do Zbigniewa. Nie od dzisiaj ozwały się te uczucia we mnie. Jeszcze w sali tronowej mu je oznajmiłem, jak sam zaświadczyć może. I któż teraz tak ślepym, tak nierozsądnym będzie, ażeby mojemu słowu nie ufał, ażeby nie widział, że same niebiosa natchnęły mnie przywiązaniem do syna mojego monarchy? — Wszystko to są próżne słowa — rzekł mocnym głosem Mestwin. — Nie możesz inaczej mówić w tym miejscu; będąc w naszej mocy, każdy by na takie same oświadczenia się zdobył.

— Więcej ci jeszcze powiem — zawołał z żywością pan Gulczewa. — Nie cierpię, nienawidzę Mieczysława, Wszebora, Sieciecha — Sieciecha, tego wojewodę, który ufny w swoim mieczu, śmie mnie na śmiechy i żarty wystawiać! Choćbym nie czuł przychylności dla Zbigniewa, nienawiść ku wojewodzie już by mnie kazała się zaciągnąć pod znaki jego nieprzyjaciół. On, wzniósłszy się na ten urząd, nie wiedzieć za co i nie wiedzieć dlaczego, mnie, zestarzałego na dworze, mnie, wiekiem i godnością szanownego, sto razy na dzień obraża! Mestwinie, wierz mi, gdybym mógł, udusiłbym go własnymi rękami.

Słuchał tych słów rycerz niemiecki z natężoną uwagą i na chwilę nie odwrócił oczu od twarzy Skarbimira, która dopiero teraz odbijała prawdziwe duszy uczucia: złość, długo tajona, wybuchnęła we wściekłej mowie, marszcząc jego rysy, a oczy piekielnym ożywiając ogniem.

Odstąpił o kilka kroków Mestwin i rzekł po cichu Jordanowi z szyderczym uśmiechem:

— Trzymam go teraz w mojej mocy; pierwsze słowa szczerze teraz wyrzekł i wpadł w zastawione sieci dzięki miłości własnej, która nawet nad chytrością wzięła górę u niego.

Ochłonąwszy z zapału, poznał Skarbimir, że niebacznie odkrył prawdziwy stan serca i gorzko westchnął, tak jak

wojownik widzący, że po przegranej bitwie musi ustąpić dzielniejszemu przeciwnikowi. Nie stracił jednak zupełnie nadziei, spodziewając się, że może jeszcze potrafi złudzić Mestwina. Zaczął więc na nowo oświadczenia, powtórzył przyrzeczenia i zakończył, dowodząc, że przejęty jest najżywszym do księcia przywiązaniem.

Rozśmiał się wtenczas głośno rycerz niemiecki i z urąganiem poglądając na podskarbiego:

— Wierzę, wierzę — zawołał — ale nie wszystkiemu: z początku i teraz na końcu bezwstydnie skłamałeś, we środku prawdęś powiedział: a cóż, czym nie zgadł?

Pozostał w milczeniu Skarbimir, gryząc sobie wargi — Panie Gulczewa — ciągnął dalej Mestwin — znam cię doskonale teraz; oszczędź sobie słów i zabiegów, bo daremnymi będą! Na świecie, gdzie tylu jest niedoświadczonych lub nierozsądnych, możesz jeszcze się pokrywać barwą cnoty, możesz jeszcze udawaniem przyciągnąć i oszukać; ale w tym zamku już nic nie zdziałasz. Są bowiem w nim! ludzie, którzy wśród najburzliwszych namiętności wzrósłszy, umiejących uniesienia rozeznać od zimnej rachuby i wykrywać każdego skryte chęci i żądze. Skarbimirze, bądź wiernym Zbigniewowi, a nagrodę pewną ci obiecuję, czy zechcesz poniżenia Sieciecha, czy własnego wzniesienia. Wróćdo obozu, w nim ciągle przebywaj i sprzyjaj naszej sprawie, wypełniaj nadsyłane od nas polecenia…

— Jakież one są?

— Dowiesz się o nich w przyzwoitym miejscu i czasie, a kiedy po drugi raz ujrzysz ten pierścień w ręku drugiego, bądź pewnym, że to mój posłaniec!

— Rozumiem.

— Nie potrzebuję cię uczyć, jak masz zresztą postępować: skrytość i chytrość najmilszymi ci

towarzyszami od dzieciństwa były. Wszystko uważaj i pilnie nam donoś, pamiętaj oraz o pierścieniu!

— Więc mi szpiega rzemiosło przybrać trzeba, rycerzu?

— Nie szpiega, ale poświęconego sługi mego księcia i pana; bo na wszystkie cienie pomordowanych tą szablą wrogów, gdybym kiedy odkrył chęć zdrady w tobie, niedługo byś na tej ziemi przebywał. Dopóki wiernym nam będziesz, dopótyśmy przyjaciele. Nie ośmielaj się walczyć *ze* mną, nie ubiegaj się o pierwszeństwo w podstępach, ostrzegam cię, nie knuj żadnej zdrady, bo jak dzisiaj oderwałem zasłonę z twego serca, tak zawsze to samo potrafię uczynić. Przyznaję, że przez długi czas nikt ci nie zrównałna drodze fałszu i kłamstwa: dotąd pierwszym byłeś, ale dzisiaj ulec musisz wyższemu od siebie! Znalazłeś pana, który cię utrzyma na wodzy. Porwany jego potęgą, odtąd jego tylko rozkazy wypełniać będziesz, a jeśli zechcesz mu się sprzeciwić, zrzuci cię on w przepaść, z której nigdy nie powstaniesz. Idź więc, wracaj do obozu, spraw się Władysławowi z poselstwa, ale pamiętaj, że odtąd oko czujne czuwać będzie nad tobą i że ręka, zawsze gotowa spaść na twoją głowę, wiecznie ci będzie grozić zagubą!

Po tych słowach odszedł Skarbimir, złością i wstydem przejęty. Budowę chytrości, którą z taką pracą wznosił przez lat tyle, zwalił człowiek, na którego dawniej patrzał z pogardą. Wracał więc do obozu z spuszczoną głową, z rozpaczą w sercu; czuł, że odtąd wszystkie jego kroki śledzić będzie nieprzyjaciel, skory do użycia najgwałtowniejszych środków, a sobie samemu musiał przypisywać winę tego nieszczęścia. Czegóż było wydawać się tak porywczo z żalem do Sieciecha? Czyż tysiącznych wybiegów wynaleźć nie mógł na omamienie i odurzenie Mestwina? I rycerz ten, pośród namiotów wychowany, częściej na koniu niż w radnym krześle siedzący, wziął górę nad przebiegłym Skarbimirem? I on nie potrafi zrzucić tego

haniebnego jarzma? Takie myśli dręczyły zbliżającego się do obozu starca, jednak nadzieja zemsty nad Sieciechem pocieszyła go trochę, a potem rzekł sobie po cichu: „Nie Zbigniew, to Mieczysław upadnie i zawsze jednym mniej będzie; potem pomyślemy i o tamtym.” To mówiąc, nagle odwrócił głowę i obejrzał się z mimowolnym przerażeniem na wszystkie strony, tak jak gdyby Mestwin go mógł słyszeć.

ROZDZIAŁ XIV

Lecz w piersiach Jego piekło zawrzało,
Zawrzała zemsty chęć wściekła,
Gdy się cofnąwszy z postacią śmiałą,
Te dumne słowa wyrzekła:
„Nie dośćże ciężką znosiłam mękę,
Ze jeszcze zuchwały zbójca
Śmie mi zbrodniczą podawać rękę”
Zbrodniarz

Wprowadzimy teraz czytelnika do jednej z komnat zamku księcia Zbigniewa, dotąd mu nie znanej, chociażeśmy go często i może aż do znudzenia po nim wodzili.

Żeby oznaczyć jej położenie, wypada powiedzieć, że wszedłszy na schody, kręcące się w wieży zachodniej, dosyć długo trzeba było iść nimi, nim się dostano do ciasnej galerii, oświeconej teraz rzadkimi pochodniami, których migające światło z trudnością się przedzierało przez nocne ciemności. Przy końcu tej galerii widziano wyniosłe drzwi, nad którymi zakrzywiało się sklepienie, a za ich otwarciem ukazywała się wzwyż wspomniana komnata, do której opisu przystąpiemy, o ile nam tego dozwolą mdłe i słabe promienie samotnej lampy, stojącej na długim stole, zajmującym cały środek pokoju. Kamienna posadzka dźwigała liczne siedzenia czarnym obite suknem i kilka szaf żelaznymi obwarowanych kraty, zza których lśniły się oręże wszelkiego rodzaju. Spoczywała tam bowiem polska szabla i francuska szpada, angielski topór i włoski sztylet, ciężki pancerz niemiecki i lekka kolczuga południowych krain, strzały śmierć niosące z daleka i włócznie z bliska rzucane, kilka ogromnych kopii stało opartych o ściany ciemnym

obiciem zakryte, na których rzadkie wisiały obrazy wystawujące morderstwa i wałki. W głębi ukazywało się łoże zasłane niedźwiedzią skórą, a blisko niego zaczynały się kamienne schody prowadzące do mniejszego pokoju, z którego wypływające światło, wchodząc do szerokiej, pod nim będącej komnaty, konało u stóp łoża, niewyraźnie już tarczę przy nim zawieszoną i napis na niej wyryty od innych odznaczając przedmiotów.

Wpatrywał się w ten napis rycerz Mestwin z Wilderthalu z założonymi rękoma i powtarzał czasem ze zwykłym sobie uśmiechem: „Śmierć temu, który się mnie dotknie!” Czasem też oddalał się od ściany i szybko przechadzając się po komnacie, pojedyńczymi wykrzyknikami: „Do szatana, jej oczy! jej twarz! nie ma nic równego w Niemczech”, poruszenie duszy odkrywał. Nareszcie usiadł przy stole i zaświsnął w srebrną świstałkę, wiszącą na sznurku okręcającym się naokoło szyi. Natychmiast ukazała się na schodach kamiennych zbiegająca z wierzchniego pokoiku osoba, która, przystąpiwszy do rycerza, lekkim go przywitała ukłonem. Był to młodzieniec, nie więcej nad ośmnaście lat liczący, w kształtnym paziów niemieckich stroju: twarz jego wiosenną szpeciły oznaki burzliwych już namiętności, a ogień błyszczący w oczach stracił znamię niewinnej cnoty. Jakaś nawet ponurość, daleka od wesołości najpiękniejszej życia pory, kaziła piękne jego rysy. Zresztą żywość i zręczność wydawała się w każdym poruszeniu, a włosy, w gęstych pierścieniach szyję otaczające, przydawały jeszcze powabu do oblicza, na nieszczęście zbrodnią, a przynajmniej zimnym do niej przyzwyczajeniem nacechowanego.

— Ulrychu — rzekł Mestwin — powiedz mi szczerze, czy kiedy w naszych bogatych miastach lub na brzegach Elby, lub w górach dzikiej Szwajcarii, lub nareszcie na świetnych turniejach naszej ojczyzny widziałeś równą jej piękność, oko tak ponętne, kibić tak kształtną?

— Trudno mi być sędzią w tej sprawie, bo nie wiem, o kim chcesz mówić, mój panie.

— O niej. Czyś nie słyszał o Hannie?

— O księżnie naszej, rycerzu?

— Kto tu jest księżną? — zawołał Mestwin, podnosząc się nagle i wściekłe miotając na wszystkie strony spojrzenia. — Kto tu śmie ją tak nazywaćnie uzyskawszy wprzód pozwolenia ode mnie, prawdziwego tych miejsc pana? Kto tu jest księżną? dziecię, pytam się jeszcze raz ciebie.

— A zdaje mi się — odparł zdziwiony Ulrych — jeślim nie w błędzie, że taką jest żona księcia Zbigniewa.

— Kto tu jest żoną Zbigniewa? — po drugi raz zapytał Mestwin. — Czym na to się zgodził? Czyi jedno moje słowo lub skinienie potwierdziło ten obmierzły związek?

— A czymże jest Hanna z Ciechanowa?

— Moją żoną! — krzyknął rycerz, kładąc rękę na piersi — moją żoną lub trupem bez czucia, ciałem bez duszy za dni kilka!

Po tych słowach nastąpiło milczenie, które znów przerwał Mestwin, odzywając się do Ulrycha:

— Nie chciałem wierzyć, żeby tajemnicza siła zapalała serca i w ciężkie okowała pęta. Śpiewy naszych minstrelów i zalotności współtowarzyszów broni urojeniami się wydawały; gardziłem miłością, a jeślim uwodził dziewczyny, było to raczej skutkiem przyjemności, którą obiecywał sobie z ich łez i westchnień w chwili pożegnania lub opuszczenia. A teraz i mój duch śmiały uległ nieznanej potędze, która przemogła nad wiernością i przywiązaniem moim do Zbigniewa. Ulrychu, nie wierz, śmiej się albo raczej wierz i nie śmiej się, bobyś to srogo mógł opłacić: kocham, kocham Hannę z Ciechanowa, chcę ją posiąść, przysiągłem, że albo moją będzie, albo zginie! Dwie drogi otwierają się przede

mną. Jedna prowadzi do zdrady i miłości, druga do wierności księciu i zemsty; rozumiesz mnie, Ulrychu?

— Na szatana, cię nie rozumiem, drogi mój panie!

— Nie rozumiesz, ziemska istoto, prochu nikczemny! Powiadam ci, że Hanna musi do mnie należeć. Z nią ujadę w dalekie strony. Te śnieżne piersi za mną wzdychać, te czarne oczy na mnie tylko zwracać się będą.

— Niepojęte dziwy! — rzekł Ulrych — zamek obwarowany, mury wysokie, a serce kobiety innemu oddane; chyba pożyczywszy skrzydeł u sokoła, a wdzięków u serafa, wykonać to będziesz w stanie.

— Wywrócę zamek, przejdę mury, opanuję serce; moja wymowa i mój rozum jednego i drugiego dopną. Łatwo mi stąd, z Polski nawet umknąć. Dzisiaj przyjąłem nowego sługę.

— Nowego sługę, ukochany mój panie — przerwał smutnie młodzieniec — a cóż się stanie z Ulrychem? czyż na to ojczyste opuścił kraje, byś go zostawił w tych stronach bez przyjaciół, bez opieki, a nade wszystko bez ulubionego pana? — To mówiąc, schylił się i ucałował rękę rycerza.

— Nie rozumiesz mnie dzisiaj, niepojętne dziecię; mówię ja o inszym słudze, a tym jest Skarbimir z Gulczewa, podskarbi jego królewskiej mości. On mnie wszystko ułatwi, za wyrzeczonym rozkazem przybiegnie podesłać się pod moje stopy i wszystko wypełnić z ochotą, co zechcę. On mi szczęście zapewni, za jego pomocą Hanna moją będzie albo też, jeśli odrzuci Mestwina, dozna jego zemsty, zemsty, której przykład zagrzmi w przyszłości, zemsty nie widzianej dotąd!

— Czyś nie słaby czasem, mój panie? — zapytał paź, przerażony uniesieniem pana.

— Precz mi z takimi wnioskami! — przerwał grzmiącym głosem Mestwin. — Owszem, czuję napływ sił nadzwyczajnych, sił, którymi świat bym mógł zniszczyć,

czuję ogień w piersiach, którego wkrótce wybuchną płomienie. Nigdy nic w życiu lepiej mi nie usłużyło nad tę ranę odebraną przez Zbigniewa. Hanna teraz sama przesiaduje w swoich komnatach. Na szatana i piekło zarazem, to moja żona; powiadam ci, paziu, ona moją żoną być musi!

— Jeśliś tak postanowił — ozwał się Ulrych — to będziesz łaskaw użyć mnie do posługi w tej sprawie, wiesz bowiem, że orle mam oko i jelenie nogi, umiem się jak wąż czołgać po nieprzyjacielskich obozach i rzucać się z zajadłością na wskazane ofiary.

— Doświadczyłem często twojej zręczności — odparł Mestwin — a teraz potrzebniejszą mi ona niż kiedykolwiek będzie. Wspomniałeś o obozach nieprzyjacielskich, wkrótce je odwiedzisz. Ale, Ulrychu, zdaje mi się — dodał już ciszej i z szyderskim uśmiechem — że spokojny i wyrachowany zwyczajnie rycerz z Wilderthalu zanadto się uniósł; rysy jego zapewnie przybrały cechę namiętności i prawdy, od dawna zapomnianej. Trzeba odmienić ten wyraz twarzy i znowu wrócić do zwykłego stanu. — To mówiąc, zdjął świstałkę, a na jej miejscu zarzucił rycerski łańcuch, szpadę z świetną rękojeścią, z szafy wyjętą, zawiesił u boku, a aksamitną czarną czapkę z długimi pióry wziął do ręki.

— Idę — rzekł — zobaczyć, czy pierwsze natarcie mi się uda — ale rzadko od razu zupełne odnosi się zwycięstwo, wolno jednak szczęścia próbować. Wleję w jej serce nieufność ku mężowi, tyle sideł naokoło nastawię, że nareszcie w nich uwięźnie. Ty zaś nie opuszczaj mojej komnaty, a gdyby książę mnie kazał przywołać, o czym bardzo wątpią, wyjdź na galerią, stań przy schodach i po trzykroć w tę świstałkę zagwizdaj.

Po tych słowach wyszedł Mestwin, tak zajęty wrzącą namiętnością, że nie słyszał słów Ulrycha:

— Zapewnie oszalał; ale dobrze, że przynajmniej teraz bądzie co do roboty.

Spiesznym idąc krokiem, znanymi sobie przechodami przybył Mestwin do wspomnianej już dawniej sali, w której za pchnięciem gwoździa część ściany się odsuwała; kilka chwil później witał ukłonem i mową księżnę Hanną z Ciechanowa, która przyzwyczaiła się poniekąd do odwiedzin Mestwina, często od męża do niej przysyłanego.

— Cóż cię o tak późnej godzinie do nas sprowadziło, rycerzu? Czy mój Zbigniew czasem nie zasłabł? czy mojej nie potrzebuje pomocy?

— Książę, miłym snem ujęty, marzy zapewnie o chwale. Chęć widzenia ciebie i uwielbienia twoich wdzięków, pani, tu moje kroki przywiodła.

Zdziwona tak niezwykłą księżna przemową, ze wstrętem odwróciła oczy od Mestwina i w milczeniu obszywała w złote i jedwabne nici rękawiczki z białej jak śnieg skóry, dowodzące swoją wielkością, że nie miała ich nosić piękna i szczupła ręka, która ich przyozdabianiem się zatrudniała. Czasem też prosiła Katarzyny, za nią stojącej, o podanie narzędzi, do tej pracy potrzebnych.

Mestwin nie wiedział, od czego znowu zacząć rozmowę, ale wkrótce zimna jego bezczelność wzięła górę nad chwilowym pomięszaniem i tak się odezwał:

— Nadobna Hanno, mam ci Ważne odkryć tajemnice, głęboko dotąd ukryte; ważne i bardzo ważne, mające wpływać na los twój cały rzeczy ci oznajmię.

— Uwolnij mię, rycerzu, od tych wynurzeń! — odparła księżna. — Nic nie chcę wiedzieć ani słyszeć od ciebie; może byś zmniejszył i tak nie bardzo błogie szczęście moje. Zostaw więc mnie i lepiej uczynisz, kiedy pójdziesz obejrzeć czaty w zamku.

Odpowiedź ta rozjątrzyła Mestwina. Miał jednak dosyć siły do wstrzymania gniewu i znów mowę zaczął, ale już mocniej i dobitniejszym głosem:

— Ważne, zaiste, ważne przedmioty i sprawy znagliły mnie do odwiedzenia cię, pani! Nie bądź tak porywczą i wysłuchaj człowieka, który by całą krew swoją wylał dla ciebie.

Podniosła wtenczas oczy Hanna i z największym podziwieniem, pierwszy raz odkąd poznała Mestwina, nie postrzegła na jego ustach szyderczego śmiechu. Wnosząc po tej odmianie, że prawdę powiada, z obawą go się pytała o wyjawienie tajemnicy.

— Każ naprzód, piękna Hanno, odejść tej służebnicy! Te wyrazy oburzyły księżnę i żywo przerwała je rycerzowi:

— Wśród tych samotnych murów i niebezpieczeństw, co dzień grożących, znikają różnice stanu; a Katarzyna tyle razy swoje przywiązanie mi dowiodła, że raczej wypadałoby ci ją przyjaciółką niż służebnicą nazywać.

— Omyliłem się — odparł Mestwin — racz przebaczyć, pani, ale cię jeszcze raz upraszam, byś kazała oddalić się tej przyjaciółce.

— Czy o Zbigniewie masz mi mówić?

— Przynajmniej o rzeczach tyczących się mego pana i księcia.

— Odejdź więc, Katarzyno — rzekła księżna i z bijącym od bojaźni i miłości sercem porwała się z krzesła i zbliżyła się do Mestwina, czego by nigdy w innym nie uczyniła razie.

Milczał rycerz, dopóki zupełnie odgłos kroków odchodzącej córki Gierdy nie ucichł, a wtenczas ująwszy rękę Hanny:

— Przysiąż — wyrzekł — na wszystkie świętości, przysiąż na Ewangelią, że nikomu nie powtórzysz słów usłyszanych ode mnie!

Zwiedziona podstępem, drżąca o Zbigniewa, z całym zapałem kochającego serca przysięgła księżna, mnogie gotując sobie przez to nieszczęścia. Wpatrywał się w nią

Mestwin wzrokiem raz ponurym, znów jaśniejącym nadzieją, ale nie była to nadzieja niewinności, kojąca cierpienia i zamieniająca ciernie życia ludzkiego na woniejące róże; był to raczej szał namiętności połączony ze zgubnymi widokami, z obrazem przyszłości pełnej zbrodniczych uciech.

Po skończeniu zaklęcia ścisnął jeszcze mocniej rękę Hanny z Ciechanowa rycerz niemiecki i nareszcie zawołał:

— Pamiętaj, niewiasto, żeś wykonała straszną przysięgę, za której zgwałcenie twój Kościół i religia grożą ci najsroższymi męczarniami; niech więc odtąd milczą twoje usta jak kamień grobowy, niech wieczne zapomnienie pokryje rozmowę i zdarzenia tej nocy! Zobowiązałaś się słowem, którego naruszenie zwaliłoby na ciebie i gniew niebios i gniew ludzi. Pamiętaj więc, powtarzam ci, Hanno z Ciechanowa, że jakkolwiek twoje podziwienie lub uniesienie wielkimi będą, nie powinnaś ich ukazywać zewnętrznymi znaki, nie powinnaś nawet myśleć o ich wykryciu!

— Znam dobrze — przerwała mu w tym miejscu Hanna — przepisy świętej naszej wiary i możesz być pewnym, że nie złamię przysięgi. Mów więc, Mestwinie, co wiesz, bo tu idzie o Zbigniewa, o człowieka, którego najwięcej na tej ziemi kocham.

Takie oświadczenie wcale nie przypadło do myśli rycerzowi niemieckiemu, który odstąpił kilka kroków i szydersko pojrzał na anielską twarz córki Wszebora.

— Mów, nie odwłaczaj, nie zwlekaj, rycerzu!

— A więc powiem ci wszystko — odrzekł Mestwin — kiedy sama tego żądasz. Wiedz, że roznieciłaś w moich piersiach płomień pożerający moje serce. Ognie piekła, podsycane przez szatana, niczym są w porównaniu tego, co wre pod tą kolczugą... Tak, kocham i ciebie kocham; Hanno, musisz być moją!

Zarumieniona księżna od gniewu i wstydu, przerwała mu tu mowę z przynależną godnością i powagą:

— Rycerzu, jako małżonka twojego pana, rozkazuję ci się oddalić! Mowa ta zuchwała nie powinna kazić moich uszu i wcale niedogodne dla niej obrałeś miejsce; tego jeszcze nie dostawało, żeby rycerz Mestwin ośmielał się urągać z swojej pani tak, jak z całej ziemi i nieba samego się urąga!

— Zuchwałą mową zowiesz — krzyknął Mestwin — najżywszy obraz miłości, którą dla ciebie pałam! I kiedyż, piękna Hanno, widziałaś mnie w takim stanie? czyi kiedy błyszczały moje oczy równym ogniem? czyż kiedy twarz moja blada pokryła się takim rumieńcem jak dzisiaj? Przyłóż rękę do moich piersi, a uczujesz, że to serce, spokojne od dawna na groty nieprzyjaciół i spojrzenia dziewic, bije z podwojoną mocą w twojej przytomności... Pozwól rękę ucałować, pozwól ust różanych się dotknąć, wyrwę cię z tego położenia — dodał, na pół dobywając szabli — nie będziesz dłużej jak uwięziona przebywać w oblężonym zamku! Poznasz czarowne Niemiec okolice, gdzie mi wskażesz, tam cię zawiozę; na dworach książąt i królów pierwszą będziesz, a gdyby ci kto śmiał tego zaprzeczyć, ległby u nóg twoich, śmiertelnym uderzony ciosem. Opuść zimnego już dla ciebie męża i przejdź w objęcia człowieka, który cię tak kocha, że gotów na twój rozkaz krwią przyjaciół i krewnych się oblać i świat cały zniszczyć dla twojego upodobania! Patrz, nigdy w świątyni nie kląkłem przed Bogiem waszym, nigdy, żebrząc przebaczenia lub łaski, nie zniżyłem czoła przed mocarzami, a teraz zginam przed tobą kolana! Hanno, jeśli życie ci drogie, pokochaj mnie, bo jeśli mnie odrzucisz, biada wam wszystkim: wściekle rzucę się w objęcia zemsty i popamiętasz, jakie są groźby Mestwina!

A tu dziko się rozśmiał, schylony u stóp księżny, która z początku z przerażeniem, a teraz z pogardą i gniewem nań poglądała.

Nagle odskoczywszy, wzięła Biblią w ręce i zastawiała się tą świętą od rycerza tarczą. Jeszcze chciał odezwać się Mestwin, ale Hanna przerwała mu tymi słowy:

— Podły sługo, kiedyś pilnować łoża boleści swojego pana, kiedyś lekarstwa mu podawać powinien, przychodzisz do jego żony i zuchwałymi obrażasz ją mowy, o których w przytomności Zbigniewa nie śmiałbyś i pomyśleć nawet! Podeszłeś mnie piekielnym podstępem.

— Alboż co powiedziałem ci, pani, nie tyczy się księcia Zbigniewa? — zapytał się szyderskim głosem Mestwin.

— Milcz, zdrajco, nie zatruwaj powietrza zgubnym tchem swoim! Precz z moich oczu, odwróć szatański wzrok od mojej twarzy! Czyż myślisz, że, gdybym nawet kiedy mogła zapomnieć o cnocie i wierze poprzysiężonej Zbigniewowi, żebym na ciebie choć jedno wejrzenie zwróciła? Czy sądzisz, że szlachetna Polka i córka pana Ciechanowa chciałaby się zniżyć do odbierania hołdów Niemca, posługacza swego? Srogą dziś popełniłeś obrazę, zgwałciłeś wszystkie obowiązki i człowieka i sługi, podniósłeś oczy na własną księżnę, szkaradną zdradą zmusiłeś ją do wspomnienia świętych imion Boga i księgi, przez Niego danej, w okoliczności, w której niegodziwe twoje chęci i zbrodnicze zamiary na jaw się wydały. Przebaczam ci jednak jako chrześcijanka i jako księżna polska, której by niegodnym było mścić się na takiej jak ty istocie. Ale nie pokazuj się więcej moim oczom, uciekaj z tych komnat i niech już twoje stopy nigdy się nie dotkną miejsc, gdzie przeszły moje ślady!

— Rozważ, pani — krzyknął Mestwin, miotany najsroższymi namiętnościami — że swój własny wyrok wymówiłaś teraz, bo jeśli mną wzgardzisz, to ramię dopóty nie spocznie, dopóki cię i miłych tobie nie zagrzebie pod ciężarem klęsk okropnych! Cóż to jest cnota, o której tak dobrze pamiętasz? Jest to mara i widmo, nigdy nie istniejące na świecie, utworzone w głowie mędrców. Jedyną

dla mnie cnotą jest ciebie posiadać, innych się wyrzekam i znać nie chcę!

— Bluźnisz, Mestwinie! — zawołała księżna, która zaczęła sądzić, że pomięszane ma rycerz zmysły. — Bluźnisz, nieszczęśliwy, ale powtarzam, oddal się stąd, wasalu i sługo!

— Gdzież tu widzisz, Hanno z Ciechanowa — odparł wściekły Mestwin — wasala lub sługę? Owszem, lepiej byś mnie swoim panem i mężem nazwała, bo, na piekło, spodziewam się, że tego dopnę! Inaczej bowiem zemsta... ale, Hanno, ostatni raz powiadam, nie ma słów w jakim bądź ludzkim języku na wyrażenie zemsty, którą tobie gotuję.

— Jestem w twojej mocy — przerwała Hanna — bo krzyków moich nikt by nie usłyszał; ale wiedz, nikczemny rycerzu, że choć słabą jestem i lękliwą niewiastą, wcale jednak nie drżę przed ognistym twoim wzrokiem i ręką spoczywającą na szabli! Bo cóż możesz mi zrobić? Zabić... Nie lękam się śmierci, ale całą potęgą nie zerwiesz miłości łączącej mnie ze Zbigniewem, nie zatrujesz pięknych młodości myśli i ułudzeń, a te są jedynym moim szczęściem... Ale dosyć już o tym, odejdź — a kiedy Mestwin i krokiem nie ruszył — lub uderz i zakończ obelgi, których cierpieć nie powinna ani żona Zbigniewa, ani córka Wszebora.

— Mylisz się — odpowiedział zimno Mestwin — sądząc, że zechcę własne żelazo w piersi twe utopić; przyjdzie czas, dumna Polko, kiedy gorzko pożałujesz, żem tego nie uczynił, Sroższe ci męki i boleści gotuję nad chwilowe konanie pod mieczem zabójcy. Z rąk ulubionych odtąd gorycze na cię spływać będą, a niespokojność i nieufność napełnią godziny życia twojego. W porównaniu z przyszłością, niebezpieczeństwa, którym teraz ulegasz, codzienne troski i zgryzoty dziecinnymi igraszkami, a najprzykrzejsze chwile, dotąd przez ciebie doznane, są

niebieskim szczęściem... Ulubione ci związki potargam, nadzieję zniszczę. Łez i westchnień ci nie stanie na opłakiwanie nieszczęść, które cię otoczą i zamkną wszelką do pomyślności drogę. Kiedy zrzucisz jedną zawadę, natychmiast druga urośnie pod twoimi kroki; kiedy zerwiesz jeden cierń, tysiąc innych przejście ci zagrodzi. Opuszczona od męża, okryta hańbą, odrzucona przez ojca, nie mogąca strapień swoich powierzyć przyjaźni, boś straszną związana przysięgą, pożałujesz chwili, w której nazwałaś mię wasalem, sługą, w której nie chciałaś mojemu sercu odpowiedzieć. Taką ci przyszłość zapowiadam, Hanno z Ciechanowa, jeśli mnie odrzucisz!

— Ufna w Bogu — odparła Hanna — przyjmuję ten zgubny obraz, mając nadzieję, że się nie spełni. A gdyby to się sprawdzić miało, pocieszy mię przekonanie, żem była cnotliwą. Ale nie, ty nie możesz stać się przeszkodą między mną a Zbigniewem!

Poznał wtenczas Mestwin, że gwałtowność i groźby nic nie pomogą i zebrawszy wszystkie siły, skrócił wściekłość nim władającą.

— Zostaw mi przecie choć małą nadzieję — rzekł zniżonym głosem — że niezupełnie zabraniasz mi o sobie myśleć, że mi wolno będzie przyjść do ciebie!

— Milcz! — odparła księżna uroczyście. — Kiedy zechcę te rękawiczki przesłać księciu Zbigniewowi, każę cię zawołać, byś je mu poniósł. Inaczej nie śmiej stawić się przede mną! — Dokończając tych słów, z taką powagą wskazała mu drzwi komnaty, że uderzony wyższością, którą zawsze zachowuje cnota nad zbrodnią, odejść musiał; powolnym jednak odstępował krokiem i często się odwracał. Nareszcie, mając już wychodzić, jeszcze chciał coś przemówić, ale odwaga go opuściła i zawstydzony własną nieśmiałością, obiecując sobie, że potrafi później dokonać niegodziwych zamiarów, wyszedł, powtarzając po

cichu ze zwyczajnym uśmiechem, że trudno od razu zupełne odnieść zwycięstwo.

Hanna sama została, a wtenczas powagę i stałość dotychczasową zastąpiły rzewne łzy i jęki. Z trwogą poglądając na przyszłe nieszczęścia, utraciła męstwo. Myśl, że Mestwin może kiedyś oderwać od niej serce Zbigniewa, w taką rozpacz ją wprawiła, że upadła bez zmysłów na ziemię. W samotnym pokoju leżała dosyć długo w tym stanie zbliżonym do śmierci żona księcia Zbigniewa, a odzyskując zmysły, ujrzała przy sobie wierną Katarzynę. Żal wrócił za wróconym życiem. Niemożność wyjawienia jedynej przyjaciółce strasznych wydarzeń srodze ją bolała. Musiała zamykać w znękanym sercu gnębiące ją uczucia. Nie mogła szukać nigdzie pociechy, odtąd dni jej życia miały upływać pośród okropnych przewidywań losu przez Mestwina zgotowanego i okropniejszych jeszcze z nim sporów. Uklękła nareszcie przed obrazem Matki Boskiej.

Osłabiona, zbladła, trwogą przejęta, modlić się już nawet nie mogła i te jedynie tylko wyrzekła słowa:

— Oddal od Zbigniewa tego człowieka i zmiłuj się nad nami!

ROZDZIAŁ XV

Jeden i drugi wnet mieczów dobywa
I oto się walka zaczęła straszliwa.
Odyniec

Na szerokim polu, niedalekim od Płocka, mnóstwo robotników pracowało nad wznoszeniem wysokich zagród i rusztowań Niektórzy obalali drzewa, gdzieniegdzie łąkę ocieniające, drudzy wyrywali darninę, na jej miejscu żółty wysypując piasek, przywieziony z bliskich Wisły brzegów na mnogich wozach. Krzyki z piosnkami mięszały się w powietrzu, a czasem słyszano zachęcania i napominania przełożonych nad robotą; szybko wznosiła się budowla w obszernym okręgu, na którym porobione siedzenia miały służyć widzom płci obojej.

Przy jednym z końców zagrody wystawiono przeznaczone dla króla miejsce, pokryte okrągławym dachem, pod którym stało bogate krzesło, na pół purpurowymi zasłony zakryte; pozłacane zaś poręcze stały naokoło tego tronu. Z czterech stron gmachu były wysokie bramy z żelaznymi kraty, przeznaczone rycerzom do wnijścia na przestrzeń piaskiem zasypaną, w której mieli się potykać, a przy każdej z nich przygotowano siedzenie dla woźnych, ogłaszających przepisy i prawa turniejów.

W tłumie tylu ludzi, pracą zajętych, rozeznać można było człowieka, szybko się przechadzającego i przemawiającego rozkazującym głosem. Obwinięty w zielonym płaszczu, którego fałdy z wiatrem igrały, zdawał się wszystko rozporządzać i wszystkim się zatrudniać. Bogaty strój go okrywał i piękne pióra ulatywały ponad aksamitną czapką. Sokół, niesiony na lewej ręce, bardziej go jeszcze niż ubiór odróżniał od innych. Czasem odrywał oczy od otaczających i bystrym wzrokiem przebiegał równinę i niedalekie od niej

błoto, jak gdyby spodziewał się w nich odkryć jaką zdobycz dla ulubionego ptaka; ale zapewnie hałas i gwar nieustanny odstraszył spokojnych pól mieszkańców, bo wszystkie jego starania nadaremne były i mimo czystej pogody nie mógł znaleźć celu swych życzeń. Odzywały się wprawdzie śpiewy ukrytych w gałęziach ptaszków, ale te głosy nie poruszyły szlachetnego sokoła, którego odwaga i siła straszniejszych wymagała przeciwników.

— Nuże, do roboty! — wołał Wolimir z Moskorzewa. — Dokańczajcie budowli, bo jutro, w miejscu waszych narzędzi, dzielnych rycerzy błyszczeć tu będą zbroje i pryskać pancerze! Ten rów zasypcie, podeprzyjcie tę ścianę! Na wszystkie sokoły, leniwo się sprawiacie; prędzejże, prędzej!

Te napomnienia podwajały robotników ochotę. Pot ciekący z ich czoła dowodził pracowitości i w mgnieniu oka tu zagrody, tam znowu siedzenia podnosiły się z ziemi. Szare przed chwilą ściany żywymi pokrywały się farbami, a pyszne zasłony i obicia przyozdabiały stopniami stopniowo przygotowane dla widzów piętra, do których zewsząd liczne prowadziły schody i galerie.

Często dla zachęcenia rzucał wielki sokolnik kilka sztuk srebra pracowitszym, a ociągających się żywymi karcił słowy. Oznaczywszy każdemu miejsce i stosowne zatrudnienie, oddalił się na chwilę, zwracając kroki do bliskiego strumienia, który sącząc się w ciasnym korycie, rozdzielał się na pomniejsze strugi, niknące wśród gęstych łóz i krzaków. Ziemia grząska uchylała się pod jego stopami i często nawet zanurzał się w niej po kolana, ale nie zważając na tę niedogodność, coraz się dalej posuwał w nadziei znalezienia jakiej zdobyczy, zmierzając do małego jeziora, którego iskrząca się od słońca powierzchnia przebijała przez otaczające krzewiny i drzewa.

Nagle rozjaśniła się jego twarz radością, bo dostrzegł coś czarnego na środku wody. Jeszcze przez czas jakiś nie

mógł rozeznać, czy to należało do rzędu żyjących istot, ale za zbliżeniem się zaczęło się poruszać i wielki sokolnik z nadzwyczajnym zadowoleniem poznał długi dziób ogromnej czapli i drogie pióra, jej głowę zdobiące. Dotknął się więc sokoła, który ze snu obudzony, spojrzał naprzód na pana, a potem na wskazane jezioro, a oczy mu zajaśniały podobnym ogniem do błyszczącego w wejrzeniu Wolimira, który, schyliwszy się, ostrożnie podchodził czujnego ptaka, odginając rośliny stojące mu na przeszkodzie i omijając zeschłe gałęzie, które by skrzypnięciem mogły ostrzec czaplę o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Nareszcie, kiedy już sądził, że dosyć się przysunął, powstał nagle i ukazał się ponad wierzchołkami niskich zarośli. Natychmiast czapla porwała się z wody, a w tej samej chwili, za dobrze znanym świśnięciem, roztoczył sokół pióra i zleciawszy z dłoni Wolimira w górę wzniesionej, puścił się w pogoń za szybko uciekającą zdobyczą.

Założył wtenczas pan Moskorzewa ręce na piersi i z uwagą wpatrywał się w tę gonitwę, z pewnością, że czy później, czy wcześniej, zawsze z korzyścią dlań się zakończy. Nim się jeszcze sokół wysoko wzbił w powietrze, zagrzewał go głosem i poruszeniami, a potem, choć go zapewnie ptak przywiązany słyszeć już nie mógł, przeciągłym gwizdaniem. Z początku czapla, unikając walki, szerokimi skrzydły szybko przecinała powietrze, oddalając się coraz bardziej od zawziętego wroga. Ale i szlachetny sokół nie ociągał się w drodze, a wkrótce znacznie zmniejszyła się przestrzeń dzieląca go od ofiary. Mieszkaniec samotnego jeziora poznał wtenczas konieczność walki i obrócił czoło, ale podleciał zarazem pod nieprzyjaciela, starając się, aby ten ostatni w natarciu z góry spotkał dziób straszliwy i wbił się na niego. Doświadczony sokół w tysiącznych potyczkach uniknął przecież zamachu czapli i ciężką jej ranę zakrzywionymi zadał szponami.

Przeraźliwy krzyk boleści przeleciał przez powietrze i obił się o uszy Wolimira, zapewniając mu wygraną, a w tej samej chwili ujrzał, jak wysoko nad nim spotkały się ledwo widziane dwa czarne ciała, jak przez czas jakiś krwawa nastąpiła walka, w której niepodobnym było odróżnić zwycięzcę od pokonanego i jak wkrótce potem z szybkością błyskawicy wprost się ku niemu spuścił sokół, trzymając zabitego nieprzyjaciela, którego trzy pióra, wyrwane sponad dziobu i krwią zbryzgane, obmył wielki sokolnik w jeziorze i zatknął na czapce. Nagrodził sokoła kawałkiem mięsa z torby wyjętym i znów go na ręce posadził, a ptak, przeniesiony z siedliska burz i gromów na dłoń wszechwładnego pana, zamknął oczy i zasnął.

Uniesiony radością, wrócił spiesznie sokolnik i dostawszy się po krótkim czasie na brzegi przebytych trzęsawisk, niepomału się zdziwił, kiedy dostrzegł siedzącego na koniu męża zbrojnego w pancerz połyskujący z daleka, który zdawał się rozkazywać robotnikom, układy jego zmieniać i opuszczone zastępować miejsce.

Skoczył więc prędko ku niemu i z gniewem w sercu dopadł rycerza, kiedy właśnie, na jego nalegania, obalali robotnicy dopiero co wystawione siedzenia.

— Któż ci dał prawo — krzyknął wielki sokolnik — rozrządzać tu w mojej nieprzytomności?

— Sam go sobie nadałem — odparł mąż zbrojny — i sądzę, że nikt tego prawa nie będzie śmiał zaprzeczyć Sieciechowi, wojewodzie krakowskiemu!

— Zaprzeczam go jednak — odparł do żywego tknięty Wolimir dumnymi słowy Sieciecha — i proszę wojewody krakowskiego, by się nie mieszał do spraw w niczym doń nie należących, od króla mu nie poruczonych!

— Gdyby tu się odbywały łowy — zawołał Sieciech — miałbyś prawdę za sobą, chociaż i w nich równą tobie biegłością poszczycić się mogę: ale ponieważ tu nie o sokołach ani o psach mowa, ale o turniejach i igrzyskach

rycerskich, zdaje się, że mieć w nich powinien pierwszeństwo hetman królewski nad wielkim sokolnikiem.

— Mości panie wojewodo! — krzyknął obrażony Wolimir. — Sokoły i łowy nie przeszkadzają mi wiedzieć, że miecz mi jeszcze nic przyrósł do pochwy.

— I mój też jeszcze nie zardzewiał — przerwał Sieciech, uderzając o rękojeść pałasza — ale nie masz konia.

— Broń się! — zawołał gniewem uniesiony sokolnik. — Nie potrzebuję konia dla nauczenia zuchwalca, że nie urząd hetmański, ale szlachetne serce pierwszeństwo nadaje.

— Przynajmniej odejdźmy od tego motłochu! — rzekł Sieciech i zsiadłszy z konia, oddalił się na stronę. Wolimir poszedł za nim, rozkazawszy pod karą śmierci robotnikom, aby się nie ważyli zbaczać od rozkazów przez siebie danych.

Przybywszy nad błota, w których przed chwilą tak się Wolimirowi powiodło, stanął wojewoda, dobył szabli i natarł na sokolnika, który, złożywszy ptaka na murawie, odbił mieczem żelazo przeciwnika.

Na nieszczęście wyszło Sieciechowi, że zapomniał spuścić przyłbicy. Za drugim zwarciem się albowiem sokół Wolimira, podobny do tego starożytnego kruka, co rzymskiego ocalił bohatera, porwał się z ziemi i rzucił na szyszak wojewody. Stamtąd dopiero szpony w czoło jego zatopił i skrzydłami oczy mu zasłonił. Zmięszany Sieciech, broniąc się jedną ręką, darmo drugą chciał odrzucić nowego nieprzyjaciela.

Nie korzystał Wolimir z tak nadzwyczajnego wypadku i przez chwilę z uśmiechem przypatrywał się tej dziwnej walce, a potem zagwizdnął. Natychmiast posłuszny sokół opuścił Sieciecha i przyleciał do pana. Wtenczas wojewoda podał rękę Wolimirowi z Moskorzewa:

— Mogłeś mnie z łatwością zabić. Umiem cenić twoją wspaniałomyślność i winszuję ci tak przywiązanego sługi,

do którego mało jest między ludźmi podobnych.

— Zapomnijmy — odparł Wolimir, głaszcząc sokoła — o tym, co się stało! Obaśmy się niewczesnym unieśli zapałem, a teraz wróćmy do zgody! Nie odrzucę rad twoich, choć sam wiele turniejów widziałem i niejednym wieńcem ozdobiły się moje skronia.

— Dobrze — rzekł Sieciech — ale przybyłem z obozu w zamyśle dowiedzenia się od ciebie nazwisk sędziów turnieju.

— Słyszałem z ust najjaśniejszego pana, że nimi będą: książę Mieczysław, Wszebor i Zbigniew. Bo koniecznie chce ich król pogodzić.

— Nie nazywam się Sieciechem i Topór nie jest moim herbem — zawołał wojewoda — jeśli to Władysław Uskutecznić potrafi… Szkoda by mi było tej wojny.

— Zobaczemy — odpowiedział Wolimir — ale jakże się miewają Mieczysław, Wszebor i pan Gulczewa?

— Mieczysław posępny ciągle, Wszebor smutny, a Skarbimir swoim zwyczajem drży na każdy łoskot i wieczorem zamknąwszy się w namiocie, liczy z Bardanem pieniądze.

— Obmyjże, wojewodo, twarz krwią zbryzganą, bo mój sokół nie żartem zapoznał się z twoim czołem!

— Dziękuję za przypomnienie — rzekł Sieciech, a schyliwszy się, nabrał wody w rękę i nią się oblał. Odszedłszy potem, wrócił z wielkim sokolnikiem do wznoszącej się budowli.

— Przepraszam cię — zawołał, zbliżając się do robotników — jeśli cię ostrzegę, kochany Wolimirze, żeś zapomniał o nader ważnej rzeczy: o siedzeniu dla sędziów.

— Na wszystkie sokoły, prawda; wdzięczny ci jestem za sprostowanie błędu. We Włoszech jednak podczas całego turnieju stoją sędziowie, czego przykład widziałem na

rycerskich igrzyskach, wyprawionych przez księcia Sydonio del Maro.

— Znać, że wytrzymalsze mają od nas nogi — odparł wojewoda. — Ale, prawdę mówiąc, gmach potężnie się wznosi i piękną postać przybiera. Dzielnie jutro na tym miejscu gonić będziemy, a moja kopia niejednego zwali rycerza. Teraz żegnam ciebie, bo muszę wracać do obozu, a dosyć daleka mi stąd droga.

— Bądź zdrów, wojewodo! — rzekł sokolnik, ściskając człowieka, na którego życie godził przed chwilą, a koń Sieciecha, ostrą dotknięty ostrogą, w prędkim biegu wyruszył.

Nadchodził wieczór, a z nim i dokończenie budowli. Przy szerokich ogniskach piekły się dla robotników woły i beczki pełne miodu stały tu i ówdzie na łące. Nadciągały też powoli orszaki panów, mających walczyć nazajutrz. Liczne namioty wznosiły się po całym polu, a zawieszona nad każdym z nich chorągiew z herbem i tarcza z godłem oznaczała godność i dostojeństwo rycerza. Puste przed kilkoma dniami miejsce napełniali teraz biegnący na wszystkie strony to słudzy, to robotnicy. Giermki przybywali z świetnymi zbrojami, obładowane żywnością i rynsztunkami wozy przesuwały się po dolinie, krzyki, rozkazy, nawoływania i kłótnie mięszały się z sobą. Z drugiej strony kupcy budowali niskie chaty, rozstawując w nich sprzęty, ubiory, hełmy, kopie i pancerze.

Ożywiona okolica przedstawiała piękny, a zarazem poważny widok wzniesionego gmachu i tłoczących się naokoło tłumów. Wśród takiego zgiełku i zamięszania głos Wolimira często się podnosił. Czynny sokolnik wszystkim się zatrudniał i przewidywał wszystko, raz w tym, drugi raz w tamtym ukazywał się miejscu, aż nareszcie za jego staraniem ukończono gmach przed zachodem słońca, które ostatnim promieniem oświeciło bogato wystrojoną budowę i orła białego wznoszącego się na niej, z uroczystością

przyzwoitą królowi ptaków i godłu najdzielniejszego narodu sławiańskiego plemienia.

ROZDZIAŁ XVI

Ledwo najpierwsze słońca wschodzące promienie
Padły na przestrzeń pola, w którym szranki stały,
Gdy się na wieży dało słyszeć otrąbienie,
Że się wkrótce igrzyska rozpocząć miały;
Szczęk oręża, blask hełmów, strojnych koni rżenie
Odwagę, żądzę chwały, męstwo zapalały;
Król, hetmani i liczne płci pięknej osoby
Pysznemu widokowi dodały ozdoby.
Tomaszewski, Jagiellonida

Dzień 22 maja widział Władysława Hermana zasiadającego na turniejach wśród swojego rycerstwa. Przybywszy z licznym dworzan orszakiem, zajął wzniosłe, przygotowane dla siebie miejsce, z miłą w sercu nadzieją, że może uda mu się rozjątrzone połączyć serca i syna oddalić od przepaści, do której ślepo zmierzał. Wkrótce potem ukazał się Zbigniew z Mestwinem i kilkoma towarzyszami, ale że podług królewskiego rozporządzenia miał być tylko sędzią turniejów, nie błyszczał mu pancerz na piersiach ani świetny szyszak nie krył jego skroni. Zamiast ciężkich żelaznych nosił dane od żony rękawice, na których złote wyszyła mu róże. W stroju lśniącym się drogimi kamieńmi stawił się książę przed ojcem i rękę mu ucałował. Zabłysły łzy w oczach Władysława, kiedy ujrzał na twarzy syna dowód poniesionych cierpień i ramię nie zagojone jeszcze, zwieszone na bogatym pasie.

— Synu — rzekł — mam nadzieję, że ten dzień wszystko zakończy, że pokój i zgoda wstąpi w wasze serca, że poznasz swe winy, poprawisz się i podasz rękę bratu...

Zbigniew nic nie odpowiedział, ale wzrokiem pełnym wyrzutów spojrzał na ojca, a następnie na własne ramię,

bezwładne dotąd i srogimi rozrywane boleściami; potem zajął z lewej strony tronu ojcowskiego miejsce, które mu wskazał Władysław Herman, bo dopiero później miał zejść na dół i usiąść na przygotowanym tam dla sędziów siedzeniu.

— Zbigniewie — jeszcze raz ozwał się Władysław — sądzę, że ci wolę boską dostatecznie objawił szanowny biskup płocki, że cię same nieba ostrzegły, dozwalając, by ciężka rana trapiła twe ciało, by doświadczone w tylu bitwach szczęście odstąpiło cię w tej ostatniej, w której oręż na brata podniosłeś. Synu mój, otrząśnij się z pyłu światowego, wzgardź pokusami szatana, nie uwódź dziewicy, nad którą święte ma prawa Mieczysław, a świętsze jeszcze Wszebor! Zbigniewie, czy nie piękniejszym by było *z* twojej strony, żebyś zamiast bronienia niesprawiedliwości odniósł nad samym sobą zwycięstwo i błękitne oczy Hanny poświęcił przywiązaniu i miłości ojcowskiej, a przed nimi jeszcze powinności chrześcijańskiego rycerza?

— Ojcze! drogi ojcze! — rzekł Zbigniew i już wyznanie prawdy miało ukoić żale Władysława i syna mu wrócić, kiedy Mieczysław ukazał się na schodach, do siedzenia królewskiego wiodących, a ten widok obudził gniew i dumę Zbigniewa. Krew żywiej po żyłach zawrzała, słodkie uczucia zapełniające duszę ustąpiły gwałtownej żądzy zemsty. Ani słowa do wprzód wyrzeczonych nie dodał, ale wlepił wzrok srogi w młodego księcia, który się witał ze stryjem i królem.

Mieczysław, równie jak Zbigniew, nie miał zbroi, a ubiór, odpowiadający dostojeństwu, szeroki płaszcz obwijał. Na twarzy znać było tęsknotą i smutek sprawiony tak wielką stratą czasu, którego każdą chwilę mógłby był użyć na uwolnienie drogiej oblubienicy. Powiedziawszy kilka słów Władysławowi, stanął przy tronie naprzeciwko Zbigniewa, a dwóch młodzieńców pałających nienawiścią ku sobie

przedzielił osłabły starzec, schylony pod lat ciężarem i brzemieniem nieszczęść.

Zdało się Władysławowi, że w głosie Zbigniewa poznał prawdziwe wzruszenie i stąd pomyślne sobie skutki rokując:

— Synu i synowcze — rzekł — macie dzisiaj wypełnić piękny i szlachetny obowiązek, macie przyznać chwałę dzielnym rycerzom i wyznaczyć nagrody zręczności. Zstąpcie więc w zgodzie z tego wzniosłego miejsca, podajcie sobie dłonie i jak dwa anioły pokoju ukażcie się otaczającemu ludowi. Zbigniewie, Mieczysławie, pomnijcie na Boga i Ojczyznę; ty pamiętaj na strapienia, ty zaś na zgubę własnego ojca! Zbrodni popełnionej, świętokradztwa, pokrywającego całą Polskę kirem żałoby, nie chciejcie bratobójstwem powiększać, uwolnijcie wasze sumienie od przyszłych zgryzot, bo jeśli dotrwacie w złem, każda łza moja będzie ciężyć kiedyś na waszym sercu, a odkądeście się poróżnili, niejedną wylał nad wami samymi i nad tym nieszczęśliwym krajem, w którym synowie i krewni nie słuchają głosu ojcowskiego, w którym wołania cnoty giną pośród okrzyków niesfornych namiętności. Jeszcze raz was proszę, żebyście się pogodzili; pogódź się, synu mojego brata, z własnym moim synem! Równiście młodocianym wiekiem, dzielnością, pięknymi przymiotami. Dozwólcie mi się wami nacieszyć, dozwólcie pokrzepić się mojej starości widokiem waszej przyjaźni i zgody, nie wyniszczajcie się wzajemnie, nie poglądajcie na siebie tak dziko, niech uśmiech pokoju rozjaśni wasze lica!...

Na próżno Władysław tak czule przemawiał. Ręce obu książąt nie wyciągnęły się do braterskiego ujęcia, ale spoczywając na szablach, wściekle ich rękojeści ściskały.

Tymczasem niespokojne tłumy oczekiwały z niecierpliwością rozpoczęcia rycerskich igrzysk. Piękny widok przedstawiał ogół tych ludzi, tak różnych stanów i ubiorów, razem zgromadzonych. Po wyższych miejscach

gmachu siedzieli sędziwi panowie z żonami i córkami, dla których niejedno serce żywiej biło pod twardym żelazem pokrywającym piersi rycerzy siedzących na koniu, z opartymi o ziemią kopiami. Nim jeszcze dano znak do gonitw, można było uważać, jak spojrzenia młodzieńców, wzniesione ku górnym piętrom szerokiej budowli, spotykały się ze wzrokiem dziewic, zachęcających ich uśmiechem lub skinieniem ręki trzymającej upleciony z róż i liścia dębowego wieniec, który miał być nagrodą najdzielniejszego.

Połyskujące zbroje, wysokie nad hełmami pióra, pyszne niewiast i panów ubiory zgadzały się z przepychem gmachu, świetniejącego bogatymi obiciami i zasłonami przy najpiękniejszej dnia wiosennego pogodzie.

Drogie makaty i kobierce wszędzie rozesłane, złocone kraty i poręcze, aksamitem pokryte siedzenia, dowodziły, że niczego król polski nie oszczędzał dla uświetnienia zgody swojej rodziny.

Na prędkich rumakach okrążali zagrodę rycerze, schylając kopie przed królem i sławionymi z urody dziewicami. Często nawet, spiąwszy konia ostrogą, pokazywali swoją zręczność, patrząc z radością, jak bladły lica spoglądających na ich niebezpieczeństwa kochanek. Wszystko było pełnym życia i wszystkich serca z podwojoną biły mocą w oczekiwaniu na hasło, mające szerokie pole otworzyć męstwu każdego i każdego zręczności.

Podzielili się na dwie strony rycerze; jedną dowodził Sieciech, drugą dzielny Jordan z Gozdawy. Mestwin albowiem odmówił ofiarowanego dowództwa i odszedłszy na stronę, rozmawiał z Ulrychem, który mu konia trzymał na pogotowiu.

Pośród orszaku wojewody krakowskiego odznaczał się jeden rycerz męską postawą i pięknymi rysami. Czekał spokojnie na białym koniu znaku do zwarcia się z przeciwnikami, a wzrok trzymając zwrócony ku ziemi,

zdawał się żałować czegoś; i w istocie nie było między otaczającymi tej, której serce poświęcił. Pocieszała ona w tej chwili stroskaną panią, a Henryka z Kaniowa nie pobudzała do sławy przytomność Katarzyny. Dumający młodzieniec zawiesił na szyszaku podług ówczesnego zwyczaju wstążkę ulubionej, kiedy tymczasem topór dumnie się wznosił na hełmie Sieciecha, doń się zbliżającego.

— Henryku — mówił — czemuż schylasz wzrok ku ziemi? Obejrzyj się naokoło i oddaj hołd przynależny pięknościom Mazowsza! Widzisz z tej strony Zalisławę z Górki? Patrz, jak tam Rodosława z Boratyna wszystkich rycerzy zajmuje! Dalej siedzi z smętnymi oczyma Sławomira, córka Żegoty z Kossowa, tu znowu…

— Choćby sto innych jeszcze piękniejszych było — przerwał Henryk — nie zwrócą one mojego spojrzenia; wśród tylu niewiast jednej mi nie dostaje. Nie zdobią jej szyi złote ni drogimi kamieńmi sadzone ozdoby. Grzebień z kości słoniowej nie wznosi się na włosach, ujętych w niewolnicze, choć bogate pęta; rozpuszczone pierścienie spływają na śnieżne łono, a wieniec z kwiatów polnych skromnie je wieńczy.

— Szkoda, rycerzu — rzekł Sieciech — żeś zamiast pałasza nie wziął się do lutni, bo, na Boga, nie lada wieszcz byłby z ciebie.

Chwilowym uśmiechem odpowiedział na te słowa młodzieniec, a wojewoda oddalił się i przystąpiwszy do Wszebora z Ciechanowa, który jeden dotąd siedział na miejscu przeznaczonym dla sędziów:

— Jakże ci się ten widok podoba? — zapytał.

— Ciało moje jest tutaj — odparł starzec — ale myśl, daleka stąd, przebywa mury Zbigniewa i do córki dolata. Niegdyś w młodości i szczęściu wzruszyłby mnie ten obraz, ale teraz zanadto cierpienia przygniotły mą głowę, żeby co mnie uderzyć mogło. Walka, którą zwodzę co dzień między uczuciami ojca a obowiązkami Polaka, między

przywiązaniem do córki a miłością ojczyzny, zwątliła siły i czuję, że jeśli okoliczności temu nie położą końca, to niezadługo nową trumnę wniesiecie do moich ojców grobu. Często zwracam oczy ku miejscu, w którym siedzi Władysław Herman, staram się jego słów dosłyszeć, ale twarze książąt nic mi dobrego nie rokują. Stąd, choć osłabłym wzrokiem, dostrzegam znaki smutku na twarzy królewskiej; sam powiedz, czy się mylę?

— Zdaje mi się, żeś zgadł — rzekł Sieciech — ale nie smuć się, bo jeśli dzisiaj nie odzyskasz córki, zaręczam ci, jakem wojewodą krakowskim, że zamek Zbigniewa niedługo już nam się będzie opierał!

— Ale gdyby — przerwał ojciec — przed zdobyciem… — a tu okropność obudzonej myśli nie dozwoliła mu dokończyć i smutno spuścił głowę na piersi.

„Na Boga — myślał Sieciech — wszyscy smutni: ten się kocha, ten płacze córki, król w rozpaczy, Zbigniew i Mieczysław patrzą na siebie jak dwie jadowite żmije, ja tylko jeden spokojność zachowałem; ale trzeba nareszcie ten turniej rozpocząć!” I wrócił do swojego hufca, kazawszy Jaroszowi z Kalinowa, by mu konia przywiódł. Kiedy ten ostatni wrócił, prowadząc dzielnego rumaka, zapytał go się wojewoda o Skarbimira z Gulczewa.

— Żadnym sposobem — odpowiedział Jarosz — nie mogłem go doprowadzić tutaj. Zrzucił zbroję, którąś go, panie wojewodo, wdziać przymusił i opuścił nasz orszak. Ależ oto na górze rozmawia z Żegotą z Kossowy.

— Szkoda — rzekł Sieciech — żeś go nie przytrzymał, bo zapewnie by mu było do twarzy z długą kopią i w ciężkim pancerzu.

To mówiąc, ubódł konia ostrogą i poleciał pod piętro, na którym siedział Władysław. Tu stanąwszy, schylił głowę na znak uszanowania, pytając króla, czy już każe ogłosić przez woźnych prawa turniejów.

— Najjaśniejszy panie, żegnam cię — rzekł wtenczas Zbigniew, milczący dotąd — urząd, który sam na mnie włożyłeś, wzywa mnie do innego miejsca.

— Do tego samego i ja dążę — zawołał Mieczysław.

Ale Władysław Herman, zebrawszy całą powagę, odpowiedział rozkazującym głosem, co mu się rzadko przytrafiało:

— Zostaniecie się przy mnie. Po skończeniu igrzysk dość będziecie mieli czasu na osądzenie, komu się należy nagroda. Do tej chwili może was Wszebor zastąpić.

Obawiał się albowiem król polski, aby zemstą pałający młodzieńcy, uniesieni widokiem gonitw, prawdziwej i sroższej nie rozpoczęli walki, kiedy by już ich naleganiem lub prośbą nie mógł wstrzymać; a potem miał zawsze nadzieję, że potrafi zwaśnionych pogodzić i na ten koniec cichą modlitwą wzywał często Boga. Sieciechowi zaś odpowiedział, że przystaje na rozpoczęcie turniejów.

Zwrócił więc wojewoda konia, ale dostrzegłszy, że między tyloma rycerzami nie ma Wolimira z Moskorzewa, nie chcąc ubliżyć człowiekowi, który tak szlachetnie się z nim obszedł, czekał przez kilka chwil jeszcze na jego przybycie.

Właśnie ukazał się z daleka na polu mąż zbrojny, przylatujący pędem błyskawicy. Przybywszy do zagrody, skoczył ze znużonego rumaka i wszedł pieszo na pobojowisko; ukłonił się wtenczas królowi i najpiękniejszym paniom naokoło. Wysoki szyszak z złotym sokołem, trzymającym w szponach kilkanaście piór czaplich, unosił się nad głową. Kolczuga nabijana złotem i lekkie obucia ze skóry srebrem wyszytej resztę ubioru składały. Prosta szpada z rękojeścią z słoniowej kości tkwiła u boku, a na tarczy wyryta była strzała z napisem: „Serca i ptaki zarówno przebiją.” — Witam cię, wielki sokolniku — krzyknął Sieciech — ale cóż, do tysiąca piorunów, tak długo cię zatrzymało?

— Łowy, gęsi dzikie i czaple — odparł żartobliwie Wolimir. — Wróciwszy wczoraj do domu, dowiedziałem się od moich ludzi o niedalekich błotach pełnych zwierzyny, a ponieważ chciałem wystąpić, jak na sokolnika wypada, wybrałem się o świcie z moim ptakiem, a jego zdobycz widzisz na tym szyszaku.

— Niech teraz wystąpią woźni — zawołał potężnym głosem Sieciech — i niech czytają przepisy turniejów!

Natychmiast otworzyły się bramy z obu stron zagrody, wystąpiło dwóch woźnych w krótkich, lśniących się od złota i srebra sukniach, z wyszytym herbem państwa na piersiach. Jeden obrócił się do rycerzy Sieciecha, drugi do hufcu Jordana i obadwa ogłaszali, co następuje:

— Ja, woźny króla Władysława Hermana, zastrzegam za jego wolą, żeby w mających się odbyć turniejach zachowano następujące przestrogi i prawa:

A naprzód, żeby rycerze pamiętali, że zabawa, przeznaczona na pokazanie zręczności, nie jest krwawą bitwą.

Po wtóre, żeby rycerze z wszelką szlachetnością i uczciwością z przeciwnikami się potykali. Broń dozwolona na tych turniejach jest kopia i topór. Miecza można tylko za pozwoleniem króla dobywać; kiedy jaki rycerz zwalonym z konia zostanie, z nim walczący nie ma dalej posuwać zwycięstwa i powinien czekać, aż giermek drugiego konia przeciwnikowi poda. Niech zawziętość i chęć zemsty dalekimi będą od duszy wchodzących w te szranki i niech pamiętają, że oczy patrzących się na nich piękności brzydzą się nieludzkością i krwią, w srogich rozlewaną bojach.

Nagrody zwycięzcom przeznaczone są: hełm szczerozłoty ze strusimi pióry i puchar sadzony drogimi szafirami. Zwycięzcą zaś będzie ten, którego oddział zwycięży i dalej ten, który w szczególnych gonitwach pokona wszystkich współzawodników. Sędziami przeznaczonymi do osądzenia zasług każdego, do

przyznania wygranej i udzielenia nagrody są: książę Mieczysław, książę Zbigniew i potężny pan Ciechanowa, Wszebor z Ciechanowa. Walka między dwoma rycerzami natychmiast ustać powinna za rzuceniem między nich laski któregokolwiek bądź z sędziów. A teraz niech żyje król Władysław i hojność panów mazowieckich!

Po domówieniu tych słów wysypał się zewsząd na odchodzących woźnych grad złotych i srebrnych pieniędzy, a trąby po trzykroć się ozwały i turnieje się zaczęły.

Zwarły się przeciwne szyki i w natarczywym pędzie zmięszały się z sobą. Przez chwilę stali niewzruszeni rycerze, ale wkrótce potem usłyszano chrzęst zbroi, łoskot żelazców kruszonych o tarcze i łamiących się kopii, w oka mgnieniu spadły na ziemię pióra i szyszaki, dumnie przed chwilą nad tłumem się wznoszące. Rozciągały się konie na polu potyczki i potrzaskane odłamki stali i żelaza wzlatywały w powietrze. Wodzowie obu stron, dotrzymawszy jednak siodła, gotowali się do nowej gonitwy; kilku zbrojnych, straciwszy zmysły w szybkim z konia upadku, leżało na ziemi. Na jednych pęknięte zbroje dowodziły mocy poniesionych ciosów, na drugich całe były pancerze, ale hełm lub puklerz zdruzgotany pokazywał, że nie z słabymi przeciwnikami mieli do czynienia.

Giermki i żołnierze weszli wtenczas do zagrody, prowadząc świeże konie rycerzom mogącym jeszcze walczyć, osłabłych zaś na siłach do własnych zanieśli namiotów.

Trąby znów zagrzmiały i rzuciły się na siebie po drugi raz waleczne hufce. Wojewoda spotkał się z Jordanem z Gozdawy i tak silnie obaj się zwarli, że ich konie, uderzywszy jeden o drugiego, padły bez ducha na ziemię i jeźdźców przywaliły. Jordan pierwszy się wydobył spod zabitego rumaka, a Sieciech, choć z trudnością, wkrótce potem toż samo uczynił; ale jeden i drugi odstąpić musieli dla przywdziania innych zbroi. Podczas ich niebytności

odpoczęły obie strony, znacznie na liczbie zmniejszone, ale jeszcze gorejące zapałem; oklaski i krzyki widzów, uśmiechy i wejrzenia dziewic krzepiły ich męstwo, dodawały ochoty i pragnienia sławy.

Tymczasem nadaremno Władysław Herman, nie zważając na turnieje, usiłował pojednać Mieczysława ze Zbigniewem. Milczeniem odpowiadali na jego prośby i napominania, z uszanowaniem wprawdzie słuchać się go zdawali, ale przewidywał stroskany monarcha, że za oddaleniem się od niego rzucą się na siebie z całą wściekłością, odbijającą się w ich ponurym wzroku.

Niedługo czekano na powrót wojewody i Jordana, a wtenczas po trzeci i ostatni raz spotkały się ich hufce. Okropnie było patrzeć na mięszające się kopie i puklerze, na topory wznoszące się i spadające na przeciwników zbroje, na mężów opuszczających wodze i z bladością śmierci padających wraz z koniem lub pod jego kopyta, a choć prawa broniły krwi rozlewu i najczulsze istoty patrzały na te zabawy, już kilku zginęło rycerzy. Henryk zwalił z konia kilku współzawodników i żelazcem nie kruszonej dotąd kopii odpierał napadających.

Sieciech patrzał ze zgrzytaniem zębów na swoich, którzy się co chwila usuwali z pobojowiska. Jedni szli po świeże zbroje, drugich wierni odnosili słudzy, inni znowu, krwią i kurzawą okryci, sami wychodzili z zagrody, a tymczasem dzielny Jordan nieustannie nacierał i krzycząc: „Niech żyje Gozdawa! górą Gozdawa!” — znaczne odnosił korzyści, kiedy z drugiej strony słabe tylko i rzadkie już głosy odpowiadały: „Górą Topór! górą wojewoda! Nareszcie, kiedy na polu walki jeden tylko Sieciech z Henrykiem się został, Wszebor, powstawszy, zatrzymał bitwę, przyznając zwycięstwo Jordanowi z Gozdawy. Zapewnie smutnym było ojcowskiemu sercu chwalić człowieka, którego musiało liczyć do uciemiężycielów córki, ale uczucie sprawiedliwości przemagało nad wszystkie względy w

prawej duszy pana Ciechanowa i własnymi rękami dał Jordanowi pyszny szyszak z świetniejącego złota.

Wojewoda, wstydem okryty, rozżarzony obrażonej dumy wyrzutami, poprzysiągł przeciwnikowi zemstę i zaczął przemyśliwać nad sposobami odzyskania przewagi i wiernej dotąd sławy. Zapominając o prawach turnieju, o rodzaju tej zabawy i o przytomności króla, uknuł w głębi duszy śmierć Jordana i dlatego, odszedłszy na chwilę do namiotu, przywdział najlepszą zbroję i przypasał miecz doświadczony, mediolańskiej roboty.

Za swoim powrotem ujrzał, jak wielki sokolnik gotował się skruszenia kopii z Mestwinem. Z przeciwnych stron zagrody zbliżyli się oba do siebie w najżywszym biegu; kopia Wolimira przebiła puklerz Niemca, a dzida Mestwina strąciła z szyszaka pana Moskorzewa wznoszącego się nad nim sokoła.

Następnie Henryk z Kaniowa gonił z Jordanem z Gozdawy i choć silnie uderzony bronią przeciwnika, siodła dotrzymał; ale w drugim spotkaniu nie był tak szczęśliwym i runął na ziemię, z której porwawszy się zręcznie, wytrącił za trzecim natarciem stalową tarczę z rąk Jordana i zgiął mu pancerz przeważnym razem.

Walczyli potem inni rycerze, ale wszystkich pokonał Jordan i zwycięzcą sam jeden na pobojowisku został. Już Wszebor drugą chciał mu przyznać nagrodę, kiedy wojewoda, wsiadłszy na konia, wyzwał go do potyczki. Nie odmówił jej Jordan, tyloma utarczkami znużony; wziąwszy kopią z rąk giermka, zanurzył ostrogi w bok dyszącego konia i rzucił się naprzeciwko Sieciecha, który doń przybiegał z wściekłością na sercu.

Wielką miał przewagę wojewoda, na świeżym siedząc koniu i zaraz też za pierwszym zwarciem upadł rumak Jordana, a rycerz ledwo mógł się spod niego wydobyć. Rzucił wtenczas Sieciech niepotrzebną kopią, z konia zeskoczył i cichym rzekł głosem:

— Wyzywam cię na śmiertelny pojedynek.

— Gotów jestem — odparł Jordan — choć nie po temu miejsce — i dobywszy miecza, zastawił się od potężnego zamachu wroga.

Rozległ się po równinie okrzyk oburzenia i trwogi; król powstał i chciał przemówić, ale nie miał dosyć mocy; Wszebor cisnął buławę między walczących, ale to nic nie pomogło, a nikt nie śmiał, rozdzielając rycerzy, nadstawić się ich ciosom. Potykali się więc z sobą wśród mnóstwa przerażonego ludu, wśród jęku i płaczu niewiast, zapomniawszy o własnej powinności i uszanowaniu, królowi należnym. Wtem Jordan słabiej zaczął odpierać napad Sieciecha; utraciwszy siły w tylu potyczkach, na próżno starał się ich ostatki podżegnąć wspomnieniem na chwałę i na zagrażające niebezpieczeństwo. Rana, odebrana w piersi, jeszcze bardziej moc jego zwątliła. Wkrótce potem wojewoda krakowski oderwał mu szyszak ze skroni i w obnażone czoło siekł pałaszem. Tarcza Jordana padła obok potrzaskanego hełmu, zawróciła się głowa, oczy nie mogły już rozpoznać nacierającego coraz bardziej wroga; nareszcie przykląkł na piasku i uchwyciwszy oręż w obie ręce, starał się ocalić życie, które upływało w krwi potokach, zbroję jego i miejsce, gdzie walczył, broczących. Wtenczas Zbigniew, widząc bliski zgon tak dzielnego męża, chciał mu na ratunek pobiec, a kiedy ojciec go nie puszczał, stanął z szybkością błyskawicy na poręczach tron otaczających i stamtąd rzucił się na dół. Trzeba było odwagi i całego uniesienia księcia do tak rozpacznego czynu, a zarazem szczęścia, zawsze mu prawie towarzyszącego, żeby po nim ocalał. A jednakże, choć dość wzniesionym był tron królewski, bez żadnego szwanku dostał się do ziemi, skoczywszy w otwarte objęcia Mestwina, zważającego z pobojowiska na wszystkie jego poruszenia.

— Daj mi twoje rękawice i sztylet! — rzekł Zbigniew, rzucając dane od żony rękawiczki i porwawszy broń

żądaną, pobiegł do wojewody, silnym ramieniem odsunął konającego prawie Jordana, którego kilku żołnierzy wzięło, a sam z mieczem w prawej ręce, z sztyletem w lewej:

— Musisz teraz zginąć — zawołali zaczął walkę z Sieciechem.

Najwyższe zadziwienie wstrzymało wszystkim oddech i głosy. Mieczysław dobył szabli, chcąc, pobiegłszy na równinę, stanąć na miejscu wojewody i rozstrzygnąć pojedynkiem los domowej wojny, ale Władysław Herman zarzucił mu ręce na szyję i przyciskając do piersi:

— Jedyna i ostatnia moja nadziejo, zostań! — zawołał, a Wolimir z Moskorzewa, Wszebor i kilku innych panów, którzy się zbiegli do króla, zatrzymali za prośbą nieszczęśliwego monarchy szlachetnego młodzieńca.

To się wszystko w oka mgnieniu stało, a kiedy kilku rycerzy chciało rozdzielić księcia od wojewody:

— Śmierć temu, który się przybliży! — krzyknął Zbigniew i dalej ciągnął śmiertelną walkę.

Wszystko, co siła i zręczność doświadczona może, towarzyszyło razom, nawzajem od dwóch przeciwników sobie zadawanym; ale Sieciech nieprzebitą okryty był zbroją, kiedy Zbigniew oprócz miecza i bohaterskiej odwagi żadnej inszej nie miał obrony. Starał się on kilka razy, zatrzymując szablą oręż nieprzyjaciela, sztyletem go, w drugiej ręce trzymanym, ugodzić, lecz zawsze ciężąca na lewym ramieniu rana osłabiła zamach i bezkorzystnymi jego zapędy czyniła. Pomimo najsroższych boleści ucierał się jednak Zbigniew z tak zapalczywym męstwem, że wojewoda zaczął wątpić o wygranej, ale nabrał otuchy, kiedy zobaczył, że wielokrotne uderzenia wroga, odbite zawsze żelazem piersi mu strzegącym, bezskutecznymi się stawały. Może by jeszcze i stalowy pancerz na nic się nie zdał wojewodzie naprzeciw olbrzymiej sile i wściekłej księcia odwadze, gdyby rana, niedobrze zagojona, na nowo się nie roztwarła, a wtenczas Zbigniew ramię opuścił i sztylet wypadł z jego

drżącej dłoni. Radość zajaśniała na twarzy Sieciecha, podwoił natarczywość i wszystkimi siłami rzucił się na nieprzyjaciela. Nie ustąpił jednak i teraz osłabły książę i dosyć długo opierając się przeciwnikowi, nawet lekką ranę mu zadał. Lecz coraz bardziej tracąc na mocy, czuł, że się zbliża chwila, w której mu przyjdzie zginąć pod żelazem Sieciecha i opuścić Hannę, tyloma burzami zagrożoną. Obraz łez jej i rozpaczy podżegnął na chwilę jeszcze cały jego zapał i wrócił utracone siły; rzucił miecz daleko od siebie, w górę podskoczył i schwycił wojewodę za szyszak, starając się go nachylić do ziemi, gdzie leżał Mestwina sztylet, którym myślił dokończyć zwycięstwa. Wtenczas Sieciech, słuchając tylko głosu zemsty i uniesienia, nową, ciężką ranę zadał synowi własnego króla, a omdlewający bohater runął na ziemię, pociągając za sobą w upadku niecierpianego wroga. Z trudnością przyszło się hetmanowi wydobyć z nieprzyjaciela objęć, ale Zbigniew już powstać nie mógł. Na próżno starał się podnieść szlachetną głowę, na próżno ściskał bezsilną ręką sztylet na nowo uchwycony, jak gdyby z zimnego żelaza chciał przejąć nowe życia potoki, na próżno, oparłszy raz jeszcze szeroką prawicę o bliski kamień, dźwignąć się usiłował. Ciemności pokryły niebo przed tak bystrym przed chwilą wzrokiem, wzdłuż ciało się wyciągnęło i zmysły go opuściły. Zapamiętały Sieciech podnosił już żelazo, kiedy silne uderzenie z dłoni mu go wytrąciło; obrócił się, a rycerz niemiecki, Mestwin z Wilderthalu, stał przed nim z założonymi na piersiach rękoma. Nowy pojedynek już by się zaczął, gdyby tłumy wchodzącego do zagrody ludu ich nie przedzieliły.

Wtenczas dopiero powstało nadzwyczajne zamięszanie, krzyki i wrzaski rozległy się na wszystkie strony. Całe pobojowisko pokryte było pospólstwem i rycerzami, niewiastami i żołnierzami, bogato wystrojonymi pany i ubogimi wyrobnikami, którzy, mięszając się w ścisku, największego zaburzenia i nieładu przedstawiali widok.

Nieszczęśliwy Władysław musiał patrzeć z tronu na walkę, liczyć każdą ranę synowi zadaną, a nareszcie widzieć jego pokonanie. Żadna już łza z ócz nie wypływała, ale znamię rozpaczy ukazało się w skościałych od przerażenia rysach.

Gorzko żałował Mieczysław, że wojewoda zajął jego miejsce i jedyny cel pragnień zniweczył, bo już nie można było wątpić, że wkrótce dobije ostatnia chwila dla księcia Zbigniewa. Leżał on na miejscu walki, krwią własną oblany, a co chwila oddech cięższym się stawał, co chwila większa bladość po jego rozlewała się licach, a sine powieki, wpół zakrywające czarne oczy, lekkim drganiem świadczyły, jak mało już życia pozostało w tak pięknym niedawno ciele.

Nadzwyczajnym zdarzeniem nikomu wśród tylu ciekawych widzów na myśl nie przyszło ratować go jeszcze lub podnieść z kurzawy. Czy też dlatego, że w wielu sercach wrzała niechęć ku niemu, czy też przejęci postrachem bohatera, nie śmieli się go dotknąć i niezrozumianą bojaźnią przejmował ich jeszcze umierający Zbigniew. Dopiero po niejakim czasie przerznął się przez otaczające tłumy Henryk z Kaniowa, a pamiętny darowanego przez Zbigniewa życia, zmierzył okiem pogardy tych, którzy w bezczynności rachowali ostatnie wielkiego człowieka chwile i dźwignąwszy księcia, cucić go zaczął.

Tymczasem Sieciech, wojewoda krakowski, klęczący przed królem, w takie doń ozwał się słowa:

— Władysławie, królu i panie mój! Nie szukałem walki z księciem Zbigniewem. Wyrwał on poświęconą sprawiedliwej zemście ofiarę, a wtedy... Ale, królu i panie mój, sam patrzyłeś na to zdarzenie. Podniósłem oręż na twojego syna, mnogimi rany pokryłem mu piersi, choćbym własnymi gotów zastawiać jego ojca i życie oddać za ciebie.

— Wojewodo — rzekł król — serce moje przeklina ciebie.

Zmarszczył brwi Sieciech i pojrzał na straż królewską wymownym wzrokiem; raczej była to straż dumnego

hetmana niż straż Władysława. Zrozumiał nieszczęśliwy starzec utajone myśli Sieciecha.

— Wojewodo — rzekł — wiesz, jak cenię twoje zasługi…

Usłyszawszy taki początek, nie czekał Sieciech końca mowy słabego monarchy i rozkazującym wykrzyknął głosem:

— Zanieść księcia Zbigniewa do zamku królewskiego w Płocku!

Tysiąc głosów powtórzyło: „Zanieść księcia do zamku!” — „Zbigniew do Płocka!” — a wojewoda rozkazał jednemu z swoich rycerzy, Spytkowi z Rytwian, by przerznął się z kilkoma zbrojnymi przez tłumy otaczające Zbigniewa i odebrawszy go z rąk Henryka z Kaniowa, do Płocka wyruszyli. Więc już miały się zakończyć walki i spory, wojna domowa ustać by musiała, Zbigniew w mocy nieprzyjaciół oddałby Hannę. Mieczysław stał smutnie, oparty o poręcze tronu, bo inny zwalczył jego wroga; nie przewagą własnego oręża, nie narażaniem się na setne niebezpieczeństwa wyrwie kochankę z rąk Zbigniewa, ale przez układy, przez poniżające umowy spokojnie ją odbierze i miecz jego nie zabłysnął z pochwy wydobyty i spokojnie przypatrywał się walce i widział krew nieprzyjaciela od innej przelewaną ręki; każda kropla przymnażała mu boleści i wstydu, każde uderzenie Sieciecha hańbą go okrywało. W tej chwili tak go chęć sławy uniosła, że życzył sobie, żeby Zbigniew uszedł niewoli. Gotów był nawet życie jego wszelkimi sposobami teraz ocalić, żeby później mógł mu je sam wydrzeć i w oczach świata ukazać się godnym synem Bolesława Śmiałego.

Takie myśli snuły się w umyśle młodzieńca, kiedy Spytek z Rytwian szedł śpiesznym pośród mnóstwa ludu krokiem, zmierzając do Zbigniewa, którego usiłowania Henryka do zmysłów jeszcze wrócić nie potrafiły.

Zbliżył się rycerz od Sieciecha posłany i kazał żołnierzom wziąść syna Władysława. Ale w tej samej chwili

usłyszano przeraźliwe krzyki i z przeciwnego końca pobojowiska ukazał się rycerz, który na czele kilku zbrojnych z spuszczoną przybiegał przyłbicą, tratując po ciałach zwalonych przez siebie ludzi. Z dobytym pałaszem dopadł miejsca, gdzie był książę. Objął go lewym ramieniem i porwawszy z ziemi, położył przed sobą na siodle. Spytkowi, zatrzymującemu wodze u konia, miecz w piersi utopił, a spinając rumaka ostrogą, roztrącił opierających się, w najżywszym pędzie uniósł księcia ponad trupy, którymi drogę zaścielał.

Wkrótce potem ujrzano młodzieńca jadącego jego śladami; kilku z przytomnych poznało jeźdźca, a imię Ulrych, z ust do ust przechodząc, kazało się domyślać, że jego pan tak odważnym sposobem wyrwał Zbigniewa z rąk przeciwników i z hańby niewoli.

Dwoma godzinami później puste było pole turniejów. Gmach wznosił się jeszcze wśród ostatków połamanych orężów, krwią zbryzganych trupów i szlachetnych koni, na kurzawie rozciągnionych. Gdzieniegdzie wianki z kwiatów, upuszczone przez drżących piękności ręce, leżały, a róża, wpół z liści obnażona, podnosiła się jeszcze z piasku zbroczonego lub tkwiła wśród szczętów potrzaskanej broni.

Zbigniew zaś leżał w swoim zamku, a u jego łoża stał rycerz z Wilderthalu, Abraham z Hamburga i Hanna z Ciechanowa.

ROZDZIAŁ XVII

Wierna mężowi! lecz taka wierność
prowadzi do grobu.
Szekspir

Łzy płynące po anielskich licach księżnej zatrzymały się na chwilę, kiedy Zbigniew oczy pierwszy raz otworzył i osłabionym wzrokiem pojrzał na otaczające przedmioty. Utrata krwi uszłej tyloma ranami tak go osłabiła, że nie mógł z początku ani słowa wyrzec, ale w niemym ściśnięciu ręki poznała Hanna całą miłość ukochanego męża. Mestwin ponuro patrzał na to porozumienie się dwóch serc przywiązaniem tchnących, a tymczasem Abraham ze zwyczajną powagą zaczął opatrywać księcia. Z początku nic nie mówił, a cierpienia i srogie księżnej oczekiwanie odbijało się w każdym rysie nadobnej twarzy, w każdym smętnym spojrzeniu, w każdej łzie, co się z niebieskich oczu sączyła. Nareszcie ozwał się lekarz:

— Trzeba czasu, ale ręczę, że nie zginie.

Radość zabłysła na twarzy Hanny, jak promień słońca migający między chmurami; rozjaśniło się czoło posępnego Mestwina i z wyrazem zadowolenia po cichu powtórzył:

— Trzeba czasu!

Następnie książę drżącym głosem powitał powiernika i żonę, a kiedy się dowiedział, jakim sposobem uratował go rycerz niemiecki, jak najczulej mu podziękował.

— Nie wiem — rzekł po chwili — czego mam się spodziewać, czy życia, czy zgonu? Ale to wnet rozstrzygnę. Mestwinie, podaj mi pałasz!

Z zadziwieniem rycerz niemiecki taki rozkaz usłyszał; natychmiast jednak broń żądaną złożył w ręce księcia.

— Teraz — rzekł Zbigniew — postaw na ziemi przed moim łożem ten szyszak stalowy!

Również i to Mestwin wypełnił. Abraham śledził z uwagą najmniejsze księcia poruszenia, a do zdumienia Hanny mieszała się jakaś bojaźń, zarówno do opisania, jak do wytłumaczenia trudna.

Wtenczas Zbigniew z trudnością się podniósł i lewą ręką oparłszy się o łoże, dźwignął miecz swój ogromny w górę, pomimo największych boleści zatrzymał go przez chwilę w powietrzu, a stamtąd spuścił na hełm, z twardej wyrobiony stali; a choć słabsze było to uderzenie od zwyczajnych bohatera ciosów, rozpadł się szyszak z łoskotem, na dwoje przecięty.

— Nie zginę! — zawołał książę i opadł na łoże, dręczony pomnożonym przez te wysilenia bólem; nadzieję znać było jednak w żywych jego oczach, a choć chwilowy rumieniec bledniejące lica opuścił, zostawił na nich ślady życia. Wtem Abraham z Hamburga głos zabrał i oświadczył, że spokojności nade wszystko księciu potrzeba i że bez niej nigdy go nie potrafi pomimo najlepszych chęci i największych usiłowań z tak niebezpiecznego wyprowadzić położenia.

Zapewnie uczuł prawdę tego rozumowania Zbigniew, bo obróciwszy się do żony:

— Hanno — rzekł — wróć do swoich komnat; nie ścierpię, by widok moich boleści nieustannie cię dręczył, byś przy chorym przepędzała dni młodości, rozkoszom i uciechom przeznaczone. Wróć do siebie, moje kochanie!

— I gdzież mi lepiej jak tutaj będzie, drogi Zbigniewie? Z radością każde twoje słowo słyszę, z uniesieniem patrzę na męża wracającego do życia. Nie posyłaj mnie na wygnanie do tych komnat, tak bogatych wprawdzie, ale już tak dawno twoją przytomnością nie ożywionych!

— Księżno i pani moja — przerwał lekarz — twój widok księcia porusza, niespokojnym go czyni, podwaja natężenie umysłu, wlewa ogień w osłabione żyły, a to wszystko jest niebezpiecznym. Jutro, za kilka dni, dłużej będziesz mogła przy nim zabawić; ale dzisiaj, zaklinam, oddal się pani, jeśli drogie ci są dni księcia Zbigniewa, za których całość ręczę teraz, jeśli Bóg dwunastu pokoleń pobłogosławi mojej nauce i sztuce.

— Hanno — rzekł książę — myśl, że każdy jęk, wydarty z moich piersi przez ciężkie bóle, twoje serce zasmuca, jest najgorszą dla mnie męczarnią!

Nie mogła się już dłużej opierać księżna. Rzuciła się więc w męża objęcia i uroniwszy łez kilka na rozdartym jego łonie, spojrzawszy jeszcze raz na ulubionego, wyszła z Mestwinem, któremu Zbigniew kazał odprowadzić żonę do jej pokojów, a potem zebrać ludzi, rozstawić ich po wieżach i wszystko przygotować do wojny, w której miał dowodzić aż do wyzdrowienia księcia. Zalecił mu także Zbigniew, żeby miał staranie o dzielnym rycerzu z Gozdawy, którego niedawno bez zmysłów wniesiono do zamku.

Drżąca Hanna przebiegała lekką stopą liczne korytarze i manowce dzielące ją od pysznych pokojów, a ile razy przy wstępowaniu lub schodzeniu z natrafiających się schodów chciał jej podać rękę rycerz niemiecki, odpierała jego usłużność spojrzeniem malującym pogardę i największe oburzenie. Na koniec, przybywszy do swojego mieszkania, stanęła na progu.

— Tu kończy się twoja droga — rzekła do Mestwina — uchodź więc z moich oczu! — i wstąpiła do komnaty; lecz wkrótce potem, odwróciwszy się, ujrzała z gniewem, z bojaźnią pomięszanym, stojącego za sobą Mestwina. Chciała zawołać na Katarzynę, ale rycerz z Wilderthalu nie dał jej czasu wymówići słowa. Zbliżył się śmiało, porwał za rękę i cichym wyrzekł głosem:

— Milczenie!... niewiasto, pamiętaj na straszną przysięgę!

— Ach! jakżem nieszczęśliwa — zawołała księżna. — Nierozważna przysięga każe mi ukrywać występki tego zbrodniarza i słuchać miłośne oświadczenia tego potworu, kiedy może w tej chwili mój Zbigniew umiera!

— Potwór i zbrodniarz — przerwał Mestwin — stojący przed tobą naraził dziś życie dla człowieka tak kochanego od ciebie i uniósł go wśród grożącej zewsząd śmierci z tłumu zażartych wrogów.

— Tym bardziej żałuję — odparła Hanna — że Zbigniew winien za to jakąkolwiek wdzięczność takiemu jak ty zbrodniarzowi.

— Czyż zawsze — zawołał Mestwin — zaślepiona, lecieć będziesz w otwartą przepaść? Czyż zawsze, związana przesądami, nie wzniesiesz umysłu nad ciemności wieku i nie wzgardzisz stosunkami towarzystwa i niewolą od nich narzuconą? Możesz zostać najszczęśliwszą na ziemi istotą, a dla kilku słów przez człowieka równego tobie przy stosie kamieni, który zowiecie ołtarzem, wymówionych, uzbrajasz zabójczymi grotami rękę której by tak miłym było przyciskać cię do piersi. Hanno, obudź się ze snu, odpędź mary cnoty i powinności, oddal mylące cię złudzenia, bo wierzaj mi, pani, że już Zbigniew nie kocha ciebie!

Z trudnością córka Wszebora zatrzymała łzę, tymi słowy wydartą jej boskim oczom i ze wzgardą odpowiedziała:

— Precz stąd, precz, żmijo! Twój jad nie wciśnie się do mojego serca, bo Zbigniew kocha mnie i kochać nie przestanie, a choćby zapomniał o Hannie, ona mu wiecznie zaprzysiężonej wiary dochowa!

— Nie, nie dochowa — przerwał ponuro Mestwin — bo wtenczas najdoskonalszy utwór Boga musiałby zniknąć z tego świata.

Wzdrygnęła się Hanna i po chwili z rozczuleniem wyrzekła:

— O Zbigniewie! gdybyś usłyszał obelgi, którymi twój powiernik mnie pokrywa, gdybyś poznał udaną przyjaźń i fałsz pokryty barwą szczerości, czyżbyś nie porwał się z łoża cierpień, nie przybiegł na pomoc twojej Hannie? Czyżbyś go nie orężem, ale już samym wzrokiem stąd nie oddalił?

— Nie ma siły na świecie — krzyknął Mestwin — która by mogła mnie stąd oddalić, kiedy widzę przed sobą postać ulubionej!

— A więc — ciągnęła dalej księżna — trzeba pożegnać się ze złotymi chwilami młodości, z rajem w wyobraźni utworzonym! Kwiaty strojące drogę życia więdną przed moimi kroki; zamiast Zbigniewa, zamiast opiekuńczego anioła, duch piekielny się zjawił i zatruwając szczęście, czarnymi smutkami powlókł me życie, zaćmił tak czystą, tak jasną dawniej przyszłość moją.

— Hanno, na próżno narzekasz. Nie znajdziesz litości w moim sercu, dopóki nie zezwolisz na moje żądania; wtenczas dopiero poznasz nie znane dotąd szczęście, dopiero uczujesz wdzięk panowania nad wszystkimi. Niech cię nie trwoży odległa ojczyzna i ojciec — ja nową, piękniejszą ojczyznę ci wskażę. Ujrzysz czarujące Niemiec okolice; twoje oko spocznie na miłych łąkach, na srebrzystych strumieniach lub jeśli wzniosłe wolisz obrazy, dosyć jest skał i przepaści na świecie — dodał z szyderskim uśmiechem — dosyć burz i wichrów. Obierzesz, co zechcesz, czy niebo, czy piekło, czy pałac okazały, czy cichą chatkę, wszystkie żądania twoje wypełnię, wszystko, co można uczynić, uczynię, a to, co nie można, jeszcze dla ciebie uczynię.

— Rycerzu, zapominasz się zupełnie; czyż już nie wiesz, do kogo przemawiasz?

— Do mojej żony lub do mojej ofiary — odparł wściekle Mestwin.

— Jeśliś matkę lub siostrę miłował, jeśliś ojczyznę lub cokolwiek na świecie kochał, w imieniu tego każę ci się natychmiast oddalić.

— I sądzisz — rzekł rycerz, nie zważając na to wezwanie — że Zbigniew jeszcze cię kocha, a przecież — dodał zręcznie — ciągle dzisiaj zwracały się jego oczy na Sławomirę z Kossowy.

Zadrżała pomimowolnie księżna; nie uszło to uwagi rycerza, który cięższe jeszcze rany gotował jej czułemu sercu.

— Powiedział mi nawet na turnieju, że jej piękność nierównie twoją przewyższa.

— Kłamstwo nieraz twoje usta skaziło i dotąd je kazi — przerwała Hanna. — Znam dobrze Zbigniewa, nigdy on mnie nie opuści.

— Wyrzuci cię z serca, jak wyrzucił dar twojej ręki — zawołał rycerz, rzucając na stół dane księciu dnia poprzedniego rękawiczki, które podniósł, kiedy Zbigniew, lecąc do boju, jego własne przywdział. Ten widok przeraził Hannę i drżąca, przycisnęła do piersi rękawiczkę, która niedawno spoczywała na dzielnej bohatera prawicy.

— Pani — rzekł wtenczas Mestwin — zdaje się, że ten dowód musiał cię przekonać, że przed nim ustąpią wstrzymujące cię dotąd względy, że dłużej nie potrzebuję powtarzać próśb i przełożeń — a to mówiąc, chciał namiętne zarzucić uściski na śnieżne piersi swojej pani. Cofnęła się Hanna.

— Rycerzu! — zawołała rozkazującym głosem — jestem bez pomocy, bez obrony. Wiara rycerska, jeśli jeszcze nie zaginęła w bezecnym sercu, niech cię wstrzyma w szalonym zapędzie!

Właśnie w tej chwili wypadł sztylet zatknięty w pasie Mestwina. Porwała broń morderczą księżna i zwracając go do własnego łona:

— Już znalazłam obrońcę — zawołała — i nie lękam się ciebie! — A w jej oczach świetniał nadludzki ogień i zdawała się już nie być mieszkanką tej ziemi.

Stał oniemiały Mestwin, wlepiając wzrok okropny w postać anielską. Niezrozumiana przez niego cnota w całym ukazała się blasku i zwątpił o osiągnięciu szkaradnych celów.

— Ostatni raz powtarzani ci — rzekła księżna — abyś zaniechał na zawsze swoich zamiarów i nigdy nie śmiał stawiać się przede mną. Wieczna zapora między cnotą i zbrodnią dzieli nas w tym życiu, w przyszłym zaś przestrzeń niezmierzona między niebem i piekłem, jeśli skruchą i żalem nie przebłagasz Stwórcy.

Poznał wtenczas Mestwin, że mu żadna nie pozostawała nadzieja, że wszystko oprócz zemsty znikło dla niego na ziemi. Porzucił więc dotychczasową postać i nagłym przejściem z wściekłego kochanka przemienił się na wyrachowanego zbrodniarza. Ukłonił się księżnie z szyderskim uśmiechem:

— Pani, już się stało; chciałaś się zgubić i zgubiłaś się. Od tej chwili miłośne oświadczenia już o twoje uszy obijać się nie będą, ale przekleństwa i srogie wyrzuty zajmą ich miejsce. Żegnam cię, Hanno z Ciechanowa, poświęconaś na męki i boleści nie znane dotąd temu światu, a jeśli po śmierci mam jęczeć w bezdennej przepaści, twoje życie piekłem się stanie i tak zawsze twój los mojemu podobnym będzie.

Po tych słowach oddalił się rycerz, a kiedy stanął u drzwi, łoskot rzuconego na ziemię sztyletu obił się o jego uszy; odwrócił się i podniósłszy broń ulubioną, odszedł do swojej komnaty; nim jeszcze stanął u jej wnijścia, już miał ułożone pasmo zdrad i podstępów, którymi chciał

najpiękniejszą i najcnotliwszą niewiastę doprowadzić do zguby.

Zastał w pokoju Ulrycha, trudniącego się urządzaniem broni w szafach, już czytelnikowi znajomych. Zbliżywszy się w milczeniu do stołu, zrzucił spokojnie szyszak, zdjął ciężki pancerz i odpiął szpadę. Następnie z krwią najzimniejszą usiadł w szerokim krześle, założył ręce na piersi i giermka przywołał.

— Ulrychu — rzekł mocnym głosem — ostatnia nadzieja uleciała dzisiaj ode mnie; zostaję wiernym panu mojemu i księciu, ale jego żona musi porzucić tę ziemię.

Po tych słowach głośnym i przeciągłym śmiechem oznaczył dziką radość, pochodzącą z pewności, że Hanna nie ujdzie jego nienawiści.

— Tak, mój chłopcze, będziesz miał teraz dużo do roboty, ale też ufam ci jak sobie samemu. Przyznać trzeba, żeś się dzielnie dzisiaj spisał: właśnie w stanowczej chwili doniósłeś mnie o niebezpieczeństwie księcia. Zagadałem się z tym Skarbimirem i gdybyś nie przybiegł, wszystko by już zgubionym było. Teraz uratowałem Zbigniewa, a on na mnie polega jak na aniele stróżu. Przewybornie, doskonale: okoliczności mi sprzyjają, zemsta gotowa, ułożona już i niechybna.

— Od jakiegoś czasu — przerwał Ulrych — nie mogę cię zrozumieć, czy to, że w Polszcze rozum straciłem, czy też, że ciemno i niedobrze się wyrażasz, rycerzu i panie mój.

— Do szatana, zaraz ci się lepiej wytłumaczę, ale wprzódy daj mi czarę wina.

Pobiegł na górę giermek i przyniósł złoty puchar, pełny szumiącego napoju, który Mestwin od razu wychylił.

— Dobre wino, na Boga — krzyknął — kilkam kropli wypił, a już jaśniejsze przychodzą myśli, rozwidniają się zamiary i cele nie tak dalekimi się wydają. Siądź na tej poduszce przy moich nogach i słuchaj uważnie!

Wypełnił rozkaz Ulrych i z natężoną ciekawością wpatrywał się w rycerza, sądząc, że mu wykryje ważne tajemnice; niezmiernie zdziwił się zatem, kiedy następujące usłyszał pytanie:

— Czy dobry masz sztylet?

— Nie najlepszy — odpowiedział po chwili — bo ten piękny, darowany mi jeszcze w Niemczech przez ciebie, na łowach zgubiłem; wprawdzie drugi w Płocku nabyłem, ale nie tak już ostry i mocny.

Wstał Mestwin i poszedłszy do szaf, jedną z nich otworzył, wyjął z niej sztylet stalowy i dał go giermkowi.

— Weź! — rzekł — jego żelazo jadem napuszczone, a kiedy nim tylko zadraśniesz wroga, natychmiast zginie.

Potem usiadł znów rycerz i dalej mówił:

— Czyś zawsze równie silny i wytrzymały w biegu? Zdumiony młodzieniec odpowiedział, że nie stracił tych ważnych zalet.

— I czujesz się zdolnym narazić się na niebezpieczeństwa?

— Na wszystko, co rozkażesz.

— A gdyby, na przykład i podstępu trzeba było użyć, czybyś umiał sprawę poruczoną zręcznie wykonać?

— Znasz mnie, panie — odparł Ulrych — doświadczyłeś w niejednym razie i nie widzę, do czego te wszystkie zapytania zmierzają.

— Ach! nie widzisz? Zaraz się dowiesz, Ulrychu! Chociażeś tak młody, powierzę ci jednak najskrytsze myśli, a w nagrodę takiej ufności żądam poświęcenia bez granic, oddania życia za moją sprawę i zrzeczenia się wszystkich uciech bez najmniejszego żalu.

— Gotów jestem, panie! — krzyknął młodzieniec. — Rozkaż, a pójdę na śmierć!

— Dobrze, porywcze dziecię, dobrze — odparł Mestwin i wpadł w głębokie zamyślenie, które nieprędko przerwał. Nareszcie spokojnym tak przemówił głosem:

— Ta dumna Polka, ta księżna, jak to ją zowiesz, nie chciała odpowiedzieć na uczucia Mestwina z Wilderthalu, rycerza niemieckiego, a zatem zapadł na nią wyrok niczym nie cofniony: musi umrzeć. Nie myśl jednak, żem ci dał ten sztylet dla jej zabicia; o nie, uchowaj Boże, tak słodkiej i prędkiej śmierci nie dozwolę Hannie z Ciechanowa, córce potężnego Wszebora, żonie potężniejszego jeszcze księcia Zbigniewa! Jeśli nie ze smutku, to przynajmniej z trucizny zginie. Prawdaż, Ulrychu, trucizna jest przedziwnym środkiem, osobliwie, kiedy nie wnet, ale przez kilka godzin skutki swe wymierza?

— Bez wątpienia — odparł młodzieniec — ale szkoda tak pięknej i cnotliwej...

Głośnym śmiechem przerwał mu Mestwin.

— Cnotliwej! — powtórzył — a, to coś nowego! Kobieta cnotliwa! Nigdym nie słyszał, nigdym takiego cudu nie widział. A wszakże pierwszą niewiastę w kilka dni po urodzeniu szatan skusił! Wierz mi, Ulrychu, nie ma na świecie cnotliwej kobiety. Każda skryciej lub jawniej zdradza swoje powinności. Tak królowa, jak wieśniaczka woli żywe oko kochanka od poważnego męża.

— A jednak zdaje mi się — rzekł Ulrych — żeś sam dopiero doświadczył oporu, który by cię powinien przekonać o cnocie...

— Dziecko z ciebie, wielkie dziecko; nie masz doświadczenia. Że Hanna, powodowana cnotą, odrzuciła moje przełożenia, ja w całym jej postępowaniu tylko dumę upatruję. Wystawia sobie, żem prosty rycerz; mniej dźwięcznie brzmi w jej uszach: Mestwin z Wilderthalu, niż: Zbigniew, książę polski i dlatego też taką odprawę mi dała, ale na piekło poprzysięgam, że pozna, kto jest ten Mestwin i z kim śmiała się poróżnić. Teraz, mój uczniu kochany,

wyobraź sobie, że jestem mistrzem, którego nauk dobrze ci zapamiętać trzeba. Niech od dzisiejszego dnia twoje przywiązanie do mnie ma za granice ściany tego pokoju. Za nimi jesteś moim nieprzyjacielem, stajesz się sługą niewiernym, nie cierpiącym swojego pana. Udajesz przed księżną, do której musisz się wsunąć i przed jej Katarzyną, że moje okrucieństwo zniechęciło cię zupełnie, okrywasz mnie obelgami, oskarżasz o najokropniejsze zbrodnie. Tym sposobem pozyskasz ufność dowierzających najczęściej każdemu niewiast, a wieczorem każde ich słówko, każde poruszenie donosić mi będziesz. Dalsze postępowanie później ci oznaczę. Przewiduję, że nieraz odwiedzisz obóz Mieczysława, gdzie Skarbimir poddany mi zupełnie... Rozumiesz, Ulrychu?

— Rozumiem.

— Gdybym innemu te rozkazy ogłaszał, zakończyłbym ich wyliczanie workiem pełnym srebra.

— Ale wiesz — krzyknął młodzieniec — że niepotrzebne ci srebro, kiedy masz ze mną do czynienia.

— I właśnie dlatego nic ci nie dam.

— Oprócz łaski i przywiązania do człowieka — odparł giermek — który cię na pewno nie zdradzi.

— Dosyć i nauk i obietnic — rzekł Mestwin, wstając z krzesła — pójdę teraz do Jordana. Słyszałeś?

— I wykonam — zawołał Ulrych.

ROZDZIAŁ XVIII

Rzucą się wszyscy i razem
Płomień słupem w niebo buchnie.
Wszędzie żarzyste migają głownie,
Leją się siarki i smoły,
Chmurami wieją popioły.
Odyniec

Nazajutrz po tej rozmowie tysiączne oręże błyszczały przed murami Zbigniewa i pomięszane wrzaski spokojną od kilku dni przerażały okolicę.

Wrzący namiętnością sławy Mieczysław podchodził z żołnierzami baszty, a Sieciech na koniu objeżdżał roty, gdyż lekka rana pieszo mu iść nie dozwalała. Wszebor również swoich zagrzewał, kiedy Skarbimir, unikając śmierci, krył się pomiędzy tylnymi hufcami i ten sam stan rzeczy, który był przed zawarciem zawieszenia broni, wrócił na nowo. Jedna tylko w nim zachodziła różnica, że nie już Zbigniew z Jordanem z Gozdawy siał postrach pomiędzy szyki nieprzyjaciół, ale Mestwin z Wilderthalu, który co do znajomości sztuki wojennej i nieustraszonej odwagi, godnym był zastępować ich miejsce.

Myślał z początku wojewoda, że łatwo mu przyjdzie zdobyć zamek, sądząc, że już w nim skonał Zbigniew i że liczba obrońców, znacznie poprzednimi napadami zmniejszona, niedługo opierać się zdoła. Lecz w tym mniemaniu zupełnie się zawiódł, gdyż podczas turnieju, na którego widzenie wszystkie hufce Mieczysława obóz opuściły, nowe posiłki i świeże zapasy żywności dostały się do zamku.

Po krótkim czasie zaczął się prawdy domyślać Sieciech, kiedy ujrzał, jak walecznie broniła się załoga i jak

umiejętnie wszystkim rozrządzał Mestwin. Podwoił zatem własne usiłowania, bojąc się, żeby nie powiedzieli, iż rycerz niemiecki przemógł nad wojewodą krakowskim i hetmanem Władysława Hermana.

Roztropność atoli Mestwina wniwecz obróciła jego zamiary, a dziki Gierda, potrząsając ogromnym toporem, w czapce borsuczej i niedźwiedziej skórze, z których włosów krew zabitych się sączyła, wszystkich przerażał. Ciężkie kamienie, świszczące strzały, jadem napuszczane pociski, z obu stron wylatujące, zaciemniały słońce przed wzrokiem walczących, a krzyki, to uniesienia i zapału, to boleści i rozpaczy, przebijając tę chmurę, wznosiły się do niebios, jak gdyby srogie wyrzuty tylu mąk i nieszczęść na ziemi.

Ginęli męże i padając na kurzawę, szlachetną krew wylewali, przeznaczoną sprawiedliwym za ojczyzną bojom, Wśród tego zamięszania odznaczał się zapalony Mieczysław, doświadczony Sieciech i żartujący z ich wysileń Mestwin, który, wzniesiony nad dolinę i głowy wrogów, kierował wystrzałami łuczników i pole trupami zasiewał.

Kiedy tak zacięta odbywała się walka, zupełnie inne uczucia zajmowały dwie osoby, rozmawiające z sobą w jednym z długich zamku korytarzów. Jedną z nich była dziewczyna z żywym okiem i świeżym licem, drugą młodzieniec, pod którego szlachetnymi rysami krył się fałsz i obłuda.

Katarzyna, przechodząc, ujrzała go wylewającym ciche łzy w ukrytym kącie, a serce osiemnastoletniej dziewczyny wzruszyło się na widok udanych cierpień młodego giermka. Przeszła jednak szybko, ale jęki Ulrycha cofnęły jej kroki i nazad wróciwszy, zapytała się nieśmiało:

— Cóż to znaczy? Czego płaczesz, biedny młodzieńcze? Podniósł schyloną głowę młodzieniec i ukazał płomieniste oczy wśród rzęsistego łez potoku.

— Ach! — zawołał głosem rozpaczy — tyś szczęśliwa, pędzisz życie przy cnotliwej i łagodnej pani, wszystkie życia

chwile umila ci anioł dobroci; nie znasz gorzkich płaczów, nie wiesz, co to jest okrutnik srogi i nieubłagany. Ach! nie wiesz, co to służyć u Mestwina z Wilderthalu!

Zadrżała na to straszne imię Katarzyna.

— Cóż ci on zrobił? — rzekła po chwili.

— Zapytaj — odparł Ulrych — wszystkich ofiar jego gniewu i zemsty, zapytaj się ich, co im zrobił Mestwin z Wilderthalu! Z początku słodki, ujmujący, zamienia się potem na gwałtownego ciemiężcę. Mnie także zwiodła jego słodycz pokrywająca najczarniejsze występki; oderwał mnie od ojczyzny, wyrwał z objęć matki; dla niego opuściłem piękną, czułą jak ty siostrę i z najmilszych wyzułem się uczuć, a teraz coraz surowszym i straszniejszym się staje! — a tu nowe łzy mowę mu przecięły i nowe westchnienia z kłamliwych piersi wydobył.

— Nie płacz tak, Ulrychu! — zawołała już sama płacząca Katarzyna. — Alboż w naszym kraju nie ma sprawiedliwości? Alboż nie zasiada w Płocku król nasz miłościwy, a w tym zamku syn jego, potężny książę i pan nasz Zbigniew?

— Nic mi nie pomogą.

— Zanieś skargę, rzuć się mu do nóg, a zapewniam cię, że skarci twojego pana. Jeśli chcesz, to nawet powiem mojej pani, a ona tak dobra, tak czuła; jestem pewna, że się ujmie za tobą.

Zbladł na te słowa młodzieniec, jak gdyby wyrzuty sumienia ozwały się w duszy, ale to pomięszanie krótko trwało.

— Nie — zawołał z udanym przerażeniem — nie czyń tego, jeśli nieszczęśliwy, stojący przed tobą, ma jakiekolwiek prawo do twojej litości! On by mnie zabił, rozszarpał, gdyby miał choć najmniejsze podejrzenie, że śmiem sprzeciwiać się jemu i żalić się na postępowanie, które wkrótce do grobu mnie wtrąci. O matko, o siostro

moja, o luba ojczyzno! czyż was nigdy już nie obaczę? Czyż nie ujrzę tych łąk, na których w dzieciństwie igrałem, tych strumieni, po których tak przyjemnie mi było pływać przy wieczornym powiewie, tych skał pokrytych zielonymi krzewami, na które często się wdzierałem, czepiając rękoma słabe rośliny i trawy?

— Nie narzekaj tak, Ulrychu, rozdzierasz mi serce!

— Ale nie — przerwał giermek, zapalając się coraz bardziej — nie powiedzą, żem jak niewolnicze zwierzę schylił kark pod narzuconym jarzmem! I w moich też piersiach bije serce i w moich żyłach krew płynie. Bez obrony, bez przytułku, w obcym kraju, wydarty matce, wystawiony na okrucieństwo srogiego pana, zdołam jeszcze zebrać młodzieńcze siły i jeśli nie pognębić, to ukarać przynajmniej wroga, który mnie wkrótce o śmierć przyprawi. Patrz, dziewczyno, na tę twarz pozbawioną rumieńca, na te oschłe i wychudłe palce, na tę schyloną, a kiedyś tak lekką i wysmukłą postawę; oto są skutki niewoli i uciemiężenia. Tajemniczy, zawzięty, samą zbrodnią oddychający człowiek to sprawił, a teraz osądź sama, czy nie mam przyczyny łzy wylewać, kiedy co dzień czuję słabnące ciało, odzywające się boleści i czarne troski w miejscu dawnej, niczym nie zatrutej radości! Ale przyjdzie czas i podniosę się spod stóp potworu tłoczącego mnie ku ziemi.

Przerażona dziewczyna w milczeniu i z ściśnionym sercem poglądała na człowieka uniesionego gniewem.

— Opowiedz mi — nareszcie się ozwała — to, co Mestwin ci wyrządził.

— Wczoraj — odparł Ulrych — wrócił do siebie niezwykłym uniesiony szałem, oderwane wymawiając słowa, pomiędzy którymi imię twojej pani i księcia Zbigniewa najczęściej słyszałem; ponure i okropne rzucał na mnie wejrzenia. Na koniec wywierając swój gniew bez najmniejszego powodu, mało co w zapamiętałej wściekłości

dni moich nie skrócił trzymanym ciągle w ręku żelazem. Wymawiałem mu w rozpaczy to niesłuszne obchodzenie się ze mną, nawet śmiałem wspomnieć o słyszanych wyrazach i wyrzucić, że coś zamierza przeciw księżnie, której wdzięki i anielska słodycz pozyskały całe moje przywiązanie, a wtenczas pieniąc się ze złości, z ognistym wzrokiem, wywrócił mnie na ziemię i piersi nogą przytłoczywszy, wymógł straszną przysięgę, że nikomu nie powtórzę... Ale zdradzam ją — dodał z oznakami trwogi — może nas podsłuchał? Zgubionym... — i oglądał się na wszystkie strony z przerażeniem na twarzy.

— Bądź spokojny, on teraz walczy na murach. Czyż nie słyszysz wojennych okrzyków i świstu pocisków?

— Prawda, wypadło mi już wszystko z pamięci; prawda, wkrótce rozum stracę! — rzekł Ulrych, zwracając ku ziemi wzrok osłupiały.

— A więc — ozwała się Katarzyna — kochasz moją panią i można by rachować na ciebie w razie potrzeby?

— Całą krew chętnie bym za nią przelał — krzyknął giermek i wzniósłszy ręce do góry: — Przysięgam, że wypełnię wszystko, co mi rozkaże.

Nie zważając na dwójznaczność tego przyrzeczenia, z radością wyrzekła dziewczyna:

— Pamiętaj o tym, coś wymówił i staw się w słowie, kiedy czas i miejsce będą po temu! — To mówiąc, oddaliła się, pewna, że znalazła nowego przyjaciela i poświęconego sługę Hannie z Ciechanowa.

Zadowolniony Ulrych z udania się tej pierwszej próby, poszedł na dziedziniec zamkowy dla przypatrzenia się walce, ale coś nieprzyjemnego mięszało się do jego radości.

Okropna bitwa toczyła się ciągle na murach okrytych pomięszanymi z sobą żołnierzami Zbigniewa i Mieczysława, krwi potoki spływały po kamieniach i basztach. Poobcinane głowy, oderwane od ciała członki i drętwiejące jeszcze

ostatkiem życia zewsząd się sypały. Wtem ukazał się na najwyższej wieży rycerz z Wilderthalu z kilkoma ludźmi, którzy ogromny, tam leżący kamień podważywszy drągami, zwalili go na drabiny i głowy wspinających się po nich wojowników. Wnet potem zapalone pochodnie, kawały ciężkiego ołowiu, pomięszane z wrzącym wapnem, wysypały się na oblegających. Potok morderczych płynów oblał dobywających się do zamku, a natychmiast rozległ się po przestrzeni krzyk boleści i żołnierze z na pół spalonych dłoni wypuścili żelaza. Strąceni z wysokich murów rycerze roztrącali się o kamienie na dole leżące, a grad pocisków bez ustanku leciał na strwożone szeregi. Ze wszystkich stron napadane hufce straciły odwagę, walka nierówną się stała i znak odwrotu nareszcie dowiódł ciężkie nieprzyjaciół straty i przewagę Mestwina.

Podobne co dzień odbywały się boje, a zawsze odparci na końcu oblegający z odrodzonym męstwem i nową stałością nazajutrz wracali. Zbigniew sił powoli nabierał, ale jeszcze po dwóch tygodniach nie mógł wystawiać się na niebezpieczeństwa, których by nie był zdolny odeprzeć. Widziano go jednak niesionego czasem na rękach wiernych żołnierzy; zasłoniony ich puklerzami, odwiedzał mury, opatrywał stanowiska i dawał rozkazy. Za słaby jeszcze na dźwiganie ciężkiej zbroi, nosił czapkę z białymi pióry i lekką kolczugę, a wypuszczone nań strzały jak gdyby z uszanowaniem naokoło padały. Tak więc bohater wyrywał się jeszcze z objęć śmierci dla bronienia żony i zjednania sobie nieśmiertelnej chwały.

Jednego wieczoru, po ustąpieniu nieprzyjaciół, kazał zawołać Mestwina i spierając się na łożu:

— Czyś nie strudzony? — zapytał.

— Jeszcze bym gotów walczyć — odparł rycerz.

— A więc przygotuj się do walki! — zawołał książę. — Jak tylko noc pokryje niebo, z dobranymi wojownikami podejdź ich obóz, a niech wtenczas noc się w dzień zamieni. Nie

chcę, byś im wszystkich spalił namiotów, część tylko obejmij płomieńmi. Ja zaś wyjdę na wieżę i patrzeć będę na ten obraz, bo jednostajność teraźniejszego życia nudzić mnie zaczyna. Trzeba takiego widoku na wyrwanie mnie z słabości, na przywrócenie utraconej mocy.

— Już od dawna — rzekł rycerz — o tym myślałem. Dziękuję ci, książę, że taką sprawiasz mi zabawę. Na Boga, na kilka mil wokoło rozjaśnię okolicę! — Po tych słowach, ukłoniwszy się, wyszedł na dziedziniec zamkowy.

— Do broni! — krzyknął — do broni! — a wnet zgromadzili się naokoło niego dzielni żołnierze. Bystrym wzrokiem przebiegł ich szeregi i wyznaczył mających się z nim udać na krwawą wyprawę. Potem wrócił do komnaty i pokrzepiwszy siły pucharem wina, rzucił się na łoże, gdzie na chwilę zasnął.

Czarna noc zasępiła niebo, a chmury, silnym pędzone wichrem, na pomoc jej jeszcze przybyły. Obóz pogrążył się w ciemnościach, a stojący na straży żołnierze słyszeli z bojaźnią współtowarzyszów jęki, mięszające się do świstów wiatru. Z powagą przesuwały się chmury jak orszak milczący, który smętnie postępuje za pogrzebem i zdawało się, że samo przyrodzenie, sprzyjając zamiarom wrogów, ich wykonanie ułatwia.

Obudził się Mestwin, przywdział zbroję i na czele zbrojnych wyszedł bramą zamkową, schylając głowę przed mężem, który, zasiadłszy na wieży, czekał widoku klęsk i mordów.

W milczeniu szedł rycerz niemiecki, a on jeden tylko miał szyszak na głowie. Wszyscy inni trzymali hełmy w lewej ręce, prawą kryli w ich wydrążeniach zapalone pochodnie. W cichości przesuwali się po równinie jak duchy złego, natężając wzrok i słuch na wszystkie strony. Niecierpliwość i żądza walki podwajała bicie serca każdego z nich, ciemności i milczenie pokrywały ich dokoła; za chwilę potoki morderczego światła i tłumne wrzaski miały

napełnić miejsca, po których stąpali z ostrożnością łowca podchodzącego czujną zdobycz.

Kiedy zbliżyli się do obozu, dobył miecza Mestwin, a natychmiast zabłysnęły pochodnie i obok nich podniosły się oręże. Rzucili się żołnierze pomiędzy namioty, a natychmiast zajęły ich płomienie. Czerwonawe kłęby dymu, kręcone wiatrem, uniosły się nad równiną, a krzyki, jęki i rozkazy rozległy się wszędzie.

Obudzony ze snu Mieczysław porwał szablę i wyleciał z namiotu. Sieciech wyszedł później trochę na pole bitwy w zupełnej zbroi. Wszebor podniósł oręż styraną dłonią i również pośpieszył do walki. Na pół uśpieni żołnierze skoczyli do broni, ale nie wiedzieli, gdzie się udać i przeciw komu walczyć, bo nieliczni Mestwina towarzysze, podsycając ogień lub pojedyńczych zabijając nieprzyjaciół, rozbiegli się pośród namiotów i wałów.

Trudno ich było odróżnić w zamięszaniu i nieładzie, a żołnierze Mieczysława, dobywszy oręża, obracali się naokoło, szukając wroga, nie ukazującego się nigdzie. Wtenczas, wściekli, patrzali z rozpaczą na ogarniające ich płomienie i słysząc dzikich napastników krzyki, niggdy z nimi spotkać się nie mogli. Mieczysław rzucał się pośród płomieni i trupów, podnosząc błyszczący pałasz, ale ani kropla krwi jeszcze nie spływała z niego. Przezorniejszy Wszebor, zebrawszy kilku ludzi, zaczął pracować około zagaszenia pożaru; ale kiedy ustawał za jego staraniem w jednym miejscu, wnet z drugiego wybuchał, niewidzialną zapalony ręką. Zdawało się, jak gdyby ziemia się otwarła i szerokimi płomieńmi całą zagarnęła przestrzeń. Nareszcie Mestwin zwołał swój orszak i na jego czele wpadł na przerażone przeciwników szeregi; wnet przeraźliwe krzyki wskazały miejsce okropnej walki.

Mieczysław, uradowany ze znalezienia wrogów, przedzierał się z siłą lwa przez rozognione belki, walące się namioty i ginących towarzyszy, biegnąc do Mestwina; lecz

nim się mógł spotkać z niemieckim rycerzem, ozwał się po dwakroć z dala silny głos rogu, a natychmiast spuścił Mestwin skrwawiony oręż i obtarłszy go spokojnie, schował do pochwy.

— Nazad, żołnierze! — zawołał piorunnym głosem. Głos rogu przerwał mu słowa. — Wstecz, towarzysze! — krzyknął. — Słyszycie? To róg księcia, to rozkaz Zbigniewa!

Potem rzucił się szybko między popioły i trupy z małym orszakiem; wkrótce znikł odgłos ich kroków, a ich postacie pogrążyły się w ciemnościach, spośród których ukazywały się szczątki obozu, zniszczonego morderczymi płomieńmi.

Książę Zbigniew ledwo po czwarty raz odjął z ust ogromny róg, zdobny świetnymi ze złota okręgi, kiedy usłyszał kroki wracającego hufcu i kazał zawołać Mestwina.

Stawił się przed panem rycerz okryty krwią i kurzawą, z poczernionym czołem od dymu i z potrzaskaną zbroją przez ułamki rozpalonego drzewa, nieraz podczas walki nań spadłe. Sześciu żołnierzy z zapalonymi pochodniami stało naokoło księcia, którego bladość przeciwny wystawiała widok od rumieńca Mestwina, sprawionego przez trudy i bliskość ognia.

Zdał sprawę rycerz z poruczonego obowiązku, a potem, wyciągając rękę:

— Nie mam co więcej opowiadać — zawołał — niech mi ten obraz zastąpi wymowę!

— Dzielnyś zawsze, Mestwinie — rzekł książę — ale bałem się, byś, uniesiony, nie posunął się za daleko, gdyż nie chcę wszystkiego w jednej nocy zakończyć.

— Przyznaję — odparł Mestwin — że widząc tak sposobną porę, uczułem żywiej krew biegnącą po żyłach i wydobyłem żelazo, ale głos twojego rogu odwołał mnie natychmiast.

— Jeszcze więcej za to ci wdzięczności winienem niż za ten pożar — rzekł Zbigniew, ściskając mu rękę — ale, na

Boga, zdaje mi się, że niebo popsuje, co ziemia sprawiła.

— Raczej piekło — dodał po cichu Mestwin.

— Te czarne chmury — ciągnął Zbigniew — wkrótce w deszcz się zamienią; już kilka kropel padło na moją rękę.

Ledwo tych słów domówił, aliści obudziło się spokojne dotąd przyrodzenie hukiem bliskiego pioruna, jak gdyby hasłem do bitwy i w oka mgnieniu błyskawice rozdarły niebiosa, a deszcz rzęsisty spuścił się na ziemię.

Nie ruszył się z miejsca Zbigniew i poglądał wśród burzy na zapalony obóz, z którego jęki nieszczęśliwych jego uszów dochodziły. Ale wkrótce wzbijające się ku niebu płomienie zaczęły się ku ziemi skręcać i czarny dym wydarł je po części patrzącemu oku, a tymczasem coraz większe potoki lały się z odwiecznych sklepień i coraz bardziej gasły zapalone ręką wrogów ognie. Wzniósł oczy do nieba książę i przez chwilę zdawało mu się po łunie, przestwór zalegającej, że pożar nic z mocy nie stracił, bo chmury, jeszcze większym oświecone blaskiem, zamieniły się na ogniste ogromy, toczące się z hukiem po przestrzeni; lecz poznał wkrótce, że częste błyskawice zastąpiły śmiertelne ognie, a kiedy spuścił wzrok na dół, już nie ujrzał szerokiego pożaru, ale na miejscu jego czarne, blado odznaczone od ciemnej nocy namioty, które wznosiły się nad leniwo dogorywającymi gruzy.

— Tak znikają nadzieje — pomyślał książę — jak te świetne płomienie, obwiane wichrem i zalane wodą. — Potem w głos się odezwał: — Skończyła się na dzisiaj zabawa. Zanieście mnie do łoża. Spodziewam się, że przynajmniej kilka dni odpoczynku mieć będziemy.

Nie ozwała się nazajutrz w obozie trąba zwołująca do bitwy, nie zarżał wyprowadzony na boje rumak Sieciecha ani zabłysnął pałasz Mieczysława. Grobowe milczenie zaległo pozostałe od zniszczenia namioty; czasem wybladli wojownicy w na pół spalonej odzieży przesuwali się pomiędzy ostatkami własnych mieszkań, schylając się ku

ziemi, roztrącali dymiące jeszcze gruzy i szukali opuszczonych orężów w wczorajszym nieładzie. Broń znalezioną znosili na środek obozu, skąd każdy należytość swoją odbierał. Odchodził tu żołnierz z na pół stopionym mieczem, tam znowu z połamanym pancerzem lub z świetnym niedawno szyszakiem, pokrytym teraz to czarnymi, to rudymi od ognia i od wody plamami. Nie słyszano jęków ani westchnień, ale zimna rozpacz malowała się w ich wzroku pozbawionym życia.

Dotąd żaden wódz się nie ukazał, a przelękłe hufce traciły stopniami odwagę i ufność położoną w toporze Sieciecha, mieczu syna Bolesława Śmiałego i roztropności Wszebora. Ale kiedy Mieczysław w zupełnej zbroi, tylko bez hełmu, ukazał się w gronie wybladłych i cierpiących towarzyszy, kiedy z nieostygłym zapałem wskazał na zamek i przysiągł, że nigdy nie odstąpi zamiaru, tysiąc głosów ozwało się w tłumnej wrzawie.

— Niech żyje książę Mieczysław! niech żyje syn dzielnego zdobywcy Kijowa! — a twarze, przed chwilą posępne, pokryły się rumieńcem i oczy zmartwiałe nowym zabłysnęły ogniem.

— A więc za mną, bracia! — krzyknął młodzieniec, dobywając miecza. Ale nadchodzący Wszebor i Sieciech wstrzymali go od tak nierozważnego kroku, przekładając poniesione znoje, zmniejszoną liczbę żołnierzy i potrzebne naprawy w zniszczonym obozie. Mieczysław, poznawszy prawdę tych uwag, zaczął wszystkich do pracy zagrzewać i za jego rozkazem setne ręce, rzuciwszy oręż, wzięły się do motyki dla wzniesienia nowych wałów i ustawienia nowych namiotów.

Tak usilnie pracowało całe wojsko, że po kilku dniach naprawiło szkody sprawione napadem wrogów i drugi obóz wzniósł się nad ostatkami pierwszego. A wtenczas wróciły utarczki, rozpoczęły się boje i anioł śmierci znów skrzydła nad bijącymi się braćmi roztoczył.

Nowa pomoc przybyła broniącym zamku, kiedy Jordan z Gozdawy po słabości, w której długo pasował się ze śmiercią, ozdrowiał i wystąpił na czele swoich hufców. Zbigniew, choć pragnął przywdziać zbroję i porzucić spokojne łoże, nie czuł dosyć sił jeszcze do tego. A więc Mestwin i Jordan odpierali razem oblegających, wspartych nowymi z Ciechanowa zaciągi.

Trudno było przewidzieć, kogo uwieńczy zwycięstwo, gdyż obie strony odznaczały się równą odwagą, co dzień równe ponosiły straty. Ale Mieczysław nagradzał je świeżymi ludźmi, kiedy Mestwin, otoczony i zamknięty w małej przestrzeni, nie mógł znikąd zaciągnąć pomocy. Sztuką więc starał się liczbę zastępować. Krył biegłych łuczników między basztami i murami, ogromne kamienie z wysokich wież spychał drągami poruszanymi od niewidzialnych żołnierzy. Nieprzyjaciele, idąc do szturmu, nikogo nie widzieli na przeciwnych murach; dopiero kiedy bliżej przystąpili, grad pocisków zlatywał na ich głowy, a daremno szukali oczyma zakrytych i czyhających na najmniejsze ich poruszenia wrogów. Lecz później, za danym znakiem, podnosiły się nagle zbrojne szeregi, spod szarego kamienia błyszczący powstawał szyszak, zza ciemnej baszty wysuwały się bielejące pióra, puste dotąd wież szczyty jaśniały połyskiem stali, chorągwie rozwijały się w powietrzu i zdawało się z początku, że się martwe głazy w żyjących przemieniły rycerzy, których wydobyte miecze i wyciągnione ramiona niejeden zgon wrogom zapowiadały. Wtenczas zaczynała się zwyczajna walka, a po jej skończeniu cofały się hufce Mieczysława do obozu, załoga zaś Zbigniewa, rozstawiwszy się po murach, zasypiała, na pałaszach lub włóczniach oparta.

W tych tyle odnawiających się bitwach ubiegał się o świetne wawrzyny Krystyn z Mortoga, rycerz przybyły do zamku na czele dość licznego hufcu podczas turnieju. Dawno znany Zbigniewowi, towarzyszył mu w kilku

wyprawach i jak tylko posłyszał o oblężeniu księcia, przybiegł mu na pomoc sponad brzegów Narwi. Teraz zaś walczył z największą odwagą, ale darmo by się po nim spodziewano roztropności Mestwina lub znajomości Jordana.

Nie pytał się, czy sprawiedliwą była sprawa, której służył, przestawał na tym, że w niej miecza dostać było można i męstwo swoje okazać. Ledwo wiedział, że idzie o Hannę z Ciechanowa i że Mieczysław zamek oblega. Wszystko mu jedno było przeciw temu lub temu walczyć, byleby walczyć przeciw komuś.

Zbigniew tymczasem znowu w młodzieńcze uzbroił się siły, uczuł dawną żądzę chwały i powstawszy z łoża boleści, nową odrodzony mocą, pośpieszył bronić najdroższej istoty i wojnę zakończyć.

Ale nie szło mu po myśli, bo coraz liczniejsze szeregi zamek otaczały i co dzień nieprzyjaciele rośli w potęgę, kiedy on w ciasnym obrębie, z malejącym wojskiem, wytężał wszystkie środki i sztuki i męstwa na odparcie grożącej burzy, która, zaciemniając widnokrąg, z coraz większym rykiem doń się zbliżała. Ale serce Zbigniewa właśnie w takich okolicznościach nabierało nadludzkiej prawie siły. Umiał dostrzegać niedostrzeżone wrogów pomyłki, piękne nadzieje wskazywać towarzyszom i z słabą garstką stawiać się potężnym wojskom.

Pośród boju twarz jego jaśniała nadziemskim męstwem i zapałem. Nikt by w niej wtenczas smutku lub tęsknoty nie dostrzegł. Lecz kiedy, po uciszeniu wojennej wrzawy, znużeni spoczywali męże wśród jęków ranami pokrytych towarzyszy, bladość grobowa na jego lica wracała i wzrok tracił ogień, ożywiający go pośród rzezi i mordów. Unikał ludzi, nawet Mestwina, oddalał się od żony, a kiedy prosiła go o wykrycie przyczyny smutków, odpowiadał na jej zapytania milczeniem rozpaczy. Księżna sądziła, że takie postępowanie jest skutkiem zabiegów Mestwina, choć jej

odkrył nareszcie Zbigniew prawdziwe swoje położenie, dodając jednak, że się spodziewa wkrótce przybycia Ludwika ze Żmigroda, jednego z rycerzy, których miał po swoich zamkach.

Nie możemy tu opuścić okoliczności, która, ocalając zamek od niespodzianego napadu, zwlekała jego zdobycie, a tą była, że Mestwin tajemnymi środkami dowiadywał się często o zamiarach nieprzyjaciół i wykrywał je księciu.

ROZDZIAŁ XIX

Podłość nikczemną widać z Jego czoła,
Kłamstwem jego usta zieją
I w czyste serce i w duszę anioła
Piekielne trucizny leją.
Drżyj, nieszczęśliwa, nie ma już sposobu!
Już sny przeminęły złote
I ten sam szatan, który zgnębił cnotę,
W piekło powiedzie ją z sobą.
Bezimienny

Spełniały się po części groźby Mestwina. Nieszczęśliwa Hanna z Ciechanowa pędziła dni i nocy w srogich niepewnościach. Rzadko męża widziała; oddalona od świata, daremno chcąca zrzucić ciężar gnębiący skołatane serce, najpiękniejsza niegdyś Mazowsza dziewica traciła stopniami niezrównane wdzięki. Oko, które by niegdyś mogło w nieśmiertelnego anioła natchnąć ziemskie myśli, straciło dawną żywość w potoku łez codziennie wylewanych. Lica, gdzie kwitnęły róże, pokryły się bladością, a usta, tak miłe, tak ponętne, zwiędły od westchnień wydartych z śnieżnego łona, radością kiedyś poruszonego, a teraz srogimi trapionego tęsknotami. Uleciały marzenia młodości, znikły przyszłego szczęścia nadzieje — wśród dzikich okrzyków walczących współobywateli i zamachów zbrodni.

Zbigniew, nie odstępujący żony z początku, teraz od niej uciekał, w samotnej zamykał się komnacie, a Hanna sądziła, że jego serce mniej żywiej już bije do ukochanej istoty. Nie, miłość równa zawsze, może nawet podwajana przeszkodami, napełniała duszę Zbigniewa, ale, lękając się wyrzutów żony, unikał z nią rozmowy.

Zresztą pamięć na ojca, na troski sprawione jemu, na dumnych wrogów, których nie mógł pokonać, na ubóstwianą chwałę, której tak wielkie zagrażało niebezpieczeństwo, zatruwała inne księcia uczucia, a kiedy łzy wylewała w drugiej stronie zamku ulubiona jego, on, siedząc przy stole, wściekle ściskał pałasz i w tajonej rozpaczy nocy całe przepędzał. Czasem odzywał się głos w duszy, przepowiadający zwycięstwa i sławę, przez chwilę orzeźwiało go to uczucie jak powiew wiatru, co spiekłe lica wędrownika pustyni ochładza, lecz wkrótce potem wracała smętność i czarne myśli nieprzerwanym cisnęły się tłumem.

Katarzyna wszelkimi sposobami starała się panią pocieszać i oddalać od jej umysłu ciemne obrazy. Nieraz słodkim głosem dumki jej śpiewała, nieraz skracała długie wieczory opowiadaniem powieści i dawnych podań; unikając smutnych i nieszczęśliwych wypadków, wybierała wesołe zdarzenia, uciechy dwojga kochanków, malowała w prostych i niewymuszonych wyrazach tańce i skoki włościan, miłe łąki okryte igrającą młodzieżą i ciche chatki, gdzie szczęście przebywa. Wdzięczna Hanna dziękowała powierniczce za jej czułość, ale łzy córki Wszebora obficiej płynęły, kiedy porównywała obrazy, wystawione przez Katarzynę, z ciemnymi murami, które ją otaczały. Nareszcie Katarzyna ośmieliła się raz pani zapytać o przyczynę smutku; księżna odpowiedziała westchnieniem.

— Bo — rzekła Katarzyna — gdybym mogła się domyśleć, czego pragniesz, natychmiast bym ci to przyniosła.

Uśmiech mimowolny okrasił usta, odwykłe od niego.

— Dobra Katarzyno, nie pragnę niczego, oprócz… — i tu zamilkła.

— Powiedz, dokończ, droga moja pani! Wszystko dla ciebie uczynię, wystaram się wszystkiego, może potrafię twoim życzeniom zadosyć uczynić, jeśli nie sama, to może przez kogo innego.

— Przez kogóż, dobra dziewczyno? któż w tym zamku myśli o Hannie? kto rozumie jej łzy i boleści? kto się troszczy o słabiejące zdrowie, o niknącą piękność, o strapione serce, któremu nieliczne bicia pozostają? Gdzież znajdziesz pomoc dla mnie? Czy myślisz, że wzruszysz tych zdziczałych wojowników piersi, twardsze od żelaza je pokrywającego? Zostaw mnie, zostaw i dozwól przynajmniej srogą opłakiwać dolę!

— Tak mówisz, pani, jak gdyby ci już żadnej nie pozostawało nadziei, jak gdyby szlachetny nasz książę już nie miał miecza ku twojej obronie.

— Ach! Zbigniew, Zbigniew — zawołała Hanna — on mi ziemię kiedyś w niebo zamieniał, ale wcisnął się wąż do raju i raj w piekło się obrócił.

— Któż jest tym wężem? — zapytała córka Gierdy — wskaż go mężowi, pani, a on w proch go zetrze i śladu potworu nie zostanie na ziemi!

— Gdybym to mogła uczynić — krzyknęła księżna — jeszcze bym znalazła uciechy w tym życiu, jeszcze bym odzyskała spokojność! ale nie, czegóż mam się łudzić próżną nadzieją? Grób mój już stoi otworem i codziennie zbliżam się do niego.

— Nie rozdzieraj mi serca, księżno i pani moja! Porzuć tę ciemną mowę, te nie zrozumiane wyrazy, odkryj tajemnicę, a ręczę, że potrafię przywrócić ci szczęście! — i padła Katarzyna do nóg Hanny z Ciechanowa i ściskała jej kolana, łzami oblewając podaną sobie rękę.

— Katarzyno — rzekła po chwili księżna — święta przysięga moje usta zamyka, ale mogę ci wyjaśnić po części przyczynę moich boleści. Widzę zadumanego ciągle Zbigniewa, poznaję w jego wzroku, tak żywym dawniej, smutek jakiś; rzadko przemawia do mnie, a wtenczas głos jego cichy i poruszenia dziwne; rzadko bawi przy mnie, z moich objęć się wyrywa; nie, on mnie już nie kocha!

— Mylisz się pani, mylisz — przerwała Katarzyna — książę oddany tobie, ale wojna, straty, niebezpieczeństwa trapią jego umysł.

— Dla kogóż ta wojna, te straty, te niebezpieczeństwa? — rzekła księżna — dla kogóż co dzień naraża się śmierci? dla kogóż Polska rozerwana srogimi bojami? Dla mnie, dla mnie to mój ojciec walczy z moim mężem, dla mnie szlachetny Mieczysław wystawia się zgubnym ciosom, myśląc, że odbierze lat młodych oblubienicę, dla mnie nieszczęścia zgromadziły się nad królewską rodziną, z mojej przyczyny najdzielniejszy w Polsce bohater, książę Zbigniew, do był szabli na brata! I jakżeż teraz nie mam być smutną? Czy chcesz, bym z uśmiechem radości patrzała na tylu ludzi ginących? bym z dawną wesołością słyszała jęki i krzyki Polaków? Już mi wszystko obrzydło, samo przyrodzenie czarnym kirem okryte przed moimi oczyma; znieść nie mogę promieni słońca, kiedy myślę, że ich część się nurza w krwi moich braci.

— Powiedz mi, pani i księżno moja — rzekła Katarzyna — jaką ulgę przynieść ci mogę, a zgadzam się na najokropniejszą karę, jeśli ci jej nie przyniosę!

— Nie ma ratunku, nie ma ulgi dla mnie! Już ziemia przestała mnie łudzić, od niejakiegoś czasu wzgardziłam śmiertelnymi myśli, a niebo, cel życzeń i modlitw, niezadługo otworzy się przede mną.

— Może sądzisz — rzekła córka Gierdy — że ja tylko tobie poświęcona w tych miejscach, a przecież znam człowieka, który by wszystko oddał dla ciebie i na twój rozkaz na śmierć samą się odważył.

Wzdrygnęła się księżna, wspomniawszy oświadczenia Mestwina, ale po chwili zapytała się z uśmiechem niedowiarstwa:

— Któż to jest?

— Ulrych, giermek rycerza Mestwina z Wilderthalu — cichym głosem wyrzekła dziewczyna.

— Mestwin! — krzyknęła Hanna, powstając z krzesła i surowo spoglądając na Katarzynę. — Kto cię z nim zapoznał? gdzieś go widziała? co ci mówił? Potargaj z nim związki, pożegnaj go na zawsze, jeśli przy mnie chcesz zostać! Uciekaj, uciekaj od niego, jeśli nie chcesz płakać przez wszystkie dni pozostałego życia, jeśli nie chcesz w zmartwieniu i boleściach zstąpić za wcześnie do grobu! Już i do niej — dodała — wkradł się zbrodniarz, już tu sieci zastawił! Zgubionam, otoczył mnie wrogami! Katarzyno, kiedyż widziałaś się z Mestwinem?

— Pani — odparła, spuszczając oczy, Katarzyna — nie zrozumiałaś mnie; nie widziałam się z Mestwinem, ale z jego giermkiem Ulrychem.

— To wszystko jedno; kto służy u zbrodniarza, sam jest zbrodniarzem.

— Nie, pani moja, on nie jest zbrodniarzem, on cię szanuje i uwielbia, nie cierpi swojego pana, co dzień łzy wylewa nad jego okrucieństwem; wierz mi, Hanno z Ciechanowa, Ulrych do ostatniej kropli gotów wylać krew za ciebie!

Tu dopiero opowiedziała Katarzyna, jak, odkrywszy zmartwienie Ulrycha, w częstych z nim rozmowach przekonała się, że przywiązanym jest do księżny i że swego pana nienawidzi. Dodała następnie, że obłuda mieścić się nie może pod tak szlachetnymi rysami, że z takim zapałem ofiarował swoje usługi młodzieniec, że widoczną była szczerość jego mowy, na koniec, że ręczy za jego przebiegłość i odwagę. Z początku z obrzydzeniem słuchała Hanna z Ciechanowa opisu osoby, tak blisko dotyczącej Mestwina; ale kiedy, dowiedziawszy się o nieszczęściach Ulrycha, wystawiła go sobie w kwiecie młodości wyrwanym matce i ojczyźnie, pozbawionym nadziei, dręczonym od srogiego ciemiężyciela, porównała los własny z jego losem.

Uczuła litość w sercu dla opuszczonej sieroty i przestała się dziwić, że nieszczęśliwy nieszczęśliwej swe usługi poświęca, że młodzieniec, rzucony w odmęt burzliwego świata, pragnie łożyć ostatki pędzonego wśród utrapień i niesmaków życia na wykonanie rozkazów równie jak on skołatanej przez nieszczęścia istoty, której zagrażał ten sam co jemu nieprzyjaciel.

— Dziękuję ci, Katarzyno — rzekła — za twoją troskliwość, za twoje starania. Zbłądziłam, zowiąc go zbrodniarzem, ale cóż on może mi pomóc?

— Oznajmij, księżno i pani moja, co chcesz, co żądasz, a wtenczas powiem, w czym Ulrych może ci pomóc!

— Ach! widzę — przerwała Hanna — że ufasz w niego, jak gdyby w najlepszego rycerza, najroztropniejszego człowieka. Zapewnie serce żywiej ci bije na jego wspomnienie?

— Nie, pani — odparła Katarzyna, kładąc rękę na piersi. — Nie powoduje mną miłość w tej okoliczności; serce moje oddane komu innemu, oddane giermkowi, a może już i rycerzowi teraz. Nie zapomniałaś zapewnie o Henryku z Kaniowa. Nieraz mi on powiadał, że często odwiedzał zamek ciechanowski z panem swoim, księciem Mieczysławem. Ale teraz nie o tym mowa — dodała, płoniąc się od wstydu — nie mam teraz osobistych widoków na uwadze, jedynym moim celem jest twoje bezpieczeństwo i szczęście.

Przycisnęła księżna wierną cierpień towarzyszkę.

— Chciałabym sama się zapewnić o jego uczciwości. Czy możesz go tu przyprowadzić?

— Stawi się przed tobą za pierwszym rozkazem, a za kilka słów, ułyszanych od ciebie, życie ci poświęci. Lecz upraszam cię, pani, odkryj mi swoje zamiary!

Dumała Hanna przez chwilę. Powstawszy nareszcie, zwróciła oczy ku obrazowi Matki Boskiej.

— Natchnij mnie siłą i stałością — rzekła — bo uczynię z siebie ofiarę dla niego! Katarzyno, trudną rzecz trzeba wykonać, trzeba mi się widzieć z księciem Mieczysławem.

— Z księciem Mieczysławem? — powtórzyła zdziwiona dziewczyna. — Jakże to uskutecznić? Jakże się przedrzeć przez mury i tłumy zbrojnych? A twój mąż, pani, cóż na to powie?

— Właśnie dla niego, właśnie dla oszczędzenia mu zmartwień i niebezpieczeństw, odważę się na tak niepewne przedsięwzięcie. Może mi hańba lub zaguba nagrodą będą, ale wypełnię świętą powinność i względem męża i względem ojca. Wyrwę ich z pośrodka mordów i klęsk trapiących ojczyznę, oszczędzę ziomkom krwi należnej krajowi i jeślim własnym szczęściem dała powód do nieszczęść, teraz może swoim nieszczęściem — błogie dni innym przywrócę. Znam dobrze szlachetnego Mieczysława: jak tylko się dowie, że jego oblubienica własnego serca życzeniem komu innemu rękę oddała, rzuci oręż krwią bratnią zbryzgany. Tak, wykonam obowiązek i Polki i żony i córki. Jeśli mi nic nie pomożesz, jeśli się z Mieczysławem nie mam widzieć, możesz porzucić Hannę z Ciechanowa, której niedługie dni na tej ziemi zostały.

— Ja cię nigdy nie opuszczę, pani moja — ozwała się dziewczyna. — Dzisiaj jeszcze Ulrycha do ciebie przywiodę.

Cały zamek we śnie spoczywał, kiedy Katarzyna wprowadziła giermka rycerza z Wilderthalu do komnaty księżnej Hanny z Ciechanowa. Przypominał sobie młodzieniec wszystkie pana nauki i uzbroił serce w twardą chytrości powłokę, a jednak stanął pomięszany przed niewiastą, której miał zagubę przyśpieszyć. Niedługo wprawdzie trwał ten stan w jego duszy, a przyklęknąwszy, oświadczył w wyrazach najgłębszego uszanowania gotowość do zupełnego się jej poświęcenia. Uprzejmie przyjęła to oświadczenie księżna.

— Zapewniam cię — rzekła — o naszej łasce i wdzięczności, a jeśli nie będę mogła ci jej dowodami stwierdzić, bądź jednak pewny, że Hanna z Ciechanowa zawsze o tobie pamiętać będzie.

— Pamięć twoja, księżno — odparł Ulrych, odwracając oczy od Hanny, gdyż obawiał się wrażenia sprawionego widokiem oblicza przecudnej urody — najmilszą i najpiękniejszą będzie mi nagrodą. Odwrócę zamachy niegodziwych od świętej twojej głowy — dodał z zapałem — ocalę bóstwo, które zstąpiło w poziome śmiertelnych mieszkania, a jeśli nie dokonawszy przedsięwzięcia, zginę w najsroższych mękach, twój obraz i przypomnienie obecnej chwili osłodzą boleści i żelazo okrutnika zamienią na kwitnącą różę. Przebacz, pani, że śmiem tak mówić, ale przepełnione serce nie zna granic i wylewa się przed tobą, ufne, że mu za złe nie weźmiesz tego, co czuje i czuć nigdy nie zaprzestanie.

Może, uniesiony widokiem Hanny, szczerze mówił Ulrych w tej chwili, bo oko jego błyszczało ogniem uniesienia i rumieniec prawdy krasił mu lica. Może też dla lepszego pokrycia zamiarów, których był narzędziem, wmawiał w siebie zupełnie różne od swojego położenie i przez chwilę mocą żywej wyobraźni przenosił się do innych okoliczności, bo trudno wierzyć, żeby osiemnastoletnie serce już tak wygórowało w chytrości, że mogło jej nadać tak uderzający pozór nieskażonej prawdy. Bądź co bądź, Hanna z Ciechanowa zupełnie mu uwierzyła i odtąd już jej los stał się nieochybnym. Wytłumaczywszy giermkowi smutku przyczynę, jak to już Katarzynie uczyniła, oświadczyła, że koniecznie wypada się z Mieczysławem widzieć.

— Pani — zawołał Ulrych, przygotowany od Mestwina na wszystkie odpowiedzie — nie możesz tego w tym zamku uskutecznić, boby największe niebezpieczeństwo zagrażało synowi Bolesława. Niedaleko stąd, przy brzegu Wisły, jest

kaplica rozpadła w gruzy, cierniami pokryte; tam bez żadnej obawy możesz z księciem się rozmówić.

— Ale jakimże sposobem wyjść z zamku? — rzekła księżna.

— To już do mnie będzie należeć — odparł Ulrych. — Z twoich komnat, księżno i pani moja, jest wyjście, jeśli się nie mylę, na brzegi Wisły, żołnierz zwyczajnie jeden go tylko strzeże, łatwo strażnika przekupić; zresztą w nocy, którą naznaczysz na widzenie się z Mieczysławem, bo tego w dzień w żaden sposób uczynić niepodobna, śpiącemu panu pierścień z palca zdejmę, a za ukazaniem tego znaku puści cię żołnierz.

— I ja tam dopiero czekać będę na Mieczysława? — rzekła księżna. — To być nie może. Kogóż poszlę do obozu? kto go uwiadomi?

— Twój sługa — rzekł Ulrych, przyklękając na nowo.

— Nie, młodzieńcze, nie narażaj się dla mnie na gniew pana i ciosy wrogów!

— Alboż to pierwszy raz Mestwin posyła mnie do obozu, księżno i pani moja? Ma on tam tajemnicze związki z jednym wodzem; powtarzam ci, pani, że wszystko ułatwię, naznacz tylko dzień i godzinę!

Pomyślała księżna i rzekła po chwili:

— Pojutrze, o dwunastej w nocy — a potem, obróciwszy się do obrazu Matki Boskiej, złożyła ręce i cichą modlitwę Królowej Niebios zasłała.

Ulrych spojrzał jeszcze raz na Hannę z Ciechanowa, a groźne wyrzuty rozdarły mu sumienie; wzrok księżny, przyćmiony łzami, wzruszył jego serce i przez chwilę stał niepewny, czy rzuciwszy się do stóp anioła, wyzna szkaradną zdradę, czy też dalej pójdzie wskazaną przez Mestwina drogą. Przyzwyczajenie do zbrodni przemogło nareszcie i oddawszy głęboki pokłon, z wolna odchodził.

Jeszcze przy drzwiach komnaty srogą wytrzymał walkę z pasującą się w duszy cnotą, ale mylne wyobrażenie o wierności winnej panu, któremu służył od dzieciństwa, zwyciężyło. Postąpił krokiem dalej i już ostatnia nadzieja zginęła dla córki Wszebora.

ROZDZIAŁ XX

Dlaczego nie idziesz za mną?
Rozumiesz, że ta godzina dwakroć uderzy?
zapomniałżeś o twojej obietnicy?
Guy Mannering,
Walter Skot

Spokojnie przez całą noc spał Mestwin z Wilderthalu; ocknąwszy się nad rankiem, ujrzał przy łożu stojącego Ulrycha z wyrazem zadowolenia na twarzy; podniósł się rycerz i zapytał giermka:

— A cóż, jakże się udało?

— Przedziwnie, jak najlepiej — odparł młodzieniec.

— A więc dzień zemsty się zbliża! — zawołał Mestwin, nie mogąc pomiarkować nagłego uniesienia.

— Jutro będziesz mógł jej los rozstrzygnąć — przerwał Ulrych i opowiedział panu rozmowę przeszłego wieczora.

— Ulrychu — rzekł rycerz, odzyskawszy zwyczajną zimność — równieś odważny jak przezorny; nie mogłeś mi większej wyświadczyć przysługi.

Słuchał tej pochwały z obojętnością młodzieniec, a potem rzucił się do nóg pana.

— Mestwinie — zawołał — daruj mej słabości, ale wyrzuca mi sumienie, żem oszukał tak cnotliwą, tak piękną niewiastę! Choć przyzwyczajony jestem do obłudy, wczorajsza zdrada tyle mię kosztowała, że gdyby nie spełnienie twych życzeń było jej celem, dla wszystkich rozkoszy i bogactw świata nikt by mnie do niej nie przymusił. Przyszło mi nieszczęśliwą, opuszczoną Hannę pod barwą szczerości naprowadzić na brzeg niezmierzonej otchłani, musiałem okazywać najpiękniejsze uczucia przed tym nadludzkim stworzeniem, musiałem napełniać jej serce

chwilową radością, żeby potem wszystkiego ją pozbawić. Przebacz, drogi panie, jeśli cię błagam i zaklinam, żebyś jej śmierci nie zamierzał, byś nie niszczył najmilszych nadziei Zbigniewa, a zarazem i najwznioślejszego utworu Boga!

— Gdybym — rzekł posępnie Mestwin — nie sądził, że tylko chwilowe obłąkanie sprawiły na dziecinnym sercu oczy, którym piękności odmówić nie można, już by mój sztylet przeniósł się z tego stołu w środek twoich piersi. Milcz, giermku, lub wspominaj raczej o litości słabym dziewczynom i zniewieściałym mężom, ale nie temu, który jej nie zna i znać nigdy nie będzie.

Powstał Ulrych i kilka kroków w tył się cofnął. „Uczyniłem, co mógłem — pomyślał — niech teraz Bóg obroni Hannę, a jeśli ją opuści, czegóż bym miał o nią się troszczyć?” Takim rozumowaniem przytłumił ożywiające się jeszcze raz sumienie i z wypogodzonym obliczem zapytał pana o dalsze rozkazy.

Nic nie odpowiedział Mestwin, ale wyskoczył z łoża i zaczął się ubierać; znać było na jego twarzy zamyślenie, z niepewnością połączone; lecz ta wkrótce znikła i spinając ostatnią sprzączkę u pancerza:

— Ulrychu — rzekł — zapominam o niegodnej słabości, która cię przez chwilę tak daleko od obowiązków i wierności mi należnej odwiodła. Jeszcześ pracy nie skończył, zostają niebezpieczne trudy, które, nie wątpię, że pomyślnie uskutecznisz. A naprzód dzisiaj w nocy wypada ci się udać do Skarbimira. Nieraz odbywałeś tę podróż, masz mój pierścień na przekonanie skąpca, że ja cię przysłałem, bo choć tyle razy już cię widział, mógłby bez tego dowodu obawiać się jakiej zdrady lub podstępu. A nareszcie posłuży ci ten pierścień dla żołnierza stojącego na straży przy drzwiach, którymi Hanna na własną wyjdzie zagubę. Starego skąpca niechybnie musisz przyprowadzić do mnie; uważaj dobrze, do mnie, ale nie do tej komnaty. Znasz podziemne lochy, znasz salę grobową, której sam

Zbigniew, pan tego zamku, nie zna. Tam przywiedziesz podskarbnika, bo tajemnie trzeba całą rzecz odbyć, a potem chcę się nacieszyć bojaźnią Skarbimira.

— Nie widzę tu nic trudnego — odparł młodzieniec. — Wejdę do mieszkania Skarbimira, jakem to tyle razy uczynił, znaglę go do pójścia za mną. Poruszę kamień między trzema krzakami, i...

— Ciszej, ciszej, chłopcze — rzekł Mestwin, kładąc mu rękę na ustach — dalszego opisu nie potrzebuję. Jak tylko się ściemni, udaj się w drogę, a dwoma godzinami później przyprowadź Skarbimira do sali grobowej! Nie zapomnij chustką mu oczy zasłonić.

— Nie zapomnę, rycerzu — rzekł Ulrych — ale chciałbym wiedzieć, jak później mam sobie postąpić?

— W dzień naznaczony o dwunastej stawisz się przed Hanną i powiesz, żeś wszystko ułatwił, bo uwiadomienie Mieczysława ja biorę na siebie. Zakazuję ci pierwej się widzieć z tą niewiastą, której ciało wkrótce ziemia przysypie — dodał rycerz, obawiając się wrażenia, które by mogła piękność księżny na umyśle giermka uczynić. — Dalsze postępowanie nie ma już żadnej dla ciebie trudności. Dasz ten worek żołnierzowi, gdyby to nic nie pomogło, pokażesz ten pierścień, potem doniesiesz mi, że Hanna z Ciechanowa wyszła do kaplicy.

— Z której nie wróci — przerwał Ulrych.

— Owszem, wróci — odparł srogo Mestwin — ale nie do kochającego męża, wróci do śmiertelnego wroga. O nic więcej się nie pytaj, a teraz podaj mi szyszak.

Wdział hełm rycerz i wyszedł do walki. Zwyczajne boje zakończyły się dnia tego bez żadnej znakomitej z obu stron korzyści. Zbigniew zamknął się w swojej komnacie, Mestwin z Jordanem i Krystynem z Mortoga zasiadł do stołu; a tymczasem słońce ustąpiło panowania nad czystym niebem królowi nocy, który, na pół jaśniejący, na pół

zanurzony w błękicie, wznosił się powoli na sklepienia, migając rzuconymi przemożną ręką Stwórcy światami.

Otworzyły się drzwi w północnej części murów zamkowych i wyszedł nimi człowiek wysmukłej postawy i ciemnego ubioru. Skórzany szyszak, na któren daremnie padały księżyca promienie, krył mu głowę. Szeroki kaftan czarny, nie wydający pana swoim blaskiem, piersi obwijał, dwa sztylety tkwiły z obu stron rzemiennego pasa, na którym wisiał krótki pałasz, a pierścień Mestwina błyszczał na prawicy, rękawicą nie zakrytej. Szerokim krokiem wyleciał w pole młodzieniec, oddalając się od brzegów szumiącej Wisły i coraz podwajał szybkości biegu, jak gdyby chciał gwałtownością poruszeń ciała przytłumić wzruszenie duszy. Ale uznał wkrótce, że darmo pragnął przygłuszyć wyrzuty serca i wyrugować z pamięci obraz kobiety nieszczęśliwej i ufnej w człowieka mającego ją zgubić przez udane poświęcenie i najszkaradniejszą obłudę. Zwolnił więc kroku i obtarł spocone czoło, bo upał dzienny, choć nocną rosą zmniejszony, jeszcze czuć się dawał. Pojrzał w górę i zmarszczył brwi na widok tylu świecących na niebie wrogów, mogących w każdej chwili go wydać. Ale zaraz potem uśmiech, dowodzący zaufanie w własne siły i zręczność, rozjaśnił twarz nieco posępną, która po jego zniknieniu znów przybrała pozór powagi i smętności, nie zgadzającej się ani z wiekiem, ani ze zwykłym Ulrycha usposobieniem.

Darmo starał się czarne myśli oddalić, wyjmując sztylety jeden po drugim, poprawiając osuwającą się szablę i przypatrując pięknemu i uroczystemu widokowi nocy letniej, strojnej we wszystkie przyrodzenia wdzięki. Opuścił więc głowę na piersi i oddawszy się całkiem smętności, przechodził powoli szerokie błonie, dzielące go od bielejących z daleka namiotów, do których zdążał.

Pole okryte było rzadkimi krzewami jałowcu i poziomą leszczyną, świetniejącą kroplami upragnionej przez cały

dzień rosy. Nad tymi zaroślami wznosiły się gdzieniegdzie brzozy z opadłymi na dół gałęziami lub wysokie sosny, rozrastające się dumnie nad niskimi krzewinami, które się u ich stóp czołgały. Nie dość jednak licznymi były te drzewa, żeby mógł Ulrych w przypadku potrzebną w ich cieniu znaleźć ochronę, gdyż zewsząd przeciskające się między ich liście promienie księżyca pole naokół oświecały, jeśli nie równym dniu jasnemu blaskiem, przynajmniej dostatecznym na rozpoznanie człowieka i sprowadzenie największych nieszczęść na młodego giermka, który już nieraz odwiedzał nieprzyjacielski obóz i Skarbimira z Gulczewa. Ale na to zwykle burzliwe i ciemne nocy obierał, a teraz w niczym nie miał nadziei, oprócz w mieczu i niezgiętej odwadze.

Już mógł każdy namiot odróżnić, rozpoznać przechadzających się w pewnej odległości od siebie strażników, rozeznać rozmaite godła, zawieszone nad namiotami rycerzy i widzieć błyszczące stosy broni złożonej pod płóciennymi opony. Zagrażające niebezpieczeństwo zmieniło kierunek jego myśli, a choć w tak przykrym był położeniu, uczuł ulgę w duszy i wolne od ciężaru serce.

Schyliwszy się, zaczął się czołgać od drzewa do drzewa, od krzewu do krzewu, od kamienia do kamienia, odpoczywając często w tak męczącej drodze. Nareszcie zbliżył się znacznie do wałów i czekał, aż żołnierz, strzegący tej ich części, kilka kroków w bok odejdzie. A właśnie kiedy odwrócił się strażnik i nucąc pieśń wojenną, odstąpił od miejsca przeciwległego Ulrychowi, stanął w mgnieniu oka giermek na dość wysokim kamieniu i natężając wszystkie siły, skoczył z niego tak zręcznie i tak lekko, że nie usłyszał żołnierz, jak upadł w rów wykopany za okopem, na którym się strażnik przechadzał. W jego głębi, usłanej w tym miejscu szczęśliwym trafem murawą, czekał młodzieniec, aż znów nie odejdzie żołnierz, który był wrócił na stanowisko, a kiedy kroki jego oddalające się

usłyszał, znów się rzucił z rozciągnionymi ramionami pośród namiotów zaraz obok wystawionych. Strażnik widział coś przy świetle księżyca i położył rękę nad oczyma, żeby lepiej ten przedmiot rozeznać, ale kiedy jego palce oparły się o czoło, już wszystko znikło. Słyszał wprawdzie niedaleko szelest, ale podobniejszym on był do sprawionego przesuwaniem się jaszczurki lub węża niż krokami człowieka. A przecież były to kroki uchodzącego młodzieńca.

Lotem błyskawicy biegł Ulrych pośród uśpionego obozu. Nie zatrzymywały go w drodze ciała żołnierzy śpiących na ziemi; przeskakiwał je z nadzwyczajną zręcznością, a kiedy który oczy otworzył, rzucał się giermek w mgnieniu oka na ziemię i twarz odwracając od rozespanego nieprzyjaciela, oszukiwał go, rozciągając się lub też sen głęboki udając, a żołnierz, biorąc go za towarzysza, wracał po krótkim czasie do stanu, z którego wyrwał go odgłos kroków Ulrycha, który, porwawszy się, z podwojoną szybkością leciał do pana Gulczewa.

Przybył nareszcie do niewielkiego, w czworokąt wystawionego z drzewa budynku, którego drzwi dębowe podwójnym opatrzone były zamkiem. Zapukał Ulrych, a głos z wnętrza zapytał się natychmiast:

— Czy to ty, Bardanie?

— Tak jest — odpowiedział młodzieniec, pragnący wejść jak najprędzej, a zaraz ogromny klucz zakręcił się w każdym zamku i drzwi się otwarły. Zdyszany Ulrych wszedł natychmiast, przymykając wejście za sobą i ujrzał się w małym, brudnym pokoju, napełnionym ogromnymi skrzyniami, których podniesione wierzchy mnóstwo pieniędzy i kosztownych sprzętów ukazywały. Lampa gliniana oświecała mdłym światłem zgromadzone bogactwa, pomiędzy którymi stał Skarbimir z Gulczewa bez zbroi, w szerokiej, czarnej sukni, podartym pasem

podwiązanej. Zbladł na widok zbrojnego człowieka i ledwo tłumionym mógł wykrzyknąć głosem:

— Bardanie! zdrada! Bardanie! żołnierze!

— Czy chcesz całe wojsko przebudzić, nierozważny starcze? — ozwał się młodzieniec, odkrywając twarz spod przyłbicy. — Czy sądzisz, że po twoje skarby przychodzę? Wpatrzże się w moje rysy, panie Gulczewa!

Ale przerażony Skarbimir, nie zważając na te słowa, śpiesznie zamykał skrzynie i nieustannie wołał:

— Bardanie, zbójcy! Bardanie, do mnie!

— Milcz! — surowo ozwał się giermek. — Jestem Ulrych, przybywam od Mestwina z Wilderthalu.

Dopiero wtenczas poznał Skarbimir nieraz już widzianego posłańca i w cichości poszedł drzwi zaryglować, a potem:

— Jutro — rzekł — uradzili wodzowie, żeby napaść ze strony...

— Tu nie o jutrzejszy dzień idzie, ale o dzisiejszy — przerwał Ulrych.

— Czegóż więc chcesz? — z wróconą bojaźnią zapytał Skarbimir.

— Byś przywdział zbroję i szedł za mną! — odparł giermek.

— Ja za tobą? o tej godzinie? w nocy? ja z tobą mam iść? gdzie? po co? czyś zmysły utracił? do kogo?

— Do Mestwina z Wilderthalu — odrzekł Ulrych, pokazując błyszczący pierścień, na którego widok zadrżał Skarbimir i mało co na ziemię nie upadł.

— Nie pójdę, nie, twój pan oszalał.

— Milcz i chodź za mną, bo podobne słowa srogo mógłbyś przypłacić, gdyby mnie chęć wzięła panu je mojemu powtórzyć! Mestwin potrzebuje ciebie, nie zwlekaj więc panie podskarbi, a ja ci ręczę, że nie ma tu podstępu,

o czym już ten pierścień powinien cię przekonać. Powtarzam więc, przywdziej zbroję i chodź za mną!

Usiadł starzec na drewnianym stołku i głowę skrył w obie ręce; przerażenie opanowało słaby umysł i kilka chwil w pewnym stanie odurzenia zostawał. Nareszcie smutna konieczność stanęła mu przed oczyma. Dla ocalenia i sławy i życia musiał wykonać rozkazy Niemca. Dopóki szło o zdradzanie ziomków dla dogodzenia własnej złości, podejmował się wszystkich Mestwina poleceń, ale kiedy przyszło narażać się samemu z uzbrojonym posłańcem i udać się do wroga czekającego nań może z dobytym żelazem, gorzko zaczął opłakiwać nierozmyślność swoją i przeszłe zbrodnie, które teraz tak wielkie nad nim prawo Mestwinowi nadawały.

Byłby może długo jeszcze dumał wśród steku trapiących myśli i srogich wyrzutów sumienia, gdyby głos Ulrycha nie wyrwał go z zamyślenia; przekonał się wtedy, że nic nie mógł przedsięwziąć na odwrócenie niebezpieczeństwa, bo choć łatwym mu było w tej chwili krzykami obóz przebudzić, pewnym był, że go później czy wcześniej dosięgnie zemsta rycerza z Wilderthalu, a potem widział przed sobą pałasz i sztylety, mogące go o śmierć przyprawić, nimby żołnierze zdołali wybić drzwi do jego mieszkania. Powstawszy więc, zniżył się potężny pan Gulczewa, mnogich władca skarbów, do próśb i błagań, zaklinając giermka, by zlitował się nad wiekiem, pewną mu obiecując nagrodę.

Do żywego obruszony taką podłością, zimno odpowiedział Ulrych, że nic mu nie zagrażało oprócz gniewu Mestwina, jeśli się spóźni lub nie zechce usłuchać jego woli. Wtenczas chytremu Skarbimirowi nowa myśl przyszła do głowy.

— Jakże wyjdziem z obozu? — zapytał się giermka.

— Prawda, że trudno, byś tak wyszedł, jak ja się wkradł do niego — odparł młodzieniec — ale zawołaj Bardana,

któremu we wszystkim się zwierzasz i każ mu oddalić z wałów żołnierza, ich strzegącego z tej strony, pod jakim bądź pozorem.

Znikła ostatnia trudność, a Skarbimir, zmuszony koniecznością, przypasał szablę drżącą ręką, pancerzem trwożliwie okrył piersi i czapkę podbitą żelazem włożył na skronie, z których zimny pot się sączył.

Wtem zapukał ktoś do drzwi; za ich otwarciem wszedł Bardan, który, natychmiast poznawszy dobrze znanego Ulrycha, przywitał się z nim i chciał długą mowę zacząć; lecz giermek milczenie mu nakazał i w kilku słowach wytłumaczył, czego żądał od niego.

— Ale pierwej, nim odejdziesz do wałów — rzekł Ulrych — daj mi puchar wina na pokrzepienie sił, trochę drogą zwątlonych.

Przyniósł Bardan roztruchan pełny miodu, „gdyż — mówił — nie stać mojego pana na tak drogi napój, jakim jest wino”.

Z uśmiechem pogardy wychylał młodzieniec podaną czarę, kiedy tymczasem Bardan śpiesznie odchodził do okopów. Potem obejrzał sztylety, kilka razy pałasz na pół wyjął i schował do pochwy, pomógł Skarbimirowi do zapięcia płaszcza cynową klamrą i pozwoliwszy skąpcowi dość długiego czasu na zamknięcie wszystkich skrzyń i zaryglowanie drzwi dębowych, szybko z nim wyruszył. Lecz wkrótce spostrzegł, że towarzysz został z tyłu i musiał, wróciwszy nazad, wspierać jego drżące ciało i niepewne kroki. Ostrożnie mijał leżących żołnierzy i zaklinał starca, by wstrzymując westchnienia i ciężki oddech, pośpieszał. Ale kiedy to nic nie pomogło, zaczął mu grozić gniewem niecierpliwego Mestwina, a na to wspomnienie tak się Skarbimir przeraził, że zupełnie ostatek mocy utracił na bliskim kamieniu. Wtenczas gniewny Ulrych podniósł go silnym ramieniem i na pół dźwigając, na pół stawiając na ziemi, doprowadził do wału, na którym stał już od dawna

Bardan. Natychmiast sługa oparł szeroką deskę na obu brzegach rowu, a po niej przeszedł Skarbimir. Giermek, gardząc podporą, przeskoczył fosę, stanął na okopie, a stamtąd podał rękę starcowi, który po wielu usiłowaniach weszedł nareszcie i z równą trudnością zeszedł z drugiej strony; wtenczas uradowany młodzieniec zachęcił go kilkoma słowami i pożegnawszy Bardana, któremu pan zalecił, żeby miał czujne oko na swoje mieszkanie i skrzynie, zniknął wraz z towarzyszem wśród otaczających krzaków.

Prędzej zaczął iść Skarbimir, ale jego chód dalekim był jeszcze od szybkości wymaganej po nim od Ulrycha.

— Czegóż Mestwin żąda ode mnie? — rzekł Skarbimir.

— Co żąda, to wypełnisz, mości podskarbi, bo inaczej nie na długo by ci się zdały skarby, które widziałem.

— Jeśli Boga się boisz, jeśli matkę kochasz — zawołał starzec, padając do nóg giermkowi — nic nie mów o tym panu, a za to ci dam…

— Ani ja, ani pan mój nie potrzebujemy twoich pieniędzy — przerwał młodzieniec. — Lepiej byś kroku podwajał i nie uniżał się przed człowiekiem, który gardzi skarbami, a wkrótce nauczy się i ich posiadaczem pogardzać.

Powstał Skarbimir i szedł dalej. Ochłonąwszy nieco z bojaźni, przywołał na pamięć znajome wybiegi i całą chytrość, którą wszystkich umiał oszukiwać oprócz jednego Mestwina i tak zręcznie zaczął zadawać pytania giermkowi, tak sztucznie go podchodził, że dowiedział się po części z ust Ulrycha, że szło teraz o Hannę z Ciechanowa. Niepodobna opisać radości, która napełniła duszę podłego skąpca, kiedy się przekonał, że zamiary niemieckiego rycerza nie jemu, ale innej osobie nieszczęściem zagrażały.

Dodało mu to odkrycie nowej mocy, pokrzepiło słabnące nogi i wkrótce potem doszedł miejsca dość odległego jeszcze od zamku, gdzie zatrzymał się Ulrych i oświadczył,

że ma rozkaz podskarbiemu oczy zawiązać. Na te słowa dreszcz przeszedł po kościach Skarbimira, ale musiał ulec młodzieńcowi, a wtenczas postąpił Ulrych kilka kroków dalej, prowadząc towarzysza za rękę, potem zawrócił, poszedł w bok i znów wstecz się cofnął, a nareszcie stanął między trzema krzakami jałowcu nadzwyczajnej wielkości, których iglaste gałęzie unosiły się nad szerokim i podługowatym kamieniem. Natężając wszystkie siły, podniósł go Ulrych i na bok przewalił. Ziemi pod nim nie było, ale natomiast żelazna, na kilka stóp szeroka krata. Za pchnięciem znajomej sprężyny, odsunęła się i ukazała schody w głąb wiodące, których niewiele stopni dostrzec było można wśród ciemności tej otchłani. Rozkazał młodzieniec Skarbimirowi ostrożnie po nich zstępować, dodając, że zaraz za nim pośpieszy. Rad nierad musiał się odważyć na tak niebezpieczną drogę z zakrytymi oczyma pan Gulczewa.

Ulrych zakrzesał ognia, uderzając o krzemień stalowym sztyletem. Zapalił małą lampę, którą się opatrzył, wychodząc z zamku, a wtenczas, słysząc głos Skarbimira, wołającego o pomoc, skoczył w otwartą przepaść. Przez chwilę oświeciły jeszcze promienie księżyca bladawą rękę podnoszącą się w ciemności na zasunięcie kraty, a zaraz potem, zapewnie za uderzeniem drugiej sprężyny, kamień, jak gdyby sam z siebie, nachylił się z wolna i upadł z łoskotem na żelazne pręty.

Znikło wszystko i znów tajemne wejście do zamku księcia Zbigniewa zamieniło się w puste miejsce, w którym trzy jałowce ocieniały kamień mchem porosły.

ROZDZIAŁ XXI

Jakże można tak ważne zamiary odwlekać?
Czy aż do dnia sądnego będę tutaj czekać?

Zamek księcia Zbigniewa był wystawiony na piaszczystym brzegu Wisły, który w tym miejscu pokrywał twardej skały rozległe przestrzenie, napełnione kamiennymi opoki, składającymi niewzruszoną ogromnego budynku podporę. Pod murami więc szerokie rozciągały się lochy, częścią przyrodzeniem, częścią ręką ludzi utworzone w odległych od teraźniejszego czasach, kiedy jeszcze światło chrześcijaństwa nie jaśniało w pogańskiej krainie. Później założyciel zamku, odkrywszy przestronne i ciemne lochy, umiał je sztucznie rozprzestrzenić, a właśnie podczas oblężenia posłużyły za skład rozmaitej broni i żywności.

Zbigniew, odwiedzając podziemne te miejsca, poznał wszystkie ich zakątki, ale tylko do pewnej granicy; pozostałe przestrzenie, stopą jego nie tknięte, zupełnie nie znane mu były. A jednak często odwieczne milczenie w nich panujące przerywał odgłos ludzkich kroków, śmiało po nich błądzących i uśmiech szyderczy, godny okropnych ciemności i strasznych otchłań, spośród których się wznosił. Wtenczas przerażone gady rozstępowały się na wszystkie strony, a obudzone z długiego snu opoki i kamienne ściany przesyłały aż do wód z daleka głucho szumiącej rzeki przerywane słowa, szatańskim wyrzeczone głosem, które się czasem wydobywały z piersi nawykłych do zbrodniczych uczuć, ale w których bijące serce nigdy bojaźni w życiu nie zaznało.

Była wśród ciasnych przejść i krętych manowców obszerna sala, daleka od miejsc Zbigniewowi znajomych, zachowująca ślady pracy ludzkiej. Jednakie cztery ściany w skale wykute, z otworem w kształcie drzwi wyrobionym,

były owocem długich trudów, które nareszcie przezwyciężyły opór twardego przyrodzenia. W każdej z nich widziano długie i ciasne pieczary, po części jeszcze zasklepione, lecz największa ich liczba, stojąca otworem, ukazywała w głębi bielejące się czaszki i kości, ostatki już bez wątpienia od dawna zeszłych z tej ziemi.

Na środku sali wznosił się grób czworokątny, przywalony ogromnym kamieniem, na którym łuk z pałaszem wyryty okazywał, że takim godłem uczcili towarzysze znikłego z ich grona wodza. Naokoło tych broni niewyczytane dziwne głoski, w wieniec ułożone, dopełniały zapewnie hołdu smutnych poddanych lub braci, który ich ręce, od dawna już bezsilne, a może rozsypane wokoło, zimnemu powierzyły głazowi. Zresztą nic już nadzwyczajnego nie było w tych miejscach, a miałki, płowy piasek, żadną nie umilony trawą, leżał spokojnie w mieszkaniu zapomnienia i śmierci.

W tej właśnie sali tego samego dnia, w którym Ulrych wyprawił się do obozu dla sprowadzenia Skarbimira z Gulczewa, mała lampa, stojąca na grobie, oświecała opartego na nim człowieka, który zupełnie czarnym obsłonięty płaszczem i wzniosłym na głowie hełmem, dumał, czekając, jak się wydawało, na czyjeś przybycie, bo druga jeszcze osoba w zamku znała schronienie, w którym on teraz przebywał. Twarz jego wystawiała pozorną spokojność, ale często na niej ukazywały się silne wzruszenia, bardziej do skutku gwałtownych namiętności niż do zwyczajnego zadowolenia, pochodzącego z nadziei dokonania zamiarów, podobne. Czasem też szyderski uśmiech rozszerzał usta gotowe do miotania okropnych bluźnierstw, ale, jak gdyby dla doświadczenia własnej mocy nad sobą, wstrzymywał się gość tych podziemnych przepaści, kiedy już miał wymówić srogie przeklęstwa i w ciągłym milczeniu zatapiał wzrok ognisty w otaczające

ciemności, które pochłaniały bezsilne małej lampy promienie, jak tylko się odważyły opuścić własne ognisko.

Wtem oderwał się kamień z wierzchniej części sali, czasem nadpsutej i runął przed stopami rycerza z przerażającym łoskotem; nie ruszył się jednak z miejsca wojownik i nie odwrócił na chwilę wlepionego wzroku w otwór północnej ściany, skąd zapewnie spodziewał się kogoś. Zmienił tylko położenie ręki, na której od dawna się opierał, a wtenczas roztworzył się płaszcz szeroki i okazał ciemną szatę, ściśnioną u dolnych piersi bogatym pasem, w którym tkwił większy od zwyczajnych sztylet. Zresztą żadnej innej nie było broni przy jego boku, a znak rycerstwa, szczerozłoty łańcuch, otaczał mu szyję.

Dobył mąż czarny sztyletu i jego ostrzem poprawił knot u lampy, która na chwilę świetniejszym zabłysnęła blaskiem, a wkrótce potem znów wróciła do dawnego stanu. Jeszcze przez długi czas spokojnie stał rycerz, ale na koniec zaczęły się okazywać znaki jego niecierpliwości w poruszeniach twarzy, w częstej zmianie położeń i nareszcie w szybkim pochodzie, którym okrążał starożytny grobowiec. Zbliżał się czasami do otworu i zdawał się z natężoną słuchać uwagą, lecz żaden odgłos uszu jego nie dochodził oprócz odległego szumu, jak gdyby wody o głazy się roztrącającej; wtenczas dopiero kilka słów wymówił:

— Może go zabili... Może tamten iść za nim nie chce.

Gdyby przez tego skąpca ostatnie moje nadzieje zniknąć miały!... — i spojrzał na sztylet, a podwoił szybkość kroków, płaszcz zarzucił na drugie ramię i znów lampę poprawił; przypatrywał się otaczającym grobom, rozrzuconym kościom i brał do ręki nie tknięte od ich rozprzęgnienia się czaszki, rzucał je z gniewem, tratował po nich i z dzikim uśmiechem słyszał pękające pod stopą kości. Lecz to nic nie pomagało, czas uchodził, a nikt nie przybywał.

Już niecierpliwość rycerza najwyższego doszła stopnia, kiedy usłyszał w oddaleniu odgłos ciężkiego stąpania,

pomięszany z lekkim suwaniem się dobrze znanej stopy. Natychmiast poskromił żywą niecierpliwość i oparłszy się o szeroki grobowiec, czekał niewzruszenie na ukazanie się przybywających. Twarz jego przybrała barwę surowej powagi i nie zmieszanej niczym spokojności, choć chwilę przedtem najgwałtowniejsze malowała uczucia.

Wtem wszedł otworem północnej ściany młodzieniec, trzymający lampę w jednym ręku, a drugą wiodący starca z zasłoniętymi oczyma. Na znak dany przez męża w czarnym stroju odkrył mu je towarzysz, a Skarbimir z Gulczewa, zbladły i okropnym rażony widokiem, stał o kilka kroków od Mestwina z Wilderthalu.

— Spóźniłeś się, Ulrychu — rzekł srogim głosem rycerz niemiecki. — Cóż to się ma znaczyć?

— To znaczy, rycerzu i panie mój — odparł giermek — że zamiast odważnego rycerza miałem zniewieściałego starca za towarzysza drogi.

— Więc twoja w tym wina — ozwał się znów z wolna Mestwin — Skarbimirze z Gulczewa, podskarbi króla Władysława!

— Daruj — odpowiedział Skarbimir — przyjacielowi, to jest najniższemu słudze!

— Nie usprawiedliwiaj się na próżno, trwożliwy panie Gulczewa — przerwał Mestwin — ale pamiętaj, że taką opieszałość umiem śmiercią nagradzać! Teraz słuchaj mnie z uwagą, jeśliś zdolny do słuchania człowieka, który długo czekał na ciebie, oparty na tym grobie, wśród milczenia nocy i śmierci.

— Słucham — rzekł Skarbimir — słucham, potężny panie i władco, tyle cię szanuję…

— Nie wysilaj się na daremne pochlebstwa, bo wiem, że nie mnie, ale ten sztylet szanujesz. Wypełń więc wszystkie moje rozkazy, jeśli się nie chcesz bliżej z nim zapoznać!

— Słucham — powtórzył upokorzony Skarbimir.

— Trzeba, żeby jutro z rana dowiedział się wasz Mieczysław, że Hanna z Ciechanowa chce z nim mieć tajemną rozmowę w kaplicy leżącej ponad brzegiem Wisły. Zapewnie nieraz ją widziałeś, łatwym ci będzie ją opisać.

— W tym ostatnim nie ma żadnej trudności, ale co do pierwszego, nie wiem, jak sobie postąpić, nie pojmuję, jak bym ci miał w tej okoliczności usłużyć.

— Chwila — rzekł zimno Mestwin — w której przekonam się, żeś mi na nic niezdatny, będzie ostatnią twojego życia.

Przerażony podskarbi prosił o czas do namyślenia się i usiadł w kącie na małym kamieniu. Tymczasem Mestwin po cichu rozmawiał z Ulrychem, a potem stanął naprzeciwko dumającego starca, wlepiając bystry wzrok w zsiniałe od bojaźni rysy.

— Czy już niemiłe ci życie — zawołał rycerz z Wilderthalu — że tak długo nadużywasz mojej cierpliwości?

— Dozwól mi jeszcze trochę czasu!

— Patrz — rzekł szydersko Mestwin — na tę drobną garstkę popiołu bielejącego się nad rozognionym knotem mojej lampy jak śnieg nad ognistą górą; kiedy on na dół opadnie, a ty jeszcze nie wynajdziesz sposobu wykonania moich zleceń, możesz pożegnać się z Gulczewem i Kościelcem.

Myślał Skarbimir, że rycerz doda: „i skarbami”, ale kiedy tego słowa nie usłyszał, uczuł ulgę w ledwo już bijącym sercu i wstawszy po chwili, oświadczył, że wszystkiemu zaradził.

— Mów więc, a zwięźle tylko! — rzekł Mestwin.

— Wiesz zapewne, potężny rycerzu, że posiadam rzadką sztukę pisania i czytania, z której i Hanna z Ciechanowa słynie, którą ojciec tak starannie wychował. Napiszę więc list do księcia Mieczysława, wyłuszczę w nim mniemane żądanie, to jest prawdziwe żądanie księżny — dodał starzec, widząc, że Mestwin brwi zmarszczył — podpiszę:

Hanna z Ciechanowa. Znam jej pismo, bo nieraz Wszebor, chlubiąc się z rozległych córki wiadomości, mi je pokazywał, oddam księciu…

— Ale jakże ten list dostanie z rąk twoich? — rzekł rycerz.

— Pewny jestem, że rozkochany Mieczysław nawet o to się nie zapyta; w przypadku mogę odpowiedzieć, że Bardan, naczelnik mojego wydziału, schwytał człowieka, wydającego mu się być szpiegiem, że ten człowiek list mu oddał i przyniósł mi go Bardan. Ja, wyczytawszy słowa: „Do księcia Mieczysława”, pośpieszyłem mu oddać przyniesione pismo. A co, czy nie zręcznie? — zapytał starzec z pewnym rodzajem dumy i chełpliwości.

Rzucił nań łagodniejszym Mestwin wzrokiem, ale zarazem wszystkie namiętności, które dotąd gnębił siłą żelaznej woli, wyrwały się spod jej przemocy i tłumnie wybuchnęły. Z jednej strony radość, z drugiej nasycona już na pół zemsta zmięszały się w nieładzie w wzburzonym sercu i już rycerz nie mógł ukryć w sobie niezwykłego uniesienia. Groźnie rękę wyciągnął i zaśmiał się śmiechem piekła. Zapominając o przytomności zważającego na każde słowo i na każde poruszenie starca, wykrzyknął:

— Nie chciałaś wejrzeć na błagającego Mestwina, musiał on znosić obelgi od ciebie, a teraz jakaż ci pozostaje nadzieja? Czyż nie lepiej było odwdzięczyć miłością za miłość, przywiązaniem za przywiązanie? Dumna Polko, w zamku potężnego Zbigniewa, który by ostatnie wysilenia łożył na twoją obronę, gotuje się twoja zaguba i nic już jej nie odwróci. Zdradzisz go na pozór, on uwierzy zdradzie i zginiesz. Obiecałem ci boleści, już od dawna cię trapią. Druga część obietnicy spełni się niezadługo. Nie pod żelazem…

Wtem Ulrych uchwycił pana za ramię i wskazał na Skarbimira, ale za późno, bo tajemnicę odkrył już chytry starzec. Natychmiast ustąpiło uniesienie Mestwina, jak

zwykle za zmianą jego myśli i poznał zaraz nieroztropność swoją i korzyść, którą z niej mógł ciągnąć Skarbimir. Zbliżył się więc do niego z posępną twarzą i z dobytym sztyletem, a przykładając broń do piersi truchlejącego podskarbiego:

— Zapomnij — rzekł — o tym, coś słyszał!

Schylił się aż do ziemi Skarbimir, a te słowa tak szczególnym i nadzwyczajnym wyrzeczone były głosem, że ciągle odtąd brzmiały w uszach starca, jak gdyby go ostrzegając o niebezpieczeństwie zdradzenia władającego nim pana.

Ale Mestwin, chcąc go jeszcze bardziej zachęcić do poruczonej sprawy, w krótkich oznajmił mu wyrazach, że upadek dumnego Sieciecha będzie niezawodnym skutkiem wypełnienia okrutnych zamiarów.

Na to zapewnienie, któremu sam rycerz nie wierzył, radość przejęła duszę Skarbimira i przysiągł w jej głębi ślepe posłuszeństwo odebranym zleceniom.

Wtenczas skinął ręką rycerz niemiecki i kazał giermkowi odprowadzić pana Gulczewa. Ulrych zawiązał oczy towarzyszowi i wyszedł z nim północnym otworem.

Mestwin przez chwilę został niewzruszony na miejscu, a poglądając na rozsypane wokoło kości, zawołał:

— Wkrótce twoja głowa, twe lica, do róży świeżo rozwitej podobne, taką postać przybiorą…

Schylił się i podniósł czaszkę z ziemi.

— Witam cię, przyszły obrazie Hanny z Ciechanowa! A potem rzucił daleko od siebie ostatki pięknego może niegdyś ciała i z lampą w ręku wyszedł z grobowej sali.

ROZDZIAŁ XXII

Pociągiem zemsty i zbrodniczą radą
Postąpił z swoim panem z jak największą zdradą.
Bezimienny

Nazajutrz po widzeniu się Skarbimira z Mestwinem nie ujrzano żadnego w obozie nieprzyjacielskim poruszenia i z wielkim załogi zadziwieniem cały dzień bez walk upłynął. Jordan z Gozdawy i Krystyn z Mortoga, wciąż stojąc na basztach, starali się dostrzec wszystkich obrotów przeciwnego wojska i domyśleć się przyczyny niezwykłej spokojności. Mestwin ze zwykłą rozwagą dawał głośno rozkazy, towarzysząc księciu Zbigniewowi, który przechadzał się po wałach z schyloną głową i obchodził wierne hufce, witające go okrzykami, nie budzącymi już teraz ognia i młodzieńczego zapału w smętnym sercu.

Są bez wątpienia wieszcze w duszy człowieka przeczucia, rokujące mu bliskich nieszczęść nawałę. Może są one tylko skutkiem wyobraźni, wylatującej za przeznaczone krańce na odkrycie ciemnej przyszłości, może też duchy innego świata, przyjazne nam kiedyś za życia, w chwili stanowczej wokoło nas się gromadzą i jedyną świadcząc w ich mocy przysługę, jakąś niepewność i smutek wlewają w serce, żeby je przygotować do niespodziewanego ciosu.

Bądź co bądź, pewnym jest, że w dolegliwym teraz był książę Zbigniew położeniu, bo choć nigdzie tak bliskiego i grożącego nie upatrywał niebezpieczeństwa, choć spodziewał się, że tego samego dnia w nocy wkradnie się do zamku z mnogim orszakiem Ludwik ze Żmigroda, przeczuwał on niezrozumiane i tajemnicze cierpienia i dlatego właśnie, zniżywszy wyniosłą głowę, nie czuł dawnej radości, słysząc okrzyki i wrzaski żołnierzy.

— Mestwinie — rzekł ponuro — przygotuj wszystko na przyjęcie Ludwika ze Żmigroda, który dzisiaj ma przybyć. Właśnie zbierają się chmury i sądzę, że noc burzliwa ułatwi mu wejście do zamku. Nie spodziewam się, by natarli na nas swoim zwyczajem nieprzyjaciele, bo już wieczór się zbliża. Odejdę do komnaty, przygotuj jednak wszystko na przypadek, a gdybyś zobaczył rozwijające się przeciwników szeregi, donieś mi o tym natychmiast! — Po tych słowach oddalił się książę; przechodząc blisko żony pokojów, chciał ją odwiedzić, ale przypomniawszy sobie, że ją widział z rana smutną i pomieszaną, a nie czując się na mocy jej pocieszenia, podwoił kroku i zamknął się w własnej komnacie. Tu dopiero zapadł w głębokie dumanie, a jeśli kiedy słodkie zabłysło wspomnienie, odpędzały go zaraz czarne myśli, bez ustanku się snujące.

Nieszczęśliwy Zbigniew wywoływał z głębi przeszłości gorzkie pamiątki, z żalem patrzał na strawioną wśród zbytków i występków młodość, na zużyte w niegodnych sprawach siły, na pogrążoną przez siebie w otchłań smutków Hannę z Ciechanowa, którą oderwał od świata i pozbawiwszy najmilszych uciech, nie umiał w najprzykrzejszych chwilach pocieszyć. Myśl, że może córka Wszebora, zwiedziona dziwacznym jego od niejakiegoś czasu postępowaniem, sądzi, że zapomniał o jedynej lat młodych oblubienicy, o aniele, który najpiękniejszymi natchnął go pomysły i szczęściem obdarzył, tak go przeraziła, tyle razy stawiła się przed jego umysłem, że już porywał się i przypominając dawną uprzejmość, od dawna zaniedbane miłośne wyrazy i gorejące oświadczenia, chciał, pobiegłszy do żony, u jej stóp błagać przebaczenia winy, kiedy ktoś do drzwi zapukał. Poszedł je otworzyć z wyrazem gniewu na twarzy, ale ten znikł za ukazaniem się Mestwina z Wilderthalu.

— Czy myślą szturm przypuścić? — zawołał książę z iskrzącymi się od zapału oczyma, w nadziei, że zamęt walki

wyrwie go spod ciężaru trapiących uczuć.

— Nie, panie i książę mój — odparł rycerz — przyszedłemcię uwiadomić o rzeczach, które największej uwagi, a zarazem stałości umysłu wymagają. Nie słyszał Zbigniew ostatnich słów Mestwina. Jak tylko dowiedział się, że nie ma przeciw komu walczyć, upadł na krzesło i nakazawszy ręką milczenie powiernikowi, wlepił oczy w przeciwną stronę i do opuszczonych na chwilę powrócił utrapień. Wreszcie ozwał się w te słowa:

— Mestwinie, jedyny mój przyjacielu, nie uwierzysz, jakem się od jakiegoś czasu zupełnie odmienił. Zapewnie w tej posępnej twarzy, w tej schylonej postawie, w tej drżącej ręce i ustach zbladłych nie poznajesz dawnego Zbigniewa, którego miecz błyszczał nad wszystkimi mieczami polskiej krainy, którego głowa wznosiła się ponad wszystkie dumnych panów głowy. Gdzież się podziała żywość moja? gdzie uleciał młodzieńczy zapał, wrzący w piersiach, którym już dzisiaj lekka cięży zbroja? Odpowiesz, że choroba, że rany to sprawiły. Nie, nic ziemskiego, żadnej ostrze szabli, żadna słabość na świecie nie była zdolna tak mnie zniżyć i pognębić. Ileż razy, okryty ranami, krwią własną oblany, myślałem jeszcze o zwycięstwie, wyglądając z niecierpliwością chwili wyzdrowienia, chwili, w której bym mógł ująć oręż na nowo i zemścić się na wrogach! Pamiętam, jak lotem orła wzbijały się moje myśli, jak nadzieje uśmiechały się nie zatrutemu żadną boleścią umysłowi, a teraz wzrok schylam ku ziemi, uciekam od towarzyszów broni, od żony nawet. Unikam Hanny, najmilszej istoty na świecie, dla której jeszcze czuję miłość w przekwitłym sercu. Jej spojrzenie, przejmujące dawniej wszystkie żyły ogniem namiętności, spada teraz na mnie jak na bryłę zimnego lodu. Czasem trąba bitew obudzi mnie ze snu, a wtedy tylko czuję, że mi serce bić nie przestało; ale krótko trwa przemijające wrażenie, a wszystko dokoła czarnym, ciemnym, posępnym się wydaje. Szczęście ucieka

na odgłos kroków moich i nawet przypomnieć sobie nie mogę chwil, które zapełniły część śmiertelnego życia niebieską radością. Zdaje się, jak gdyby piekło wyrzekło moją zagubę, bo mi wydarło i nadzieję i pamięć tych nadziei.

To domawiając, zakrył twarz obuma rękoma. Zapewnie nie chciał, by Mestwin dostrzegł gorzką łzę, spływającą po bladawych licach.

Wahał się od razu rycerz na zadanie ostatniego ciosu nieszczęśliwemu panu, ale nie było czasu do stracenia; szybko upływały godziny, a z nimi i zemsta zbliżała się sroga, zemsta, dla której tyle środków użył Mestwin i tyle zbrodni wykonał. Przybrawszy zatem najzimniejszą postać, przemówił do Zbigniewa:

— Przeminą te chwilowe troski. Teraz zaś, książę i panie mój, zbierz wszystkie siły, bo się dowiesz z ust, które ci nigdy nie skłamały, o spełnieniu się ich dawniejszych proroctw.

— Cóż chcesz mówić? — przerwał syn Władysława z przerażeniem na twarzy.

— Chcę mówić i powiadam, książę i panie mój, żeś się połączył z niewiastą niegodną twojej miłości.

— Nędzny! — przerwał piorunnym głosem Zbigniew — pamiętaj, że mówisz o swojej księżnie, o żonie twojego pana!

— Nigdy jej nie nazwę księżną moją — odparł śmiało Mestwin — bo nią być nie może Hanna z Ciechanowa, zdradzająca najświętsze obowiązki.

— Czy więcej od jednego życia posiadasz, że tak lekce teraźniejsze ważysz? — zawołał Zbigniew, okryty rumieńcem gniewu, porywając szablę ze stołu.

— Gdybym tysiąc razy mógł umierać i odżyć, nie wahałbym się ostatnie życie dla ciebie poświęcić i nieraz ci już tego dowiódłem. Ale uspokój się, wysłuchaj mnie i

przekonaj się o prawdzie słów moich. Jeśli cię oszukam, możesz ten miecz w moje piersi utopić.

— Ja mam ciebie słuchać, niegodny oszczerco? — krzyknął książę, wlepiając oczy w oczy Mestwina, ale rycerz wytrzymał rażące spojrzenie Zbigniewa i nie zniżył własnego wzroku. — Ja mam słuchać potwarze rzucani na najcnotliwszą niewiastę na ziemi, na drogą moją Hannę, na anioła, co umilał zbrodnicze życie i na wieki związał mnie do siebie niezerwanym łańcuchem? Czyż to od dzisiejszego dnia wiem, że ją nienawidzisz? Czyż to pierwszy raz ją obmawiasz? Od kiedym ją zapoznał, zawsześ mnie odwodził od niej, odradzałeś zaślubienie, radziłeś najbrzydszą obłudę, a teraz, kiedym już zgnębiony prawie nawałą prawdziwych i urojonych nieszczęść, przychodzisz mi ostatnią wydrzeć pociechę. Oddal się, wychodź, precz mi z oczu! Mestwin nie ruszył i kroku.

— Czyż już przestałem być panem w własnym zamku? — zawołał Zbigniew z rosnącym uniesieniem. — Nawet gdybyś co wiedział, zakazuję ci odkrywać.

— A, to co innego! — odpowiedział z najzimniejszą krwią Mestwin. — Zaiste, panem jesteś swojej woli i możesz nawet żony Mieczysławowi odstąpić.

Imię nie cierpianego człowieka obudziło wściekłość w duszy Zbigniewa. Przypominał sobie dawne jego związki z Hanną i zbladł nagle, śmiertelne osłabienie zwątliło siły poduszczone gniewem. Dreszcz zimny rozlał się po całym ciele i przejął go mrozem. Nie mogąc utrzymać się na nogach, musiał usiąść, a pot kroplami spływał po zlodowaciałym czole.

Poznał Mestwin, że sposobna nadarzyła się pora i nie dając czasu do namyślenia się księciu, zaczął opowiadać ułożone fałsze z pewnością, samej szczerości właściwą. Wyłożył dawne przestrogi, oświadczył się przywiązaniem bez granic, a nareszcie opowiedział, jak Ulrych podsłuchał przypadkiem rozmowę księżny z Katarzyną, z której się

wydało, że Hanna pała miłością ku Mieczysławowi, że znienawidziła męża i że się będzie widziała z dawnym kochankiem o dwunastej w nocy nad brzegiem Wisły, w starodawnej kaplicy. Zresztą nowym kłamstwem przebiegły rycerz wytłumaczył księciu sposoby, których użyła Hanna na porozumienie się z synem Bolesława. Nie przepomniał dodać o rzadkiej mowie księżny i o jej listach. Wszystko zaś tak prosto, tak jasno wyłuszczył, że już niepewność i podejrzenia zaczęły się wkradać do serca Zbigniewa.

Wtenczas za świśnięciem Mestwina wszedł do komnaty giermek, który przez pana przyprowadzony czekał w przedpokoju.

Na rozkaz pana śmiało powtórzył młodzieniec, co rycerz przed chwilą opowiadał, a podczas swojej mowy widział wciąż wzrok księcia Zbigniewa, starający się odkryć na próżno najmniejszego w jego rysach pomięszania lub trwogi. Ulrych z niepospolitą odwagą łączył poświęcenie dla pana bez granic, wiedział, że go może zgubić najmniejszą oznaką przerażenia. Zresztą już najtrudniejszą część okropnej i tajemniczej sprawy, sobie poruczonej, wykonał od dawna. Kiedy mógł wytrzymać widok łez księżny, nie miał go już później przerazić gniew potężnego Zbigniewa; kiedy nie padł do nóg boskiej córce Wszebora, mało zapewnie mogła mieć na nim wpływu rozpacz syna Hermana. A zatem dopełniały się zamiary dzikiego Mestwina i książę, ujęty w sidła szatańską uwite zręcznością, otoczony głośnymi przeciwko żonie dowodami, wątpił, czy żyje, czy też przebywa w obłędu i ułudzeń krainie.

Powstał nareszcie z siedzenia i miotając naokoło pomięszanym wzrokiem:

— Gdzież jestem? — zawołał — gdzie się dostałem? Czy już piekło wyciąga ramiona po należną zdobycz? czy już zemsta niebios dręczyć mnie zaczyna? Ostatnie marzenie tego życia, ostatnie urojenie wiążące mnie jeszcze do

świata zniknęło. Ale nie, wyście sobie ręce podali i fałsz na waszych ustach. Mestwinie, zmiłuj się nade mną, wszak to złudzenie, wszak to nieprawda, com słyszał. Hanna jest moją żoną.

— A zarazem kochanką księcia Mieczysława — odparł rycerz.

— Przypomniałeś mi — krzyknął książę — tym nazwiskiem, że wszystko się zakończyło i że dla mnie świat bezludny wokoło. Nieprzyjaciel wydarł mi więc najmilszą pociechę. W krwi jego, przysięgam, zanurzę się cały. Ale cóż ta krew pomoże? alboż ona dostatecznym wynagrodzeniem będzie za życie, odtąd żadnej nie znające pociechy? Mestwinie — dodał, zbliżając się do rycerza i ściskając mu rękę — daj mi sposób godnego pomszczenia się na nim, połóż na jednej szali miłość zdradzoną, zniszczone radości, zatracone szczęście, życie ogołocone ze wszystkich rozkoszy, młode lata zwiędłe u ich początku prawie, serce szarpane wszystkimi rozpaczy mękami — na drugiej zemstę jakąkolwiek! Jeśli ona zrównoważy się z tamtymi ciężary, moje dobra, moje majątki i godności tobie oddaję. Wszystko u stóp twoich składam, bylebym mógł widzieć jego cierpienia, wpatrzeć się okiem żmii w ostatnie chwile wroga; lecz te ostatnie chwile tak się różnić powinny od zwyczajnych zgonów na ziemi, jak różne są męki piekła od uciech niebieskiego raju! Rozumiesz mnie?

Wtenczas Mestwin kazał oddalić się giermkowi, rozkazując po cichu, żeby mu doniósł, jak tylko księżnę wyprowadzi. — Zatrzymanie księcia w tym pokoju już na siebie biorę — dodał, a Ulrych odszedł.

Wtedy rycerz w Wilderthalu srogim ozwał się głosem:

— A cóż się stanie z niewiastą, co zdradziła najświętsze obowiązki i tak ogromną skalała się zbrodnią? Czy przepuścisz jej bezkarnie własne nieszczęście? Czy dozwolisz, książę i panie mój, by z twoich objęć rzucała się w objęcia znienawidzonego Mieczysława i z nich na twoje

wracała łono? by, depcąc wszystkie świata prawa, podzielała się wdziękami z mężem i jego śmiertelnym wrogiem?

Milczał wciąż Zbigniew.

— A więc — głośniej zawołał Mestwin — książę Zbigniew odpuszcza winy Hannie z Ciechanowa, wystawia się na żarty całej Polski! Wojownik, nieustraszony w bojach, niezmiękczony jękami konających ofiar, ulega przemocy niegodnej kobiety i na jej spojrzenie zapomina o sławie! Zrzuć już zbroję, synu i wnuku tylu królów, zawieś oręż nad łożem rozkoszy, przywdziej suknią niewieścią i weź do ręki wrzeciono albo raczej każ sobie okuć dzielną kiedyś prawicę w pęta, gnuśnością narzucone i czołgając się u stóp zdradnej żony, z uśmiechem radości i niedołęstwa patrzaj na własną ohydę i własne zhańbienie! Na wszechwładny rozkaz otwieraj drzwi jej komnat Mieczysławowi i dozwól synowi Bolesława cieszyć się posiadaniem Hanny z Ciechanowa!

— Milcz — rzekł osłabiony książę — nieludzki człowiecze! W twoich piersiach nigdy słodkie nie urodziło się uczucie. Różny od innych ludzi, od dzieciństwa powlókłeś członki twardą stalą, a od niej i serce twoje swoją oziębłość przejęło. Czyż znasz, co to miłość, Mestwinie? Czyż kiedy doznałeś jej słodyczy? Wiedz, że choć okropna prawda odsłania się przede mną, wiedz, rycerzu, że jeszcze kocham tę niewiastę i wątpię, by tak anielskie rysy pokrywały tak niską duszę! Wiedz — zawołał całymi piersiami — że się waham, że wątpię, że nie wierzę waszym potwarzom! Jej obraz, tkwiący w moim umyśle, odpędza podejrzenia i czuję niczym nie osłabione przywiązanie w sercu. Mestwinie, radzę ci, nie powtarzaj wyrzeczonych dopiero obelg, bo o niej wtenczas marzyłem i słabo twój głos dochodził moich uszu; ale gdybym teraz co podobnego usłyszał, nie zważałbym na dawnego przyjaciela i wiernego sługę, widziałbym tylko szatana chcącego ostatnią pociechę

mi wydrzeć i zniszczyć ostatnią srogich cierpień ulgę, a sam rozważ, o ile taka myśl może unieść człowieka, który gotów zrzec się wiecznego i doczesnego życia, byleby usłyszał usprawiedliwienie ukochanej istoty! Walczyłem dla niej, a ona miałaby o tym zapomnieć? Patrzyła na krew płynącą z moich piersi, a wiedziała, że dla niej płynie; słyszała jęki moich żołnierzy i pewną była, że dla niej giną, że dla niej poświęcam i ojca miłość i narodu przywiązanie, że dla niej znoszę oziębłość przyjaciół i ona miałaby mnie zdradzić! Nie, na świętego Stanisława, to być nie może! Sam Bóg nie dałby wdzięków anioła podłemu stworzeniu. Nie, Mestwinie, nie mów nic dalej, nie ożywaj się więcej, bo może bym uważał za święty obowiązek przebłagać oczernioną piękność śmiercią jej wroga!

— Nigdy trwoga nie zamknie ust moich, panie — odparł rycerz — tym bardziej kiedy prawdę mówiąc, chcę twoją sławę ocalić.

— Zaklinam cię, Mestwinie, byś milczał. Dowiódłeś mi tyle razy przyjaźni wśród bitew, niebezpieczeństw; teraz dowiedziesz mi jej daleko lepiej zatajeniem tego, o czym się dowiedziałeś. Nie chcę zasłony żadnej rozdzierać, zapomnę o twoich słowach, bo gdybym nie mógł zapomnieć, wolałbym nie żyć na ziemi; ale zapomnę za pierwszym jej spojrzeniem, za pierwszym uściskiem zapomnę. Wszakżeś mi nic nie odkrywał, Mestwinie, nieprawdaż, nic nie mówiłeś? Proszę, błagam cię, odpowiedz jeno „nie”, a wszystko, co zechcesz, uczynię!

— Nigdy! — krzyknął Mestwin — nigdy podobną nie zmażę się podłością. Jeszcze bym z rusztowania wołał na ciebie: „Książę i panie mój, zdradza cię niegodna żona!” — A więc zgiń i milcz umarły, jeśli żywy milczeć nie umiesz! — zawołał Zbigniew, rzucając się na rycerza z pałaszem w ręku.

Z największą spokojnością odsłonił piersi Mestwin z Wilderthalu i oderwawszy szablę od boku, stawił się

bezbronny gniewowi Zbigniewa, którego wzniesiona opadła prawica, a wkrótce potem sam książę prawie bez zmysłów oparł się na łoże, spoglądając łzawym na powiernika okiem.

— Straciłem rozum — rzekł — Mestwinie, ale zarazem i jedyne szczęście.

Wtenczas łzy, wstrzymywane dotąd, oblały lica nie zgiętego dawniej wojownika i westchnienia wydobyły się z piersi, w których czułe, choć zatwardziałe długim do występków nałogiem, biło serce. Rumieniec wstydu zapłonił twarz bladawą księcia, który przerywając czasem płacz swój wykrzyknikami boleści, odwracał oczy od dzikiej twarzy Mestwina, której rysów w tej chwili mógłby sam władca piekieł mu pozazdrościć.

— Ach! jakżem już osłabły, ach! jakżem już znękany! — wołał Zbigniew. — Hanna, moja Hanna mnie opuszcza! O Boże, zlituj się nade mną!

— Sądziłem — przerwał Mestwin — żem się zaciągnął pod dzielnego bohatera znaki, ale ciężką popełniłem omyłkę: szlochającą niewiastę teraz widzę przed sobą.

Te słowa ubodły dumę Zbigniewa i natychmiast zatrzymawszy łzy płynące, przybrał męską i rozkazującą postać.

— Przekonamy się zaraz, rycerzu — rzekł — o prawdzie słów twoich. Bądź łaskaw towarzyszyć mi do Hanny! Oświadczę jej nasze podejrzenia, a może odkryjemy, że się słuch twojego Ulrycha w tym razie omylił.

Poznał Mestwin, że największe zagrażało mu niebezpieczeństwo, ale nie stracił odwagi, gotów najczarniejszych użyć wybiegów na jego odwrócenie.

— Dobrze — odpowiedział, udając największą obojętność — nie odstąpię cię, panie i książę mój, bo przepaść bliska twoich kroków i potrzebujesz towarzysza, który by cię na brzegu wstrzymał lub też z tobą w jej otchłań się rzucił.

— Co znaczą te słowa?

— Znaczą one, książę i panie mój, że zbrodnicza niewiasta zdoła przybrać barwę niewinności. A kto jej uwierzy, już jest nad brzegiem przepaści. Zresztą postępuj podług swojej woli, lecz jakiż dowód mieć będziesz, kiedy się zaprze? Wątpię, żebyś chciał mojego giermka stawić przed nią i własną żonę przymusić do bronienia się od zarzutów sługi. A potem, przypuszczając, że jest niewinną i że Ulrych się przesłyszał, daremnie byś ją zmartwił i trwogi nabawił. Lepiej, kiedy o dwunastej sam się przekonasz.

Przyłożył rękę do gorejącego czoła Zbigniew i wahał się długo. Nie wiedział, co począć, bo namiętności, burząc jego duszę, odejmowały rozwagę i zimny rozsądek.

— Książę Zbigniewie — dodał Mestwin — jesteś panem swojej woli; ale usłuchaj rady przywiązanego człowieka, który ci wierny był dotąd i zawsze szanował i kochał, który życie twoje nieraz własnego niebezpieczeństwem obronił. Jakież bym miał powody do rozjątrzenia twojego serca, do zatruwania twojego szczęścia? Wierz, że ważne i bardzo ważne powody znagliły mnie do odkrycia ci prawdy, bo tu szło o twoją sławę i jako najwierniejszemu przyjacielowi twojemu, droższą mi jest ona od własnego i nawet od twojego życia. Chciałem tobie tak okropnego ciosu oszczędzić, ale rozważywszy straszne skutki wyniknąć mogące z tak występnych przyczyn, uczułem dosyć mocy w sobie na oznajmienie mojemu panu, że Hanna z Ciechanowa straciła wszystkie do jego miłości prawa. A niemałej potrzebowałem odwagi, niemałego poświęcenia na wytrzymanie wybuchań gniewu człowieka rozkochanego w osobie, którą oskarżam o tak ciężkie zbrodnie. Do ciebie należy osądzić i czystość moich zamiarów i przywiązanie tak wielkie, że się naraziło na śmierć i gorsze od niej wyrzuty, żeby ostrzec pana o okolicznościach, wszystkie jego nadzieje niszczących.

Zawsze prawie rady Mestwina, odrzucane z początku przez Zbigniewa, brały potem górę nad jego umysłem, czy

dlatego, że zimna rozwaga Niemca miała niezaprzeczoną wyższość nad uniesieniem i zapalczywością księcia, czy też dlatego, że syn Władysława niezrównaną pokładał ufność w wierności i niejednymi dowodami stwierdzonym przywiązaniu powiernika. Również i teraz uległ Zbigniew przewadze rycerza z Wilderthalu i nie mogąc sam oznaczyć swojego w tej mierze postępowania, skierował je podług myśli i chęci Mestwina.

— Przystaję — rzekł — na twoje uwagi, ale pamiętaj, że gdyby Hanna się niewinną okazała, nic by ci nie mogło życia ocalić! Doszłem do takiej ostateczności, że mi trzeba żonę lub przyjaciela postradać, bo zemsta obudzoną we mnie wymaga jakiejkolwiek ofiary. Przygotuj się więc do śmierci Hanny z Ciechanowa lub do własnego zgonu!

— Pozwalam ci jeszcze wątpić, książę i panie mój — odparł Mestwin — ale za kilka godzin o wszystkim się przekonasz. O dwunastej przybędę do ciebie i razem udamy się do kaplicy.

— Nie wytrzymam! — zawołał Zbigniew. — Pobiegnę do niej! Mówię ci, że nie wytrzymam, Mestwinie!

— A gdzież się podziała stałość umysłu i męstwo, żadną nie zrażone przeciwnością? — rzekł rycerz. — Czyż tylko w bojach mężem być przystoi? Czyż tylko, kiedy zbroja kryje serce, ono się odważnym okazać powinno? W domowym życiu często trudniejsze zachodzą sprawy niż na pobojowisku i nie tylko z szablą w ręku bohater jest bohaterem.

— Możesz sobie tych kazań i przestróg oszczędzić — zawołał książę — bo moje ucho nie przyzwyczajone do nich. Mówię ci po ostatni raz, że nie mam dosyć sił na przepędzenie tylu godzin w tak okropnej niepewności. Nie cierpię jej teraz, za chwilę będę ubóstwiał. O Hanno z Ciechanowa! czegóż bym nie dał, żebym mógł jak dawniej z słodką rozkoszą twe imię wymawiać!

— Jedyny więc tylko środek — rzekł Mestwin — pozostał w tym razie. Zamknę cię w komnacie, a o przeznaczonym czasie przyjdę, uwalniając, przekonać ciebie o obłudzie żony i powrócić wyższym celom nad ziemską i niską miłość.

Milczenie Zbigniewa uważał Mestwin za przystanie na podany sposób; odwrócił się więc i wyszedłszy zamknął drzwi żelaznym kluczem, który schował pod zbroję.

„Więc już zapewniłem jej zagubę!” — pomyślał i z niewypowiedzianym uniesieniem, które brał za radość, oddalił się od komnaty nieszczęśliwego pana.

ROZDZIAŁ XXIII

Król: Widziałeś?
Inkwizytor: Widziałem.
Król: Słyszałeś?
Inkwizytor: Słyszałem.
Król: O wściekłości! a więc podejrzenie...
Inkwizytor: Stało się pewnością.
Alfieri, Filippo

— Już czas, księżno i pani moja — rzekł Ulrych, wchodząc do pokoju Hanny, a pierścień Mestwina złowróżbne blaski rzucał z jego ręki.

Czekała już księżna, gotowa narazić się na niebezpieczeństwa i obmowy, żeby dopełnić świętego żony i świętszego jeszcze Polki obowiązku. Spojrzawszy łagodnym na giermka wzrokiem, odpowiedziała, że natychmiast pośpieszy, prosząc, by się do drugiej oddalił komnaty, gdzie Katarzyna już była.

Zostawszy samą, jeszcze raz swój postępek i skutki z niego wyniknąć mogące rozważyła. „Może niesława, może wieczna okryje mnie hańba — myślała — lecz mój Zbigniew i sławę i szczęście odzyska. On tyle dla mnie uczynił, niech więc i ja coś dla niego uczynię! On nie zważał na obmowy, kiedy szło o Hannę, a ja bym miała nimi się trwożyć? Nareszcie, gdyby świat cały, gdyby on nawet powstał na mnie, sumienie moje spokojnym pozostanie.” — I Ty wiesz — zawołała, odwracając się do obrazu Matki Boskiej — że nigdy występna myśl mojej nie skaziła duszy... — Uklękła potem i złożywszy śnieżne dłonie, wzniosła je ku niebu.

— O Królowo, uwieńczona światłością! zakryj mnie skrzydłami Twojej opieki! Przejrzyj skrytości mojego serca, oświeć mnie promieniem nieśmiertelnej Twojej chwały, a

jeśli nie znane mi nawet jakie niskie uczucie kryje się w jego głębi, spraw, bym z tego nie powstała miejsca; jeśli zaś czyste i cnotliwe mną powodują zamiary, daj, bym Zbigniewa szczęściu wróciła!

Po tej modlitwie wstała, czarną zasłonę zarzuciła na siebie i pożegnawszy ostatnim spojrzeniem pełną tylu wspomnień komnatę, wyszła do drugiej; a stamtąd, nie rzekłszy słowa, przebiegła kaplicę z Katarzyną i smętnym Ulrychem. Córka Gierdy otworzyła drzwi na brzeg Wisły wiodące; pierwszy giermek naprzód wyleciał, ale tak szybko i tak dziwnym sposobem, że zadrżała pomimowolnie księżna, która z Katarzyną pozostała z tyłu.

— Strażniku — rzekł po cichu młodzieniec do przechadzającego się żołnierza — otwórz te drzwi, tylko prędko! — Chciał jeszcze coś mówić, ale słowa na ustach skonały i ledwo drżącą ręką mógł dorzucić worek, dany przez Mestwina.

— Czy śmierci szukasz — odpowiedział głos chrapliwy — że chcesz słabym srebrem zwalczyć *żelazo* mojego topora?

Zadrżała Katarzyna, stojąca jeszcze z swoją panią w kaplicy. Był to głos jej ojca... Zadrżał i giermek, ale nie z bojaźni.

— Radzę ci, żebyś wziął i otworzył.

— A ja rady tak przyjmuję, psie podły! — zawołał Gierda i ciężki jego topór błysnął wśród ciemności; lecz Ulrych zręcznym skokiem uniknął śmierci, a topór wbił się głęboko w ziemię.

— Gierdo, co czynisz? — krzyknął Ulrych. — Czyś mnie nie poznał? — i to mówiąc, stanął między dzikim mordercą a jego orężem.

— Poznałem i dlatego właśnie chciałem dar szatanowi posłać — i po tych słowach szabli dobył.

— Jeśliś mnie poznał, to i to zapewnie poznasz — rzekł młodzieniec, podnosząc rękę naprzeciwko światłu

wychodzącemu z na pół otwartej kaplicy.

— O, nieraz widziałem go już — odparł Gierda, spuszczając oręż. — Teraz wszystko wypełnię. Wszakże nam książę zalecił równie ten pierścień jak jego własny szanować.

— Puścisz więc, Gierdo, dwie osoby za mną idące i zachowasz głębokie o tym milczenie! Są to, przyjacielu — dodał ciszej — dawne… domyślisz się zapewnie; książę nie chce, by żona wiedziała.

— Rozumiem — rzekł żołnierz z hucznym śmiechem. — Na cóż mi ten worek dałeś?

— To dar od księcia.

— Niech żyje Zbigniew, pan nasz! — zawołał Gierda, a drzwi, pchnięte jego ręką, otworzyły się w murze.

Gwizdnął Ulrych i dwie postacie przesunęły się w ciemności przed żołnierzem, który, nie chcąc badać tajemnic pana, oczy odwrócił.

— Trzymaj te drzwi otwarte! — rzekł giermek i wyszedł w pole wraz z towarzyszkami.

Księżna mu czule podziękowała, a jednak każdy jej wyraz przebijał mu serce. Burzliwa i ciemna noc nie dozwoliła uważać Hannie z Ciechanowa, jak nagle zbladł i zadrżał cały. Katarzyna, odzyskawszy przytomność utraconą na widok ojca, zaczęła namawiać księżnę do przyśpieszenia kroku.

Ulrych wśród świstu wichru i huków piorunu odprowadził księżnę aż do zarośli, zamek otaczających. Tu stanąwszy, oznajmił pomięszanym głosem, że musi ją opuścić i wskazał niedalekie światło.

— To lampa paląca się w kaplicy. Tam cię, księżno, czeka Mieczysław; muszę cię pożegnać. Stać będę tymczasem przy drzwiach strzeżonych przez Gierdę i pilnować, żeby nikt nie nadszedł.

— Dziękuję ci raz jeszcze — rzekła Hanna i szybkim z Katarzyną oddaliła się krokiem.

Łzy spłynęły po licach młodzieńca:

— O Boże, zlituj się nad nią, bo moja powinność wzywa mnie gdzie indziej! Czemuż topór Gierdy nie przybił mnie do ziemi! — A potem puścił się jak strzała wyrzucona z cięciwy, przeleciał pole, przebył bramę, komnaty, galerie i drzwi pokoju Mestwina z trzaskiem odemknął.

— Już się stało! — zawołał i upadł, na pół zemdlony.

— Takeś zdyszany — rzekł siedzący rycerz — jak gdybyś z długiej wracał podróży, a jednak kaplica stąd niedaleka.

— Ale, panie — odparł ponuro Ulrych — podczas krótkiej drogi można wiele uczuć doznać.

— Zapewnie — szydersko odparł Mestwin. — Ale oddaj mi pierścień i powiedz, czyś go użył.

— Musiałem. Dane wprzód pieniądze nic nie pomogły.

— Któż taki stoi na straży? — zapytał rycerz.

— Nieszczęśliwym trafem Gierda pilnuje tam murów.

— Szkoda — rzekł zimno Mestwin — szkoda, dobry żołnierz.

— Nie rozumiem znaczenia tych słów, rycerzu.

— Człowiek, który widział mój pierścień, musi i mój sztylet zobaczyć — spokojnie odparł Mestwin. — Czyż nie pojmujesz, że mógłby mnie zdradzić? Zapomniałem ci się pytać, czyś do samej kaplicy księżnę odprowadził?

— Zostawiłem ją o pół drogi, bom dalej iść nie mógł.

— Jeszcze dziecinne serce — z politowaniem ozwał się rycerz — bije w twoich piersiach, ale mam nadzieję, że nadejdzie czas, w którym na takie wypadki mało albo wcale zważać nie będziesz.

— Spiesz się, panie, do księcia Zbigniewa!

— Nie czas jeszcze — odparł rycerz. — Niechże wpierw ona dójdzie do kaplicy. Pięknie by było, żebyśmy ją na

drodze spotkali, a wiem, że jak tylko puszczę mojego orła z klatki, do której go wsadziłem, to poleci, nie wstrzymany żadnym głosem ni namową. Ale cóż to się znaczy? Zupełnieś zbladły, do trupa podobny. Wstydź się, chłopcze, takiej słabości!

— Cóż mam robić, panie, kiedy czulą we mnie Bóg wlał duszę!

— Zahartuj serce — odparł rycerz, kładąc hełm na głowę — uzbrój piersi przeciw litości i rozczuleniu! Zatamuj łzy w oczach! Patrz przez lat wiele na zbrodnie, poznaj przebiegi ludzi, dowiedz się o ich obłudzie i skrytościach, a wzgardzisz podobnymi sobie i uważać ich będziesz za nędzny proch, przeznaczony twoim stopom! Wtenczas krzyk boleści, jęk rozpaczy miłymi staną się dla ciebie. Wylanie krwi nienawistnej przyjemniejszym ci będzie niż odwilżenie ust spiekłych chłodnym napojem. Wyraz cierpienia na obliczu bliźniego napełni twą duszę rozkoszą, a klęski ludzkości twoim żywiołem, twoim życiem się staną. Teraz już czas, Ulrychu, żegnam cię, zemsta wzywa mnie rozkazującym głosem; innego od niej na ziemi nie uznaję pana, więc idę. — To mówiąc, wyszedł, zmierzając do komnaty Zbigniewa.

Któż zdoła opisać stan serca Zbigniewa w tym dniu wyrocznym, w którym odleciały go najmilsze nadzieje? Kto potrafi zimnymi słowy oznaczyć ścierające się w jego duszy namiętności? Raz w zupełnym odrętwieniu nic nie postrzegał, zapominał o wszystkim; myśli jego opuszczały ziemię, ale też nie sięgały nieba; zatrzymane w połowie między światem rzeczywistym, a krainą wyobraźni, usypiały w bezczynności, to znowu, nabrawszy nadprzyrodzonej siły, przedstawiały mu wszystko, przybrane w żywsze i jaśniejsze od prawdziwych farby. Czuł on wtenczas nieznośny ogień rozlewający się po żyłach, krew rozhukanym strumieniem biła do głowy, oczy ciskały płomieniste wejrzenia, a dla rozpalonych liców darmo

szukał ochłody. Zdawało mu się, że otaczające przedmioty nowego życia nabrały, że ściany z płomieni go opasywały, że chmury, przed chwilą posępnej białości, rozogniły się nagłą zmianą i że wicher niewstrzymany, rozrzucając budowle i mury, wziął górę nad zwykłym przyrodzenia porządkiem. Wszystko naokoło się chwiało przed błędnym wzrokiem, łoskot walących się głazów, łamiących się murów uszy mu przerażał. Porwany wirem niepowściągnionej wyobraźni, darmo zakrywał oczy; straszne i niepojęte obrazy ścigały go zawsze i zdawało mu się, że świat cały zaczyna swoje rozprzęgnienie od dnia, w którym stracił to, co mu najbliższym na tym świecie było. Lecz po chwili ustawała gorączka, gasła powoli namiętność nim miotająca i znów wszystko zimną przybierało postać; wszystko wracało do dawnego stanu, a wśród rzeczywistości nic odpowiadającego uczuciom duszy nie widział i nowa męczarnia na miejscu przeszłej go dręczyła.

Noc pokryła ziemię. Żadnej w tym nawet nie spostrzegł różnicy, nie zwrócił uwagi na ogarniające go ciemności, nie zapalił lampy. Błyskawice oświecały pokój, czasami piorun grzmiał w górze; ale jakież płomienie mogły rozżarzonym w jego piersiach wyrównać, jakiż piorun zastanowić, kiedy tak okropny cios spadł na jego głowę? To przechadzał się szybko, to kładł się na łoże. Odpiął pas żelazny, zrzucił pałasz, zdjął rękawice, bo mu wszystko ciężyło. Hanna i Mieczysław wciąż przed nim stali. Rzucał się czasami pierwszej do nóg, drugiemu sztylet w piersi zatapiał, poglądał ponuro na żonę, to znów, zapomniawszy o jej zdradzie, ściskał ręce, całował w usta, ale znikome postacie usuwały się myśli goniącej w niezmierzonym polu, którego już nie ograniczał rozsądek. Złudzenia coraz nowe następowały i stawiając go na szczycie rozkoszy i szczęścia, chwilą potem w bezdenną strącały przepaść. A jednak dźwigała się jeszcze z niej dzielna dusza i ten umysł, choć

przywalony ogromem rozpaczy, w samym pomięszaniu i szaleństwie jeszcze był wielkim.

Wtem zakręcił się klucz w drzwiach żelaznych, błysnęła pochodnia i zbrojny ukazał się Mestwin. Jak tylko Zbigniew otwarte wnijście zobaczył, bez zbroi, bez oręża wybiegł z pokoju i pędem błyskawicy poleciał do komnat żony.

— Hanno! Hanno! — zawołał; nikt nie odpowiedział — i dalej mówić nie mógł. Wtem spojrzał na łoże i nowa nadzieja zajaśniała w oczach. Zbliżył się, rozemknął zasłony, ale nie znalazł nikogo i okropna prawda stała przed nim, wszystkich niepewności pozbawiona.

— A więc Bóg mnie ukarał — krzyknął i wzniósł pierwszy raz w życiu wzrok, pełen wyrzutów, ku niebu — ukarał... bo tym tylko mógł ukarać!

Rycerz z Wilderthalu wszedł wtenczas i nie mógł wstrzymać zwykłego uśmiechu. Ściągnął książę rękę do miejsca, gdzie zwyczajnie tkwił sztylet, ale szczęściem dla Mestwina leżał on teraz zapomniany w pokoju Zbigniewa.

— Urągasz się! — zawołał cichym głosem i zbliżył się groźnie do Mestwina, a wzrok jego tak był strasznym, że nawet rycerz niemiecki przez chwilę uczuł przejmującą bojaźń; lecz zaraz potem ścisnął rękę Zbigniewa.

— Książę, chodź za mną i poznaj, o ile miłość kochanki różni się od wierności przyjaciela!

Nie opierał się syn Władysława, podbity zimną, towarzysza powagą, a wkrótce potem, wiedziony przez Mestwina, przechodził pole dzielące zamek od starożytnej kaplicy.

Deszcz spadał z wolna z czarnych chmur, niebo zasępiających, błyskawice już nie migały i grzmot czasem tylko w oddaleniu się odzywał. Czyste powietrze, lekkim poruszone wietrzykiem, przypominało pierwsze chwile upłynionej wiosny i panowanie spiekłego lata musiało chłodnej nocy ulegać. A jednak każda kropla spadająca na

głowę księcia zdawała mu się gorejącą iskrą, murawa, po której stąpał, rozpalonym żarem, każdy powiew wiatru ognistą zawieją.

Prowadził go za rękę Mestwin i szybko zbliżali się do niedalekiej kaplicy, w której zawieszona lampa bladawe rozsyłała promienie na otaczające gruzy i krzewy, pod rosą się uginające. Wtenczas rycerz zwolnił kroku i prosił Zbigniewa, by wróciwszy do przytomności, szedł ostrożniej i jęki wstrzymywał. Poszedł za prośbą książę, czując, że nadchodzi chwila, w której ostatecznie przyjdzie los własny i żony rozstrzygnąć; ale właśnie w takiej chwili najsroższą męką stała się ostrożność poradzona przez Mestwina. Ciężej mu było teraz wstrzymać westchnienie niż kiedyś jęki przez najżywsze bóle wydzierane; krótka droga bardziej go zmęczyła niż podróż nieraz odbywana w żelaznej zbroi, wśród odludnych piasków i skwaru letniego słońca.

Kaplica wznosiła się spomiędzy krzaków i murów, po części już rozpadłych. Szczyt jej niewysoko sięgał ponad ziemię, a powoje i bluszcze, wijąc się po nim, zastępowały odpadłe od sklepienia części. Właśnie ze strony zbliżającego się Zbigniewa było małe okienko, opatrzone żelazną kratą; w nim migały się mdłej światłości promienie od gorejącej wewnątrz lampy, zasłanianej czasami ciałem, które w długim i łamanym cieniu odbijało się na zewnętrznych gruzach i nierównej w tym miejscu ziemi. Ten cień niewyraźny znikał i wracał co chwila, a zdało się jednak Zbigniewowi, że poznał w nim zbroję i rysy Mieczysława. Zimny mróz serce jego przeszył, piekielna radość napełniła duszę Mestwina. Podsunął się bliżej. Zbigniew stał schylony pod oknem, wahał się powstać, nie wiedział, co czynić, zbierał wszystkie siły, natężał wolę, a jednak nie mógł zmienić położenia. Nareszcie wsparł go Mestwin swoją ręką, a wtenczas nagle podniósł się książę. Chciwy wzrok zarzucił wewnątrz kaplicy, gdzie ujrzał

niewiastę niezrównanej piękności i klęczącego u jej kolan mężczyznę. Tą niewiastą była Hanna, tym mężczyzną syn Bolesława Śmiałego. Książę ani słowa nie wyrzekł, ale wydarł sztylet z pasa Mestwina i rzucił go do góry. Mestwin, widząc jego zamysł, rękę mu silnie zatrzymał i odprowadziwszy na bok, cichym zapytał głosem:

— Czy wiesz, co to zemsta, książę?

Zbigniew obłąkanym spojrzał na towarzysza wzrokiem.

— Czy nie wolisz — rzekł rycerz — kroplami wysączać nad nimi puchar goryczy niż go wylać od razu? czy nie wolisz długo patrzeć na drgające ich członki i nasycać się widokiem stopniowanej śmierci, której bóle co chwila wzrastają, niż nagłym zgonem zdrajców obdarzyć i w krwi niegodnej szlachetną zmazać prawicę?

Okropna bladość rozlała się po licach Zbigniewa.

— Już widziałeś — dodał Mestwin — zbrodnię. Teraz nad karą pomyślemy.

Po tych słowach omdlewającego pana zawiódł daleko od kaplicy i wszedłszy między kilka drzew wyniosłych, dozwolił mu usiąść na kamieniu i stracone zebrać zmysły. Wkrótce potem zerwał się nagle książę i podnosząc rękę ku niebu:

— Przysięgam — zawołał — jej śmierć i śmierć jego! Niewiasta zdradzająca męża nie znajdzie litości i u Ciebie, o Boże!... Kara Twoja nigdy by jej nie ominęła... Dozwól więc, Panie świata, bym ją sam przyśpieszył!... Mestwinie! — dodał — teraz już jestem spokojny... wszak już nie mam żony... wszak sam na świecie zostałem... ale wskaż mi obiecaną zemstę, bo jeśli nie potrafisz tego, nic cię od śmierci nie ocali!

— Książę i panie mój, pomówiemy o tym w twojej komnacie. Tymczasem wracajmy do zamku.

Poszli oba, a wkrótce czarne mury im się ukazały pośród ciemności. Wtenczas Mestwin prosił księcia, by mu naprzód pójść pozwolił.

— Chcę — rzekł — odmierzyć sprawiedliwość żołnierzowi tak dobrze strzegącemu twoich murów, że dwie niewiasty mogą z nich o każdej porze wychodzić.

— Jak chcesz — odparł zimno książę.

Mestwin przyśpieszył kroku i zawołał na Gierdę. Wyszedł dziki żołnierz i ostatnim ukłonem przywitał przyszłego mordercę. Skinął nań rycerz i na sam brzeg Wisły zaprowadził, wskazując potem przeciwną stronę.

— Czy widzisz — rzekł — ten ogień?

Obrócił się Gierda i darmo śledził oczyma płomień, o którym mówił Mestwin.

— Nie ma żadnego ognia.

— Patrz dobrze, a ujrzysz — odparł rycerz i wzniósłszy sztylet morderczy do góry, z całymi siłami zanurzył go w plecy Gierdy — a ujrzysz ognie piekła! — dodał z szyderskim uśmiechem.

Runął olbrzymi Gierda na ziemię, lecz cala jego wściekłość ozwała się jeszcze w ostatnim skonaniu. Zrzucił szyszak i tocząc się po piasku, doczołgał się do stóp rycerza i wspierając się jedną ręką o brzeg spadzisty, drugą objął rycerza i ścisnął go uściskiem umierającego wroga. Uczuł rycerz zatrzymany w łonie oddech i słyszał pękające na piersiach żelazo. Nie tracąc więc czasu, drugi cios zadał, a wtenczas opadł Gierda i jeszcze dosyć miał siły do wyrwania sztyletu z szerokiej rany; trącił go zbrojną nogą rycerz z Wilderthalu, dopełniając powtórnego w tym samym miejscu zabójstwa. Przybywając, Zbigniew usłyszał już tylko jęk pomięszany z szumem fali, ciało unoszących.

— Gdyby nie twoje namowy i Mieczysław już by tak zginął! — zawołał książę.

— I jedno tylko cierpienie doznał — odparł Mestwin — kiedy ich tysiąc doznać może.

— Spieszmy się więc, śpieszmy! — krzyknął Zbigniew. — Każda chwila, zwlekająca jego zagubę, jest nową dla mnie

śmiercią!

— Dam ci moje rady — rzekł rycerz — ale przysiąż, że pójdziesz za nimi i że niewieścia czułość nie splami dzielnego serca. Mieczysław i Hanna zginą! Przysiąż, że nie odmienisz rzuconego na nich wyroku!

Nie wahał się książę i piorunnym głosem zawołał:

— Niech moja dusza marnie z tym ciałem zginie i nie dozna obiecanej nieśmiertelności, niech każdy dzień mojego życia dzisiejszemu podobnym się stanie, jeśli choć jednym słowem, choć tajemną chęcią odwołam śmierć Mieczysława i tej, która niegdyś moją nazywała się żoną!

— Dobrze — rzekł Mestwin — poznaję Zbigniewa! — i wszedł z księciem do zaniku.

Dostawszy się do swojej komnaty, usiadł książę na krześle i obtarł twarz, deszczem i potem okrytą. Dopóki go niepewność dręczyła, dopóty był najnieszczęśliwszym z ludzi; prawda, choć tak sroga, zupełnie odkryta, wróciła mu spokojność, lecz tylko pozorną. Chciał wmówić sam w siebie, że nie dba o tę, która go zdradziła, pogardza Hanną, ale właśnie pragnienie zemsty, pożerające jego duszę, dowodziło, że nieograniczona miłość zamieniła się na nieograniczoną zawiść, że wielkie serce, w najczulszych zwiedzione nadziejach, szukało ulgi w drugiej ostateczności. A jednak i w zemście samej pozostały miłości ślady. Jeszcze na wspomnienie córki Wszebora rozdarte serce żywiej biło. Z tym wszystkim postanowił Zbigniew przygnieść namiętność siłą woli, wyrugować ostatki przywiązania ciągłym o zemście przemyśliwaniem; lecz trzeba było całej jego dzielności na ukrycie pod barwą surowej powagi i zimnej spokojności żaru w piersiach tlejącego.

— Mów — rzekł do Mestwina — i pamiętaj, żebyś dogodził moim żądaniom! Wynajdź, czego by szatan wynaleźć nie potrafił!

— Jeśli uskutecznię taki rozkaz — odparł żartobliwie Mestwin — to duch ciemności powinien zejść z swojego tronu i własnego mi miejsca ustąpić.

— Mów! — powtórzył Zbigniew.

— Chcesz, panie, okropnej zemsty — rzekł rycerz — a więc posłuchaj, a jeśli nie zadrżysz, powiem, że nas wspólnie piekło wydało. Hanna kocha Mieczysława, niech więc zginą powolnym skonaniem obok siebie i niech jęki córki Wszebora połączą się z jękami syna Bolesława! Abraham z Hamburga dostarczy mi trucizny, zastawiemy w wielkiej sali biesiadę, obładujemy stoły srebrem i złotem i puchary śmierci uwieńczym różami rozkoszy. Wyślij jutro Krystyna z Mortoga do Mieczysława, oświadcz, że chcesz pokój zawrzeć, przyjm go wraz z innymi panami w swoje podwoje. Wiem, że przybiegnie rozkochany młodzieniec, przyprowadzi z sobą Sieciecha, Skarbimira, Wszebora. Wszebora osobliwie, mój panie i książę. Czy czujesz, jak miło będzie córce umierać przy ojcu? czy rozumiesz ten nowy rodzaj zemsty? Zasiądą do stołu, Mieczysław i jego kochanka wypiją truciznę... Dalszy opis twoje oczy zastąpią.

Zadrżał Zbigniew i zbladł na chwilę, lecz potem powstał i przycisnął do piersi zbrodniarza.

— Dobrze — zawołał — niech Mestwin pomści Zbigniewa, niech piekło odbierze piękność godną nieba! Przyjmuję, przystaję, poślesz jutro Krystyna.

Zamilkł tu książę, ale później, miotając wzrokiem na wszystkie strony, całymi piersiami zawołał:

— Gromadźcie się duchy zbrodni, uwieńczcie moje i mojego powiernika skronie! Wzywam was do walk. Odpowiedz, szatanie, odpowiedz, czybyś zdołał powziąść taki zamiar lub przystać na podany sobie? Nie, nigdy byś takiej nie czuł, nie pomyślał zemsty, boś nigdy nie czuł takiej jak ja miłości. Rumieńcie się od wstydu, duchy czarnych przepaści: śmiertelny człowiek wziął górę nad waszą nieśmiertelną złością i namiętność, w łonie syna

ziemi zrodzona, przezwyciężyła wszystkie wasze uniesienia i zapędy! Jeszcze raz dzięki ci, Mestwinie; pamiętaj wykonać, coś powiedział, niech cię żadne wyrzuty nie wstrzymają!...

— Wyrzuty, książę i panie mój? — odparł rycerz. — Nie rozumiem tego słowa i nigdy go nie zrozumiem.

— Aż kiedy prawica Boska zacięży nad tobą — rzekł ponuro Zbigniew.

Mestwin uśmiechem odpowiedział i pożegnawszy pana, odszedł do siebie.

Wróćmy teraz do nadobnej Hanny i szlachetnego Mieczysława, który u jej nóg zrzekał się najpiękniejszych w życiu nadziei.

Księżna, zostawiwszy Ulrycha, kończyła z Katarzyną swą drogę. Doszedłszy starożytnego budynku, z bijącym sercem weszła do sieni, podpartej dwoma kamiennymi słupami i następnie do samej kaplicy, w której wiecznie paliła się lampa nad małym ołtarzem, okrytym wieńcami przynoszonymi przez okolicznych mieszkańców. Nie zastała jeszcze nikogo, klękła więc przed krzyżem z dębu czarnego i ponowiła modlitwę. Ledwo wstała z kamiennych stopni ołtarza, aliści szybkie kroki słyszeć się dały. Wszedł po chwili człowiek pałający miłością i rzucił się do nóg dawno nie widzianej kobiety, która przyjaźnią tylko i szacunkiem mogła odpowiadać na jego uczucia.

Była to krótka, ale najpiękniejsza chwila w życiu Mieczysława. Schylony klęczał u stóp anioła, ciągle jego wyobraźni przytomnego, widział kochankę lat młodych wróconą sobie, w jego mniemaniu nadszedł czas oswobodzenia oblubienicy i wyrwania jej z rąk nienawidzonego wroga.

— Hanno! droga Hanno! — zawołał — błogosławmy niebu, że nam widzieć się dozwoliło, że uwolniło cię od

srogiego ciemiężcy! — I to mówiąc, ściskał rękę księżny i drżące usta przybliżał do różanych liców.

— Książę Mieczysławie! — rzekła Hanna.

— Cóż znaczy — przerwał młodzieniec — tak zimne słowo? Czyż ja księciem jestem dla ciebie? Czyż godności ludzkie jeszcze mogą znaleźć miejsce w twojej pamięci? Czyż twoje serce, Hanno, zna mnie tylko księciem? Widzę, żeś się przyzwyczaiła tak nazywać mojego wroga, że dumny syn Władysława przymuszał cię do wymawiania czczego, nic nie znaczącego nazwiska; ale też bądź pewną, że straszna kara nie ominie Zbigniewa, że ta ręka wprzódy w zimnym grobie skościeje, nim opuści miecz wzniesiony na głowę tego, który tak długo drogą kochankę poniżał!

— Książę Mieczysławie — powtórzyła Hanna, a Mieczysław zbladł — nie miotaj gróźb na własnego brata i na męża stojącej przed tobą niewiasty.

— Męża?! — krzyknął syn Bolesława — męża? Mów lepiej: wydziercę, zabójcę, zbrodniarza, uciemiężyciela!

— Książę — z powagą ozwała się Hanna — ręczę ci, że Zbigniew jest moim mężem i że moje serce nigdy dla innego miłości nie znało. Szacuję cię, Mieczysławie, uwielbiam twoją szlachetność i właśnie dlatego, żem na nią rachowała, przybyłam tutaj widzieć się z synem bohatera i zobaczyć, czy zdoła podbić własną namiętność, zakończyć niegodne z bratem i ziomkami walki i wrócić szczęście tej, którą kiedyś kochałeś.

— Kiedyś? — zawołał Mieczysław. — Zawsze, ciągle, wiecznie cię kochać będę; lecz tyś mnie nigdy nie kochała!

Skinęła Hanna na Katarzynę, a córka Gierdy wyszła do sieni, gdzie zastała rycerza zbrojnego, a chwilą potem przyciskał ją do piersi Henryk z Kaniowa.

Zbliżyła się wtenczas Hanna do Mieczysława i spoglądając nań wszystkich podbijającym wzrokiem:

— Proszę ciebie, Mieczysławie… ale prawda, nie mam prawa o nic prosić.

— Rozkaż, pani! — zawołał młodzieniec. — Ale może chciałaś mnie doświadczyć? Powiedz, może Zbigniew nie jest twoim mężem?

— Wierną przysięgłam mu miłość, a sługa Boży pobłogosławił tej świętej przysiędze.

— Żegnam cię więc, młodości — zawołał Mieczysław — żegnam cię, ziemio! Bo cóż mnie tu zatrzyma, co zwróci moje oczy na tym świecie, kiedyś znikła z mojej drogi? jakaż myśl osłodzi tęsknoty i cierpienia? Przez całe życie zmierzałem do jednego celu, darłem się na skały, gdzie kwitła róża, przebyłem przepaści, przeskoczyłem otchłanie, a różę zerwał kto inny i nadzieja w przekwitłym sercu umarła.

— Nie — przerwała rozczulona Hanna — nie sprawdzą się twoje słowa. Przeminie chwila smutku, znajdziesz godniejszą miłość, piękniejszą ode mnie kochankę, połączysz los swój z losem nie mniej kochającej dziewicy.

— Pani — rzekł smutny młodzieniec — nie wskazuj mi szczęścia, każdy twój wyraz pomnaża moje męczarnie. O wielki Boże! czym mógł spodziewać się kiedy, że ta, którą tak kochał, przywita długo nie widzianego zimnym słowem, nie odpowie uczuciom niczym we mnie nie zatartym, że odrzuci kochanka i poważną radą zaleci spokojność sercu, którego życiem dotąd jej wspomnienie było… Lecz mów, księżno, rozkaż, a wypełnię!

— Otrzyj więc szablę z krwi bratniej, odstąp od zamku mojego męża, wypełń tę pierwszą i ostatnią prośbę moją! Czuję, że nie mam prawa niczego wymagać od ciebie, że odrzuciwszy twoje uczucia, powinna bym lękać się twoich wyrzutów; ale, Mieczysławie — tkliwym głosem dodała — bądź pewny, że wdzięczność, że słodsze nawet od obowiązków wdzięczności uczucie powstanie w mojej duszy dla ciebie, że widząc cię tak szlachetnym i cnotliwym,

uznam, że gdyby nie było Zbigniewa na świecie, tobym Mieczysława kochała.

— Pierwszy raz słyszę z ust twoich to słowo połączone z moim imieniem — rzekł książę — i dla tej chwili wszystkie poświęcam niechęci, na twój rozkaz przytłumię gniew i zemstę. Pani! już zamek twojego męża świętym się dla mnie staje, bo ty w nim dobrowolnie przebywasz. Wszystko mi już niemiłym oprócz nadziei ostatniej na tym świecie, że kiedy wspomnisz o Mieczysławie, to stanie ci w pamięci poświęcenie, rzadkie między ludźmi i że bez niechęci lub zawiści usłyszysz imię człowieka, którego na miejscu młodej oblubienicy zimny grób oczekuje. Bo nie spodziewam się, Hanno, by zwiędła dusza mogła długo ożywiać te piersi. Wkrótce usłyszysz żałobne pienia, a jeśli wtenczas łza zrosi twoje powieki, wierzaj mi, ulubiona, że ta łza stanie mi za długie życie, żadną nie umilone nadzieją! Jutro ujrzysz z wież swojego zamku rozchodzące się wojska, upadające namioty. Życzę ci szczęścia, błogich chwil młodości, życzę ci szczęścia ze… Zbig…

Lecz tu ścisnęły mu się usta i język wymówić nie mógł imienia, którym brzydziło się serce. Ukłonił się księżnie i postąpił ku drzwiom, ale wzrok Hanny odwołał go jeszcze.

— Nie, księżno — odparł ponuro młodzieniec — nigdy nie łącz tych imion! Lepiej nie wspominaj o Mieczysławie, jeśli nie możesz choć na chwilę zapomnieć o Zbigniewie. Nie żądaj, bym dłoń przyjazną mu podał, bym się zbliżył do niego. Na takie poświęcenie Bogiem, nie człowiekiem być trzeba. Nie zagoją zadanej mi przez niego rany ani czas, ani uciechy. Pozwól, bym szczerze wynurzył uczucia, które aż do ostatniej chwili we mnie pozostaną. Żadna siła ni potęga nie mogłaby mnie wzbronić miłości ku tobie, a nienawiści ku synowi Władysława. Nie obawiaj się jednak szalonych wściekłości zamachów, nie patrz przerażonym wzrokiem na szablę, u boku wiszącą — przysięgam, że nigdy nie wydobędę jej na tego, którego miłość twoja ochronia!

Rozdzielamy się teraz, nasze drogi, dotąd przynajmniej w moich zjednoczone marzeniach, odwracają się od siebie. Zasiądziesz na książęcym tronie, pokryjesz boskie czoło purpurą i zadziwisz świat cały blaskiem niezrównanych wdzięków. Ja rzucam zbroję, zdzieram oznaki dostojeństwa, zrzekam się sławy, bo jej dzielić nie możesz... Żegnam cię, księżno... — I znów chciał odejść, ale wyższa nad stałe przedsięwzięcie siła zatrzymała kroki i zgięła kolana przed stopami ubóstwianej istoty... — Ostatni raz przemawiam dawną mową do ciebie... — i uchwyciwszy kraj śnieżnej szaty córki Wszebora, do ust go przycisnął. — Ulubiona Hanno! ostatni raz żegnam cię na tym świecie!

To mówiąc, wzniósł oczy do nieba, ale jak gdyby okropnym rażony odkryciem, spuścił je zaraz na dół.

— Żegnam cię — dodał — na wieki; już i w niebie nie zbliżę się do ciebie, boś mnie nigdy nie kochała na ziemi!

— A mój ojciec, drogi mój ojciec! — zawołała Hanna, ale nie słyszał już tych słów Mieczysław, bo jak tylko skończył mówić, porwał się i wyleciał z kaplicy.

— O Boże! ześlij pociechę na tak szlachetne serce! — rzekła księżna cichym głosem, łzami nadobną twarz oblewając.

Weszła wtenczas z radością w oczach Katarzyna po długiej z lubym rozmowie i przypomniała zadumanej księżnie, że czas wracać do zamku.

Czekał już u bramy Ulrych. Córka Gierdy daremno starała się wpośród ciemności rozeznać poległego już ojca. Ze zwykłą usłużnością zaprowadził giermek księżnę do jej komnat, a ostatni raz na ziemi sen nawiedził powieki Hanny z Ciechanowa.

ROZDZIAŁ XXIV

Okiełznaj rumaka i biegnij w zawody,
I żwawo Kraigdala zapraszaj na gody!
Ballada szkocka

Jeszcze słońce nie wydobyło się z ciemnych chmur, wschodnią część nieba pokrywających, kiedy Ulrych wpadł do komnaty Mestwina i pana śpiącego obudził.

— Rycerzu, odstępują nieprzyjaciele, cofają się tłumnie! Z murów sam widziałem, jak ich orszaki do miasta wracają, zwijają namioty, zasypują rowy, rozrzucają wały.

— Natychmiast zawołaj do mnie Krystyna z Mortoga! — krzyknął Mestwin i wyskoczył z łoża.

Wyszedł Ulrych, a tymczasem zarzucił suknią na siebie rycerz i lekką wdział kolczugę. Niedługo czekał na Krystyna, bo wkrótce potem ukazał się rycerz z Mortoga w zupełnej zbroi. Mestwin prosił, by usiadł i kazawszy się oddalić giermkowi, tak przemówił:

— Z woli najjaśniejszego Zbigniewa, księcia i pana naszego, udasz się, rycerzu, do księcia Mieczysława i zaprosisz go z wszystkimi panami na biesiadę, którą wyprawia nasz książę dla uświęcenia pokoju.

— Pokoju? — zdumiony powtórzył Krystyn. — A, do diabła, to coś nowego! Co, już nie będzie wojny? To muszę się wybierać z tego zamku. Czy nie słyszałeś o jakim oblężeniu, o jakiej kłótni w Polszcze? Bobym zaraz tam pośpieszył.

— Teraz śpiesz się wykonać księcia rozkazy!

— Nigdym jeszcze z pokojem i zgodą na ustach przed wrogiem się nie stawił. Nie znane mi to rzemiosło. Dla nauki każ mi dać puchar, rozumie się, dobrego i starego węgrzyna.

Sam Mestwin nalał mu ogromną czarę. Po jej kilkakrotnym wychyleniu wyszedł Krystyn i przypasawszy pałasz, na Prusakach zdobyty, puścił się w drogę.

Niemało się zdziwił, kiedy go nikt u wejścia do obozu nie zatrzymał. Żołnierze, nie spozierając nawet na niego, zwijali namioty i zbierali sprzęty. Wały rozsypane, na pół zarzucone rowy i leżące wszędzie oręże i ubiory dziwny przedstawiały widok. Zdawało się, jak gdyby nieprzyjaciel szybkim napadem rozbił trwożliwe orszaki i rozrzucił zbywającą zdobycz. Przeszedł więc rycerz pomiędzy zatrudnionymi tłumami, nie odpowiadającymi na jego zapytania, ile razy chciał się dowiedzieć o namiocie księcia Mieczysława.

— Co nam do tego? — wrzeszczeli starzy żołnierze. — Niech cię piekło pochłonie! Długośmy się bili i nie ma żadnego plonu; bez żadnej korzyści odstępujemy od murów, krwią naszą zbryzganych, jak tchórze musimy uciekać, kiedy może by za kilka dni Zbigniew się poddał. — Młodzi zaś, śmiejąc się, wojennymi piosnkami Krystynowi odpowiadali.

Rycerz, nie wiedząc gdzie się udaje, coraz się dalej posuwał, unikając męczącymi podskoki uderzenia walących się namiotów i wyrzucanych z nich zbroi przez krzyczących żołnierzy. Błądząc przez długi czas, doszedł nareszcie otwartego miejsca, gdzie już kilka tylko namiotów pozostawało. Siedział tam na koniu młodzieniec w bogatej zbroi i ręką wskazywał otaczającym sługom przeznaczoną każdemu z nich pracę. Naokoło stali w ozdobnych pancerzach rycerze, z których jeden często rozmawiał z siedzącym na koniu, a drugi, już starzec, pochyliwszy głowę, zdawał się dumać głęboko. Zbliżył się do tego grona Krystyn z Mortoga i gniewnym głosem zawołał:

— Na wszystkich czartów służących pod znakami szatana, powiedzcie mnie, gdzie ten książę Mieczysław? Od godziny go szukam i znaleźć nie mogę.

— Czego żądasz od niego? — odpowiedział młodzieniec, zwracając oczy smutkiem przyćmione na rycerza, którego twarz zarumienioną pokrywały krople sączącego się potu.

— A co tobie do tego? — odparł Krystyn. — Powiedz mi tylko, gdzie namiot księcia. Wszystkich się pytam, a nikt mi dotąd nie odpowiedział.

— Któż cię przysyła? — zapytał powtórnie mąż siedzący na koniu.

— Już mi cierpliwości nie staje! — krzyknął Krystyn, wyrywając miecz z pochwy. — Mów, gdzie Mieczysław, bo inaczej stawię się przed nim z twoją krwią na moim pałaszu!

— Jeśli więc tak pragniesz wiedzieć, gdzie książę Mieczysław, powiem ci, że tu jest i że ja nim jestem.

— Przepraszam — wcale nie zmięszany zawołał Krystyn — przepraszam, mości książę, alem niecierpliwy zwyczajnie. Przysyła mnie książę i pan mój Zbigniew. Zowię się, nawiasem, Krystynem z Mortoga i niejednego z twoich żołnierzy zabiłem. A więc pan mój i książę zaprasza cię dzisiaj z wszystkimi panami na biesiadę. Winem rozlew krwi zakończycie, a pokojem miłą mi nade wszystko wojnę. To niegodziwym jest, to niesłychanym tak wcześnie pokój zawierać! Na Boga, gdyby zależało ode mnie, całe bym życie walczył i rąbał wrogów, w nocy bym nawet się potykał, w dnie powszednie bitwy bym zwodził, w święta po mszy już mały pojedynek by mnie zaspokoił.

Zaprosiny Zbigniewa niezmiernie zadziwiły Mieczysława, ale pomyślał, że żona wszystko mu powiedzieć musiała. Z początku chciał je odrzucić; ale kiedy wystawił sobie, że jeszcze raz ujrzy Hannę z Ciechanowa, że jeszcze nadarza się sposobność pożegnania się z kochanką i oglądania boskich jej wdzięków, nim znikną dla niego na zawsze, odpowiedział Krystynowi, że nie omieszka za kilka godzin przybyć do zamku z swoimi panami.

Nierad temu Sieciech brwi zmarszczył, ale mieniąc, że wstydem by się okrył, opuszczając księcia, idącego do wroga, który czarną może knuł zdradę, przystał na ten układ. Wszebor, który zupełnie prawie przytomność umysłu stracił od chwili, w której się dowiedział o zamęściu córki, pomieszanym tylko na księcia i posłańca poglądał okiem.

Krystyn, dodawszy słów kilka o sztuce robienia mieczem, odszedł sążnistym krokiem i wkrótce potem zdał sprawę Mestwinowi z odbytej wyprawy, przeklinając zarazem cały obóz i mówiąc, że żołnierze Mieczysława nie znają grzeczności, winnej znakomitym rycerzom.

Potarł sobie ręce Mestwin z wyrazem zadowolenia i odwróciwszy się, rzekł po cichu:

— Nie sądziłem jednak, żeby taki z niego był szaleniec. Myślałem, że długo przynajmniej trzeba go będzie namawiać; ale jak najlepiej się stało, sama zwierzyna leci na oślep w zastawione sidła. Żegnam cię, rycerzu, pójdź do mnie i pokrzep się węgrzynem, ja muszę gdzie indziej się udać!

Posłuszny radzie, pośpieszył Krystyn z Mortoga do komnaty niemieckiego rycerza, gdzie zastawszy Ulrycha, zaczął z nim długą rozmowę o sztuce wojennej, odwilżając często usta wybornym winem.

W północnej wieży, na wysokim piętrze, był niewielki pokój, w którym siedział teraz starzec, otoczony mnóstwem ksiąg i narzędzi. Często, kiedy wszystkie światła w zamku pogasły, migał się tam jeszcze przez żelazne kraty kaganiec oświecający mozolne mędrca prace. Schylony nad trudnym do wyczytania pismem lub z piórem w ręku, dochodził on przyczyn poruszających ludzkie ciało i skutków nań od innych przedmiotów wywieranych. Właśnie teraz w naukach starał się odkryć nową dla cierpiących ulgę i co chwila ciężkie książki dźwigał z ziemi i przewracał ich pargaminowe kartki. Przed nim na stole leżały ludzkie kości i trupia głowa. Dalej świeciły przy promieniach słońca,

przez okno się przedzierających, noże i kleszcze rozmaitej wielkości, ogromna szkatułka, na pół roztwarta, rozliczne ukazywała narzędzia, a u stóp Abrahama z Hamburga rozciągniony był na podłodze trup zabitego w oblężeniu żołnierza, obłożony woniami i korzeńmi. Przy ścianach stały rzędem oparte ciała poległych wojowników, obwinięte w zasłony napojone ostrymi płynami, oddalającymi od nich zepsucie śmierci i skutki czasu. Dwie szafy strzegły drzwi na pół roztwartych, którymi właśnie teraz wychodził młody sługa i zarazem uczeń Abrahama, chcący po długich pracach na wolnym odetchnąć powietrzu; pomimo rozkazu nauczyciela zostawił flaszki rozłożone po wszystkich kątach i szybkim krokiem się oddalił.

Wkrótce potem ciężkie stąpania słyszeć się dały po schodach wiodących do mieszkania lekarza, a on jednak nie odwrócił głowy i oczu nawet nie podniósł. Po kilku chwilach wszedł Mestwin z uśmiechem posępnym na ustach, ale obrócony tyłem mędrzec nie zważał na jego przybycie.

— Witam cię — rzekł rycerz.

Te słowa nie otrzymały żadnej odpowiedzi.

— Przybywam z prośbą do ciebie.

Zamyślony starzec sądził, że uczeń, zapalony miłością nauk, wrócił do niego.

— Zapewnie chcesz — odpowiedział więc — zrozumieć, jak krew rozlewa się po żyłach i po sercu; ale teraz nie mam czasu.

— Wcale tego nie żądam od ciebie, choć pod innym względem potrzebuję twojej pomocy.

— Dozwól mi kilka chwil wolnych, a tymczasem wylej na tego trupa płyn zawarty w czarnej flaszce. Jest to lekarstwo ze wszystkich najmocniejsze, mogłoby nawet martwe ciało ożywić, ale od czasu Eliasza Bóg dwunastu pokoleń nie dozwolił tak twórczej siły słabemu człowiekowi. Przepowiadam ci jednak, że przyjdzie czas, w którym nowe

płyny odkryją w przyrodzeniu. Nie wiem, jakiego one będą gatunku; może śmiertelni potrafią wykraść niebu cząstkę piorunów, a wtenczas umarli wstaną z grobów i śmierć zaginie.

— Do szatana, starcze, powiedz mi, jaka trucizna najmocniejsza!

— Poradź się, mój uczniu, dzieł Al Darema, tu leżących, lub raczej Jana z Alkontares, oto je masz! — i wtenczas odwrócił się starzec, podając księgę, ale poznawszy Mestwina, powstał i nisko się ukłonił.

— Trucizny mi daj, trucizny, Abrahamie!

— Jakiej? Czy wolisz płyn ten jasny? On zabija natychmiast.

— To mi się na nic nie przyda.

— Może ten czarny przypadnie ci do smaku:zwierzę, które go wypije, dwa lata jeszcze pędzi życie wśród boleści...

— I takiego nie potrzebuję — przerwał rycerz — Daj mi trucizny niechybne sprawiającej skutki w pół godziny, ale niech zarazem głos zupełnie w piersiach przytłoczy.

Rozjaśniło się czoło starca, radość zabłysnęła w oku.

— Właśniem taką wczoraj odkrył! — krzyknął z uniesieniem. — Jest to najpiękniejszy wynalazek, nikomu dotąd nie znany. Zapewnie ci już mój uczeń o nim mówił, on wszystko rozgaduje. Chcesz bez wątpienia dziwnych jej skutków na zwierzęciu jakim spróbować?

Porwał Mestwin flaszkę, pełną morderczego płynu.

— Tak — zawołał — na najpodlejszym zwierzęciu, bo na człowieku! — i wyszedł, a starzec, nie dosłyszawszy prędko wymówionych wyrazów, znów w zawiłe nauki się pogrążył.

Szybko przebiegł rycerz schody, schowawszy truciznę za giętką kolczugę. Uniesienie dzikiej radości ukazywało się w gwałtownych poruszeniach, lecz kiedy kogo napotykał, zmieniał zaraz wyraz twarzy na surowy i posępny. Zmierzał

przez długie ganki i ciemne korytarze do komnaty Zbigniewa; rozemknąwszy podwoje, wszedł do niej po cichu, zamykając śpieszno drzwi za sobą.

Tajemna rozmowa niedługo trwała, a kiedy wychodzący ukazał się Mestwin, znać było na twarzy wyższy jeszcze zadowolenia stopień. Żarzącymi się oczyma miotał na wszystkie strony, jak gdyby chciał odkryć jaką okropnym zamiarom przeszkodę i odkrytą znieść natychmiast; lecz nim oddalił się z przedpokoju księcia, umiał sobie poważną nadać postawę i stanu duszy jeden ślad tylko w szyderskim uśmiechu pozostał.

Z tym więc nieodstępnym najczarniejszych uczuć godłem zwrócił kroki do mieszkania ofiary swojej zemsty i za kilka chwil stanął przed Hanną z Ciechanowa, której blade lica i zsiniałe usta wydawały smutki i tęsknoty, ale zarazem rozlany był na czole urok czarujący, w oczach świetniał ogień, wyższy nad wyrzuty ludzi i zdawało się, że jasność przyszłej nieśmiertelności już zabłysła nad bliskim rozprzęgnienia ciałem.

Nie uczuła księżna zwyczajnej niespokojności za ukazaniem się zbrodniarza, bo cnota wzniosła ją tak wysoko nad podłe śmiertelnych zamachy, że nią uszlachetnione serce już bojaźni nie znało.

Grzecznym ukłonem przywitał ją rycerz z Wilderthalu i nim przemówił, długo wlepiał wzrok posępny w piękność, którą niezadługo zimna śmierć w swoje miała okuć więzy; lecz różny od innych ludzi, nie uczuł żadnej zgryzoty sumienia, owszem, na widok nadludzkiej urody tym większą pałał żądzą jej zgładzenia, bo jemu przeznaczoną nie była. Z niewymowną więc radością tak zaczął:

— Pani, twój mąż, a mój pan i książę, kazał ci oznajmić, że dla dogodzenia twoim chęciom złożył oręż i pokój zawarł. Dziś jeszcze sproszeni na biesiadę dawni jego nieprzyjaciele przybędą do zamku. Prosi cię, byś przyjęła z należną okazałością księcia Mieczysława i innych panów, między

którymi i twój ojciec będzie. Sam zaś Zbigniew, nagłą wstrzymany słabością, spodziewa się, że go w tej okoliczności zastąpisz; może przy końcu biesiady, do której już wszystko sporządziłem, książę się ukaże dla przywitania miłych gości.

— Powiedz księciu — odparła Hanna, przewidując jakieś nieszczęście — że jego rozkazy świętymi są dla mnie.

Chciał Mestwin jeszcze coś dodać, ale księżna drzwi mu wskazała i musiał odejść. Ostatni jego wzrok przepowiadał zagubę.

Zrozumiała to Hanna i mocniejsze nad względy ludzkie jej serce zwróciło się ku niebu, ku pierwszej ojczyźnie, którą niezadługo oglądać miała.

ROZDZIAŁ XXV

...i skonania bliska,
Padła niema, to nogi ściskając książęce,
To załamane k'niemu wyciągając ręce.
Mickiewicz

Nadzwyczajny ruch panował w zamku Zbigniewa. Wszędzie biegli to żołnierze, to sługi w bogatych ubiorach, noszący sprzęty i kobierce, które rozciągali w ogromnej sali, przeznaczonej do biesiady. Stół, cały środek tej komnaty zajmujący, dźwigał złote i srebrne naczynia, w których spoczywały świeże owoce pomięszane z wonnymi kwiatami; puchary, lśniące się drogimi kamieńmi, odbijały blask stu pochodni unoszących się nad tyloma pysznymi świecznikami. Palące się kadzidła lekkie rozsyłały dymy po całej przestrzeni, a tymczasem tłoczyli się ludzie obciążeni obiciami, które, rozwinąwszy, zawieszali na ścianach i kolumnach, ozdobnych bogatymi kolczugami i pancerzami. Wieńce z lilii i dębowych liści, sztucznie rozrzucone, plątały się ze zbrojami zewsząd połyskującymi; słowem, najświetniejsze ujrzano przygotowania na przyjęcie księcia Mieczysława i obfite skarbce Zbigniewa na ten koniec wypróżniono z zapełniających je bogactw.

Już wieczorna gwiazda zabłysła na niebie, kiedy otworzyły się bramy z łoskotem na głos chrapliwego rogu. Mestwin, postąpiwszy o kilka kroków, powitał w imieniu Zbigniewa księcia Mieczysława, który przybył na koniu z Sieciechem, Wszeboremi Skarbimirem, Za nimi ukazywał się mały orszak, złożony tylko z Jarosza z Kalinowy, Bardana i Henryka z Kaniowa. Nie chciał bowiem szlachetny syn Bolesława z liczniejszymi towarzyszami przybyć do wroga. Ufający zawsze w cnotę innych, nie posądzał Zbigniewa o czarne i zgubne zamiary, a potem pragnął dać dowód

ukochanej Hannie, o ile jej zamek i jej męża, choć nie cierpianego, zawsze poważa dlatego jedynie, że był jej mężem.

Puszczono wszystkich na podwórzec zamkowy, gdzie stojący żołnierze z wszelkimi uszanowania znakami przyjęli znakomitych gości, a wtenczas znów bramy zawarto i rycerz niemiecki oznajmił synowi Bolesława, że nagle zasłabł brat jego, ale że to żadnej przeszkody nie stawia wesołej biesiadzie, przygotowanej dla uświetnienia upragnionej zgody, gdyż sama księżna zastępować będzie chorego męża.

Na te słowa zadrżał Skarbimir, Sieciech mimowolnie miecza się dotknął, ale Mieczysław uczuł spadający ciężar z serca, gdyż przytomność Zbigniewa zatrułaby jemu całą smętną przyjemność, którą sobie obiecywał z widzenia raz ostatni i pożegnania na zawsze najdroższej kochanki.

Wszebor ani się zasmucił, ani uradował, gdyż od rana w zupełnym stanie odrętwienia zostawał; jego umysł albowiem, niespodzianym ugodzony ciosem, całkiem dawną siłę utracił. Szedł on z towarzyszami z pochyloną głową, nie wiedząc, dokąd się udaje i kilka razy nawet mówił Sieciechowi, iż mu się zdaje, że przybył do swego ciechanowskiego zamku.

Zaprowadził Mestwin księcia Mieczysława do gotowej sali i prosząc, by poczekał przez chwilę, poszedł donieść Hannie o przybyciu gości.

Powoli, przybrana w lśniące się od złota suknie, wyszła z swoich komnat księżna. Każdy krok zbliżający ją do miejsca, w którym się ojca zastać spodziewała, pomięszanie jej pomnażał; nareszcie stanęła na progu sali zbladła i z drżącymi pod sobą nogami. Lecz kiedy miłość ku ojcu przemogła nad trwogą sprawioną przez pamięć zwyczajnej jego surowości, nie zważając na licznych wodzów, szybko postąpiwszy naprzód, nie witając się z nikim, padła do nóg

pana Ciechanowa i rękę ojcowską do bladych ust przycisnęła.

Nie poznał starzec córki i kilka kroków odstąpił; lecz kiedy głos dziecięcia uderzył mu uszy, zdało się, jak gdyby całą siłą woli gromadził uszłe z osłabłej duszy wspomnienia, jak gdyby dawnymi uczuciami chciał gwałtem rozdarte napełnić serce. Zbliżył się do klęczącej księżny i pocałunek złożył na anielskim czole; nawet rękę wyciągnął i zaczął znak krzyża, lecz właśnie w tej chwili opuściła go pamięć i stanął jak wryty, obracając na wszystkie strony wzrok, nie wyrażający już jak dawniej wewnętrznych uczuć, bo już tych uczuć nie było.

Szczęściem nie domyśliła się księżna prawdziwego stanu ojca i powstała, a wtenczas z prawdziwe królewską godnością przyjęła wojewodę krakowskiego i podskarbnika, choć łza stoczyła się z oczu, kiedy przyszło spojrzeć na Mieczysława.

Mestwin stał z boku, dając licznym sługom rozkazy, a jednak żadne słowo, żadne poruszenie nie uszło jego uwagi i im bardziej zbliżała się straszna godzina dla osób poświęconych jego zemście, tym więcej rozjaśniało się czoło zbrodniarza.

Wtenczas wszedł do sali Jordan z Krystynem z Mortoga, niewiadomi gotujących się nieszczęść; oba, ukłoniwszy się księżnie, uścisnęli Sieciecha, wielbiąc męstwo, które nieraz niebezpieczeństwem im zagrażało. Nie mniej też uprzejmie przywitał się z nimi wojewoda krakowski i zaczął rozmowę o pięknej zamku obronie. Mieczysław, przystąpiwszy do księżny, powtarzał smutne oświadczenia i obietnice. Wszebor stał za nim, a twarz jego nic nie wyrażała oprócz cielesnych boleści, przez wiek, znoje i tęsknoty sprowadzonych.

Wtem Henryk z Kaniowa nachylił się do ucha Mieczysława i kilka słów wymówiwszy po cichu, prosił

jednego z ludzi dworu Zbigniewa, by wskazał mu Katarzyny komnatę i natychmiast z nim się oddalił.

W głębi sali, zasłonionej przez grube arkady w łuk zagięte i kolumny z marmuru i w miejscu, do którego kilka tylko śmielszych światła dochodziło promieni, stał wysoki mężczyzna w ogromnym czarnym płaszczu. Często chował się za filarami, choć ta ostrożność niepotrzebną była, gdyż nikt nie myślał, opuściwszy środek sali, świetnej przepychem i blaskiem pochodni, pogrążać się w jej ciemne i żałobne zakątki. Bezpiecznie więc mógł mąż nieznajomy z obranego stanowiska poglądać na osoby, stół biesiadniczy otaczające. Kilka razy zwrócił oczy na Mieczysława, z Hanną rozmawiającego. Wyrazów niepodobna mu było dosłyszeć dla szmeru i odległości, lecz rumieniec księcia, gwałtowne jego poruszenia oznaczały niezgasłą namiętność, coraz więcej żywości nabierającą, a wtenczas mąż czarny podniósł rękę i sztylet wyrwał spod płaszcza; ale nim do ostrza go z pochwy wyciągnął, znów schował i tylko strasznym pojrzał na księżnę wzrokiem, tak strasznym, że mógłby żywą istotę w martwego trupa przemienić. Wnet jednak potem oczy odwrócił w inną stronę, jak gdyby popędliwej chciał uniknąć pokusy i oparłszy się o kolumnę, choć jego lica bladły i rumieniły się na przemian, stał w milczeniu. Jej godziny już w jego myśli były liczone; właśnie teraz wnieśli słudzy ciężkie, srebrne półmiski i złożyli je na uginającym się pod naczyniami stole.

Wtenczas Mestwin w imieniu księcia Zbigniewa i małżonki jego zaprosił Mieczysława do biesiady, a następnie wojewodę krakowskiego i pana Ciechanowa. Do Skarbimira nie raczył i słowa przemówić. Najwyższe siedzenie pana zamku próżnym zostało, niższe nieco zajęła księżna, z drugiej strony książęcego krzesła zasiadł Mieczysław, a przy samej Hannie posadzono Wszebora; po nim następował Sieciech, dalej rycerze domu Zbigniewa, a

na samym końcu Jarosz z Bardanem miejsca zajęli. Mestwin nie usiadł, ale zatrudniał się porządkiem całej biesiady.

Na wszystko uważający tajemniczy mąż w czarnym stroju, posunąwszy się cichym krokiem dalej, stanął przy jednym z najbliższych stołu filarów.

Poważna rozmowa, wszczęta między Sieciechem a Jordanem, to ustawała, to znowu się zaczynała. Mieczysław, przedzielony od ukochanej książęcym siedzeniem Zbigniewa, kilka słów tylko czasem mógł do niej mówić. Wszebor spijał w milczeniu puchar starego wina, nie domyślając się nawet, że siedzi przy córce. Często łzawe oczy nań księżna zwracała i napotykała zawsze zimny wzrok ojca, a uważając znamię pomięszania zmysłów za oznakę gniewu, trapiła się smutkiem, podwojonym nieprzytomnością męża, który by jeden tylko zdołał ją pocieszyć.

Smutna więc i rzadko ożywiona rozmową ciągnęła się biesiada, choć przepych naczyń, dobór potraw i napojów, połączony z miłą kwiatów i kadzideł wonią, powinien był ją najświetniejszą uczynić. Ale choć brzmiały rycerskie trąby i słodkie piszczałki, choć wszędzie lały się drogie wina i rozsypane paliły się bursztyny, wszystkie twarze, piętnem posępności nacechowane, sprzeczny z okazałością ich otaczającą przedstawiały widok.

Jeden tylko Krystyn z Mortoga, zachowując zwyczajną wesołość, użalał się na prędkie wojny zakończenie i rozprawiał to z Jordanem, to z Bardanem o różnych broni rodzajach i gatunkach najlepszych rumaków.

Kiedy już ostatnie wniesiono danie, złożone z najwykwintniejszych utworów ówczesnej sztuki kucharskiej, zbliżył się do księżny dotychczas oddalony Mestwin z lśniącym się od szafirów i diamentów pucharem i klęknąwszy przed nią:

— Księżno — rzekł — jest zwyczaj, że pan tego zamku, wypiwszy do połowy tę czarę, oddaje ją najznakomitszemu

gościowi, który ją winien do reszty wychylić. Teraz, w nieobecności księcia Zbigniewa, ten obowiązek na ciebie spada.

Po tych słowach złożył w ręce Hanny błyszczący roztruchan i kiwnął na grających w drugiej stronie, by przestali. Może chciał wszystkie uczucia, przez muzyczne tony rozpierzchnione, zebrać na tę jedną chwilę, w której miał zemstę nasycić, a choć ta chwila tak ważną, tak wyroczną dlań była, nie wydał ani głosem, ani twarzą żadnego wzruszenia; owszem, im bardziej ona się zbliżała, tym więcej zimnej krwi nabierał i nie dozwalając namiętnościom wrzeć w piersiach, z spokojną rozwagą gotował się do patrzenia na tak długo oczekiwany widok, który przez wiele dni i nocy cały jego umysł zajmował i wszystkich chęci był celem.

Wzięła w śnieżne dłonie Hanna z Ciechanowa puchar i powstała z siedzenia.

Dzikim wzrokiem ścigał wszystkie ofiary poruszenia Mestwin, natężył wzrok i słuch, jak gdyby podwojonej chciał doznać rozkoszy, a z milczenia zalegającego całą salę wzniósł się dźwięczny, choć nieco drżący głos córki Wszebora.

Ostatnie słowa na ziemi z całym wdziękiem piękności i słodyczy wymówiła. Twarz jej rozjaśniona, oczy, w niebieskich promieniach błyszczące, zachwyciły wszystkich, a Mieczysław uczuł odnawiającą się w sercu namiętność i rozpacz.

— Książę — obracając się do niego, rzekła Hanna — niechaj dziś błogi pokój zwaśnionych połączy rodaków i niech zaginie pamięć okrutnej niezgody! O mnie walczyłeś, kiedym już twoją być nie mogła. Przyjm za to wobec zgromadzonych tu panów, wobec ojca mojego szczere dziękczynienia serca, które umie cię szacować i każe wdzięczność ci winną oświadczyć! Na znak zgody przyjm ode mnie ten puchar zwyczajem naszych naddziadów!

To mówiąc, podniosła do ust, które na chwilę wszystkie wdzięki róży odzyskały, puchar śmierci, a potem podała go księciu, a Mieczysław do dna go wychylił; lecz kiedy chciał oddać roztruchan, ujrzał kochankę zbladłą i rozciągnioną na krześle, a sam uczuł truciznę w piersiach się rozlewającą jak ognisty potok i opuściwszy nieszczęsny puchar, upadł na własne siedzenie, nie mogąc nawet jęku najmniejszego wydać, choć najsroższe bóle rozrywały spiekłe wnętrzności.

Wtenczas Mestwin, nasycający wzrok tym obrazem, klasnął w ręce, a wnet mąż czarny, dotąd stojący za oddalonym filarem, wystąpił spoza niego na środek sali. Tu płaszcz zrzucił na ziemię i książę Zbigniew bez zbroi, z wiernym tylko mieczem u boku, ukazał się przerażonym i zdumionym tego zdarzenia widzom.

— Giń! — zawołał groźnie, wyciągając prawicę ku synowi Bolesława. — Odkąd Boga i rycerstwa święte zgwałciłeś ustawy, uwodząc występku, a teraz i kary spólniczkę, przestałeś być godnym mojego żelaza. Trucizna jego zastąpiła miejsce. Giń więc, przeklęty i niech żaden z was, tu przytomnych, nie biegnie im na ratunek, bo nimby dobiegł, już by ten sztylet tkwił w jego piersiach.

Tych słów domawiając, zebrał całą odwagę, by spojrzeć na nieszczęśliwą księżnę; ale kiedy zoczył wszystkie jej członki drżące, usta zsiniałe, ściśnięte zęby, włosy rozwiane — przeląkł się własnej zbrodni i odwrócił wzrok pomięszany. Wtenczas ognisty rumieniec rozlał się po jego twarzy, włosy powstały na głowie, pierś wzdęła się wstrzymywanym namiętności wybuchem i okropny wyraz uniesienia zajaśniał posępną światłością w żarzących się oczach.

— Wszeborze — krzyknął — takeś córkę wychował? Dzięki ci składam, wpoiłeś w serce piękne uczucia!

O tak, zdradziła człowieka, który jej wszystko poświęcił. Ojcze tej występnej niewiasty, sam wydaj na siebie wyrok, czyś niegodzien straszliwej kary!

Ale pan Ciechanowa nie słyszał lub przynajmniej nie rozumiał tych wyrazów, bo w ciągłym odrętwieniu spokojnie poglądał na umierającą przy nim i nie znaną już córkę.

Na domiar nieszczęścia o uszy konającej Hanny obiły się słowa Zbigniewa. Nieszczęśliwa widziała jeszcze osłabionym wzrokiem męża zapamiętałość i u brzegu wiecznego rozstania nie mogła odpowiedzieć na zarzuty, bardziej serce rozdzierające niż sama trucizna. Czasami tylko kiedy ból się zmniejszał, by zaraz potem srożej udręczać, zwracała oczy na męża, ale nigdy nie mogła spotkać wejrzenia Zbigniewa. Jedyna ta pociecha, wydarta ostatnim jej chwilom, nierównie okropniejszymi je czyniła. Nareszcie zebrawszy ostatek mocy, wzywała w myśli Boga nie dla siebie, ale dla Zbigniewa, dla ojca. Mieczysław rzucał się obok niej i pianą okryty, to czołgał się na podłodze, to bezsilną ręką starał się miecza dobyć, by się zemścić tak srogiego i zdradzieckiego zgonu.

Przystąpił do niego z założonymi na piersiach rękoma syn Władysława i z wściekłym uniesieniem wpatrywał się w rysy wroga, zeszpecone boleścią. Za nim stojący rycerz z Wilderthalu zatapiał przenikający wzrok w twarz księżny, na której cała moc trucizny nie zdołała jeszcze zatrzeć ostatku piękności. Każde poruszenie nieszczęśliwej, każdy znak cierpienia, każdy postęp śmierci, zwycięsko walczącej z życiem, stawał się nową uciechą dla okrutnego Mestwina, a jeśli kiedy zachmurzało się jego czoło, to z bojaźni, by za prędko nie ustały boleści, szarpiące poświęconą na zagubę ofiarę.

Nareszcie wrodzone uczucie ludzkości przemogło w Zbigniewie nad żądzą zemsty i pomimowolnie cofnął się o kilka kroków od Mieczysława, który, nie mogąc mówić, jeszcze śmiałym wzrokiem wytrzymywał posępne nieprzyjaciela wejrzenia. Ramiona syna Władysława opadły i dreszcz lodowaty wstrząsł silnym ciałem, ale w tej samej chwili uczuł usta z tyłu będącej osoby, przyciśnięte do

własnej ręki. Przejęty trwogą i rozpaczą, już zaczynającą nim miotać, odwrócił się książę i ujrzał żonę, ostatnie tchnienie wyziewającą na jego drżącej dłoni. Jeszcze chwilowy uśmiech słodyczy okrasił twarz smętną, napiętnowaną zgonem, modlitwa, krótka jak myśl przemijająca, ale czuła jak pierwsze westchnienie miłości, wzniosła się ku niebu, poprzedzając czystą duszę, która już opuściła martwe ciało Hanny z Ciechanowa, choć jej śnieżna ręka jeszcze przedłużonym ściśnięciem żegnała się z dłonią, tyle razy dla niej w srogie uzbrojoną żelazo.

Ten widok zwątlił całą siłę Zbigniewa i już, schyliwszy się ku ziemi, miał upaść bez zmysłów, kiedy przedłużony, okropny uśmiech wyrwał go z słabości. Podniósł oczy, ujrzał twarz Mestwina, a cała wściekłość zdradzonej miłości na nowo podżegnęła osłabłe piersi. Skoczył do Mieczysława, którego prawica trzymała na pół wydarte z pochwy żelazo. Podniósł sztylet i trzymał go w górze nad głową śmiertelnego wroga i oczy zatopił w bladawym jego licu, ale wtem rozciągnął się na ziemi syn Bolesława, rzucił raz jeszcze dumnym naokoło wzrokiem, a potem skłonił młodzieńcze skronie i przynajmniej zgonem z kochanką połączony, skonał.

Wszyscy w osłupieniu i trwodze patrzyli na tak niespodziane i okropne zdarzenie. Nikt podczas mąk obojga nieszczęśliwych nie pomyślał o ich pomszczeniu; jak gdyby do swoich miejsc przykuci, spoglądali z przerażeniem na młodość opuszczającą ziemię, na piękność przyćmioną boleściami, na wściekłość księcia i zimną rozwagę Mestwina; lecz kiedy wszystko się skończyło, jak gdyby piorunem uderzeni, porwali się z dotychczasowego odrętwienia. Pierwszy Sieciech, dawszy znak Jordanowi, dobył ogromnego miecza i zmierzając wprost ku księciu:

— Zbigniewie! — zawołał — zerwałeś wszystkie związki łączące poddanego do syna monarchy, umieraj więc z mojej ręki!

Jordan i Krystyn z Mortoga zasłonili pana; uśmiech pogardy mignął na ustach Zbigniewa i za świśnięciem Mestwina orszak zbrojnych żołnierzy wdarł się do sali z głośnymi okrzykami.

Wnet mnóstwo dzikich wojowników otoczyło Sieciecha, Wszebora, Skarbimira, Jarosza i Bardana.

— Uchódź, Sieciechu — zawołał Zbigniew — z mojego zamku, zostaw te trupy! Dusze, ożywiające ich za życia, zbrodnią i zdradą oddychały. Oddałem zbrodnię za zbrodnię i zdradę za zdradę. Oddalcie się wszyscy! Precz stąd, dopóki bramy otwarte; ich zawarcie oddzieli was na zawsze od świata!

— Uchódźmy! — drżącym głosem rzekł pan Gulczewa. — Puśćcie mnie, puśćcie mnie, dobrzy panowie!

— Czy się jeszcze wahasz? — zapytał Zbigniew, a sklepienie z migającej stali wzniosło się nagle ponad głową odważnego wojewody.

— A więc odejdę — odrzekł z wolna Sieciech — odejdę, mości książę, lecz mam nadzieję, że przyjdzie czas, w którym, nie strzeżony tłumem siepaczów, sam stawisz się moim, już raz doznanym, ciosom.

Ten wyraz obudził w sercu Zbigniewa chęć nowej zemsty.

— Dobrze! Rozstąpcie się, żołnierze! Lecz Mestwin wystąpił i zawołał:

— Panie mój i książę, jeśli go zabijesz, powiedzą, żeś go zamordować kazał.

Natychmiast uczuł Zbigniew słuszność tej uwagi i powtórzył rozkazującym głosem:

— Precz stąd wszyscy!

Zmuszony koniecznością, wojewoda porwał w swoje objęcia siedzącego dotąd przy zmarłej córce Wszebora i wraz z towarzyszami zamek opuścił.

ROZDZIAŁ XXVI

...Jej rozum znękany
Opuścił ster myślenia, wzrok jej dziko lata,
Blask, co świeci w jej oku, nie jest z tego świata.
Byron

Pamięta zapewnie czytelnik, że Henryk z Kaniowa przed biesiadą jeszcze wyszedł z sali w towarzystwie jednego z sług dworskich, który się ofiarował go zaprowadzić do komnaty. W milczeniu postępował za nim dumający młodzieniec, nie zważając na miejsca, po których go wiedziono. Nareszcie poznał, że jest w lewym skrzydle zamku, najbliżej Wisły leżącym i wnet potem wskazał mu przewodnik drzwi z dębu czarnego. Rzucił się Henryk, miłością wiedziony i rozemknął podwoje, ale okropny obraz nagle jego oczy uderzył i śmiertelny mróz ścisnął mu serce, wrzące przed chwilą ogniem najsilniejszej namiętności.

W pokoju, czarnymi obiciami zasępionym, leżała niewiasta, srogimi dręczona bólami. Rumieniec gorączki podwajał z daleka urok wdzięków, w oczach płonął nadzwyczajny ogień, po którego natężeniu łatwo można było się domyśleć, że już niedługo miał ożywiać tak świeże dawniej i zawsze rozweselone lica; paciorki różańca, rozsypane na ziemi i krzyż z kości słoniowej, pęknięty we dwoje, dowodziły nieszczęśliwego stanu osoby, przypatrującej się jemu dzikim wzrokiem z łoża śmierci. Stanął o kilka kroków od niej Henryk i nie mógł wstrzymać żałośnego westchnienia.

Obudzona tym głosem lat jego młodych kochanka odpowiedziała jękami i wskazując na sztylet i szyszak, niedaleko na podłodze leżący:

— Zabili, zabili go — zawołała — on go zabił, a jednak tak był wierny zawsze, tak mnie on kochał!

Nie mógł już dłużej wytrzymać rycerz i rzuciwszy się, przycisnął do piersi drogą Katarzynę; z przerażeniem wtenczas uczuł krew, gwałtownie we wszystkich jej żyłach bijącą i widział płomienie choroby coraz bardziej ogarniające twarz, do róży dawniej podobną. Najczulszymi wyrazami zaklinał oblubienicę, ażeby się nie oddawała rozpaczy; choć nie znał jej przyczyny, prosił o wytłumaczenie tak nagłej słabości.

— Wczoraj — rzekł — tak piękną, żywą, tak wesołą byłaś!

— Bo wczoraj jeszcze ojca miałam — odparła Katarzyna.

— Któż go zabił, kto? — krzyknął Henryk wzniesionym głosem. — Mów, a znajdziesz mściciela!

Wskazała dziewica na leżący szyszak i nie mogąc dalej mówić, schyliła twarz rozognioną na miękkie wezgłowia.

Podniósł Henryk szyszak i sztylet. Ten ostatni niemieckiego był kształtu i po pilnym przejrzeniu postrzegł na nim wyrytego węża.

— To oręż Mestwina! — zawołał.

— A to szyszak mojego ojca — odparła Katarzyna i posępnie spojrzała wokoło. — Mojego ojca! Tak, ten, który mi dał życie, który własne tyle razy dla Zbigniewa narażał, taką nagrodę odebrał z rąk Mestwina! Przyniósł mi dzisiaj żołnierz ten hełm, znaleziony na brzegu Wisły obok sztyletu.

— Zapewnie go opuścił Niemiec, zadawszy cios śmiertelny, a ciało pchnął w rzekę — przerwał Henryk, wpatrując się w szyszak, okryty czarnej krwi plamami.

Katarzyna znów wpadła w obłąkanie i z niewinnej, wesołej dziewczyny słaby tylko ślad pozostał na ustach, które wśród płomienistych rysów twarzy, rozognionego wzroku przeszłych, błogich chwil piętno zachowały.

— Droga, ulubiona kochanko — zawołał Henryk, zbliżywszy się do łoża — nie rozpaczaj, oddal od siebie

okropne obrazy! Postradałaś ojca, ale ja ci zostaję, ja, który wszystko uczynię dla Katarzyny, który pomszczę niewinność i zbrodniarza spętanego do twoich stóp przywlokę. O jedyna życia mego nadziejo! nie opuszczaj mnie, poznajże głos Henryka, głos tyle razy słyszany, który dawniej wśród lasów, niesiony po rosie, dolatywał z dala do twoich uszu! Dawniej widziałaś za granicami naznaczonymi oku ludzkiemu białe pióra mojej czapki, połysk mojej szabli, a teraz blisko ciebie nie poznany stoję! Ja jestem, Katarzyno, ja, twój Henryk, obudź się, patrzaj na mnie!

Patrzała nań kochanka, ale jej oczy nie miłością świetniały; ponury ogień w nich błyszczał, a ręce, wyciągnięte ku leżącemu sztyletowi, dowodziły przedmiotu nieustannych myśli.

— Katarzyno — zawołał już w rozpaczy młodzieniec — wierz moim słowom! Jeszcze szczęście wszystkie róże swojego wieńca złoży na twoich skroniach. Błogie dni młodości nie upłyną nam wśród trosk i udręczeń, rozwidni się przyszłość luba. Wystawisz grób ojcu, wiosna go przyozdobi swoimi kwiatami. Co dzień, ale wsparta na moim ramieniu, odwiedzać go będziesz; odzyskasz, coś straciła, w tym, co ci zostało. Ziemia jeszcze przedstawi ci miłe obrazy, jej ułudy nie zginęły dla twojego serca; uspokój się, zdaj się na opiekę Boga i obronę mojej szabli, a pomszczę ciebie i szczęście ci wrócę!

— Szczęście — przerwała córka Gierdy — jest to marzenie! Szczęście! Nierozsądny, szalony był, kto pierwszy to słowo wymówił na ziemi. Szczęście na tym padole zgryzot? O nie, to kłamstwo, to słodka trucizna, której szumne nadano imię. Precz stąd! Ty mnie kusisz, ty chcesz mnie wciągnąć w przepaść, ty kłamiesz, ty jesteś szatanem... — i podnosząc się nagle, odpychała go rękoma — ty kłamiesz, bo masz śmiertelną, ludzką postać, a wymówiłeś słowa bez znaczenia na ziemi, ty jesteś człowiekiem, a mówisz o szczęściu! — Potem osłabiona, z

przerażeniem na twarzy, opadła, przyciskając spiekłe czoło do żelaznych łoża prętów.

— Pomnij na Boga i na świętą Jego sprawiedliwość — zawołał rycerz. — Zlituj się nade mną, zlituj się, ulubiona! Czyż chcesz mojej śmierci?

— O nie, Henryku! — odrzekła dziewczyna głosem nie oznaczającym już pomięszania, na chwilę bowiem ustąpiła gorączka i bladość zajęła miejsce rumieńca, kryjącego dotąd jej lica. Lecz po tych słowach daremno siliła się dalej: mówić; ruszała ustami, ale żaden głos z nich nie wychodził i daremno Henryk z Kaniowa, objąwszy ją w ramiona, przyciskał kochankę, jak gdyby chciał część własnego życia z swych piersi w jej łono przelać.

Wtem szybkie, kroki dały się słyszeć na pobliskim korytarzu, w oddaleniu wzniosły się tłumne głosy, ozwał się szczęk orężów i wnet drzwi z hukiem się otworzyły i wpadł młodzieniec, Henryk sięgnął do oręża, ale nowo przybyły, choć był pomięszany i dzikim wzrokiem patrzał naokoło, nie zdawał się mieć nieprzyjacielskich zamiarów, owszem, przybiegł do rycerza i ścisnąwszy za rękę:

— Przynajmniej jednego ocalę! — zawołał i spojrzał na Katarzynę, która, usiłując powstać, z trudnością imię Ulrycha wymówiła.

— Chodź — rzekł giermek — twój pan otoczony, wojewoda w niebezpieczeństwie!

Dobył pałasza Henryk:

— Gdzie? Prowadź!

Ale zatrzymał wylatującego z komnaty Ulrych.

— Wierz moim słowom, sam nic nie zdziałasz, biegnij lepiej do obozu!

— Już nie ma obozu, wojsko do miasta się przeniosło.

— A więc do miasta biegnij, jeśli ci miłe życie twojego pana!

— Wskaż wyjście! — po chwili namysłu odpowiedział rycerz.

Ulrych klucz mu oddał i oznaczył miejsce, przez które przeszedłszy, mógł się dostać na otwarte pole.

Rzucił Henryk wzrokiem miłości na kochankę, której już widzieć nie miał i wyleciał z pokoju. Namiętność ustąpiła miłości w prawym sercu rycerza.

Ulrych sam się został przy łożu Katarzyny. Przez niejaki czas niewzruszony na nią poglądał, ale nagle łzy przedarły się przez powieki i czułość niedopsutej jeszcze duszy ozwała się dla pocieszenia ostatnich chwil nieszczęśliwej ofiary.

Walczył jeszcze z sobą giermek, ale zdało mu się zbrodnią ukrywać prawdę i nie wyznać zdrady przed tą, której zgonu po części był sprawcą. Rzucił się więc do stóp łoża i w obłąkaniu wyrzekł:

— Już się wszystko zakończyło: księżna nie żyje, Mieczysław z nią wypił truciznę, a ja was zdradziłem! Chciałem ci przynajmniej jedną wyświadczyć przysługę, ratując kochanka. Zasługuję na twoje przekleństwa, ale nie przeklniesz człowieka, który ocalił to, coś najdroższego na tym świecie miała.

Rażona okropnym wyznaniem, córka Gierdy uczuła w duszy tysiączne cierpienia. Śmierć ojca i śmierć ukochanej pani spadły na jej serce jak piorun niebios, który dzieła pracy ludzkiej w proch zamienia, a jednak w wzroku przez nią rzuconym na klęczącego giermka znać było więcej przerażenia niż gniewu. Ostatnie słowa Ulrycha odwróciły myśl stroskanej córki i przyjaciółki do miłej nadziei, że luby przynajmniej ocaleje, że zostanie ktoś po jej zgonie na ziemi dla błagania za nią Stwórcy i że choć jedno serce zadrży na jej wspomnienie. Łzy giermka przekonały ją o szczerości jego zgryzot i sama płakać zaczęła. Jakaś smętność, łagodniejsza od dotychczasowego żalu, rozlała się w jej duszy. Żegnała się spokojniej z otaczającym światem, z

większą ufnością podnosiła oczy ku niebu, którego cząstkę tylko widzieć mogła przez wzniesione okno. Kilka gwiazd, świecących na czystym błękicie, obudziło jej przeczucia i nadzieje. Zdało się umierającej dziewicy, że promień bliskiej nieśmiertelności przedarł się przez kraty, że dusza, wkrótce odlecieć mająca, przywdzieje złotą jego barwę i w okazałości anioła wzbije się do Stwórcy. Pośród tych myśli uczuła powolne omdlenie, ujmujące miękkimi więzami wszystkie członki. Im bardziej wznosił się jej umysł, tym mniej doznawała cielesnych boleści; a kiedy nareszcie zdało się jej, że już zaczyna nadpowietrzną drogę i słyszy harmonijne arf anielskich dźwięki, jej ziemska powłoka zupełnie czuć przestała i wszystkie uczucia zgromadziły się w daleko szlachetniejszej części życia, w odlatującej duszy — i już Katarzyna skonała.

Opuścił Ulrych zdrętwiałe ciało i wyszedł, zakrywając twarz obuma rękami.

Tymczasem Sieciech śpiesznie przechodził wraz z towarzyszami pole dzielące zamek od miasta. Bardan z Jaroszem podpierali drżącego Wszebora, który, uśmiechając się czasem, wspominał o bojach, w młodości odbytych. Już byli blisko miejskich okopów, kiedy tętent koni w najszybszym wypuszczonych pędzie dał się słyszeć i wnet potem ukazał się na rumaku rycerz w zupełnej zbroi, wiodący za sobą orszak pancernej konnicy. Wojewoda z zadziwieniem poznał swoich ludzi.

— Gdzie tak pędzicie? — zawołał, kiedy go już mijali.

Poznał ten głos naczelnik hufcu i przybiegł do wojewody.

— Czy już nie ma nadziei? Gdzie książę?

— Ciszej — przerwał Sieciech — ciszej, już po wszystkim! Zdrada zakończyła życie bohatera!

Na te słowa ciężki jęk wydał rycerz i podniósł przyłbicę, a wszyscy poznali Henryka z Kaniowa.

— Przysięgam zemstę! zawołał i ubódł konia ostrogą, ale Sieciech go zatrzymał.

— Zawarte bramy, setne hufce ich strzegą; zginiesz i zginiesz bez zemsty.

Ta uwaga uderzyła młodziana i zwrócił konia.

— Do króla lecę — zawołał — sprawiedliwość mi odda!

— Zaczekaj, jeśli Bóg ci miły! — krzyknął Sieciech. — Nic nie zrobisz, przerazisz słabego Władysława, zemdleje i na tym się skończy. Poczekaj do jutra, poproszę biskupa, by go o tym uwiadomił.

— Biskup właśnie dzisiaj wyjechał — ozwał się Skarbimir — i dopiero za dwa dni wraca.

— Więc król za dwa dni się dowie — rzekł Sieciech.

— Na Boga, mości wojewodo krakowski — krzyknął Henryk — tak mówisz o tym okropnym zdarzeniu jak o najprostszej rzeczy! Puszczaj mnie, wojewodo, puszczaj!

— Nic z tego nie będzie — stanowczym głosem odparł Sieciech — i jeśli rozważysz moje słowa, przystaniesz na mój zamiar; inaczej każę cię przytrzymać.

Złożył ręce na piersi Henryk i dumał, nareszcie rzekł spokojniej:

— Niech się wola Boska dzieje, ale przysięgam zemstę! I wszyscy obrócili ku miastu.

ROZDZIAŁ XXVII

Przekleństwo ojca wszystkie na ziemi niweczy nadzieje.
La Bruyère

Drugi już był dzień upłynął od zawarcia pokoju i rozpuszczenia wojska oblegającego, a jeszcze nic pewnego nie wiedziano w Płocku o losie księcia Mieczysława. Rozlegały się wprawdzie pogłoski, ale ciemne, tak powikłane, że z nich niczego dojść nie można było.

Niektórzy utrzymywali, że syn Bolesława został na godach u brata jego; ale dlaczegóż, pytali się drudzy, wyłączył Zbigniew od nich Sieciecha? Dlaczegóż przybiegł dawny giermek księcia wśród nocy do miasta i obudziwszy śpiących żołnierzy, poleciał na ich czele, a kilka chwil później wrócił? To wszystko szerokie otwierało pole domysłom, to bliższym, to dalszym od prawdy. Ta niepewność była skutkiem ostrożności Sieciecha, który oczekując biskupa Stefana, zabronił towarzyszom odkrywać zdarzenia tak okropnego i tyle nieszczęśliwych skutków pociągnąć mogącego. Smutek jednak, rozlany po twarzy Henryka z Kaniowa, wymowniej od słów oznaczał stan jego serca; stąd niektórzy dziwne i rozmaite wyciągali wnioski, a wszyscy gotowali się do odebrania wieści o wielkim nieszczęściu.

Już noc nadeszła i deszcz jesienny zaczął spadać na ziemię, wiatr silny pogasił kagańce, palące się przed bramą królewskiego zamku i w zupełnej go pogrążył ciemności. Rzadko kto tamtędy przechodził i ulice bezludne smutnym ciągnęły się pasmem czarnych domów, oblanych rzęsistymi potokami. Wewnątrz zamku nie widziano już światła oprócz w jednej z komnat, w prawym skrzydle leżących. Tam bowiem nie tylko lampa świeciła, ale oprócz niej jeszcze zapalony w szerokim kominie ogień buchał jasnym

płomieniem. Przy ognisku siedział w krześle wojewoda krakowski z pucharem w ręku; za nim stał Wolimir z Moskorzewa, którego wesołość i zwyczajne żarty nie mogły pobudzić już do śmiechu dumającego Sieciecha, a trochę dalej Skarbimir z Gulczewa małymi, błyszczącymi oczyma wpatrywał się niewzruszony w twarze towarzyszów, jak gdyby chciał koniecznie domyśleć się ich uczuć.

— Dobrze się stało — rzekł Wolimir — żeśmy wyprawili starego Wszebora do Ciechanowa, bo cóż by tu robił?

Tu przerwał mu odgłos zbrojnej stopy, zbliżającej się powolnymi krokami do drzwi komnaty.

— Cóż to za sokół, tak późno przylatujący? — zawołał pan Moskorzewa.

Ledwo tych słów domówił, aliści otworzyły się podwoje i ukazał się mąż wysokiego wzrostu w zupełnej zbroi i z spuszczoną przyłbicą. Wszystkie jego poruszenia, chód, postawa nadzwyczajną powagę i godność wydawały. Podniósł śmiało głowę, jak gdyby pogardzał otaczającymi i nie powitawszy żadnego z nich, dobrze znajomy drogi, zbliżył się do drugich drzwi i zniknął w długim korytarzu, wiodącym do komnaty króla Władysława.

Rzucili się za nim Wolimir i Sieciech, ale skinął tylko ręką rycerz, a kiedy posuwali się dalej, stanął i założył ręce na piersi.

— Jak się zowiesz? Kto jesteś? — krzyknął Sieciech. — Tu króla mieszkanie.

— A więc dobrze — odparł nieznajomy — bo właśnie chcę się z królem widzieć.

Po tych słowach podwoił kroków rycerz, otworzył drzwi komnaty Władysława i przymknął je za sobą.

Wolimir już miecza dobywał, sądząc, że to może jaki morderca, ale Sieciech go wstrzymał.

— Wracajmy, głos jego poznałem!

Król polski siedział w szerokim krześle, a jeden z jego dworzan w bogatym ubiorze odmawiał mu litanie, stojąc o kilka kroków, kiedy wszedł mąż zbrojny. Ten widok przeraził monarchę, ale rycerz odkrył przyłbicę, a Władysław rozciągnął ramiona i ścisnął nimi ukochanego syna.

— Dobrześ zrobił, Zbigniewie, żeś sobie ojca przypomniał. Dobrześ zrobił, żeś zawarł pokój, żeś zaprosił Mieczysława do siebie. Piękne tam musiałeś wyprawiać gody; zaiste szkoda, że mi wiek nie dozwolił dzielić waszej radości. Dobrześ zrobił, synu, o dzięki ci, Boże! Niechże ci pobłogosławię, mój synu!

Zbladły i pomięszany stał przed ojcem Zbigniew, bo idąc do niego, nie spodziewał się takiego przyjęcia, nie spodziewał się słyszeć słów tak łaskawych; przybył zobaczyć jeszcze raz ojca i oddalić się na długo, może na zawsze; ale kiedy zamiast gniewu dobroć, zamiast przekleństw błogosławieństwo go spotkało, wzdrygnął się na myśl, że tak dobry, czuły ojciec zobaczy za chwilę wszystkie nadzieje powiędłe i radość zniszczoną. Jednak klął przed rodzicem i schylił czoło, a Władysław położył mu ręce na głowę i wezwał Boga sprawiedliwości, by nagrodził cnotę syna i ciągle nad nim czuwał.

Po tym tkliwym obrzędzie powstał książę i kazał oddalić się dworzaninowi.

— A więc — ozwał się Władysław — już Wszebor odzyskał córkę, Mieczysław narzeczoną, a ty czyste sumienie.

Milczał Zbigniew, starając się oddalić chwilę wyznania, ale słysząc pochwały Władysława, uczuł, że niegodnym było dłużej uwodzić ojca i króla, a kiedy monarcha zapytał się po drugi raz:

— Więc już pewno, mój synu, Mieczysław i Hanna na zawsze zostali połączeni?

— Tak — odpowiedział uroczystym głosem — połączeni na zawsze w grobie! — A potem rzucił się do stóp króla i w krótkich słowach zdradę żony opowiedział i zbrodnie wyznał.

Trudno opisać wrażenie, jakie uczyniła na duszy ojca mowa księcia. Kołysany dotąd miłym złudzeniem, że Zbigniew wrócił na prawą drogę, ujrzał w jednej chwili wywrócone nadzieje i syn szlachetny, który poświęcił ojcu i krajowi najgorętszą namiętność, zamienił się w jego oczach na wyrachowanego zbrodniarza i zimnego brata i żony mordercę. Nie przygotowany do tak strasznej nowiny, uderzony nagłym odkryciem bez poprzednich domysłów lub przeczuć, uczuł starzec cały ciężar lat i rozpaczy, spadający na serce. Krew w żyłach się ścięła i przez chwilę nic nie widział, nic nie słyszał. W obłędzie i zamęcie wyobrażeń zdawało mu się, że już ziemię porzucił i cierpi męki piekła, których tak za życia się obawiał. A tymczasem książę Zbigniew wciąż klęczał u stóp jego i czekał ostatniego wyroku. Choć i on zapewnie w okropnym był położeniu, zachował jednak całą spokojność i pewny rodzaj dumy, pochodzącej z uczucia dopełnionej bez obawy i trwogi powinności, błyszczał na ponurym czole, jak ostatni promień zachodzącego słońca, który, czarne przedzierając chmury, jeszcze raz żegnał się z zieloną łąką i srebrnym strumieniem.

Wtem wrócił do życia król Lechii, a zarazem do najsroższych cierpień; ujrzał przy sobie syna i z drżeniem odsunął krzesło, wyciągnął bladawe ręce, twarz odwrócił i pamięć na brata, którego syn zginął, na nieszczęśliwego Wszebora, któremu daremno sprawiedliwość obiecywał, zajęła zupełnie jego umysł. Zdało mu się, że występki syna nań spadną w dniu ostatecznego sądu i że Bóg, sam każe mu Zbigniewa ukrócić.

— Morderco! — zawołał — precz z moich oczu! Bez woli ojca, sprzecznie z chęcią narodu, pojąłeś za żonę

oblubienicę brata, by potem potargać związki, święte przed niebem, godną piekła zbrodnią. Wyrzekam się imienia ojca, nie znam już ciebie, oddaję cię Boskiej i ludzkiej sprawiedliwości; nic cię nie ochroni od wyrzutów i zgryzot! Rycerzem, księciem być już przestajesz, spadłeś poniżej człowieka! Dzieci cię palcami wytkną, wołając: „To morderca brata i żony!” Zginiesz marnie, przepowiadam ci, zginiesz od żelaza zabójcy, zginiesz z najbliższej ręki! Bóg odwraca oblicze od ciebie, a ja cię przeklinam…

Lecz jak tylko wyrzekł to słowo wyroczne, zatrzymał się, jak gdyby sam nie wierzył sobie, spojrzał na księcia, a kiedy ujrzał szlachetną jego postawę i głowę pokornie, choć jeszcze z ostatkiem dumy, schyloną przed ojca wzrokiem, zalał się łzami i zapomniawszy o wszystkim, o synu tylko pamiętał.

— Nie, Boże! — zawołał — nie wysłuchaj nierozważnych słów człowieka w rozpaczy! Odwołuję to, com wymówił!

— Już się stało, panie i ojcze mój — rzekł poświęcony na wszystko Zbigniew — ostatnie nieszczęście już mnie dotknęło. Straciłem ubóstwianą dawniej istotę, imię moje, świetne niegdyś, pokryłem zasłoną obrzydzenia i zawiści. Tego jeszcze nie dostawało, ale i to rączym przyleciało skrzydłem. Może prędzej, obarczony ludzi i ojca przekleństwami, życie zakończę, a wtenczas lepiej będzie. Teraz żegnam cię, ojcze; jeszcze dzisiaj opuszczam to miasto i udaję się do mojego zamku na Pomorzu. Żegnam cię, kochany ojcze. — I to mówiąc, ze łzami w oczach ścisnął kolana króla i ostatni pocałunek złożył na jego ręce.

— Nie, nie przekląłem cię — rzekł osłabiony Władysław.

— Już się stało — odparł mocnym głosem Zbigniew — i twój wyrok już zapisany w księdze przeznaczenia.

Po tych słowach oddał głęboki pokłon i wyszedł; ale jak tylko drzwi oddzieliły go od jedynej osoby, od której niższym się uznawał na ziemi, zmienił i postawę i wyraz twarzy. Schyloną dotąd z uszanowaniem głowę podniósł wysoko,

smętność zamknął w głębi serca, a jej znamię spędził z blądawego lica, na którym pycha się została. Zamiast chwiejących się kroków, poważny chód przybrał i nieustraszona śmiałość zabłysła na czole, jak gwiazda nocy na błękicie niebios. Kiedy doszedł do komnaty, gdzie siedział wojewoda z towarzyszami, groźno spojrzał na wszystkich i prawicę złożył na rękojeści miecza, a potem, obracając mowę do Sieciecha:

— Zatrudnij się — rzekł — wojewodo krakowski, pogrzebem tych, co mnie zdradzili. Ich ciała leżą w biesiadowej sali. Takie zlecenie daje ci syn twojego króla, odjeżdżając na Pomorze.

Wszyscy, milcząc i osłupieni, słuchali tego głosu, który tyle razy grzmiał w bojach, a teraz jeszcze po najokropniejszych wypadkach nic z swojej mocy nie stracił, a choć brzydzili się widokiem tak okrutnego człowieka, choć się już zdawało, że patrzą na poświęconą sprawiedliwemu gniewowi niebios ofiarę, przejęci śmiałością, nie śmieli ani odpowiedzieć, ani najmniejszym nawet poruszeniem wewnętrznych uczuć wyjawić.

Zostawił ich książę i tym samym poważnym, którym wszedł, krokiem oddalił się od wojewody, dosiadł konia, czekającego nań przy bramie i puścił się wśród ciemności dobrze znaną drogą do swojego zamku.

Stały już tam pod bronią szeregi, mające towarzyszyć księciu w dalekiej drodze. Nielicznymi pochodniami oświeceni, żołnierze podobni byli do czarnych duchów oczekujących na zdobycz, a kiedy Zbigniew wleciał między nich na rumaku, pianą okrytym, kilka tylko okrzyków: „Niech żyje nasz książę!”, zmięszało się z świstami wiatru. Jordan i Krystyn objęli dowództwo nad hufcami porzucającymi zamek, który przez trzy miesiące był świadkiem ich poświęcenia dla pana i dzielnej odwagi.

Książę odmienił konia i naprzód wyruszył. Mówili później żołnierze, że choć wiatr gwałtowny i ciemność wydzierały

ich uszom głosy, a oczom przedmioty, niezawodnie zdało im się, jakoby Zbigniew westchnął, odjeżdżając i wyciągnąwszy ręce, załamał je w rozpaczy. Pochodnia przez jedną tylko chwilę oświeciła twarz jego, a choć błyszcząca przyłbica nie kryła liców, odbił się promień o coś świetnego na nich i przez chwilę tylko zdała się ta twarz okryta jaśniejącymi łzami.

Wtem rycerz z Wilderthalu zawrócił konia i przybiegłszy do orszaku z tyłu postępującego, skinął na jednego z ludzi go składających. Wnet wysunął się on z szeregów i zaprowadzony przez Mestwina pod mury zamkowe, spytał się o rozkazy.

— Pomyślałem i rozważyłem — rzekł rycerz — a stąd wypływa, że się tu zatrzymasz wraz z ludźmi, w zamku pozostałymi. Bądź na pogrzebie waszej wielmożnej księżny! Ach! ach! ach! jakże się nam udało, mój giermku! Gdyby stary skąpiec chciał się z czym wygadać, gdyby mnie wydać zamyślał, niech twój sztylet pierwej jego serca dojdzie niż jego słowa otaczających uszów! Nie spuszczaj go z oka, wszędzie mu bądź towarzyszem, ale nieznacznie, a potem przybiegnij do nas na Pomorze!

— Stanie się, jakeś rozkazał, panie i rycerzu mój — rzekł Ulrych, a Mestwin spiął konia ostrogami i zniknął.

ROZDZIAŁ XXVIII

Wszyscy znają zachwycającą tkliwość
pogrzebnego obrzędu. Któryż bowiem
człowiek tyle był szczęśliwym,
że nigdy nie przyszło mu odprowadzać
do grobu ukochanej istoty?
Ale jestże co tkliwszego, kiedy ten
obrzęd ma za przedmiot zwłoki
niewinności i piękności, zwiędłej w
kwiecie życia?
Washington Irving

Nad wieczorem, przy pogodzie jesiennej, mnóstwo ludu napełniało pole dzielące Płock od zamku, opuszczonego przez księcia Zbigniewa. W tym zbiorze tylu osób wszystkich stanów największy panował porządek i nawet lekkiego nie słyszano szmeru. Wszystkich oczy spuszczone na dół i posępne twarze dowodziły niespokojnego oczekiwania jakiegoś zdarzenia, a z dala dzwony kościoła katedralnego nieustannie brzmiały; z drugiej zaś strony, z dziedzińca zamku, wznosiły się smutne śpiewy księży i zakonników. Setne pochodnie, czerwonawego dymu obłokiem przesłonięte, błyszczały nad murami i basztami. Czarna chorągiew, zatknięta na wieży, nie wzruszona stała, bo najmniejszy nawet powiew wiatru cichości i spokojności nie przerywał. Uroczysty zapewnie był obraz, roztaczający się przed okiem widza. Tu tłumy ludu w bojaźliwym milczeniu, tam gmach żałobny, oświecony światłem żałoby i uwieńczony sztandarem śmierci. Pienia, unoszące się po powietrzu, dochodziły uszu otaczających. Nie były to lekkie, wesołe pieśni, przy godach lub świętach używane, ale surowe, uroczyste tony, wznoszące się ku niebiosom za

duszami, które porzuciły ziemię; było to harmonijne wynurzenie żalu, bardziej do ogólnego jęku niż do śpiewu podobne. Ruch nadzwyczajny ukazywał się w zamku; wszędzie biegali słudzy, księża, rycerze, wodzowie, a nareszcie za znakiem danym z wieży zaczął się smutny obrzęd pogrzebu Hanny z Ciechanowa i Mieczysława.

Najprzód z bram zamkowych wyszedł biskup Stefan, ze zgrozą na czole, a krzyżem złotym w ręce; za nim tłoczyło się mnóstwo zakonników i duchownych, a każdy z nich trzymał pochodnią. Posuwali się krok za krokiem, odmawiając modlitwy głosem poważnym i smutnym; dopiero za nimi okazywały się mary, na których wierni, starzy żołnierze nieśli syna tego, pod którym Kijów zdobyli. W zupełnej zbroi leżał młodzieniec i z spuszczoną przyłbicą, bo aż zanadto okropne ślady zostawiła trucizna na jego twarzy; ręce, w krzyż złożone, trzymały rękojeść miecza, który, tyle razy zwycięski, szedł dzielić los pana w zimnym grobie.

Stąpał za ciałem księcia dzielny jego rumak, pokryty całkiem czarną zbroją, a prowadziło go czterech giermków w żałobie. Dalej szedł orszak żołnierzy z spuszczonymi dzidami i w ciemnych pancerzach.

Dopiero za tym hufcem następował wóz, purpurowym suknem pokryty i przez sześć koni ciągniony. Na purpurze spoczywała, w śnie śmierci piękna jeszcze, Hanna z Ciechanowa. Oczy zawarte i zsiniałe usta śmierci znamię nosiły, ale nad czołem wznosił się wieniec z myrtu, przeplatający swoje zielone listki z złotą książęcą koroną. Włosy, rozpuszczone z obu stron, spadały jak dwa błyszczące z kwiecistej góry strumienie. Ubiór raził przepychem oczy patrzących, które dopiero spocząć mogły na twarzy, z której anielską słodycz jeszcze ani śmierć, ani zepsucie zetrzeć nie zdołały. Wszystkim łzy w oczach stawały, a tymczasem przesuwał się wóz, niosący do

ostatniego mieszkania zwłoki niewiasty, której nieba pozazdrościły ziemi.

Zaraz za księżną na niższym wozie leżała nieszczęśliwa Katarzyna. Jej ubiór składał się z śnieżnej sukni, niebieską wstęgą przepasanej, z krzyża srebrnego na piersiach i wieńca z róż białych. Obok jej mar postępował Henryką chcący odprowadzić aż do ostatniej granicy tego świata drogą oblubienicę. Szedł rycerz z Kaniowa z posępnym czołem, a czasem, odrywając wzrok od lubej Katarzyny, ścigał nim niesionego Mieczysława i nagle przechodząc od cichej ponurości do gwałtownego gniewu, otoczony trupami tylu drogich osób, pozbawiony prędkiej zemsty, tłukł piersi żelaznymi rękawicami lub wściekle to wyjmował, to chował do pochwy swój oręż.

Tu dopiero, za ostatnim wozem, tłoczyły się tłumy pospólstwa, panów, rycerzy, to pieszo, to konno, wojewoda krakowski na czele swojego orszaku, Wolimir z Moskorzewa i wielu innych; ale pomiędzy wszystkimi szedł zbladły i drżący człowiek w brudnych i starych sukniach. Wiek podeszły był u niektórych wymówką jego bojaźni, bo mógł się straszyć na widok śmierci, wyciągającej już do niego ramiona; ale bliżsi jego znajomi powtarzali sobie do ucha imię Skarbimira z Gulczewa i dziwne z jego bladości wyciągali wnioski.

Wtem nagle fale runącego ludu uniosły go w pędzie aż do miejsca, gdzie stanęli żołnierze niosący księcia i wozy, na których leżały zwłoki Hanny z Ciechanowa i jej towarzyszki. Tu zatrzymały się tłumy, a biskup płocki zaczął odmawiać modlitwę wraz z otaczającym go duchowieństwem.

Pan Gulczewa, zewsząd ściśnięty i popychany, musiał stać wprost naprzeciw ciał osób, których zgonu po części był przyczyną. Przerażający ten widok, smętne wszystkich twarze przejęły starca bojaźnią; śpiewy, wznoszące się ku niebu, zdały mu się wołać o pomstę na sprawców zbrodni.

Powoli mięszać się myśli zaczęły, w każdego oku zapalczywość spostrzegał, każdy oręż błyszczący zdał mu się w własne skierowany piersi; uległ nareszcie pod ciężarem wspomnień i upadł zemdlony. Zaraz otoczyli go właśni ludzie, którzy się przez tłum przedarli, a wojewoda krakowski kazał go zanieść do miasta.

Przerwany na chwilę tym przypadkiem obrzęd ciągnął się dalej z tą samą powagą i uroczystością jak pierwej. — Coraz bardziej mrok zapadał, a szkarłatne na zachodzie chmury co chwila bladszymi się stawały. Wtenczas zapalono niezliczoną ilość pochodni i całe zgromadzenie, uwieńczone tysiącznymi światłami, dalej się posunęło. Zbroje, bogate duchownych ubiory, suknie panów połyskiwały z dala, a pochodnie niesione przy wozie księżny, zlewając czyste promienie na twarz bladawą, złotą jej barwę nadawały i były obrazem na ziemi promieni chwały; otaczających jej duszę w niebiosach. Niebo, białawą, przeźroczystą mgłą pokryte, przyćmionymi tysiącznymi oczyma patrzało na obrzęd pogrzebu, tak, jak gdyby smutek ziemi mógł się był udzielić sklepieniom nieśmiertelności; a każda kropla rosy, spadającej w cichości na pola, wydawała się być łzą posłaną od aniołów w hołdzie nieszczęśliwym.

Wszystkich myśli zwróciły się do Boga. Obraz posępnej nocy, towarzyszącej posępniejszej jeszcze śmierci, przejmował nie zrozumianą, nadludzką trwogą. Wszystkie serca, czy to pod rąbkiem niewieścim, czy pod żelazną zbroją ukryte, zarówno temu wpływowi podlegały. Nie było różnicy w uczuciach tak różnych stanem i zatrudnieniami ludzi, każdy zapominał o rzeczywistości, pogrążając się w marzeniach; a tymczasem zbliżali się do kościoła katedralnego, którego dzwony coraz głośniej słyszeć się dawały.

Za przybyciem do świątyni stanął biskup i lud cały pobłogosławił, a potem kazał wnieść ciała umarłych pod święte sklepienia. Wszystkie ściany i filary, czarnym

suknem obite, żałobny widok przedstawiały. W środku kościoła Mieczysław, obok Hanny postawiony, zwrócił wszystkich oczy. Po odśpiewaniu modlitw i litanii przystąpił Stefan do pochowania ich zwłoków. Do dolnych grobów znieśli ciała najznaczniejsi panowie i urzędnicy, a tam zimny kamień przywalił serca tak piękne, tak namiętne za życia. Mniejszy głaz z marmuru zakrył obok Katarzynę przed oczyma Henryka i wszystko się zakończyło.

ROZDZIAŁ XXIX

Już nad nim Boga rozciągnięta ręka.
Melodie hebrajskie

Już tydzień upłynął po pogrzebie, biedy dnia jednego przybył do biskupa płockiego zdyszany Bardan i po krótkiej z nim rozmowie prędko się oddalił. Wnet potem Stefan wraz z kilkoma duchownymi i dworzanami udał się do mieszkania podskarbnika królewskiego, gdzie nadzwyczajne panowało zamięszanie. Na samym progu spotkał szanowny kapłan wojewodę krakowskiego, który mu oznajmił, że od czasu pogrzebu wpadł skarbnik w niebezpieczną słabość, nie wstrzymaną żadnymi sztuki lekarskiej środkami i że teraz, czując bliski koniec, prosił, by wezwać biskupa, wobec którego i kilku innych panów chciał wyznać ciężkie jakieś winy.

Zmarszczył brwi biskup na te słowa i gorzko westchnął.

— Czyż zawsze zbrodnie — zawołał — ziemię ci w obrzydzenie podawać będą, o Boże! — i szedł za Sieciechem.

Pokój, w którym leżał pan Gulczewa, nosił oczywiste jego skąpstwa dowody. Ściany, żadnym nie zasłonięte obiciem, pokryte były ogromnymi plamami wilgoci, która gdzieniegdzie nawet w kroplach się sączyła. Kilka słomianych stołków widziano tu i owdzie stojących, a łoże z najgorszego drzewa stało przy brudnym stole. Twarz Skarbimira, zawsze odrażająca, okropniejszą jeszcze teraz się stała. Wyrzuty sumienia wyryły na niej ślady swojej zemsty, a oczy, dawniej tak żywe, na pół przymknięte były, bo już światło słońca było ciężarem zbrodniarzowi. Naokoło stali w przerażeniu dworzanie i sługi, a między nimi znany przez Bardana Ulrych, który podług rozkazu pana na krok nie odstępował podskarbnika od czasu jego zasłabnięcia.

Często zostawał z nim sam na sam, lekarstwa mu podawał, ale nie miał serca zabijać bezbronnego i czekał, aż ostateczna konieczność do tego go zmusi. Zdziwił się wprawdzie nieco za przybyciem biskupa i zaczął mieć podejrzenia! „Może — pomyślał — chce, przestraszony bliskością zgonu, wyznać wszystko? Ale, na Boga, dopełnię mego pana rozkazy, bo wierność pierwszą jest cnotą, a potem ten stary skąpiec niegodny ani życia, ani imienia człowieka.” Zbliżył się wojewoda z biskupem; za nimi szło kilku innych panów, pomiędzy którymi wmięszał się i Henryk z Kaniowa.

Na widok Stefana podniósł się trochę Skarbimir i głowę schylił, a potem osłabionym ozwał się głosem:

— Panowie, czuję śmierć bliską. Szanowny kapłanie, już kończę życie, ubogi, biedny, samotny; widzisz, nie mam nawet porządnej komnaty ani dobrego łoża, gdzie bym spokojnie dech ostatni mógł wyzionąć; ale to wszystko zniósłbym jeszcze, gdyby nie okropne wspomnienia. Tak, dalej mówić nie mogę, wzdrygam się.

— Chrześcijaninie umierający — rzekł mocnym Stefan głosem — skrucha i żal mogą cię z toni piekła wznieść pomiędzy szczęśliwych aniołów. Wyznanie winy przede mną samym, jeśli się ciebie tylko tyczy, przed wszystkimi, jeśli i inne osoby dotyka, jest twoją powinnością; bez jej wypełnienia nie trafisz do nieba.

Przerażony Skarbimir spuścił oczy, a potem się odezwał:

— Ach! jakąż sławę zostawię po sobie?

— Obieraj — zawołał Stefan — ziemską sławę lub szczęście niebieskie!

— Ach! męki piekła! Wyznam wszystko. Tak, biskupie płocki; ja jestem przyczyną śmierci księcia Mieczysława i Hanny z Ciechanowa…

Ale tu dalej mówić nie mógł.

Wtem wszczął się rozruch między otaczającymi; przedarł się przez nich młodzieniec i zbliżył do łoża z przeciwnej strony tej, gdzie stał wojewoda. Sieciech dostrzegł coś dziwnego na twarzy Ulrycha i położył rękę na szabli, a tymczasem giermek schylił się ku podskarbiemu dla podania mu lekarstwa, a postawiwszy potem flaszkę na stole, szybko sztylet wyciągnął i wzniósł do góry; ale prędzej jeszcze wojewoda długiej szabli dobył i w mgnieniu oka podstawił ją pod spadającą rękę młodzieńca. Odleciała odcięta od ramienia prawica, ściskająca sztylet, a Ulrych ciężki krzyk wydał i upadł bez zmysłów. Natychmiast wojewoda schwytać go i w kajdany okuć rozkazał; biskup zaś ledwie oddychającego już Skarbimira po raz drugi zaklął, by wyjawił skryte i tak ciężkie, jak wydawało się, zbrodnie. Ale Skarbimir ostatni raz już pasował się z śmiercią; okropny rumieniec wystąpił mu na lica i wzdęły się żyły, ciągnące się sinymi pasmami na czole. Gardło gwałtownymi ruchami dowodziło trudności oddychania, a nareszcie wybuchnęła nosem, ustami i uszami czarnym krew potokiem. Biskup przycisnął do ognistych liców krzyż srebrny. Ciężkie westchnienie wydał podskarbnik i podniósłszy się trochę, umoczył palec w własnej krwi, a potem niekształtnym pismem na ścianie napisał: „On wie.” Po tym ostatnim wysileniu utracił całą siłę i upadł na zbroczone łoże. Chwilą potem ustały jego gwałtowne ruchy, rozciągały się drgające członki i zmartwiały.

— On wie — powtórzył biskup i wskazał na Ulrycha, który, odzyskawszy zmysły, wściekle poglądał na odciętą rękę i bezwładne już ramię.

Natychmiast wojewoda, Henryk z Kaniowa i insi, otoczywszy młodzieńca, zaczęli mu liczne zadawać pytania; ale giermek Mestwina z pogardą na nich poglądał, usta ściśnięte trzymając. Najsroższe bóle żadnego jęku mu nie wydzierały. Spokojny, śmiałym wzrokiem odpowiadał na badania otaczających, a choć pęta ciało mu ściskały, dusza

jego wolną się wydawała, a choć krew sączyła się z rany, nie słabł umysł i z podwojoną męką podwójnej nabywał siły.

Niecierpliwy Sieciech dobył miecza i groźnie wzniósł go ponad głowę Ulrycha. Młodzieniec uśmiechem wzgardy i obojętności wyraził wewnętrzne uczucia i najmniejszego znaku przerażenia nie dał. Długo jeszcze starali się przytomni dowiedzieć się czego, lecz milczenie giermka wciąż trwało. Rozgniewany wojewoda kazał wtenczas kilku żołnierzy zawołać, oświadczając, że najokropniejsze męki zdołają usta mu otworzyć. Biskup nie zgodził się na to i prosił wszystkich, by odstąpili, a sam, zbliżywszy się do młodzieńca, tak słodkim głosem przemówił:

— Dzielnąś okazał odwagę i męstwo, lepszej sprawy godne. Dopóki równi tobie wojownicy zadawali ci pytania, mogłeś sobie mieć za chlubę utrzymanie milczenia, którego ani groźby, ani boleści zerwać nie zdołały; ale teraz jako chrześcijanina, jako syna Kościoła, zapytuję cię w imieniu Pana twego i Boga, powiedz, co wiesz w tej ciemnej sprawie! Twoje serce jeszcze nie tak zatwardziałe, by się nie wzdrygało na myśl zostawienia zbrodni bez kary. Możesz niewinności, choć już znikłej z tej ziemi, wrócić jej ozdoby i sławę, a więc zaklinam cię, powiedz, co wiesz o Mieczysławie i jeśli to w twojej mocy, nie dozwól, mój synu, by na pamięci Hanny z Ciechanowa ciężyła plama hańby i zdradzonych powinności!

Na imię Hanny z Ciechanowa zmieniła się zupełnie twarz młodzieńca, wyraz uporu i nie zgiętej woli ustąpił nie zrozumianej jakiejś czułości. Łza zgasiła ponury ogień, dotąd błyszczący mu w oczach, ale jeszcze wahanie znać było na ustach, na pół otwartych. Z czoła wyniosłego zeszła burza gniewu i rozpaczy, ale natomiast osiadła tam chmura żalu. Jedno słowo, jedno wspomnienie trafiło do serca i czułość obudzona dzikie namiętności w ciele łzami zatopiła. Dłużej już nie mógł wytrzymać i drżącym głosem zawołał:

— Świadkami jesteście wszyscy, że trwoga przystępu do mojej duszy nie miała. Pozbawiony ręki i wszelkiej obrony, okuty w wasze kajdany, nie schyliłem czoła i na chwilę nawet bladość bojaźni twarzy mojej nie okryła. Męki najsroższe nie wydarły tajemnicy z głębi piersi; ale kiedy wezwał mnie biskup płocki na świadka, kiedy kazał mi w ostatnich życia chwilach uwolnić umarłą piękność od sromotnego zarzutu, wypełnię powinność chrześcijanina i rycerza. Żelazo moje nieraz nasiąkło krwią nieprzyjaciół lub wskazanych ofiar i umiałem przytłumić wyrzuty sumienia. Słyszałem pienia śmierci i dźwięki wzywających na wieczny spoczynek dzwonów i przytłumiałem wyrzuty sumienia. Teraz wszystko odkryję. Kilka chwil do życia mi pozostało, poświęcę je prawdzie, ale niech wasze oczy wzrokiem pogardy na mnie nie patrzą! Nie róbcie sobie znaków, bo nie przed waszą uległem przemocą, bo nie wasz oręż mnie przeraził, ale uczucie powinności usta mi rozemknęło... Słuchajcie!

Tu dopiero zaczął opowiadać znajome nam wypadki, wyjawił przyczynę śmierci księżny i Mieczysława, usprawiedliwił Zbigniewa, Mestwina uniewinnić się starał, wystawując szał namiętności, który go opanował i nie zostawił żadnej rozsądnej myśli miejsca w jego duszy.

Wszyscy w podziwieniu i trwodze tych słów słuchali, spoglądając na człowieka, któremu w samych zbrodniach pewnego rodzaju szlachetności i cnoty odmówić nie mogli.

Ulrych, skończywszy mowę, schylił czoło i przez chwilę dumał głęboko, a potem prosił, by mu zdjęto okowy. Na znak biskupa uwolniono go od kajdan, a młodzieniec, z dumą zrzuciwszy żelazne łańcuchy, zbliżył się do Sieciecha.

— Panie krakowski — rzekł smętnym głosem, wznosząc ramię, pozbawione ręki — tobiem winien okropną ranę, wytrąciłeś mi oręż na wieki i z nim sławę mnie czekającą. Kto w tych wiekach niezgód i zaburzeń zechce spojrzeć na nędznego kalekę, ogołoconego z prawicy? Nikt okiem litości

nawet na mnie nie spojrzy i nie żądam litości. Zawód mój zakończył się na ziemi. Cięcie twojego miecza oddzieliło mnie od chwały, a zarazem od życia, a jednak nie czuję zemsty ku tobie; zrzuciłem z serca ogromny ciężar i ta rana mniej mi dolega. Lecz może jeszcze potrafię się dobić sławy — dodał, jak gdyby wracała nadzieja do jego serca. — Pozwólcie mi tego miecza, spróbuję nim władać lewą ręką! Jeden z przytomnych ze łzami w oczach podał mu oręż.

— Teraz — zawołał młodzieniec z nadzwyczajnym uniesieniem — nie lękam się już ani waszych mąk, ani szubienic! Nie zginie Ulrych haniebną śmiercią zbrodniarzów, bo jeśli pełnił zbrodnie, miał jednak czułe serce. Patrzcie, jakie lewej ręki cięcie! — i nim go kto mógł wstrzymać, utopił w piersiach krótki i ostry pałasz i upadł na ziemię.

Biskup wzdrygnął się i podniósł oczy do nieba, a wszyscy obecni odwrócili je od okropnego widoku. Jeden Henryk z Kaniowa zachował krew zimną, czyli raczej wściekłość nie dozwoliła mu uczuć litości i przerażenia; wystąpił z grona towarzyszy i stanął przy trupie Ulrycha. Tu wyjął spod kolczugi pukiel ciemnych włosów i umoczywszy je w krwi nieszczęśliwego, zawiesił na szyszaku między trzema białymi pióry.

— To są włosy księcia i pana mojego. Przysięgam, dopóty ten znak nosić na hełmie, dopóki go powtórnie nie zanurzę w krwi drugiego mordercy, Mestwina z Wilderthalu. Niechaj Bóg Ojciec, Bóg Syn i Duch Święty słyszą tę przysięgę i niech święty Stanisław i szabla moja ku pomocy mi będą! — To powiedziawszy, wyszedł, ściskając rękojeść miecza.

W kilka dni później pochowano Skarbimira, ciało Ulrycha za cmentarzem w dół rzucono. Sieciech zaś, chcąc przywiązać do swojej służby rycerza z Kaniowa, kazał go do siebie zaprosić; ale nadaremno Jarosz z Kalinowy przebiegł wszystkie Płocka ulice, nigdzie nawet i śladu Henryka nie

znalazł. Żołnierze, stojący u wałów miejskich w dzień śmierci podskarbiego, donieśli potem wojewodzie, że rycerz, podobny z postawy i ubioru do znikłego, lotem błyskawicy przeleciał już blisko nich w nocy na czarnym rumaku i że przez chwilę wśród cieni wieczora ujrzeli migającą się zbroję na jego piersiach, kiedy pędził drogą, na północ wiodącą.

ROZDZIAŁ XXX

Skąd przychodzisz tak nierano?
Kto jesteś? jakie twe miano?
Kiedy się tobie przypatruję z bliska,
Zdaje się, ze cię kiedyś widziałem…
Dziady

Musiemy teraz przenieść czytelników naszych daleko od Płocka, do jednej z okolic Pomorza, oświeconej w tej chwili zachodzącego słońca promieńmi. Dzikość największa panowała wówczas w tej krainie, nieuprawne pola leżały odłogiem, a pokrzywy, chwasty i ciernie rosły, gdzie by mogły kłosy w złotych płynąć przed wietrzykiem falach. Zbliżający się wieczór jeszcze posępniejszą barwę nadawał przedmiotom. Wzgórza to zniżającym się, to podnoszącym wieńcem otaczały liczne jeziora, których wzdęte silnym wiatrem wody wydawały się z dala przy purpurowym blasku słońca niezliczonymi falami z płomienia. Lasy, już jesienną przyodziane szatą, zarastały wielką część przestrzeni. Z bliska można było rozeznać zielone liście, pomieszane z żółtymi i czerwonymi. Dalej zaczynały się stapiać z sobą te kolory, a wzrok, sięgający aż do ostatku widnokręgu, postrzegał już tylko szare ogromy, zdające się olbrzymim pasmem łączyć ziemię z czystym niebios błękitem.

Jedyny ślad pracy ludzkiej w tej dzikiej puszczy była droga, często wijącymi się roślinami zarosła lub ogromnymi kamieńmi zawalona i niekiedy w ciasną przechodząca ścieżkę; kręciła się ona ponad wodami, ustawała u stóp wzgórzów, gdzie kilka tylko śladów ciężkich wozów pozostawało, lecz z drugiej strony znów ukazywała się szeroka i dobrze odznaczona, by trochę dalej zniknąć pośród zarośli i kamieni różnego rodzaju i wielkości. Właśnie w jednym *z* miejsc, gdzie trudną była do

rozeznania, ostatnie promienie słońca oświecały młodego rycerza siedzącego na koniu, który się zatrzymał, by, jak się zdawało, zaczekać na człowieka schodzącego w oddaleniu z spadzistej skały. Jeździec i rumak długą zmęczeni byli drogą, bo pierwszy nieustannie pot z czoła obcierał, a drugiego całkiem biała piana pokryła. Za siodłem leżał mały tłumoczek, zawierający zapewnie ubiór i żywność rycerza, a blisko lewego strzemienia wisiał topór, używany w owoczesnych bojach. Zbroja pokrywająca nogi młodzieńca, błotem zbryzgana, dawny połysk straciła, kiedy tymczasem pancerz jaśniał stalowymi, na nim wyrobionymi ozdoby. Twarz jego, choć nosiła znamiona znużenia, wyrażała oprócz tego jakąś ciężką tęsknotę, połączoną z piętnem niestartej woli. Hełm, w kilku miejscach porysowany nadybanymi w podróży gałęźmi, dziwne miał znaki, bo wśród trzech piór białych, połamanych i kurzawą okrytych, tkwił pukiel czarniawych włosów, zeschłą krwią zbroczony.

Poglądał rycerz w górę, jak gdyby chciał poznać, ile chwil do nocy nie dostaje, to znowu wyciągał rękę i wołał do siebie znakami niedalekiego już wędrowca. Im bliżej tamten przystępował, tym chciwiej młodzieniec zatapiał w nim oczy i starał w sobie dawne obudzić wspomnienia. Nieznajomy, ubrany po myśliwsku, rączym postępował krokiem, trzymając ogromny łuk w ręku. Kołczan, wiszący z tyłu, wypróżniony był do połowy z grotów, a ogromny szary orzeł zarzucony był przy nim. Twarz myśliwca, spalona od słońca, wyrażała pewien rodzaj niedbałej o nic odwagi. Już tylko mały rów dzielił go od rycerza, kiedy ten wykrzyknął;

— Witam cię, Krystynie z Mortoga!

Zdumiony Krystyn zatrzymał się na chwilę, a potem zawołał:

— Niech mnie tysiąc Prusaków posiecze, jeślim cię już gdzieś nie widział! Kto jesteś? Skąd? Ach! wiem, nic nie mów, wiem! Henryk z Karnowa... z Karnowa lub coś podobnego.

— Lub z Kaniowa — przerwał rycerz, wyciągając rękę do dawnego wroga.

— A cóż tu robisz na Pomorzu? — przerwał rycerz. — Czy przychodzisz służby szukać u naszego księcia?

— Przybywam owszem służbę jego zmniejszyć o jednego człowieka — odparł groźno młodzieniec.

— Czy do mnie stosuje się ta mowa — krzyknął rycerz z Mortoga, dobywając miecza.

Męski zapał Krystyna wycisnął uśmiech zbladłym ustom Henryka.

— Nie — odpowiedział — nie ciebie szukam, bo szanuję rycerzy godnych tego imienia, a szczególnie tak mężnego jak ty, mój Krystynie.

— Dobrze, dobrze, mój Henryku, ale nie lubię na darmo dobywać pałasza. Spróbujmy się choć trochę, do pierwszej krwi, nie żądam więcej! Mój drogi, mój kochany Henryku, do pierwszej krwi tylko!

— Krystynie — uroczyście zawołał młodzieniec — nie żartuj sobie! Ważna, najważniejsza w moim życiu sprawa przygnała mnie z dworu Hermana w te posępne puszcze. Jużem bliski celu i nie myślę w dziecinnej walce narażać siły, przeznaczone dopełnieniu świętego obowiązku.

— Jeśli tak, to zgoda; ale daj słowo, że nie czyhasz na życie mojego księcia i pana, bo inaczej powinnością stanie się dla mnie — pierwej cię twojego pozbawić!

— Przysięgam, że nie, bo Zbigniew niewinny; inaczej moje żelazo żadnej nie czyniłoby różnicy między jego lub innego piersiami.

— A więc wszystko między nami skończone.

— Krystynie, bądź łaskaw wskazać mi drogę do zamku księcia! Zapomniałem już, jak się nazywa; czy jeszcze daleko? Ledwie mogłem się w tym przeklętym kraju drogi dopytać.

— Zowie się Waplew, stoi nad Czarnowodą, na skale tak wysokiej, że z niziny jest podobniejszym do orlego gniazda niż do potężnego gmachu. Dobrze zrobił książę Zbigniew, że zabił tego Ottona de Strontheim i zamek na nim zdobył, bo, na Boga, wszystkie panów polskich wojska nie potrafią go stąd wyrugować. Powiem ci szczerze, że mnie się nudzi; nie ma ani wojny, ani kłótni, ani pojedynków, a trudno księcia opuścić — taki smutny, taki nieszczęśliwy, już nawet z Mestwinem nie rozmawia. Ale dlaczegóż takeś się wzdrygnął? A toż i Mestwin dziś na łowy wyjechał; ja w inną stronę się udałem, bo nie lubię tego Niemca.

— A kiedy wróci? — przerwał Henryk.

— Niezawodnie jutro. Lecz muszę psy przywołać.

Po tych słowach przyłożył trąbkę do ust i wydał głos chrapliwy, który w jednej chwili wzniósł się w górę, a potem, spadając, rozległ się wokoło. Natychmiast odpowiedziały dalekie naszczekiwania, a choć wiatr przeszkadzał, co chwila głośniejszymi się stawały; nareszcie z różnych stron przybiegły ogromne brytany i sześć ich otoczyło pana, wyszczerzając ostre na Henryka zęby.

— Cicho, cicho, Obal! Precz, Warda, stąd; cicho! — zawołał Krystyn i natychmiast posłuszne psy legły u stóp myśliwca.

— Teraz, gościu, wskażę ci najkrótszą drogę do zamku, bylebyś szedł stępo i nie odbiegł mnie jak duch na czarnym koniu.

— Idźmy, idźmy więc! — zawołał Henryk.

Ale droga wcale się nie zgadzała z niecierpliwością młodego rycerza, bo coraz bardziej trudniejszą się stając, prowadziła naszych wędrowców to w głębokie jary, to na strome wzgórza, z których wierzchołka jeszcze mogli dostrzec kilka chmur, oblanych promieńmi zapadłego słońca. Lasy, którymi przechodzili, błota, w których grzęźli, zdawały się być dobrze znajomymi Krystynowi, bo śmiałym

idąc krokiem, ledwo czasem spojrzał na ziemię, a najwięcej z wzniesioną głową śpiewał dumki wojenne, kiedy tymczasem dzielny rumak Henryka zapadał w trzęsawiska lub wszystkich sił dobywając, ledwo mógł się dostać na szczyt spadzistego wzgórza. Mrok, powoli zapadający, przymnażał jeszcze trudności, ciemne bory podwajały jego cienie, a jeśli czasem widok się rozprzestrzeniał, gęsta mgła, unosząca się nad wodami, przesłaniała go oczom naszych rycerzy.

Już ptaki rzadko się odzywały, już kilka gwiazd zabłysło, kiedy przybyli na brzeg oschłego jeziora, którego powierzchnia, dawniej wodą zalana, teraz zarosła była mnóstwem sitowiu i uginającej się trzciny.

— Jeszcze się tędy przeprawiemy — rzekł Krystyn — a potem, stanąwszy na tamtym wzgórku, zobaczym bliski zamek i Czarnowodę.

— A już czas — odparł Henryk — bo mój biedny koń ledwo już się wlecze…

Po tych słowach zeskoczył z siodła i prowadząc rumaka za uzdę, wszedł pomiędzy zarośle; ale z każdym krokiem nowe rodziło się niebezpieczeństwo, coraz więcej ziemia grząską się stawała i już słyszał Henryk szelest przeciskającej się pod spodem wody. Krystyn jednak ze zwykłą niedbałością zagrzewał go do pośpiechu i bez żadnego przypadku doszli nareszcie do wspomnionego wzgórka, skąd już prawdziwie wspaniały widok przedstawił się im przy świetle księżyca.

Niedaleko wznosiła się niebotyczna skała, żadnym drzewem ni rośliną nie pokryta, a na jej wierzchu zmęczone oko niedobrze już dostrzec mogło białawych czterech wież, połączonych murem, w kwadrat wystawionym. Ognie, błyszczące z okien zamkowych, do małych gwiazdek podobne były. Na najwyższej wieży buchał ogromny płomień, zawsze w nocy zapalony dla zbłąkanych wędrowców. U spodu płynęła szeroko Czarnowoda, a choć

srebrne księżyca promienie igrały z jej falami, zachowywała jednak smętną barwę, od której nadano jej imię; płaczące brzozy nad brzegiem i dęby stuletnie rosły w ulice, jak gdyby przez sztukę wytknięte, a dalej ciemny bór pozostałą część równiny zalegał. Kilka chat, rozsypanych u stóp skały zamek dźwigającej, służyło za stajnie dla koni księcia, nie mogących dójść do wzniosłego mieszkania pana.

Noc pokrywająca okolicę, księżyc błyszczący na niebie, ogień z wieży wybuchający, jak gdyby drugi księżyc na ziemi i samotność otaczająca dokoła, wystawiały obraz okropnej dzikości, a zarazem, uderzając oczy Henryka, najczarniejszymi zajętego myśli, wprawiały go w pewien rodzaj szału.

Przeniesiony z ludnej krainy do samotnej puszczy, wyrwany tak nagle z rąk miłości i rzucony w objęcia zemsty, nie miał jeszcze czasu do uśmierzenia burzliwych uczuć, a teraz namiętne uniesienie nim owładło. Zdawało się, jak gdyby okropne tych miejsc odległych przyrodzenie w zgodzie było z jego sercem i wystawiał sobie, że widzi krew Mestwina, płynącą jak strumień wezbrany po skale. Ognie, zapalone w zaniku, wydały mu się płomieńmi piekła i wyciągał ramiona, by jak anioł śmierci wzlecieć nad poziom, dolecieć ofiary i życie jej przeciąć.

Wkrótce jednak żarty Krystyna wyrwały go z tego dumania i wsiadłszy na konia, znów zaczął dalej postępować. Niezadługo u stóp skały stanęli.

— Zostaw konia w tej chacie! — rzekł Krystyn.

Henryk zaprowadził zmęczonego rumaka, a za rozkazem towarzysza przyjął go do swojej stajni mieszkaniec chaty, a potem oba, zebrawszy siły, zaczęli wąską i węzłowatą drogą wdzierać się na skałę. Po wielu trudach stanęli u bram rozległego zamku, strażnik je otworzył, usłyszawszy głos Krystyna z Mortoga, a z nim wszedł Henryk z Kaniowa.

ROZDZIAŁ XXXI

Hamlet: Zdaje mi się, że widzę! H o r a t i o: Gdzie?
Hamlet: Przed oczyma duszy mojej!
Szekspir

Podwórzec zamkowy, ze czterech stron wieżami zakończony, pustym był teraz. Kilku tylko rycerzy, żywo między sobą rozmawiających, stało na środku i z daleka jeszcze przy świetle pochodni poznał między nimi Henryk ogromną postawę Jordana z Gozdawy.

Krystyn wziął towarzysza za rękę i zbliżył się do znajomych.

— Zapoznajcie się z nim! — krzyknął. — To jest Henryk z Kaniowa, rycerz niezłomnego słowa i niezłomnej szabli. Jordanie, to już dawna dla ciebie znajomość.

— Tak — rzekł uprzejmie, nieco zdziwiony Jordan — tak, znamy się dobrze. Nieraz iskry sypnęły się z ścierających się naszych mieczy i widziałem, że żaden rodzaj śmierci go nie straszy. Ale dlaczegóż tu przybyłeś? Książę nasz drży z wściekłości na wspomnienie Mieczysława, niebezpieczeństwa ci grożą.

— Setne już przebyłem — odparł młodzieniec — by się na to ostatnie narazić, a kiedy jużem tak bliski, pewno się nie cofnę. Upadnie gniew :księcia przed moimi słowy; mam ważne mu do odkrycia tajemnice i prosiłbym którego z szanownych rycerzy, by doniósł Zbigniewowi, że żądam w tejże samej chwili posłuchania u niego.

Podniósł wtenczas rękę Jordan z Gozdawy i wskazał na najwyższe okno naprzeciwko wieży.

— Tam jest mieszkanie naszego pana od czasu przybycia do tej krainy. Tam samotny przesiaduje dni i nocy. Jeden tylko Mestwin go odwiedza, ale i to rzadko. Nikt inszy by

się nie ośmielił przerwać ponure myśli Zbigniewa, a Niemiec teraz na łowy wyjechał.

— Upraszam, zaklinam was — przerwał Henryk — uczyńcie zadosyć mojemu żądaniu!

— Ja ręczę — zawołał Krystyn — że on złych nie ma zamiarów.

— Niechaj będzie aniołem — krzyknęło kilku — lecz żaden z nas nie przyjdzie śpiącego lwa budzić!

— Zaniechaj zgubnego zamysłu — rzekł Jordan — bo ci szczerze powiem, że cię śmierć niechybna czeka!

— Lepiej zrobisz, kiedy wyjdziesz z tych murów, nim cię sokole oko Zbigniewa ujrzy z góry.

— A więc żaden mi nie odda tej przysługi? — zapytał spokojnie Henryk.

Milczenie wszystkich było dostateczną odpowiedzią.

— Jeśli tak, to sam pójdą! — zawołał.

Ale jeszcze raz Jordan starał się go odwieść od zamysłu.

— Pamiętam — rzekł rycerz z Gozdawy — że w wojnie z Prusakami jakiś wódz ich, olbrzym z postawy, a bohater z odwagi, schronił się do takiej wieży wśród ciemnego boru. Z toporem w ręku i szablą u boku dostałem się za nim na wierzchnią część budynku. Toporem drzwi wyrąbałem, a szablą Prusaka zabiłem i jego głowę przez okno, jakby jabłko, wyrzuciłem. Ale tu co innego. Księciu winne uszanowanie, lecz nie bojaźń mnie wstrzymuje.

— Gdyby — odparł z zimną krwią młodzieniec — setne kopie i szable tej wieży broniły, jeszcze bym sam jeden na nie się rzucił, by dopełnić świętej przysięgi…

Po tych słowach oddalił się, zostawując wszystkich w zadumieniu i zniknął im z oczu wśród grubych murów niebotycznej wieży.

Zaraz w sieni napotkał wąskie schody, które w licznych, ciemnych zakrętach nad jego wznosiły się głową.

Gdzieniegdzie tylko stojące kagańce oświecały je częściami. Poszedł nimi i stukając orężem o kamienne stopnie, śmiało postępował, aż nareszcie doszedł ostatniego piętra, gdzie się schody zakończały żelaznymi drzwiami, na pół otwartymi w tej chwili.

Młodzieniec rzucił ciekawym wzrokiem wewnątrz komnaty i ujrzał siedzącego męża z twarzą między dłonie zakrytą. Na bliskim stole paląca się lampa oświecała leżący sztylet, okręcony różaną przepaską.

Przypomniał sobie Henryk, że ją miała w dzień śmierci u łona nieszczęśliwa Hanna. Nie zwlekając dłużej, wszedł śpiesznie rycerz z Kaniowa; ale Zbigniew, zatopiony w dumaniu, podniósł dopiero czoło, kiedy już od kilku chwil stał przed nim dzielny młodzieniec.

Zdziwiony syn Władysława porwał się z gniewem i wlepił iskrzące oczy w twarz Henryka. Dawne pamiątki ozwały się w duszy, patrzał się, zbliżył i poznał, a wnet uchwycił oręż i wzniósł go na towarzysza śmiertelnego wroga, nie przemówiwszy i słowa.

— Książę! — zawołał Henryk, nie wiedząc, jak uniknąć grożącego ciosu — Hanna była niewinną!

Wypadła szabla z rąk Zbigniewa, a łzy zalały mu lica na wspomnienie tak drogiego imienia.

Henryk nie stracił sposobnej pory i nie dając czasu Zbigniewowi do namysłu, zawołał:

— Synu najjaśniejszego króla i pana mojego, przybyłem z Płocka do tych miejsc odległych, by ci odkryć tajemnicę. Hanna i Mieczysław byli niewinnymi. Mestwin wszystko uknuł i Mestwin jest zbrodniarzem.

Po tym oświadczeniu, opowiedział księciu wyznanie Ulrycha, wyszczególnił najdrobniejsze okoliczności i sam słowem rycerskim zaręczył, że w owej pamiętnej nocy widzenia się księżny z Mieczysławem całą ich rozmowę słyszał i z niej poznał, że Hanna ciągle kochała męża

najczystszą miłością i że Mieczysław najszlachetniejsze poświęcenie uczynił.

Twarz Zbigniewa rozmaite przybierała wyrazy podczas mowy rycerza; lecz kiedy oczywiste ujrzał dowody, jakiś rodzaj smętnej radości zabłysnął w oczach. Zgiął kolana i ręce załamał, wznosząc je ku niebu:

— O Boże! — zawołał — dzięki Ci składam, żeś nie dozwolił, bym dłużej posądzał niewinność ulubionej, niewinność tej, która mi najmilszą na tym świecie była. Zginęła z mojego rozkazu, ale ostatnia jej myśl była błogosławieństwem dla mnie. Zmiękcz się więc w gniewie swoim, o Panie świata i ulżyj ciężar przygniatającego mnie życia! Tak — dodał, powstawszy — wolniej teraz oddycham. Tak, równeśmy sobie oddali usługi. Jam ci życie ocalił, ty mi spokojność, to jest część spokojności wróciłeś.

— Książę — przerwał Henryk — niedawnoś życie mi darował, teraz większego jeszcze daru wymagam. — To mówiąc, zbliżył się do Zbigniewa, klęknął i zarazem z szyszaku odpiął warkocz włosów, w krwi zbroczony: — Panie — rzekł poważnym głosem — to są włosy nieszczęśliwego twego brata. Dopókim ciebie miał za jego mordercę, dopótym pragnął je w krwi twojej zbroczyć; lecz kiedym się dowiedział od Ulrycha, że inny sprawił to wszystko, przysiągłem, że je w krwi jego zanurzę. Wymagam więc od ciebie, byś mi dozwolił walczyć z Mestwinem z Wilderthalu.

Na imię Mestwina twarz księcia, przez chwilę rozjaśniona, czarną pokryła się żałobą, wszystkie namiętności uśpione obudziły się w piersiach z podwojoną siłą. Żyły czoła nabrzmiały krwi potokiem, rumieniec wściekłości oblał lica, oczy zaiskrzyły się płomieńmi i usta się otworzyły, lecz zamiast wyrazów krzyk okropny i przeraźliwy z nich wybuchnął, a rękę wyciągnął książę Zbigniew i groźno dobył miecza.

— Przysięgam — rzekł po chwili — że nikt inszy ode mnie Mestwina nie zabije! Ach! zginiesz, zbrodniarzu, zginiesz! Zbyt długo rozciągnięta przez ciebie zasłana wzrok mój ćmiła — rozerwana teraz. Pozbawiłeś mnie szczęścia, sławy, wszystkiego; ja cię tylko życia pozbawić mogę! O Hanno! O ojcze mój! O Mieczysławie! — I tu znowu łzy wytrysnęły i upadł książę na bliskie krzesło.

— Nie narażaj się, panie — rzekł rozczulony Henryk — na żelazo tego Niemca! On niegodny twej książęcej ręki. Dozwól mi dokonać przysięgi i zyskać chlubę, że pana mego i ciebie zarazem pomściłem!

Długo Zbigniew nie mógł ukrócić swego żalu, każde wspomnienie dodawało goryczy smutkowi; po długim dumaniu słabym rzekł głosem:

— Rycerzu, nie mogę zadosyć twej prośbie uczynić. Powtarzam i przysięgam, że Mestwin z mojej zginie ręki! Ach! czegóż on mnie pozbawił Hanny! Gdyby mi godności, bogactwa, chwałę był odjął, berło wytrącił, darowałbym mu jeszcze, ale Hannę!... O Hanno! o kochanko! o żono moja! On z mojej ręki zginie!

Te ostatnie słowa wyrzekł stanowczo i podniósłszy oręż w górę, spojrzał wzrokiem grożącym zagubą. Po chwili namysłu dodał:

— Czuję, że ci największą przykrość robię. Lecz rozważ, o ile moja zemsta twoją przechodzić powinna. Ja płaczę za żoną, za sławą, za bratem niegodnie zabitym. Ciebie wszyscy kochają, zaczynasz piękny zawód i masz nadzieję. Mnie, doszłego do pół drogi życia, odbiegły złudzenia i pociechy. Nadzieja, dawniej wzywająca na górne chwały sklepienia, błyszcząca dawniej dla mnie jak słońce na czystym niebie, nagle zniknęła, wszystko odpadło, radość pożegnała się z rozdartym sercem. Każdy wzrok mnie ściga zgrozą, każde usta przekleństwami. Oddzielony od lubej, odrzucony przez ojca, zwiedziony od przyjaciela, stoję na brzegu przepaści, nie mogąc ani wprost się rzucić, ani

wstecz się cofnąć i muszę ciągle trzymać wlepione oczy w jej otchłanie. Tobie młodość, tobie przyszłość się uśmiecha. Miną twe smutki jak chmury, co nad twoją głową szybko ulatują, a zostanie się niebo czyste i jasne. Dla mnie świat zniknął, jedna została się zemsta, a powiedz teraz, czy chcesz mię tej ostatniej pociechy pozbawić? Czy chcesz spiekłym wędrownika ustom ostatnią kroplę odmówić, kiedy pełne masz puchary pieniącego się napoju? Mów, Henryku, czyż możesz tego żądać?

Stał młodzieniec z spuszczoną głową i milczał.

— Co mogę uczynić, to uczynię — ciągnął dalej Zbigniew. — Powierz mi ten pukiel włosów; sam go w krwi zbrodniarza umoczę, a potem oddam.

Henryk nie rzekł i słowa, lecz wyciągnął rękę i oddał swój skarb księciu.

Drżały palce Zbigniewa, kiedy ściskał włosy Mieczysława; przeszedł się potem kilka razy po komnacie, nareszcie stanął i rzekł do Henryka:

— Jutro przed zachodem słońca odbierzesz je. Lecz gdybym nie wrócił?... Wtenczas ci wolno ścigać po całej ziemi Mestwina. Wtenczas przekazuję ci, Henryku z Kaniowa, zemstę własną i tylu nieszczęśliwych ofiar. Teraz żegnam cię; nie mów nic o tym nikomu i rozgość się w moim zaniku!

— Książę — odparł rycerz — nie zostanę w tych murach. Mógłbym w nich zobaczyć wroga, po którego życie tu przybyłem, a ten widok pomięszałby wszystkie władze mojej duszy; wola nadaremną by się stała wstrzymania namiętności. Pomimowolnie wyrwałaby moja ręka szablę z pochwy i zatopiła ją w piersiach Mestwina. Zejdę na dół i tam w jednej z chat nad rzeką stojących zaczekam na wypadek walki. Jakikolwiek on będzie, bądź pewny, książę Zbigniewie, że w Henryku z Kaniowa masz człowieka opłakującego twoje nieszczęścia, a może będziesz miał w nim mściciela.

Po tych słowach ukłonił się i wyjść zamyślał, ale Zbigniew go jeszcze zatrzymał.

— Nie myślę — rzekł — wobec mojego dworu staczać walki z Mestwinem, zawiodę go w głąb lasu za rzeką. Czekaj mnie jutro aż do zachodu słońca na tym brzegu. Jeśli noc zapadnie, a ja nie wrócę... lecz nie, zemsta doda sił tej ręce, a ta pierś nie potrzebuje, by jej co odwagi dodało!

Henryk się oddalił, a Zbigniew został sam z swoimi myślami. Już było późno, lampa dopalała się na stole, mdłymi promieńmi oświecając komnatę. Książę jeszcze kilka razy pokój okrążył, a potem rzucił się na łoże. Pamiątki młodości z głębi duszy powstały, przeszłość rozwinęła się przed myślą, a urok jej wdzięków sroższym czynił obraz przyszłości. Miłość, chwała już zniknęły; zimna rzeczywistość miała już aż do grobu towarzyszyć synowi Władysława. Widział przeszłe uciechy i radości zwiędłe, a przyszłe gromy nieustannie grzmiały w przerażonym uchu.

Utracił jedyną istotę, która mogła przynosić mu ulgę w utrapieniach, utracił ją przez zbrodnię. Naraził się na nienawiść ludzi i przyjaciół, zniechęcił naród, któremu kiedyś mógłby był przewodniczyć do sławy. Wszystkie marzenia wielkości, którymi karmiło się serce w tęsknotach, upadły, wszystkie nadzieje okropna zbrodnia wydarła, a ta, która miała być aniołem opiekuńczym życia pełnego dzieł i chwały, zstąpiła za wcześnie do grobu, pchnięta jego własną ręką. Umarła, niewinna, dla spełnienia widoków Mestwina. Najcnotliwsza niewiasta padła ofiarą zamachów, knowanych przez zdrajcą i nierozważnych namiętności męża, którego tak kochała. Ojciec w rozpaczy, naród w żałobie są skutkiem jego czynów. A cóż powiedzą potomni? Jakimże wieńcem przyszłość ozdobi skronie, które miało się wynieść nad wszystkich bohaterów czoła? Czyż strumienie krwi wylanej nie wzniosą się na zagrodzenie jego imieniu drogi do nieśmiertelności? czyż okrzyk trwogi i przerażenia narodów

nie przytłumi odgłosu dawnych dzieł i zwycięstw? A tak w jednej chwili widział zniszczone szczęście i zniszczoną chwałę, dla której rzucał się na miecze wrogów, o której marzył od dzieciństwa. Już się wzbijać zaczynał, jej skrzydłem wzniesiony, ku niebu, a teraz jeden czyn, jedna zbrodnia zwróciła go do ziemi i upadł pomiędzy prochy i kości zapomnianych i przeklętych na świecie, a siły zwątlone nie dozwalają mu jeszcze raz się podźwignąć i musi żyć i musi żadnego celu w życiu nie upatrywać, bo sam własną winą najszlachetniejsze, najpiękniejsze dwa cele, chwałę i miłość, na wieki utracił.

Takie myśli snuły się w wyobraźni Zbigniewa, lecz nareszcie, znękany, opuścił głowę i wpadł w odrętwienie do snu podobne, choć snem nie było. Ociężałe powieki na pół tylko zakrywały oczy, a uczucia boleści i żalu odzywały się ciągle.

Dogorywająca lampa to bledsze, to żywsze rzucała promienie na przeciwną ścianę, na której zawieszona była całkowita zbroja z hełmem u góry, z przepaską na pancerzu i mieczem u przepaski. Przemijającym zbroja oświecona blaskiem raz jaśniała, jak gdyby przed światłem słońca, to znów w zupełną pogrążała się ciemność. Wreszcie po długim konaniu zgasła lampa, a jednak widział jeszcze Zbigniew zbroję i zdało mu się, że oczy, wlepione w niego, żarzyły się spod przyłbicy szyszaku. Chciał się porwać, ale nie mógł i pozostał na miejscu. A tymczasem zdało mu się, jak gdyby oderwała się od przeciwległej ściany zbroja i jak gdyby się mąż jakiś w nią przyoblekł; a wnet druga postać ukazała się w śnieżnych szatach i mąż zbrojny podał jej rękę i oboje, płynąc w powietrzu, zbliżyli się do siedzenia Zbigniewa, a wtenczas przerażony książę poznał w rycerzu Mieczysława, a w niewieście nieszczęśliwą Hannę. Zbigniew dobył wszystkich sił, oparł szeroką prawicę o stół dębowy, ale podnieść się nie mógł. A niewiasta w śnieżnych szatach, rzucając nań okiem słodyczy, wskazywała niebo;

lecz mąż zbrojny okropnym wejrzeniem spoglądał spod szyszaka, otworzył usta i wyrzekł: „Zemsta, zemsta!” A mury długim echem powtórzyły: „Zemsta!” Dobył rycerz spod pancerza świetnego puchara i pokazał go księciu pełnym trucizny. Po drugi raz otwarły się jego usta, zawołał: „Mestwin!” i powtórzył: „Zemsta!” A wtenczas Zbigniew zebrał całą moc swoją, wyciągnął ramiona ku ulubionej i zdało mu się, że uśmiechem nadziei odpowiedziała jemu. W tej chwili wraz z groźnym towarzyszem znikła; zbroja, jak dawniej, wisiała na ścianie, a Zbigniewa ciężki sen opanował.

ROZDZIAŁ XXXII

Umiera. — Lecz nikt dla niego
nie czuje litości. — Świat szeroki,
a żadne w nim serce dla niego
nie bije.
Bezimienny

Przybył rycerz z Wilderthalu o wschodzie słońca z łowów i zaraz stawił się przed księciem... Krótkimi słowami przywitał go Zbigniew:

— Przywdziej najlepszą zbroję, przypasz miecz niezawodny i chodź za mną!

Poznał Mestwin z twarzy księcia, że niezwykłe pomięszanie duszę jego trapiło, lecz nie domyślał się jego przyczyny. Usłuchał rozkazów pana, sądząc, że Zbigniew ma jakąś wyprawę na celu. Ukrytymi w murach drzwiami wyszedł z nim z zamku i szedł na brzeg Czarnejwody.

Zbigniew skoczył w milczeniu na łódkę, a Mestwin poszedł za jego przykładem.

— Książę i panie mój — zawołał — czyżby nie lepiej było wziąść z sobą kilku zbrojnych?

— Nie potrzebujemy — odparł uroczyście Zbigniew — inszego świadka jak nieba... Odbijaj!

Odbił rycerz od brzegu, a łódka, pędzona wiatrem, szybko przerzynała wody. Dzielnie popychał ją wiosłem Mestwin, a złote jesiennego słońca promienie odbijały się w każdej kropli wzlatującej w powietrze; czarne fale, konając u boków statku, w białą zamieniały się pianę i daleko za nimi pierwszy brzeg się oddalał, kiedy przeciwny coraz się zbliżał. Nareszcie dopłynęli, a książę wyszedł na ziemię i Mestwin za nim.

Gęstym był las, przez który się przedzierali, krzewy i wysokie trawy utrudniały drogę, wzniosłe sosny, płaczące brzozy, żałobne świerki i ogromne dęby płatającymi się gałęźmi wydzierały oku błękit niebios, gdzieniegdzie tylko przebijający. Za zbliżeniem się kroków ludzkich odlatywały sójki, kruki opuszczały gniazda, a sęp żarłoczny z żalem odstępował gałęzi, z której zdobycz upatrywał.

— Jakiż cel naszej wyprawy? — zapytał Mestwin. — Jeśli łowy, tośmy o małej rzeczy tylko zapomnieli: o łukach i strzałach.

— Poznasz ten cel niezadługo — odpowiedział Zbigniew i szedł dalej z zadziwionym rycerzem. Doszli nareszcie miejsca, w którym rozstępywały się drzewa i gdzie niska trawa z żywszą rosła zielonością przy drobnym, sączącym się wśród kamieni i leśnych kwiatów strumyku. Tu zatrzymał się książę i dobywając wszystkich sił zawołał:

— Mestwinie, ziemia, choć tak rozległa, nie potrafi nas dwóch razem objąć! Jeden polec musi. Znam twoje zbrodnie. Ulrych wszystko wyznał przy śmierci. Broń się, szatanie!

Z początku stał Mestwin z krwią najzimniejszą; lecz gdy usłyszał, że Ulrych zginął, nadaremno chciał wstrzymać łzę, co samotna przedarła się przez powieki. Zgrzytnął zębami i dobył miecza.

— Zbigniewie, wiesz wszystko, śmierć między nami rozstrzygnie; lecz nim zginę lub ty zginiesz, odkryję ci: Ulrych był moim synem! O Bianko! o nieszczęśliwa! Uwiódłem ją, skonała mi na rękach. Młodym byłem wtedy, odtąd skamieniało moje serce. Jednego tylko lubiłem Ulrycha, a jednak, wstydząc się przywiązania do człowieka, chciałem to ostatnie przytłumić; posyłałem syna na niebezpieczeństwa, przyzwyczajałem do zbrodni. Ach! Hanna miała rysy Bianki. Dowiedz się, że to serce pała płomieńmi, które muszą zawsze zniszczyć cel jego miłości. Srogi, okrutny z przyrodzenia, byłem obcą istotą na ziemi,

nie znałem tego, w czym ludzie szczęście pokładają. Chciałem także się wynieść, czułem czasami przywiązanie do ciebie. Ale widzę, mości książę — dodał z szyderskim uśmiechem — że cię moje wyznania nudzą. Doniosłeś mi pierwszy o śmierci syna, zgiń za to! Zgiń — krzyknął wściekle — zgiń, mężu Hanny z Ciechanowa!

I starły się ich miecze i wyroczna dla obu zaczęła się walka. Z rozpaczą i najdzielniejszą odwagą potykał się Mestwin, lecz ramię Zbigniewa wspierały wszystkie namiętności, skupione w jednej chęci zemsty, a mogące się w sercu człowieka urodzić.

Walczyli w samotnym miejscu, pod sklepieniem niebios, z takim zapałem, jak gdyby narodów los zależał od wypadku bitwy i jak gdyby tysiączne okrzyki dodawały im męstwa.

Mestwin nie tracił rozwagi, a Zbigniew namiętnie nacierał, lecz tak namiętnie, że cała przeciwnika rozwaga musiała ulec uniesieniu księcia i zwycięskie żelazo nieszczęśliwego bohatera przeszyło pierś rycerza.

Upadł Mestwin, a książę umoczył w krwi jego włosy brata. Lecz nie mogąc dłużej znieść widoku umierającego człowieka, którego tak długo uważał za przyjaciela, chciał odejść, kiedy Mestwin dobył głosu z przebitych piersi:

— Zbigniewie! zaklinam cię na męki piekła, dobij mnie!

Pierwszą myślą księcia było uczucie litości; lecz stanął mu w pamięci obraz, przeszłej nocy widziany i odsunął rękę od sztyletu, odwrócił oczy i spiesznie się oddalił…

Na brzegu Czarnejwody stał rycerz na koniu. Słońce już wzbiło się w górę, a on, niewzruszony, zdawał się czekać na kogoś. Błyszczała jego zbroja, a rynsztunek cały dowodził, że się do długiej przygotował podróży. Często zwracał niespokojny wzrok na drugą stronę rzeki i wlepione tam trzymał oczy, jak gdyby chciał przebić lasów gęstwiny. Często natężał ucho, przysłuchując się dalekim głosom, lecz nic nie słyszał oprócz krakania drapieżnych ptaków lub

ryku dzikich zwierząt. Nareszcie bystrym okiem dostrzegł zbrojnego męża, wychodzącego spomiędzy ostatnich drzew boru. Natychmiast żywym rumieńcem okryły się jego lica i konia na sam brzeg skierował.

Wtem z przeciwnej strony wsiadł rycerz w łódkę i poznał go Henryk z Kaniowa, a wtenczas, nie mogąc wstrzymać niecierpliwości, ubódł dzielnego konia ostrogą i rzucił się w rzekę. Płynący rumak z odważnym jeźdźcem podnosił czoła nad falą, jak gdyby się chciał im urągać. Zagrzewał go Henryk słowami i głaskaniem, a koń, dumny z swego ciężaru, prędkim biegiem przecinał wody. Spotkała się łódka z Henrykiem w połowie rzeki i mąż, na statku w zamyśleniu siedzący, wyciągnął rękę i oddał jeźdźcowi pukiel, krwią świeżą zlany. Uchwycił go Henryk, przycisnął do piersi i milczącym ukłonem żegnając księcia, odwrócił konia, dopłynął brzegu i puszczając wodze dzielnemu rumakowi, skierował go ku rodzinnej ziemi i zniknął...

Upływały godziny, a zbrodniarz nie mógł umrzeć. Leżał na ziemi, otoczony krwi strumieńmi, spiekłe pragnienie gardło mu rozdzierało; słyszał szmer bliskiego strumyka, widział przesuwające się wody przed sobą, a nie mógł do nich się doczołgać. Z początku jaśniejące słońce w połowie niebios biło mu w oczy nieznośnym blaskiem, a nie mógł oczów zamknąć ni odwrócić i przeklinał słońce.

Opanowało go odrętwienie, krew powolniej z szerokiej rany płynąć zaczęła i przez wiele chwil nic nie czuł; lecz znów potem, za zbliżeniem się wyrocznej godziny, cierpienia się ponowiły i przytomność, najsroższe dla niego cierpienie, wróciła.

Przebiegł wśród boleści, śmierci towarzyszących, życia całego liczne wypadki, a nie przypomniał sobie żadnego czynu, żadnego słowa, żadnej myśli, co by go obronić mogła przed sądem Boga. Spojrzał w górę, a słońce opuściło wzniosły tron niebios i zstąpiło za wysokie drzewa, oblewając je czerwonawą zachodu jasnością. Gromadziły

się nad jego głową orszaki żałobnych ptaków, z początku w odległych przestrzeniach błękitu krążące, lecz potem, zlatując coraz niżej, czarnym opasywały go wieńcem i pomięszanymi głosami zapowiadały bliskość ostatniej chwili.

Ryk dzikich zwierząt grzmiał ze wszystkich stron lasu i zdało się umierającemu, że widzi ich płomieniste oczy, spoglądające nań spomiędzy zielonych i żółtawych liści.

Chłód jesiennego wieczoru dolegał rozdartej piersi i krew, sącząca się z niej kroplami, ścinała się na mroźnym wietrze. Nareszcie stanęło słońce na granicy widnokręgu i Mestwin żałował słońca. Przedmioty zmięszały się przed jego wzrokiem; coraz bardziej krakania i ryki się zbliżały, a nareszcie czarne sępa skrzydło przesłoniło konającemu ostatni promień słońca, a boleść, sprawiona zatapiającymi się jego szponami w piersiach, była ostatnim uczuciem Mestwina na ziemi.

ZAMKNIĘCIE

Dalsze życie księcia Zbigniewa i wojewody krakowskiego należą do dziejów.

Co się zaś tyczy innych osób naszej powieści, w krótkich słowach opowiemy ich koniec, o ile ten nam jest wiadomy po wielu poszukiwaniach i staraniach w tym względzie czynionych.

Wszebor w kilka miesięcy po zgonie córki umarł w swoim ciechanowskim zamku.

Wolimir z Moskorzewa ciągle swój urząd piastował, przerywając nudy życia żartami i ulubionymi łowami; lecz ta ostatnia namiętność przedwczesny sprowadziła mu koniec, gdyż dnia jednego znaleźli go słudzy na pól w błocie zatopionym, z sokołem jeszcze na ręku, który już umarłego nie chciał odlecieć pana.

Jordan z Gozdawy towarzyszył wciąż księciu.

Krystyn z Mortoga, pokłóciwszy się z jednym rycerzem o to, czy lepiej prostym lub krzywym potykać się pałaszem, zginął w pojedynku, twierdząc do ostatniego tchnienia, że proste szable są najlepszymi.

Henryk z Kaniowa od chwili rozstania się ze Zbigniewem znika nam zupełnie z oczu; nie wiadomo, gdzie się podział. W mnóstwie chronik jego szukaliśmy śladów, ale nadaremnie; nareszcie napadliśmy przypadkiem na rękopism Wilhelma, arcybiskupa Tyru, który krzyżowe wojny opisuje i tam na następne trafiliśmy słowa:

„Za moich czasów widziano jeszcze za północną bramą Hierozolimy, na polu między czterema palmami, grób przywalony kamieniem, na którym ten już nieco starty był napis:

HIC J.CET H.NR.CUS DE K.NIO.

EQUES POL.NUS BE.LICA VIRT.TE I.SIGN.S QUI TRIDIE P.ST C.PT.M U.BEM ET CAESIS INF.DE.IBUS EX VULN.RIBUS ACCE.TIS M.RT.US. E.T.